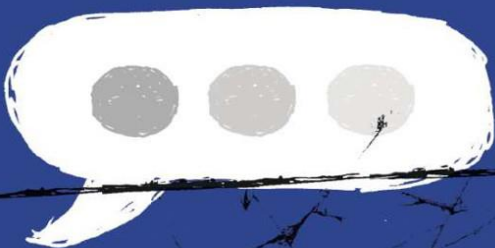


TA KSIĄŻKA NAJPIERW WAS PRZYGNĘBI,  
POTEM POCIESZY, A Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ ZMIENI!

# Goodbye Days



Jeff Zentner



# Goodbye Days

Jeff Zentner

Tłumaczenie: Grzegorz Komerski



*Dla mojej pięknej Sary.*

*Mojej barwy zimowych chmur nocą.*

*Mojego właściwego odcienia błękitu.*

*Śmierć kradnie wszystko poza naszymi historiami.*  
Jim Harrison

## Rozdział pierwszy

Niewykluczone, że zabiłem trzech moich najlepszych przyjaciół. Niewykluczone, ponieważ opinie w tej kwestii są dość podzielone.

Gdybyście zapytali babcię Blake'a Lloyda – babunię Betsy – zapewne odpowiedziałyby, że nikogo nie zabiłem. Kiedy się dzisiaj spotkaliśmy, otoczyła mnie wilgotnym od łez, mocnym uściskiem i szepnęła mi do ucha: „To nie jest twoja wina, Carverze Briggsie. Wie o tym Bóg i wiem o tym ja”. Babunia Betsy zwykle mówi to, co myśli. Taka już jest.

Gdybyście zapytali rodziców Eliego Bauera – doktora Pierce'a Bauera i doktor Melissę Rubin-Bauer – ci, jak sądzę, odpowiedzieliby: „Być może”. Oboje spoglądali mi dzisiaj prosto w oczy i uścisnęli mi dłoń. Na ich twarzach malował się raczej ból po stracie bliskiej osoby niż gniew. Oboje uścisnęli mi dłoń słabo i delikatnie, jakby nie mieli dość siły na więcej, jakby nie byli pewni, czy obwiniać mnie za swój ból, czy nie.

A ich córka Adair? Bliźniaczka Eliego? Do tej pory byliśmy przyjaciółmi. Nie tak bliskimi jak ja i Eli, ale jednak. Myślę, że Adair uważa, że odpowiadam za śmierć jej brata. Patrzyła na mnie wrogo, zupełnie jakby żałowała, że nie było mnie w tym samochodzie. Patrzyła tak na mnie, rozmawiając z grupką naszych kolegów z klasy, którzy stawili się na pogrzebie.

Pozostają jeszcze sędzia Frederick Edwards i jego była żona Cynthia Edwards. Moim zdaniem, na pytanie, czy zabiłem ich syna, Thurgooda Marshalla Edwardsa, który wolał być po prostu Marsem, odpowiedzieliby zdecydowanym: „Prawdopodobnie tak”. Kiedy podszedłem dzisiaj do jak zawsze nienagannie ubranego sędziego Edwardsa, dłuższą chwilę mierzył mnie z góry uważnym spojrzeniem. Milczenie zaczęło się przeciągać, a powietrze między nami zdawało się tężeć i zastygać.

– Dobrze pana widzieć... – odezwałem się wreszcie i wyciągnąłem spoconą dłoń.

– Dzisiaj nic nie jest dobre – oznajmił dostojnym, nieprzystępnym tonem, zacisnął usta i popatrzył ponad moim ramieniem w dal.

Być może okazując mi obojętność, usiłował ukryć fakt, że w głębi duszy uważał mnie za winnego śmierci jego dziecka. Ścisnął mi rękę tak, jakby chciał naraz dopełnić towarzyskiego obowiązku i mnie ukarać.

A co ja o tym myślę? Otóż uważam, że to ja zabiłem trzech swoich najlepszych przyjaciół.

Nieumyślnie. W zasadzie jestem pewien, że nikt nie podejrzewa mnie o premedytację; nikt nie podejrzewa, że pod osłoną nocy wpełzłem pod samochód i podstępnie przeciąłem przewody hamulcowe. Nic z tych rzeczy. Raczej okrutna ironia losu: jako przyszły pisarz „wypisałem” ich z książki życia. Gdzie jesteście, chłopaki? Odpiszcie – niezbyt kreatywny, mało błyskotliwy SMS. Niemniej, na ekranie telefonu znalezionego przy ciele Marsa (to on siedział za kółkiem) widniała niedokończona odpowiedź na mój SMS. Zrobił to, o co go poprosiłem, i pędząc prawie sto sześćdziesiąt na godzinę, wpakowali się w stojącą na autostradzie ciężarówkę. Samochód chłopaków wbił się pod przyczepę, która praktycznie ścięła całe nadwozie.

Czy mam absolutną pewność, że to właśnie moja wiadomość uruchomiła łańcuch wydarzeń, który doprowadził do śmierci przyjaciół? Nie, nie mam, a mimo to jestem o

tym głęboko przekonany.

Czuję się odrętwiały, pusty. Wciąż jeszcze nie dopadło mnie przenikliwe, palące cierpienie, choć wiem, że pojawi się wkrótce. Pamiętam, jak kiedyś pomagałem мамie w kuchni i zabrałem się do krojenia cebuli. Nóż zjechał po śliskiej główce i głęboko skaleczył mi dłoń. W tym momencie mój mózg po prostu zamarł, jakby potrzebował czasu, aby się połapać w sytuacji i zorientować, czy rzeczywiście jestem ranny. W pierwszej chwili uświadomiłem sobie tylko dwa fakty: czuję jedynie krótkie uderzenie i tępe pulsowanie, ale ból nieodwołalnie musi nadejść. I wierzcie mi, nadszedł. Pomyślałem też, że za sekundę, najdalej dwie, poplamie krwią ukochaną bambusową deskę kuchenną mamy (owszem, niektórzy ludzie nawiązują głębokie więzi emocjonalne z deskami do krojenia; nie pytajcie – ja tego nie rozumiem).

Tak więc jestem na pogrzebie Blake'a Lloyda i czekam, aż nadejdzie ból. Czekam, aż moja krew zachłapie wszystko dokoła.

## Rozdział drugi

Jestem siedemnastoletnim ekspertem od pogrzebów.

Plan był jasny i oczywisty – wszyscy mieliśmy szczęśliwie przebrnąć przez ostatni rok w Nashville Arts Academy. Po szkole Eli zamierzał wstąpić na Berklee College of Music, na wydział gitary. Blake wybierał się do Los Angeles, gdzie chciał się zająć pisaniem scenariuszy i karierą komika. Mars nie zdecydował jeszcze, dokąd wyjedzie, nie miał jednak wątpliwości, co będzie robił: zamierzał rysować komiksy. Ja z kolei wahałem się pomiędzy uniwersytetami Sewanee lub Emory, gdzie chciałem studiować kreatywne pisanie.

Żaden punkt planu nie przewidywał, że będę kiedykolwiek czekał na rozpoczęcie uroczystości pogrzebowych trzeciego już członka Brygady Sos. Marsa pochowano wczoraj. Eliego dzień wcześniej.

Pogrzeb Blake'a jest w małym białym kościółku baptystów – jednym z mniej więcej 37 567 takich samych baptystycznych kościółków w Nashville. Cuchnie tu dietetycznymi herbatnikami, klejem i starą wykładziną. Na ścianach wiszą rysowane kredkami obrazki z życia Jezusa. Przypominająca brodaty lizak postać rozdaje niebieskie i zielone ryby tłumowi ludzików nakreślonych za pomocą kilku kresek. Klimatyzacja nie radzi sobie z wczesnosierpniowym upałem i koszmarnie się pocę w nowym granatowym garniturze, który pomogła mi wybrać moja siostra Georgia. W sumie powinienem raczej napisać, że wybrała go sama, podczas gdy ja stałem obok kompletnie otumaniony. Z odrętwienia wyrwałem się tylko na moment, by wyrazić przekonanie, że zdaje się, lepszy byłby czarny. Georgia cierpliwie i łagodnie wyjaśniła mi, że granatowy jest w porządku, a w dodatku będę mógł go zakładać na inne okazje, już po pogrzebie. Powinna była powiedzieć „po pogrzebach”. Zawsze się myli. A może nie?

Siedzę z tyłu, czoło oparłem o ławkę przed sobą. Ze wzrokiem wbitym w kołyszący się leniwie koniuszek krawata, zastanawiam się, co sprawiło, że ludzkość dotarła do etapu, w którym ktoś stwierdził: „Ej, hola, hola! Musisz obwiązać sobie szyję wąskim paskiem kolorowego materiału, abym mógł potraktować cię poważnie”. Niebieska wykładzina upstrzona jest białymi ciapkami. Ciekawe, kto projektuje dywany? Jacy ludzie upatrują w tym swoje powołanie? Kto decyduje: „Nie! Nie! Znowu źle! Trzeba coś tu dodać... O, wiem! Białe ciapki! Bez nich dzieło nie będzie skończone!”. Skupiam się na tych głupstwach, ponieważ wpisane w naturę świata absurdy należą do nielicznych rzeczy, jakie pozwalają mi zająć myśli. A w tej chwili bardzo potrzebuję czymś je zająć.

Przyciśnięte do twardej, gładkiej deski czoło zaczyna mnie boleć. Mam nadzieję, że wyglądam, jakbym się modlił. Chyba właśnie tym wypada się zajmować w kościele, na pogrzebie. Mam nadzieję, że dzięki temu nie będę musiał wdawać się w puste, banalne rozmowy. Nie znoszę tego. Tych pełnych troski: „To naprawdę straszne... Taka strata... Był taki młodziutki... Był taki dowcipny... Był... Był... Był...”. Forma ucieczki w bezpieczne komunały. W obliczu śmierci język jest z gruntu bezsilny. Może nie powinienem oczekiwać, że w takich okolicznościach ktokolwiek zdobędzie się na coś więcej ponad sprawdzone – i prawdziwe zresztą – formułki.

Zebrał się spory tłumek. Dalecy krewni Blake'a ze wschodniego Tennessee,

znajomi z parafii, koleżanki z pracy babuni Betsy, grupka znajomych z klasy. Może nie wszyscy są moimi przyjaciółmi, ale z większością jestem dość blisko. Kilka osób podchodzi i składa mi ekspresowe, zwięzłe kondolencje, ale pozostali dają mi święty spokój, za co jestem im wdzięczny. Pod warunkiem, że robią to w odruchu współczucia, a nie dlatego, że Adair zdążyła ich przekonać, iż jestem mordercą.

Obok rozlega się szelest, ugina się poduszka leżąca na ławce, zalewa mnie fala ciepła i słoneczna woń kapryfolium. Jeżeli jakikolwiek zapach ma w ogóle szansę zmierzyć się z potęgą śmierci, to właśnie zapach kapryfolium.

– Cześć, Carver.

Podnoszę wzrok. Jesmyn Holder. Dziewczyna Eliego. Była dziewczyna? Nie jestem pewien, jakich użyć słów, przecież się nie rozstali. Spotykali się od około dwóch miesięcy. Pod oczami ma ciemne półksiężyce, policzki pokrywa żałoba niczym warstwa brudu.

– Cześć, Jesmyn.

– Mogę tu usiąść?

– Pewnie. – Cieszę się, że Adair jeszcze nie zdążyła przekabacić wszystkich.

– W sumie i tak już usiadłam.

– Podobno ktoś kiedyś powiedział, że łatwiej jest za coś przeproszać, niż prosić o pozwolenie.

– Sam przyszedłeś? – pyta Jesmyn. – Na poprzednich dwóch pogrzebach byłeś z dziewczyną.

– Z Georgią, moją siostrą. Dzisiaj nie mogła się wyrwać z pracy. Przepraszam, że nie odezwałem się do ciebie na tamtych pogrzebach.

– I tak nie miałam ochoty rozmawiać.

– Właśnie. Ja też nie. – Rozluźniam kołnierzyk koszuli. – Potwornie gorąco, prawda?

Najogólniej rzecz ujmując, wolałbym zostać ugryziony w jaja przez warana z Komodo, niż gawędzić o pogodzie. Czasami jednak trzeba się zmusić.

– Tak, ale wiesz, część moich genów pochodzi z Filipin, więc sobie radzę – odpowiada Jesmyn.

Przez chwilę siedzimy bez słowa. Jesmyn rozgląda się po kościele.

– Jest sporo ludzi, którzy byli też na tamtych pogrzebach.

Nieznacznie unoszę głowę.

– Część z nich to nasi koledzy ze szkoły. Nadal chcesz wstąpić do naszej Nashville Arts Academy?

– Oczywiście. Chyba nie sądzisz, że zdecydowałam się tylko ze względu na Eliego, co?

– Nie. To znaczy... nie wiem. Nie.

– W zeszłym roku dwie dziewczyny z NAA dostały się na wydział fortepianu u Juilliarda. Całkiem spory odsetek. Stąd mój wybór. Dokonałam go, zanim poznałam Eliego.

– Dobrze, że nie zrezygnowałaś. Cieszę się. Nie miałem na myśli niczego złego.

– W porządku. Chociaż w tej chwili dziwnie się o tym rozmawia.



– Fakt.

Zapłakana babunia Betsy podchodzi do cedrowej trumny Blake’a, powłócząc nogami. Chce przed rozpoczęciem uroczystości raz jeszcze pogłodzić wieko. Zrobiłem to samo, zanim usiadłem w ławce. Ostra i czysta woń cedrowego drewna nie kojarzy się z zapachem czegoś, co ma zostać zakopane pod ziemią. Trumna jest zamknięta. Nikt nie pozwala ludziom oglądać bliskich w takim stanie, w jakim znajdują się po Wypadku. Dlatego na wieku przycupnęło zdjęcie Blake’a. Wygląda na nim komicznie. Zrobił je sobie w jakimś supermarkecie, u Olan Millsa czy u Searsa. Ma na sobie kupiony w sklepie z używanymi rzeczami sweter z lat osiemdziesiątych i uprasowane sztywno w kancik spodnie koloru khaki. Na rękach trzyma olbrzymiego perskiego kocura z dziwnie naburmuszoną miną. Blake nie miał kota. Na potrzeby tego zdjęcia musiał zwierzaka od kogoś pożyczyć. Cały Blake. Zaokrągloną twarz rozświetla szczerzy, promienny uśmiech. Oczy ma zamknięte, jakby fotograf przyłapał go w momencie mrugnięcia. Uważał, że zdjęcia mrugających osób wyglądają zabawnie.

Patrząc na fotografię, nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Nic dziwnego. Często wystarczało, że Blake wchodził do pokoju, a ja od razu zaczynałem rechotać.

– A twoi rodzice? – pyta Jesmyn, wrywając mnie ze wspomnień. – Dlaczego ich nie ma?

– Są we Włoszech. Świętują dwudziestą piątą rocznicę. Chcieli wrócić, ale nie mogli dostać biletów, a w dodatku tata zgubił gdzieś paszport i musiał załatwić masę formalności. Przylatują dopiero jutro.

– Niefajnie.

– Dlaczego nie usiadłaś z rodzicami Eliego?

Jesmyn zakłada nogę na nogę, strąca z czarnej sukienki drobny kłaczek.

– Usiadłam, lecz Adair zachowuje się dziś nieznośnie. W pewnym momencie zauważyłam ciebie i wydałeś mi się bardzo samotny.

– Może po prostu taką mam twarz?

Jesmyn odgania z czoła kosmyk lśniących, rudoczarnych włosów. Czuję zapach szamponu.

– Pomyśl, jak głupio bym się poczuła, gdybym podeszła cię pocieszyć i okazałoby się, że wcale tego nie potrzebujesz.

– Adair na pewno nie będzie zachwycona, że akurat mnie pocieszasz.

– No cóż. Czym byłoby życie bez odrobiny ryzyka?

Przecieram oczy. Wyczerpanie zaczyna dawać mi się we znaki. W ciągu trzech ostatnich dni udało mi się przespać najwyżej kilka godzin.

– Często rozmawiałaś z jego rodzicami i siostrą po wypadku?

Patrzę jej w oczy i w tej samej chwili uderza mnie myśl, że nie mam pojęcia, co Jesmyn sądzi o całej tej sytuacji. O kwestii winy. Brak snu pozbawił mnie hamulców i zadałem pytanie, na które może paść bardzo nieprzyjemna odpowiedź. Nie wiem, czy jestem gotów ją usłyszeć.

Jesmyn otwiera usta, lecz wtedy rozpoczyna się msza. Pochylamy głowy. Pastor odmawia modlitwę i czyta krzepiące fragmenty z ewangelii. Ceremonia bardziej przypomina wystawny pogrzeb Marsa w kościele New Bethel AME niż ciche i skromne

pożegnanie Eliego w domu pogrzebowym braci Connelly. Rodzice Eliego są ateistami i był to pierwszy pogrzeb w moim życiu, podczas którego ani razu nie padło słowo „Bóg”. Mam siedemnaście lat, a doświadczeniem w dziedzinie chowania bliskich mogę się prawdopodobnie równać z ludźmi dwa razy starszymi.

Sześcioro członków naszego szkolnego chóru wykonuje a cappella żałobną pieśń. Występowali też podczas dwóch poprzednich uroczystości pogrzebowych. Strużki łez na twarzy Jesmyn wyglądają jak rzeki w atlasie. Wpatrzona prosto przed siebie, unosi wymiętą chusteczkę, ociera oczy i nos. Nie rozumiem, dlaczego nie płaczę, choć powinienem. Może na tej samej zasadzie, na jakiej niekiedy zimą panuje zbyt silny mróz, by mógł spaść śnieg?

Jeden z wujków Blake’a odczytuje ustęp z pierwszego listu do Tesaloniczan. Księga Czwarta, wersy od czternastego do siedemnastego:

– „Jeśli bowiem wierzymy, że Jezus istotnie umarł i zmartwychwstał, to również tych, którzy umarli w Jezusie, Bóg wyprowadzi wraz z Nim. To bowiem głosimy wam jako słowo Pańskie, że my, żywi, pozostawieni na przyjście Pana, nie wyprzedzimy tych, którzy pomarli. Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archanioła, i na dźwięk trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi. Potem my, żywi i pozostawieni, wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana, i w ten sposób zawsze będziemy z Panem”<sup>1</sup>.

Mucha ląduje na ławce przede mną i zaciera tylne nóżki. Mucha żyje, a Blake zginął. Cały świat tętni bzyzącym, pulsującym życiem. Wyjątek stanowi ustawione z przodu nawy drewniane pudło. W nim nie porusza się nic. Ten bezruch jest skutkiem mojej banalnej, rutynowej czynności. Ot, napisałem do kumpli SMS. W ludzkim świecie to przecież rutyna. Coś jak u much pocieranie odnóży. Robimy to codziennie. Coś takiego nie powinno zabijać najlepszych przyjaciół.

Babunia Betsy wychodzi ociężale na podwyższenie. Ma chore kolana. Zaraz wygłosi mowę. Milczy, dłuższą chwilę zbiera się w sobie. Nie ma ze sobą kartki, zapewne chce wypowiedzieć to, co leży jej na sercu. Po oczach babuni widać jednak, że tłoczy się w nim zbyt wiele emocji, ma kłopot z wyborem.

Staram się nie oddychać zbyt często ani za głośno, wokół panuje cisza jak makiem zasiał. Zasycha mi w ustach, w głowie czuję narastający ból. Drapie mnie w gardle, mam wrażenie, że coś je zatkało. Prowizoryczny mur, który wzniosłem – podobnie jak wszyscy – by ukryć przed światem obraz własnej żałoby, zaczyna się kruszyć.

Babunia Betsy odchrząkuje i zaczyna mówić:

– Życie Blake’a nie zawsze było usłane różami, ale wiódł je z radością. Kochał rodzinę i przyjaciół, a oni odwdzięczali mu się tym samym.

Mur rozsypuje się na dobre, uwalniając powstrzymywane dotąd wzburzone fale szarego morza. Kryję twarz w dłoniach, łokcie opieram na kolanach. Mocno przecieram oczy i czuję sączące się między palcami łzy. Cały dygocę. Jesmyn kładzie mi dłoń na ramieniu. Na szczęście ból gardła znika, zupełnie jakby pękł blokujący je, wypełniony łzami ropień.

– Blake był bardzo wesoły, zabawny – ciągnie babunia Betsy. – Nie było w jego otoczeniu osoby, której nie zdołałby wcześniej czy później rozśmieszyć.

Łzy spływają mi po nadgarstkach, moczą mankiety koszuli. Kapią z wolna na niebieską wykładzinę i na białe ciapki. Przez moment stają mi przed oczami wszystkie miejsca, które nazaczyłem w życiu niewielkimi częściami siebie. Od dzisiaj moje łzy pozostaną też w tym kościółku. Być może, kiedy umrę, potną tę wykładzinę, wydobędą z niej okruch mojego DNA i zdołają mnie wskrzesić. Może na tym właśnie będzie polegać zmartwychwstanie.

– Pomyślcie o nim za każdym razem, gdy ktoś was rozbawi. Wracajcie do niego pamięcią, kiedy sami kogoś rozweselicie. Poświęćcie mu myśl zawsze, gdy usłyszycie czyjś śmiech.

Nabieram powietrza w płuca. Rwany, drżący oddech. Pewnie zbyt głośno przy tym sapnąłem, ale nic mnie to nie obchodzi. Właśnie dlatego usiadłem z tyłu. Nie czuję na sobie niczyich spojrzeń.

– Już teraz nie mogę się doczekać dnia, kiedy ponownie go zobaczę, gdy będę mogła go znowu przytulić. Do tego momentu musi mi wystarczyć pewność, że zasiadł już u stóp naszego Zbawcy. – Babunia milknie, próbuje się opanować, po czym podejmuje: – Sądzę, że Jezus też zaśmiewa się z jego żartów. Dziękuję wam wszystkim za obecność. Blake na pewno potrafiłby to docenić.

Uroczystość dobiega końca. Przypominam sobie, że mam nieść trumnę, i wstaję. O pomoc przy trumnach Marsa i Eliego nikt mnie nie poprosił.

Jesmyn muska moją dłoń.

– Podwieźć cię na cmentarz?

Dziękuję skinieniem głowy. Zapadam się w siebie. Jestem jak człowiek, który budzi się z koszmarne snu i stwierdza, że cała poduszka jest wilgotna od łez. Czuje się wtedy jedynie strach – zwierzęcy, bezkształtny, zwielokrotniony przewrotną logiką snu. Nie możemy sobie przypomnieć, co doprowadziło nas do płaczu, albo potrafimy i okazuje się, że dano nam w tym śnie okazję na odkupienie win. Szansa zniknęła jednak wraz z przebudzeniem, pozostały łzy.

Wraz z kilkoma innymi osobami przenoszę trumnę Blake'a do karawanu. Skrzynia waży chyba pół tony. Nauczycielka fizyki zadała nam kiedyś pytanie: „Co jest według was cięższe? Kilogram piór czy kilogram ołowiu?”. Wszyscy bez wahania odpowiedzieliśmy, że kilo ołowiu. Dzisiaj już wiem, że ciężar trumny najlepszego przyjaciela nie równa się ciężarowi ołowiu i pierza. Jest znacznie większy.

\* \* \*

Karawan czeka bardzo blisko, ale popołudnie jest parne i naprawdę gorące. Kiedy wreszcie podchodzę do poobijanego nissana Jesmyn, ociekam potem.

– Niestety, padła mi klimatyzacja. Przykro mi – mówi Jesmyn, strącając z fotela pasażera podręczniki do gry na fortepianie.

– Pewnie umierasz z gorąca, jak gdzieś jedziesz.

– Trafne spostrzeżenie. Znakomity dobór słów. Zwłaszcza dzisiaj.

– Zapewne jeżdżąc tym samochodem, odczuwasz skrajny dyskomfort? – mówię z przekąsem. Zajmuję miejsce i opuszczam boczną szybę.

Niemal przez całą drogę milczymy. Duszne powietrze oblepia nam twarze. Czuję

formujące się na policzkach drapiące ziarenka soli.

- Wszystko w porządku? – pyta Jesmyn kilka przecznic od cmentarza.
- Tak – kłamię. – Nie – dodaję po kilku sekundach.

## Rozdział trzeci

Brygada Sos.

Każda szkolna paczka z prawdziwego zdarzenia potrzebuje odpowiedniej nazwy. My okrzyknęliśmy się Brygadą Sos.

Druga klasa. Dostatecznie blisko wakacji, byśmy trwali w stanie nieustannego rozkojarzenia. Piątkowa noc, a my dopiero co wyszliśmy ze szkolnego przedstawienia, autorskiej adaptacji musicalu *Rent*. Wypadło świetnie. W taki piątkowy wiosenny wieczór, kiedy każdy z nas miał przy sobie trzech najlepszych kumpli, spektakl mógł się równie dobrze okazać totalną katastrofą lub nawet kupą gówna (wybaczcie, nad metaforami wciąż jeszcze pracuję), a i tak bylibyśmy w euforii.

Udaliśmy się na wyzerkę do McDonald'sa.

– No dobra – mówi Mars z wypchanymi hamburgerem policzkami – a gdybyście musieli podzielić wszystkie zwierzęta świata na psy i koty?

Eli prycha napojem gazowanym przez nos. Przed momentem śmialiśmy się z pytania, teraz śmiejemy się z Eliego. Gorączkowo ściera Mountain Dew ze swojego ulubionego T-shirta z napisem *Wolves in the Throne Room*. To jego ukochana kapela.

– Zaraz, co to w ogóle za pytanie? – Blake próbuje złapać oddech.

– Spokojnie, kochany. – Mars macza frytkę w moim ketchupie. – Obczaj to sobie. Szopy byłyby psami. Oposy kotami. Wiewiórki...

– Chwila, moment... – wtrąca Eli.

– Mars, stary, na odwrót – odzywa się Blake. – Szopy w oczywisty sposób byłyby kotami, a oposy psami.

– Nie, zaraz – podejmuje Eli. – Za koty uznajmy wszystkie zwierzęta, których nie da się oswoić czy wytresować. Szopa za cholerę nie oswoisz, więc będzie kotem. Oposa też nie, czyli także kot.

– A skąd wiesz, że nie można wytresować oposa? – pyta Mars.

– Właśnie, zresztą, kota można – zauważam. – Widziałem na YouTube, jak kot sikał do kibelka.

We trzech zaczynają wyć i rechotać, ledwie są w stanie oddychać. Blake zgina się wpół.

– Przyznaj się, że kiedy nas wystawiasz i wmawiasz nam, że musisz pisać, tak naprawdę siedzisz przed kompem i oglądasz koty sikające do ludzkich kibli. Już nawet słyszę, jak wołasz: „Aha, byłem pewien, że koty też tak potrafią!”

– Nic podobnego. Czasem trafiam na takie filmiki przypadkiem. Wiesz, życie.

– Wiesz, życie. – Mars płacze ze śmiechu. – Wiesz, życie, powiedział Kosa. O rany, nie wytrzymam.

Łapiecie? Carver?<sup>2</sup> Kosa? To Blake wymyślił tę ksywę. Dowcip polega na tym, że wyglądam i ubieram się jak wszyscy kołesie, którzy marzą o literackiej karierze, a ich starsze siostry pracują w Anthropologie i pomagają im w doborze garderoby. Tego rodzaju goście noszą zazwyczaj mniej gangsterskie ksywy.

– Dobra, panowie. Weźmy fretki. Fretki to przecież po prostu takie długie koty – odzywa się Eli.

- Widziałem kiedyś tresowaną fretkę. Da się je oswoić – stwierdza Blake.
- Ale aż tak, żeby siadały na ludzkim kiblu? – wtrąca Mars.
- A na jakim? Słyszałeś o kiblach dla fretek? – kontruje Blake.
- Jeżeli faktycznie fretkę da się wytresować, to cofam, co powiedziałem – mówi

Eli.

- Okej, a foki? – podsuwam.
- Mmm... koty – odpowiada Mars.
- Jak? Koty?! – Eli patrzy bez przekonania.
- Kochany, foki się tresuje na sto procent – zapewnia go Blake.
- Chwilka – podejmuje Eli. – Moim zdaniem, Mars chciał w ten sposób przekazać,

że jemu foki po prostu kojarzą się z kotami.

– Bo się kojarzą! – Mars bije pięścią w stolik. Tacki aż podskakują. – Mają przecież takie kocie mordki. I tak samo przepadają za rybami. Foki to po prostu morskie kociaki.

Pozostali goście zaczynają posyłać nam krzywe spojrzenia. Nic nas to nie obchodzi. Jesteśmy młodzi, żywi. Trwa piątkowy wiosenny wieczór, uświetniony istną ucztą. Czujemy się jak królowie życia. Świat nie stawia nam żadnych granic.

Blake wstaje z krzesła i grzechocząc w kubku kostkami lodu, dopija napój z głośnym siorbnięciem.

– Panowie, muszę, by tak rzec... – Milknie na moment i dodaje: – Oddać mocz. Za wybaczeniem waćpanów. Oczekuję jednakowoż, iż po powrocie pozwolicie, że zaprezentuję wam ostateczne rozstrzygnięcie naszego foczego problemu.

– Powinieneś z nim iść. – Mars klepie mnie po plecach. – Trzeba ten moment uwiecznić na filmie.

– Nie widzę sensu – odpowiadam. – Przecież nie ma przy sobie foki.

Mars i Eli wybuchają śmiechem.

Dyskusja trwa w najlepsze. Roztrząsamy kwestie koników polnych, meduz i węży. W pewnym momencie ktoś zauważa, że Blake nie wraca od dobrej chwili.

– E, ziomy, obczajcie to. – Mars wskazuje na przylegający do restauracji plac zabaw.

Blake buja się na koniku na grubej sprężynie. Macha do nas zawzięcie i wydaje z siebie dzikie kowbojskie okrzyki.

– Dupek... – mruczy pod nosem Eli.

– Wstydowa – kwituje Mars.

– Zaraz, co? – pytam. – Wstydowa? Co to w ogóle za słowo? Przecież nikt tak nie mówi.

– Ja tak mówię. Wiesz, jak ktoś robi coś głupiego, strzela wstydową. Ogarniasz?

– Eee, nie przyjmie się. – Kręcę głową.

Eli zgarnia nieotwarte pakieciki z sosem barbecue z tacy Blake'a i wręcza dwa Marsowi.

– Chodźcie, zbombardujemy go.

Wybiegają na zewnątrz, próbują nadażyć.

– Kosa, ty filmujesz – decyduje Eli pewnie dlatego, że rzucam tak celnie jak każdy przyszły pisarz.

Blake wciąż się buja, nawołuje i śmieje się obłąkańczo, wywijając nad głową niewidzialnym kapeluszem. Cały czas do nas macha.

Uśmiechamy się do niego szeroko i też machamy – Eli i Mars tylko jedną ręką, ponieważ za plecami chowają sos. Czekają, aż wyciągnę komórkę i włączę nagrywanie.

– Okej – rzuca półgębkiem Mars, nie przestając zapalczywie machać. – Na trzy. Raz, dwa, trzy!

Razem z Elim skaczą naprzód i ciskają pakiecikami sosu. Mars wykazuje się niesamowitą celnością. Pewnie dlatego, że ojciec zmusza go do trenowania niezliczonych dyscyplin sportowych. Eli jest smukły, wysoki i dobrze zbudowany. Gdyby odstawił gitarę, z powodzeniem mógłby zostać całkiem przyzwoitym koszykarzem. Musiałby pozwolić sobie ściąć tę przydługą, kręconą czarną grzywkę, ale na samą sugestię reaguje jak na atak ciężkiej choroby. Paczuski z sosami teriyaki i barbecue rozbijają się o łeb drewnianego konika i pękają, a na Blake’a tryska prysznic aromatycznej mazi. Radosne okrzyki naszego przyjaciela przechodzą w pełne oburzenia wycie.

– Fuuu...! No kurde...! Co was...?! Wy dupki! Oblechy jedno!

Mars i Eli przybijają piątkę. Zaraz potem przypominają sobie o mnie. Piątki wychodzą mi wyjątkowo koślawo. Chłopaki padają na ziemię i tarzają się ze śmiechu.

Blake schodzi z huśtawki i rusza ku nam z wyciągniętymi przed siebie rękoma. Z dłoni kapie mu sos. Na jego widok Mars i Eli zrywają się w jednej chwili. Blake gania to jednego, to drugiego, próbuje wymazać ich sosem. Jest stanowczo zbyt wolny, mimo że tamci wciąż rechocą. Ostatecznie daje za wygraną i idzie do łazienki. Kiedy wraca, ociera koszulę wilgotnym, papierowym ręcznikiem.

– Bardzo, kurde, zabawne, bardzo. Cholerna Brygada Sos.

– Wiecie, co? To całkiem niezłe brzmi. Brygada Sos – zauważa Eli.

– Brygada Sos – powtarzam z powagą, unosząc przed siebie zwróconą ku ziemi dłoń.

– Brygada Sos. – Mars nieudolnie parodiuje brytyjski akcent. Jego dłoń ląduje na mojej dłoni.

– Brrrrygadaaaa Soooooossss! – Eli naśladuje manierę sportowego komentatora i przyklepuje dłoń Marsa.

– Brygada... – Blake podnosi rękę, ale zmienia w trakcie kierunek i klepie Elięgo w policzek. Próbuje tego samego numeru na Marsie. Obaj chichoczą. – Brygada Sos – potwierdza wreszcie Blake i dokłada rękę.

– Brygada Soooooos! – wydzieramy się chórem.

– Kurna, osły, czy któryś chociaż to nagrał? Chciałbym to wrzucić na swojego YouTube’a – mówi Blake.

\* \* \*

Patrzę, jak trumna trzeciego z członków Brygady Sos zanurza się w ziemi.  
Z całego składu zostałem tylko ja.

## Rozdział czwarty

Późne popołudnie. Samochód Jesmyn podjeżdża do mojego wozu. Słońce sączy się przez liście, rozświetlając je zielonym blaskiem. W głowie czuję bolesne łupanie. Wiem, że nie tylko z powodu napięcia i stresu. Prawie nic dzisiaj nie jadłem.

Siedzimy tak przez chwilę. Lejący się z nieba żar gniecie nas niczym imadło. Po całym tym dniu nie jestem nawet w stanie wysiąść z auta. Wysuwam łokieć za okno.

– Dzięki, że niańczyłaś mnie w kościele i że podwiozłaś mnie na cmentarz. A także za to, że stanęłaś tam obok mnie i że teraz ze mną przyjechałaś. – Urywam na moment. – Nie wiem, czy o czymś nie zapomniałem.

– Nie ma za co – odpowiada Jesmyn głosem całkowicie wypranym z emocji.

Sięgam do klamki, lecz rezygnuję.

– W sumie nie zapytałem, jak ty się czujesz.

Jesmyn ciężko wzdycha i opiera głowę na splecionych na kierownicy dłoniach.

– Tak jak ty. Do dupy.

– No tak...

Ociera łyzy. Kilka rzewnych sekund upływa bardzo szybko. Powoli podkrada się poczucie winy, przejmując pałeczkę z rąk żalu i wyczerpania.

Jesmyn jest dla mnie miła, myślę, że o nic mnie nie obwinia. A jeśli jej zachowanie to tylko maska? Jeśli stara się po prostu ukryć, że mnie nienawidzi? Byłbym w stanie ten mechanizm zrozumieć – czasami jesteśmy dla kogoś uprzejmi, by nie dopuścić do siebie złości.

Czuję wewnętrzną pustkę. Nie mam siły, by usłyszeć prawdę, by ją w siebie wchłonąć. Nie zdołałbym jej ukryć.

– Jeszcze raz dziękuję. – Otwieram drzwiczki.

Jesmyn sięga po komórkę.

– Słuchaj, nie mam twojego numeru. Szkoła zaczyna się za kilka tygodni i będę potrzebowała znajomych. – Zabrzmiało to tak, jakby pomysł przyszedł jej do głowy przed sekundą.

– A, tak. Tylko zdaje się, że ja już nie mam w szkole dobrych znajomych.

Wymieniamy się numerami. Może właśnie czegoś takiego potrzebowałem – towarzyskiego rytuału. Słabiutkiego promyczka nadziei.

Kiełkuje we mnie myśl, że nadchodzący rok szkolny będzie dla mnie bardzo samotny. Nasza paczka praktycznie cały czas trzymała się razem. Stanowiliśmy dla siebie cały wszechświat. A teraz nie ma wśród żywych ani jednej osoby, która chciałaby do mnie zadzwonić w sobotni wieczór. Zdecydowanie poważniejszym problemem jest jednak Adair. Zawsze miała na szkolną społeczność silny wpływ, nawet silniejszy niż jej brat bliźniak Eli. Jeśli będzie mnie nienawidzić, reszta pójdzie za jej przykładem choćby tylko po to, by nie wypaść z jej łask.

– Cóż – przerywa panujące milczenie Jesmyn – przynajmniej pogrzeby mamy już za sobą.

– Fakt, zawsze to coś.

– To jak? Do zobaczenia?



– Tak, na razie.

Zbliża się najtrudniejszy okres. Przez ostatnie dni poddawaliśmy się rygorowi oficjalnych uroczystości żałobnych. Teraz każde z nas zostanie ze sobą sam na sam.

Jednak dla mnie ten dzień wciąż się nie skończył. Babunia Betsy zaprosiła mnie do siebie. Urządza w domu skromną składkową stypę. Chce, by krewni wrócili do wschodniego Tennessee z pełnymi brzuchami.

Szukając kluczyków, mrużę oczy w splywającym z nieba oślepiającym blasku. To ciekawe, że akurat dzisiaj może być tak beztrosko słonecznie. Obracająca się Ziemia i płonące nad nami Słońce niespecjalnie dbają o to, czy wciąż tu jesteśmy, czy już stąd odchodzimy. Ot, po prostu – nic osobistego.

\* \* \*

– Cześć, Lisa – witam się z jedną z chórzystek, która mijają mnie na parkingu w drodze do samochodu.

– O, cześć... – rzuca i znów pozwala się zahipnotyzować komórce.

Pamiętam, że była w grupce osób, z którymi Adair rozmawiała przed pogrzebem. O ile mi wiadomo, wcześniej nie darzyła mnie niechęcią. Cóż, nadchodzący rok będzie po prostu zajebisty.

Już mam wsiąść do samochodu, kiedy mój wzrok pada na młodego brodacza w bojówkach, koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami i luźno zawiązanym cienkim krawacie.

– Przepraszam... Halo?!... – Podchodzi do mnie. – Przepraszam! – woła i macha ręką. – Carver Briggs?

No proszę, ktoś jeszcze chce ze mną gadać.

– Aha.

Koleś ściska w dłoniach notatnik i długopis. Z kieszeni koszulki wystaje coś, co wygląda na cyfrowy dyktafon.

– Darren Coughlin, dziennik „Tennessean”. – Wyciąga do mnie rękę. – Sprawą tego wypadku zajmuję się od początku.

Niechętnie podaję mu dłoń.

– Ach, tak... – mówię, myśląc: Nasmarowałeś artykuł, który wszem i wobec ogłosił, że wypadek moich przyjaciół był jednym z wielu wypadków związanych z plagą korzystania z telefonów podczas prowadzenia samochodu. Artykuł, przez który ludzie zaczęli wytykać mnie palcami.

– Bardzo mi przykro, smutna okoliczność i w ogóle. Obecnie pracuję nad kolejnym tekstem dotyczącym wypadku i sędzia Edwards skierował mnie właśnie do ciebie. Stwierdził, że możesz wiedzieć coś więcej. Czy pasażerowie byli twoimi przyjaciółmi?

Pocieram czoło. Ta rozmowa jest jedną z ostatnich rzeczy, na jakie mam w tej chwili ochotę.

– Nie moglibyśmy tego przełożyć? Nie za bardzo jestem w stanie odpowiadać na pytania.

– Jasne, rozumiem. Nie chciałbym ranić twoich uczuć, gazety nie mogą się przestać ukazywać z powodu żałoby, prawda? Zanim wyślę tekst do druku, chciałbym poznać

twoją wersję wydarzeń.

„Moją wersję”. Wciągam powietrze przez zaciśnięte zęby.

– No... tak. To byli moi najlepsi przyjaciele.

– Naprawdę bardzo mi przykro. – Facet kręci głową. – Czy wiesz może, jaka była przyczyna wypadku?

– Wydaje mi się, że policja już to ustaliła.

– Cóż, wygląda na to, że kierowca pisał SMS. Może wiesz, do kogo Thurgood...

– Mars.

– Słucham?

– Mówiliśmy na niego Mars.

– Okej. Czy wiesz, do kogo Mars pisał SMS?

Pytanie jest najeżone kolcami. Żołądek kurczowo mi się zaciska. Pokrywający mnie pot gwałtownie stygnie. Tak, myślę, wiem doskonale, lecz mówię:

– Nie... Nie jestem pewien. Możliwe, że do mnie.

Darren kiwa głową i zapisuje coś w notesie.

– A czy mniej więcej w czasie wypadku też do niego pisałeś?

Podskoczyłem, jakby na szyi usiadła mi rozwścieczona osa.

– Nie. Skąd to pytanie?

– Zwykła ciekawość. – Darren nonszalancko potrząsa głową.

– Słyszałeś coś?

– Nie, ale mocno bym się zdziwił, gdyby nie wszczęto dochodzenia. Trzech nastolatków, komórki, wiadomo, jak jest...

– Mam się martwić?

Darren wzrusza ramionami, nie przestając notować.

– Raczej nie.

– Pytam dlatego, że dwóch gliniarzy już ze mną gadało. Powiedziałem, że tamtego popołudnia wymieniliśmy z Marsem SMS-y, ale mnie nie aresztowali.

– Jasne, jasne. Ja tam nic nie wiem. – Darren pstryka długopisem.

– Jest może szansa, żebyś... nie wspominał w artykule, że pisałem do Marsa?

Mam świadomość, jak fatalnie to zabrzmiało, i wiem, że zaczynam się pograżać. Nie jestem kretynem, lecz zdarza mi się czasami palnąć głupstwo.

Patrzy mi w oczy.

– Chłopie, nie mogę... – Niedokończona odpowiedź zawisa w powietrzu. – Czyli o której... – Darren znów zerka do notesu.

Uderza mnie nagle, że kontynuując tę rozmowę, niczego nie zyskam. Przeciwnie, mogę naprawdę dużo stracić.

– Muszę lecieć.

– Jeszcze tylko dwa pytanko.

– Nie. Przepraszam, ale muszę jechać do domu Blake'a. Czeka na mnie jego babcia.

Wskakuję do samochodu i zatrząskuję drzwiczki. Prawie natychmiast opuszczam szybę i wdycham dławiące rozgrzane powietrze. Nie mam wyjścia.

Darren opiera dłoń na samochodzie.

– Słuchaj, Carver, naprawdę mi przykro. Przepraszam, że napastuję cię w takiej

chwili, ale pracuję w mediach, gdzie nie czeka się na koniec żałoby. Wybór jest taki: albo przedstawiś mi swoją wersję teraz, albo przeczytasz o niej w gazecie. Innej opcji nie ma.

– Nie czytam gazet. – Przekręcam klucz w stacyjce.

Facet sięga do kieszeni koszuli, wyciąga wizytówkę i podaje mi ją przez otwarte okno.

– Jak wolisz, stary. Tu są moje namiary. Możesz się do mnie odezwać, jeżeli cokolwiek sobie przypomnisz, albo zacznie cię nachodzić policja.

Ciskam kartonik na sąsiedni fotel.

– Mogę cię prosić o numer telefonu? – Darren się nie poddaje.

– Spóźnię się – odpowiadam i podciągam szybę.

Dziennikarz obrzuca mnie spojrzeniem, z którego jasno wynika, że popełniam gruby błąd. Jakbym o tym nie wiedział! Kieruję samochód do domu Blake’a. Po drodze czuję podchodzący do gardła palący kwas.

\* \* \*

Bez wątpienia Blake Lloyd był jedynym uczniem w dziejach Nashville Arts Academy, który dostał się do szkoły dzięki umiejętności pierdzenia w miejscach publicznych. Dobra, może nie wyłącznie, ale biorąc pod uwagę całokształt jego spuścizny, ta cecha cieszyła się zdecydowanie największym wzięciem.

Blake często wrzucał na YouTube’a śmieszne filmiki – skecze, zjadliwe uwagi na temat rzeczywistości, parodie, itd. Najczęściej zmieniał przy tym akcent na prowincjonalny. Widzowie podziwiali go przede wszystkim za nieustanną gotowość do publicznego robienia sobie wsi. Na przykład potykał się w sklepie spożywczym o spadające spodnie i przewracał przy tym sterty pudełek z płatkami (po wszystkim zawsze sprzątał). Boso wdeptywał w parujące psie kupy albo paradował po galerii handlowej Green Hills (najbardziej snobistycznej świątyni komercji w Nashville) bez koszulki (a klątą nigdy nie mógł się pochwalić).

W tym punkcie dochodzimy do pierdzenia w miejscach publicznych, na przykład w kinie. Kiedy na ekranie następował moment ciszy, wśród widowni rozlegało się prrrrrrr! Moment wytchnienia i znów, tyle że dłużej. Pffrrrrrtzztpr! Blake siedział z najbardziej poważną i niewzruszoną miną świata. Jednym z jego najchętniej oglądanych filmików był ten, w którym puścił szczególnie przeciągłego bąkolca w bibliotece. Kiedy bibliotekarka zawołała: „Może się pan opanuje?!”, był dopiero w połowie roboty.

W ostatnich miesiącach przed Wypadkiem podbił stawkę i zaczął popierdywać w trakcie rozmów. Wyobraźcie sobie: gada z wymuskaną, elegancką ekspedientką w sklepie artystycznym, zgrywa porządnego młodego dżentelmena i wtem w pół zdania konwersację przerywa PIERD! Ekspedientka próbuje zachować pozory – ostatecznie, któż z nas nie błądzi? – lecz mimowolnie się krzywi. Po chwili z Blake’a wydobywa się kolejna gazowa bomba, tym razem brzmiąca jak kwik zarzynanego prosięcia. Wiiiiiuuu! W tym momencie panna ma już pewność, że nie ma do czynienia z przypadkową awarią.

– Przepraszam, pytał pan może o toaletę? – rzuca oziębłym tonem.

– Słucham? – odpowiada Blake.

Naturalnie, na pierwszy rzut oka tego rodzaju umiejętność nie powinna z automatu

nikomu pomóc się dostać do obleganej szkoły artystycznej. Blake był sprytnym, inteligentnym gościem. Studiował zawilosci wszystkich gatunków kabaretu i satyry. Uważnie wysłuchiwał znających się na temacie ludzi i analizował potem to wszystko w podcastach i wypracowaniach. Znał się na tym fachu i traktował go śmiertelnie poważnie. Potrafił ubrać praktyczną wiedzę w intelektualne ramy i przedstawić swoją twórczość w intrygujący dla komisji rekrutacyjnej sposób. Nie był jednym z tysięcy dzieciaków, które pierdzą z nudów i chwalą się tym w sieci. Był, cytuję: „performerem aktywnie łamiącym reguły umowy społecznej, artystą stawiającym zagubionym w przestrzeni publicznej jednostkom pytanie o sens ich własnej fizjologii”. Rzucił ludziom wyzwanie, zmuszał do zastanowienia nad sztucznością ograniczeń, za pomocą których próbujemy się odgradzić od własnych ciał. Jasno demonstrował, jak nienaturalnym wymaganiom poddaje się każdy z nas, i poświęcał przy tym sam siebie. Unikał kompromisów. Tworzył Sztukę.

Poza tym... Porządny pierd zawiąże każdego. Nawet wysoką komisję.

Zatrzymuję się przed domem babuni Betsy, wysiadam i wchodzę do środka. Tuż za drzwiami wita mnie laptop, na którym leżą filmiki Blake’a. Wśród szeptanych, ponurych rozmów żałobników co chwila rozlega się dobiegające z głośników donośne „pruk”, a wpatrzone w ekran osoby zaczynają cicho chichotać.

Fotografia Blake’a, która w trakcie mszy stała na trumnie, trafiła na niski stolik. Jest ciepło, jak we wszystkich niezbyt dużych pomieszczeniach, w których gromadzi się wiele osób. Czuję zapach przyniesionych przez gości potraw, aromat wody po goleniu i perfum – kosmetyków, jakie dorośli dostają zwykle w prezencie od wnuków.

Na moment zatrzymuję się w salonie. Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie się podziać. Nikt nie zauważył, że wszedłem. Tonę w fali wyrzutów sumienia, tym razem tak silnej, że zaczynają mi wibrować kolana. W głowie tkwi uporczywa myśl: to przez ciebie ci ludzie się tu zebrali, ty ich tutaj ściągnąłeś. Odnoszę wrażenie, jakby wszyscy gapili się na mnie, chociaż widzę, że nikt nawet na mnie nie zerka.

Wreszcie wyławiam wzrokiem babunię Betsy. Rozmawia w kuchni ze swoimi braćmi. Spotykamy się spojrzeniami i babunia przywołuje mnie skinieniem dłoni. Kiedy podchodzę, nie przerywając konwersacji, wskazuje mi drzwi jadalni, gdzie na stole parują garnki, naczynia żaroodporne i jednorazowe tacki z folii aluminiowej. Zimne kawałki pieczonego kurczaka, prosto z marketu. Zapiekanka z dyni posypana warstewką kruszonych herbatników. Rzepa zasmażana z wieprzowiną. Pływające w sosie barbecue wędzone kiełbaski. Przypieczony na brązowo makaron z serem.

Dziwne, że tylko na tyle nas stać. Okazaliśmy się niezdolni do wynalezienia wyjątkowej, szczególnej odmiany makaronu z serem, jaką moglibyśmy żegnać odchodzących z tego świata ludzi. Po pogrzebach opychamy się najzwyklejszymi, standardowymi potrawami – takimi samymi, jakimi mamy karmić nas codziennie, gdy nikt z naszych bliskich nie umiera.

Nakładam na tekturowy talerzyk chybotliwy stosik jedzenia, sięgam po przezroczysty plastikowy widelec i plastikowy kubeczek ze słodką herbatą. Rozglądam się za jakimś wolnym spokojnym miejscem w salonie. Większość foteli i kanapa są już zajęte, więc przysiadam na pufie i jem. Herbatę ostrożnie ustawiam na dywanie. Staram się być niewidzialny. Wciąż mam ściśnięte gardło, kolejne kęsy przełykam z wysiłkiem.

Owszem, jestem głodny, lecz ciało daje mi wyraźne znaki, że nie jestem godny pokarmu. Sytuacji nie poprawia również wspomnienie rozmowy z Darrenem, którą co kilka minut odtwarzam w myślach.

Goście wpadają jeden na drugiego niczym rybki w akwarium. Mężczyźni mają na sobie źle leżące wymięte marynarki, byle jak zawiązane krawaty. Na pierwszy rzut oka widać, że tak ubrani nie czują się komfortowo; są jak psy wciśnięte we włóczkowe sweterki.

Kończę jeść i już mam wstać, gdy do salonu wchodzi babunia Betsy. Na jej widok z fotela na biegunach podnosi się jakaś kobieta. Obejmują się przez długą chwilę, całują w policzki. Babcia żegna się z nią i prosi, by zabrała sobie coś do jedzenia na drogę. Zaraz potem przysuwa fotel do mnie i siada z cichym, ciężkim westchnieniem. Wygląda na porządnie zmordowaną. Zazwyczaj jej oczy wręcz tańczą, dzisiaj są jak martwe.

– Jak się trzymasz, Kosa?

Babunia Betsy jest jedyną osobą na świecie, nie licząc członków Brygady Sos, która mówi na mnie Kosa. Ta ksywka od początku ją bawiła.

– Bywało lepiej.

– Rozumiem. – Kiwa głową.

– Blake miał piękny pogrzeb – stwierdzam bez większego przekonania.

Piękny pogrzeb najlepszego przyjaciela... Coś jak „łyk przepysznej trucizny”, bądź „śmiertelne uderzenie pazurów wyjątkowo majestatycznego tygrysa”.

– Bzdury wygadujesz. – Babunia Betsy czyta we mnie jak w otwartej księdze. – Piękny byłby wtedy, gdyby Blake mógł jeszcze kogoś rozbawić. Albo gdyby wzięła w nim udział jego mama.

Nie chciałem tej sprawy poruszać. W tonie babuni daje się jednak słyszeć specyficzną tęsknotę, jakby chciała coś z siebie wyrzucić, ale nie potrafiła samodzielnie zacząć. Ktoś powinien zadać jej odpowiednie pytanie.

– Wie babunia, gdzie ona jest?

Do oczu Betsy napływają łzy, kilka razy mruga powiekami. Splata dłonie na kolanach, układa je trochę jak do modlitwy.

– Nie – odpowiada półgłosem. – Mitzi odzywa się do mnie najwyżej raz na dwa lata. Zwykle wówczas, gdy kolejny facet zostawia ją na lodzie i potrzebuje pieniędzy na swój nałóg. Dzwoni wtedy z motelu w Las Vegas czy Phoenix, zawsze z nowej komórki na kartę. Nie znam jej numeru ani adresu. Nie mam możliwości się z nią skontaktować. Swoją drogą, obawiam się, że będę musiała wynająć kogoś, kto ją odszuka, bo muszę ją powiadomić o śmierci Blake’a.

– Rany... – Co innego można powiedzieć w tej sytuacji?

– Myślę, że ta wiadomość ją załamie, chociaż tak naprawdę nigdy nie traktowała go jak prawdziwa matka.

Przygniata nas ciężkie milczenie, w które wdziera się dobiegające z laptopa błogosławione pierdnięcie. Babunia Betsy śmieje się przez łzy.

– Tak bardzo mi go brakuje. Nie mam pojęcia, jak bez niego żyć. Nie wiem nawet, jak sobie poradzę z pieleniem grządek pod pomidory. Kolana coraz bardziej dają mi się we znaki. Zawsze dotąd mnie w tym wyręczał. – Wyciąga z kieszeni chusteczkę i osusza

kąćki oczu. – Kochałam go jak własne dziecko.

Zanim udaje mi się odezwać, mija kilkanaście sekund. Przełykam łzy, tłumię dławiący szloch i wyjawiam:

– Chyba już nigdy się nie roześmieję.

Betsy pochyla się w bujanym fotelu, obejmuje mnie ramionami i przytula. Pachnie suszonymi różami i ciepłym plastikiem. W jej ciele nie ma ani jednego twardego, ostrego miejsca. Przez chwilę kołyszymy się razem.

– Powinnam wracać do gości – odzywa się wreszcie. – Dobry z ciebie przyjaciel. Proszę, nie zapominaj o mnie.

– Nie zapomnę. Aha, rodzice prosili, bym przekazał, że przykro im, że nie mogli wziąć udział w ceremonii. Naprawdę starali się wrócić z Włoch na czas, ale nie dali rady.

– Powiedz im, że doskonale rozumiem. Cześć, Kosa.

– Cześć, babuniu Betsy.

Przed wyjściem raz jeszcze rozglądam się po salonie. Pamiętam dni, kiedy Blake i ja przesiadywaliśmy w tym pokoju. Omawialiśmy szczegóły jego następnego filmiku. Graliśmy na konsoli. Oglądaliśmy filmy i występy komików.

Być może wszystkie nasze uczynki i słowa przypominają wrzucane do stawu kamyki – kręgi na wodzie rozchodzą się szeroko, stopniowo coraz szerzej, aż wreszcie zderzają się z brzegiem i znikają.

Zastanawiam się, czy gdzieś przez wszechświat pędzi jeszcze drobna fala, którą wzbudziliśmy, siedząc w tym salonie i rycząc ze śmiechu jak dwóch idiotów. Może i ona rozbije się o jakiś brzeg, gdzieś pod bezkresnym niebem, poza zasięgiem naszego wzroku. Może i ona zniknie.

A może będzie płynąć bez końca.

## Rozdział piąty

Wracam do domu. Georgia wita mnie w drzwiach tak mocnym uściskiem, że tracę dech w piersiach.

– Jak tam dzień w fabryce? – To żartobliwe pytanie należy do naszego stałego repertuaru. Próbuję w nieudacznym sposób przywrócić choć trochę normalności, mimo że nie jestem nawet w przybliżeniu w nastroju do żartów.

– Rozchmurzysz się, jeśli udam, że wciąż mnie to bawi?

Wyczuwam policzkiem, że się uśmiecha.

– Może.

Odsuwa się i bierze mnie za rękę.

– Jak się czujesz?

– Zależy od definicji. W każdym razie żyję. Puls jest wyczuwalny.

– Na niektóre rany jedynym lekarstwem jest czas.

Georgia jest niewiele starsza ode mnie, ale niekiedy wydaje się mądra ponad swój wiek.

– W takim razie chciałbym zasnąć i obudzić się za jakieś dziesięć lat.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie badawczo. Łzy stają mi w oczach. Tym razem nie ze smutku czy zmęczenia, tylko z powodu jej życzliwości. W obliczu tak niezmaconego dobra zawsze reaguję jak małe dziecko. Ryczę, na przykład, oglądając na YouTube filmiki o ludziach oddających obcym własne nerki, ratującym zagłodzone psy i tak dalej.

– Wiem, że za nimi tęsknisz – mówi Georgia. – Mnie też będzie ich brakować. Nawet Eliego, chociaż bez przerwy zaglądał mi w dekolt.

– Mars zrobił mu kiedyś prezent – narysował cię w kostiumie kąpielowym.

Georgia wznosi oczy ku niebu.

– Mam nadzieję, że stanąłeś w obronie mojej czci?

– Jasne, że tak. To był naprawdę świetny rysunek. Mars miał talent. – Dławię się łzami.

Siostra obrzuca mnie spojrzeniem typu „moje ty biedactwo” i znów mnie przytula.

– Zostało trochę łazani.

– Jadłem u Blake’a.

– Kiedy byłeś na pogrzebie, zatelefonowali rodzice. Chcieli się dowiedzieć, co z tobą. Miło im będzie, jak oddzwonisz.

– Okej. – Waham się przez chwilę, lecz ostatecznie postanawiam się wygadać. – Po mszy napadł mnie pewien dziennikarz.

– Co takiego?! – Georgia robi kwaśną minę. – Dziennikarz? Nagabywał cię w takim momencie? W dniu pogrzebu twojego najlepszego przyjaciela? Chyba, kurde, jaja sobie robisz? Co jest nie tak z tymi ludźmi, do jasnej cholery?!

– Nie robię sobie jaj. Faktycznie był mocno natrętny. Zaczynam naśladować ton Darrena: – „No cóż, Carver, tak czy inaczej ja ten tekst napiszę. My w gazetach nie uznajemy żałoby. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli tu i teraz przedstawiś mi swoją wersję”.

Georgia się cofa, zaplata ramiona na piersiach i układa wargi w specyficzny wyraz

wkurzenia, jaki cechuje wyłącznie dziewczyny w określonym wieku.

– Jak się ten skurczybyk nazywa?

Znam to spojrzenie. Patrzyła tak za każdym razem, kiedy skarżyłem się jej na inne dzieci w szkole. Zaraz potem wychodziła, jak mówiła, „załatwić sprawę”.

– Nie, proszę cię. Tylko pogorszysz sytuację. Serio.

– Pogorszę? Chyba jego.

– Nie, moją.

Patowa sytuacja, impas. Siostra pociąga nosem.

– Tak przy okazji, trochę od ciebie jedzie – rzuca.

– Cały dzień chodziłem w garniturze, a było strasznie gorąco. Ale jasne...

– Leć pod prysznic. Lepiej się poczujesz.

– Jestem kompletnie przybity, a z tego, co mówisz, cuchnę jak psie jaja. Myślisz, że kiedykolwiek mógłbym się poczuć lepiej?

\* \* \*

Miała rację. Wychodzę spod prysznic, wycieram się do sucha i padam nagi na łóżko. Rzeczywiście czuję poprawę. Przez jakiś czas wpatruję się tępo w sufit. Potem, gdy leżenie zaczyna mnie nużyć, zakładam bojówki i koszulę. Rękawy podwijam do łokci.

Odsuwam żaluzje, wpuszczam do pokoju długie cienie i brzoskwiniowe światło zmierzchu. Siadam przy biurku i włączam laptopa. Na ekranie pojawia się opowiadanie, nad którym pracuję od pewnego czasu. Pomysł, że mógłbym zatracić się w pisaniu, okazuje się nierealny.

Mieszkam w dzielnicy Nashville zwanej West Meade. Nieopodal mojego domu, na wysokim nasypie, biegną tory kolejowe. Pociągi przejeżdżają mniej więcej co godzinę. Właśnie teraz dolatuje mnie przeciągły świst. Blask zachodzącego słońca niczym stroboskop mruga pomiędzy wagonami mijającymi domki z lat sześćdziesiątych. Sięgam po komórkę. Naprawdę chcę zadzwonić do rodziców, ale nie jestem w stanie. Nie mam ochoty z nikim rozmawiać.

Nagle ogarnia mnie przemożne wrażenie, że zapadam w otchłań bezdennej, melancholijnej nudy. Nie jest to zwykła nuda, jaką odczuwasz podczas niekończącej się, beznadziejnej lekcji. Ta wiąże się ze świadomością, że trójka twoich najlepszych przyjaciół dokładnie w tej chwili doświadcza absolutnej nicości lub poznaje życie pozagrobowe, a ty siedzisz na dupie i gapisz się na pociąg. Ekran laptopa ciemnieje i usypia.

Ciemnieje i usypia. To samo spotkało moich kumpli. Nie mam pojęcia, gdzie teraz są. Nie wiem, co się stało z ich inteligencją, z opowieściami, z ich doświadczeniami.

W Boga wierzę nieprzesadnie. Wraz z rodziną odwiedzam czasem kościół Świętego Henryka. Cztery, może pięć razy do roku. Tata powtarza, że wierzy w Boga na tyle, by cierpieć przez to samemu, ale nie aż tak, aby zadręczać innych. Moja wiara nigdy jeszcze nie została wystawiona na tak poważną próbę. Ani razu nie musiałem zajrzeć w głąb siebie i zdecydować, czy na serio wierzę, że moi przyjaciele są teraz w towarzystwie dobrotliwego, pełnego miłości Boga. A jeśli Boga nie ma? Dokąd trafili? Przecież mogli



trafić do zamkniętego, pustego marmurowego więzienia o białych ścianach, gdzie spędzą całą wieczność, nie mając zupełnie nic do roboty, nic do oglądania, nic do czytania, nie mogąc do nikogo zagadać.

A jeżeli istnieje piekło? Miejsce wiecznej udręki i kary? A jeśli są właśnie tam i płoną, wyją w męczarniach? Czy i ja wyląduję w piekle za to, że zabiłem przyjaciół? Co jeśli babunia Betsy nie zdoła mi przebaczyć i uwolnić od winy?

Czuję się trochę tak, jakbym patrzył na ciężki i kruchy przedmiot, zsuwający się powoli z wysokiej półki. Kręci mi się w głowie od tych tajemnic. Od spraw wieczności, życia, śmierci. Nie potrafię tego zatrzymać. Zupełnie jak wtedy, kiedy zbyt długo patrzy się w lustro lub za szybko i często powtarza własne imię – człowiek odrywa się wtedy od własnej tożsamości. Ciekawe, czy wciąż żyję. Czy istnieję? Może ja też jechałem tym samochodem?

Pokój tonie w mroku.

Przeszywają mnie dreszcze.

Kra pode mną pęka i wpadam do lodowatej czarnej wody.

Nie mogę złapać tchu.

Moje serce wrzeszczy.

Nic nie jest w porządku. Nie czuję się dobrze.

Zawęża mi się pole widzenia, jakbym wyglądał na świat z głębi jaskini. Przed oczyma tańczą mroczyki. Ściany napierają ze wszystkich stron, grożą zmiążdżeniem.

Rozpaczliwie otwieram usta. Potrzebuję powietrza. Moje serce...

Osiada na mnie chmura wyzutej z życia szarej grozy – przesłaniający słońce tuman pyłu. Całkowity brak światła i ciepła. Cuchnąca pleśnią, namacalna ciemność. Nagle doznaję objawienia: już nigdy nie zaznam szczęścia.

Powietrze. Potrzebuję powietrza. Potrzebuję powietrza. Potrzebuję...

Próbuję wstać. Cały pokój kołysze się, wiruje, ugina. Podłoga jest chyba z kisielu. Kolejna próba. Tracę równowagę i padam do tyłu, uderzam o krzesło i z hukiem ląduję na drewnianym parkiecie.

Znalazłem się w jednym z tych koszmarów, w których nie można uciec ani nawet krzyknąć. Spotyka mnie to dokładnie w chwili, kiedy zamiera światło tego nabrzmiałego śmiercią dnia. JA TEŻ UMIERAM.

– Georgia... – udaje mi się wycharzczyć. POWIETRZA, POTRZEBUJĘ POWIETRZA. Krew łomocze mi w skroniach.

Nie mogę wstać. Ruszam na czworakach do wyjścia.

– Georgia, pomóż mi. Pomóż.

Słyszę, jak siostra otwiera drzwi.

– Carver? Co, do jasnej...?! Nic ci nie jest?

Słyszę ją jakby z dna głębokiej studni. Podbiega. Bose stopy klaszczą na podłodze.

Czuję jej dłonie na policzkach.

– Coś jest nie tak... Coś jest nie tak – zachłystuję się.

– Dobrze, już dobrze. Oddychaj, musisz zacząć oddychać. Boli cię coś? Zrobiłeś coś sobie?

– Nie. Samo się stało. Nie mogę oddychać.

– Brałeś coś? Wziąłeś jakieś prochy?

– Nie.

Georgia się prostuje i uciska dłońmi skronie.

– Kurde, kurde, kurde! Co robić? – pyta bardziej siebie niż mnie. Znów klęka przy mnie i zarzuca sobie moje ramię na kark.

– Dobra, wiem. Pogotowie.

– Jeden, jeden, dwa – dyszę.

– Nie. Szybciej będzie, jeśli cię sama zawiozę. No dalej, wstawaj!

Stęka i pomaga mi dźwignąć się na nogi. Zaczynam widzieć podwójnie.

– Carver, potrzebuję twojej pomocy. Musisz postarać się wstać, podtrzymam cię, ale sama nie dam rady.

Udaje mi się, lecz wciąż słaniam się jak pijany. Idziemy. Krok za krokiem, noga za nogą, aż wreszcie docieramy przed dom. Georgia ładuje mnie na fotel swojej toyoty camry i wraca biegiem do środka po telefon, portfel, sandały dla siebie i buty dla mnie. Chce mi się rzygać. Zaciskam powieki i staram się zwalczyć nudności oddechem.

Czekając na siostrę, zastanawiam się, czy Bóg mógł się wkurzyć. W końcu do kolekcji wciąż brakuje mu jeszcze jednego członka Brygady Sos. Przychodzi mi do głowy, że gdybym umarł w tej chwili, nie byłoby to najgorsze wyjście z sytuacji. Z pewnością śmierć rozwiązałaby mnóstwo problemów, jakie czekają mnie niebawem.

\* \* \*

Gdy zjawiamy się na izbie przyjęć szpitala Świętego Tomasza – mniej więcej dziesięć minut później (między innymi dlatego, że Georgia pędziła o jakieś pięćdziesiąt kilometrów na godzinę szybciej, niż powinna) – oddycha mi się łatwiej i mniej mnie mdli. Lepiej też widzę, serce nie wali jak przedtem i generalnie nie jestem już pewien, czy umrę. Dziwne, co może człowieka rozczarować.

Do szpitala wchodzę o własnych siłach. Kiedy wypełniam papiery, Georgia wyciąga komórkę i przewija listę kontaktów.

Mój długopis zawisa w powietrzu.

– Telefonujesz do rodziców?

– Oczywiście.

– Nie rób tego.

– Carver...

– Nie ma potrzeby ich martwić. Poza tym we Włoszech jest pewnie środek nocy.

– Wiem, że aż tak głupi nie jesteś.

– Poważnie mówię. Wystarczy, że... no... powiemy im, jak wrócą.

– Zapomnij. Jesteśmy w szpitalu. Trafiłeś tu, bo stało się coś złego. Dzwonię do rodziców. Koniec, kropka.

– Georgia.

– Nie zamierzam z tobą dyskutować. Ciekawe, czy będę mogła wyrazić zgodę na twoje leczenie. Na szczęście samo przyjęcie nie wymaga wielu formalności.

Georgia jest studentką drugiego roku biologii na Uniwersytecie Tennessee. Potem zamierza studiować medycynę. W pewnym sensie cała sytuacja musi jej sprawiać niemałą

frajdę.

– Nie odbierają, odzywa się poczta głosowa – mówi po chwili. – Cześć mamó, tu Georgia. Jestem z Carverem w szpitalu. Po pogrzebie dostał jakiegoś ataku, ale już czuje się lepiej. Zadzwoń.

Opadam ciężko na krzesło. Gapię się prosto przed siebie.

Siostra patrzy mi w oczy.

– Dlaczego nie chciałeś, żebym dała im znać? Przecież coś ci dolega.

– Sam nie wiem. Trochę wstyd.

– Ależ oni chcą być częścią twojego życia. Wielu ludzi chciałoby mieć takich rodziców jak nasi.

– Możemy na razie o tym nie gadać? I tak fatalnie się czuję. – Zdaję sobie sprawę, że ma rację, ale póki co wystarczy mi ciężar jednej winy.

– Może się okazać, że trochę tu posiedzimy.

– Zawsze możemy pogadać o czymś innym.

– Chcę tylko powiedzieć, że w trudnych chwilach każdy potrzebuje wsparcia bliskich osób.

– Łapię.

– Łapię... – Georgia przedrzeźnia mój ton.

Naprawdę czuję się lepiej. Już mi nie grozi, że utknę w wypełnionej grozą pustce. Pozostało jedynie wyczerpanie powiązane z nieokreślonym lękiem, ale to pewnie moja nowa norma. Na szczęście zmęczenie nie pozwala mi czuć zbyt wielkiego wstydu.

Po kilkunastu minutach pojawia się pielęgniarka. Wypytuje o objawy, mierzy mi ciśnienie. Robią mi EKG. Chwilę później spotykamy się z lekarką. Chociaż wygląda na niewiele starszą od Georgii, odstawia pewną siebie, próbuje nas uspokoić zawodową gadką. Dziwnie jest myśleć, że moja siostra za kilka lat też wbije się w kitel i zacznie leczyć ludzi. Podejrzewam, że poczucia winy nie uniknie żaden jej pacjent.

– Witaj, Carver. Jestem doktor Stefani Craig. Miło cię poznać. Przykro mi, że musiałeś do nas trafić. Opowiedz dokładnie, co się dzieje.

Opisuję, co mi się przydarzyło. Doktor Craig kiwa głową.

– Ładnie, ładnie. – Zerka na moje wyniki, bawi się długopisem. – Czy ostatnio przeżyłeś szczególnie mocny stres?

– Trójka moich kumpli zginęła tydzień temu w wypadku samochodowym. O coś takiego pani chodzi?

Lekarka nieruchomieje. Nagle bez śladu znikają jej energia i pewność siebie.

– Mój Boże. W wypadku spowodowanym przez SMS? Czytałam w „Tennessean”. Tak mi przykro. Wyobrażam sobie, jak okropnie się czujesz.

– Kilka godzin temu wróciłem z pogrzebu.

Krzywi się i wzdycha.

– Cóż, taki moment, typowe objawy, wręcz podręcznikowy przykład ataku paniki. Podczas studiów mieszkałam w akademiku z dziewczyną, która miała podobne ataki w trakcie każdej sesji. To częsta reakcja u osób, które doznały traumatycznego przeżycia. Tym bardziej tak poważnego jak twoje. Najczęściej pojawiają się nieco później i w mniej przewidywalnych okolicznościach, ale twój organizm może reagować inaczej.

– Czyli...

– Pod względem fizycznym jesteś zupełnie zdrowym siedemnastolatkiem, nie umrzesz. Taki napad może się nie powtórzyć, jednak przeszedłeś traumę i ważne jest teraz, żebyś poważnie zajął się stanem swojej psychiki. Istnieją odpowiednie lekarstwa, ale wolałabym, aby przepisał ci je lekarz specjalista. Masz ubezpieczenie. Powinieneś sprawdzić, który z fachowców je honoruje, i umówić się na wizytę. To moje oficjalne zalecenie.

– Znamy odpowiednią osobę – wtrąca Georgia.

„Potem” – rzuca bezgłośnie, kiedy zerkam na nią zdziwiony.

– To świetnie. – Zadowolona doktor Craig podaje mi rękę. – Możesz wracać do domu. Wszystkiego dobrego, Carver. Pozwól, że powtórzę: naprawdę bardzo mi przykro. To niezwykle trudne doświadczenie, a zwłaszcza dla młodego człowieka w twoim wieku.

„Zwłaszcza dla młodego człowieka w twoim wieku”. Idę o zakład, że w ciągu najbliższych dni usłyszę te słowa co najmniej kilkanaście razy.

– Dziękuję. – Ściskam dłoń lekarki.

Doktor Craig odchodzi, by nieść pomoc naprawdę chorym pacjentom, a nie szaleńcom. Chyba wolałbym, by się okazało, że cierpię na jakąś fizyczną przypadłość. Coś, co można załatwić gipsowym opatrunkiem, zszyć, wyciąć. W końcu tylko mój umysł sprawia, że jestem wyjątkowy. Nie mogę go stracić.

Podpisujemy kilka ostatnich dokumentów i wychodzimy. Kiedy zmierzamy przez parking, odzywa się komórka Georgii. Przysłuchuję się:

– Cześć... Nie, wszystko z nim w porządku. Atak lękowy. Powiedzieli, że to normalne w okresach wzmożonego... No właśnie... Tak... Nie, nie trzeba. Jedziemy dosłownie za minutę. Pogadamy w domu... Tylko... Nie, ja wiem... Zdaję sobie... Tak, pomówię z nim... Nie, powiedziałam przecież, że sama z nim porozmawiam. Okej, okej. Kocham cię. Lećcie bezpiecznie i niczym się nie przejmujcie. Do zobaczenia na lotnisku... Okej... Momencik...

– Kto to? Mama?

– Nie, telemarketer. Wiesz, jacy są natrętni.

– Przeszabawne.

– Chce z tobą rozmawiać. – Georgia podaje mi telefon.

W głosie mamy słyszę poważny niepokój. Jest roztrzęsiona. Włącza głośnik, by w rozmowie mógł wziąć udział tata. Zbieram w sobie resztki sił i zapewniam oboje, że czuję się dobrze, a będzie jeszcze lepiej. Tłumaczę, że już niedługo się spotkamy. Georgia otwiera samochód, wsiadamy. Na dworze zrobiło się ciemno, ale w aucie wciąż jest ciepło, które otula mnie niczym koc. Wyciągam się na siedzeniu i przymykam oczy. Po wysiłku związanym z udawaniem przed rodzicami czuję się jeszcze bardziej wyczerpany z sił.

– Przepraszam, narobiłem ci kłopotu. Zwłaszcza że nic się nie stało – odzywam się po chwili.

Georgia wkłada kluczyk do stacyjki, lecz nie uruchamia silnika.

– Stało się. Doznałeś ataku paniki. Równie dobrze mogło to być serce czy coś podobnego.

– Chcę tylko, żeby ten dzień się wreszcie skończył. I całe to życie.

– Carver...

– Wyluzuj, nie zabiję się. Chociaż byłoby naprawdę świetnie tak po prostu zasnąć i obudzić się po osiemdziesiątce.

– Nie byłoby.

– Byłoby.

– Musimy pomyśleć o tym, co zasugerowała lekarka. Powinieneś z kimś szczerze porozmawiać. Z rodzicami prawie nie rozmawiasz. Zachowujesz się wobec nich jak jakiś nastoletni agent z serialu.

– Przecież zawsze mogę pogadać z tobą.

– To za mało. – Georgia uruchamia samochód i cofa. – Po pierwsze, za kilka tygodni zaczynam studia i już mnie tu nie będzie...

– Przecież istnieją na świecie telefony – wpadam jej w słowo.

– ...a po drugie nie jestem odpowiednio wykwalifikowana. Nie znam się na takich problemach. Stary, to nie są żarty. Terapeuci naprawdę potrafią pomóc.

– Uhm... – Wysuwam głowę za okno i gapię się przed siebie.

– Pamiętasz, jak miałam podobny problem ze sobą po rozstaniu z Austinem?

– Zachowywałaś się, jakbyś wpadła w depresję.

– Rzeczywiście miałam depresję. Po pewnym czasie zaczęłam chodzić na terapię do doktora Mendeza. Facet był spoko, a w dodatku wyprowadził mnie z dołka.

– Nigdy o tym nie mówiłaś.

– Nie było się czym chwalić.

– Ale ja nie chcę, aby ktoś mi powiedział, że jestem wariatem.

– Czy to znaczy, że wolisz być wariatem? Zresztą, od żadnego terapeuty niczego takiego nie usłyszysz. Co więcej, nikt nie pozwoli ci zostać pisarzem, jeśli przynajmniej raz nie poddasz się psychoterapii.

– Pomyślę o tym.

– Carver, wiesz, że wesprę cię w każdej sytuacji, ale naprawdę musisz się spotkać z doktorem Mendezem.

– Powiedziałem już, że pomyślę o tym.

Milknę i przez resztę drogi nie odzywam się słowem. Zamiast gadać, zastanawiam się nad kruchością. Własną. Życia.

Chciałbym znów żyć bez tego całego bagażu.

## Rozdział szósty

Zatrzymujemy się przed terminalem. Rodzice już na nas czekają. Wyglądają mizernie i smutno. Domyślam się, że ich miny doskonale odpowiadają moim pustym oczom. Idealna symetria. Odnoszę wrażenie, że moje mięśnie twarzy zapomniały, jak składać wargi w uśmiech. Niemniej podejmuję heroiczną próbę. Wsiadam i podchodzę do ich walizek, żeby umieścić je w bagażniku.

– Hej, mamó! Cześć, tato! – rzucam.

Ojciec łapie mnie za rękę i przyciąga do siebie tak mocno, że gdybym go nie znał, mógłbym się przestraszyć. Tuli mnie z taką siłą, jakby przed momentem umundurowani ratownicy wygrzebali mnie spod gruzów.

– Gdybyśmy cię stracili... gdybyśmy cię kiedykolwiek stracili... – szepce tata ochryple, przez łzy.

To, że w ogóle zdołał się odezwać, oznacza, że trzyma się lepiej od matki, która obejmuje mnie od tyłu, zanosząc się płaczem – zamykają mnie w ramionach jak w kanapce. Czuję ciepłe łzy obojga; spływają mi po policzkach i karku. Szczerze mówiąc, nie są to tylko ich łzy.

– Tęskniłem – przyznaję.

Stoimy wtuleni tak długo, aż podjeżdża do nas radiowóz lotniskowej policji i słyszymy z głośników, że nie wolno blokować podjazdu.

Wciskam się pomiędzy rodziców, którzy zajęli tylne siedzenie. Georgia wchodzi w rolę szofera. Po drodze właściwie nie rozmawiamy. Tylko mama pyta, jak się czuję, na co odpowiadam: „Niezbyt dobrze”. Zamiast mówić, mama przyciąga moją głowę do piersi i gładzi mnie po włosach.

\* \* \*

Gdzie jesteście, chłopaki? Odpiszcie.

Budzę się z galopującym pulsem, walcząc o oddech. Pościel jest mokra od potu, twarz ściągnięta warstewką soli po nocnym płaczu. Dawniej z niezrozumiałego powodu uwielbiałem płakać przez sen – może podobało mi się następujące potem uczucie ulgi. We śnie można płakać do woli, wściekle, tak jak nigdy nie pozwalamy sobie na jawie. Lubiłem się budzić z oczami przypominającymi kałuże pozostawione przez nocną burzę. Ale wtedy płakałem bez żadnego konkretnego powodu.

Poczucie winy nie zasypia. Pożera mnie przez cały czas.

## Rozdział siódmy

Siedzę przy biurku i wpatruję się w pusty dokument otwarty na ekranie laptopa. Czas na esej, od którego zależy, czy przyjmą mnie na studia. Odwlekałem pisanie przez całe lato, a zabrałem się do niego dokładnie w tydzień po ostatnim z trzech pogrzebów moich najlepszych przyjaciół. Miewałem już w życiu lepsze pomysły.

Szkoda, że nie muszę iść dzisiaj do pracy. Od kilku lat w wakacje zatrudniam się na pół etatu w sporym sklepie z używanymi książkami/płytami/grami komputerowymi i masą innego badziewia. Tyle że zawsze daję sobie z tym spokój na dwa tygodnie przed początkiem roku szkolnego. Teraz żałuję tej decyzji.

Nie chodzi o to, że uwielbiam ustawiać książki na półkach, także nie o to, że kocham przebywać w ich otoczeniu, ale o swoistą atmosferę odosobnienia – tam nie muszę się z nikim kontaktować. Potrzebuję również bezmyślnego, automatycznie powtarzanego zajęcia, i żeby poczuć w nosie charakterystyczny zapach – pomieszana woń wanilii, suszonych liści tytoniu i zapleśniałego klimatyzowanego powietrza. Z drugiej strony, to wszystko przypomina mi o Wypadku, ponieważ właśnie tam byłem, kiedy się rozbili, i dlatego z nimi nie jechałem.

Biorę do ręki telefon i zaczynam pisać SMS do Jesmyn. Od tygodnia odzywamy się do siebie od czasu do czasu. Raczej nie odpisze. Wspominała, że przez cały dzień będzie zajęta. Udziela dzieciakom lekcji gry na pianinie i sama ćwiczy. Bardzo chętnie posłuchałbym kiedyś, jak gra.

– Carver! – Wołanie mamy przerywa mi w połowie pisania wiadomości. – Chodź tu! Prędko! W telewizji pokazują sędziego Edwardsa!

Adrenalina gwałtownie wypełnia mi pierś. Wnętrznosci zmieniają się w splątany węzeł. To nie może zwiastować niczego dobrego. Podrywam się, uderzam kolaniem w blat biurka. Biegnę na drżących nogach. Rodzice i Georgia stoją przed telewizorem.

Sędzia Edwards wygląda surowo i poważnie. Ma na sobie kosztowny szary garnitur, który leży na nim, jakby nosił go od urodzenia. Pod szyją ciemnieje szkarłatny jak krew krawat. Mówi do podsuniętego przez reporterkę mikrofonu:

– ...dlatego więc, by przekazać całemu społeczeństwu, a młodzieży w szczególności, jasną wiadomość o zagrożeniu powodowanym przez pisanie SMS-ów w trakcie prowadzenia samochodu, poprosiłem prokuratora okręgowego o wszczęcie w tej sprawie dochodzenia i rozważenie wytoczenia zarzutów.

– Czy rozmawiał pan z panią prokurator osobiście? – dopytuje dziennikarka.

– Nie, proszę pani. Nie sądzę, aby było to stosowne. Nie chciałbym narażać się na podejrzenia o wywieranie jakiegokolwiek wpływu na działania prokuratury. Ufam natomiast, iż prokuratura zapozna się ze sprawą z najwyższą uwagą i stosowną dla tego urzędu pieczołowitością. Sprawiedliwości powinno stać się zadość.

Powiem bez ogródek, ze strachu o mało nie narobiłem w gacie. Mama podnosi dłonie do ust. Ojciec wpatruje się w ekran z kamiennym obliczem. Zaplata ramiona na piersi, przeciąga dłonią po twarzy. Georgia obrzuca telewizor takim spojrzeniem, jakby chciała strzelić z kanalików łzowych strugami kwasu siarkowego i zmienić sędziego Edwardsa w kupę dymiącej mazi.

– Jeżeli prokurator odmówi wniesienia oskarżenia albo nawet jeśli je wniesie, to czy wystąpi pan z powództwa cywilnego przeciwko czwartemu z zamieszanych w wypadek młodych ludzi ?

– Niczego w tym momencie nie wykluczamy ani nie przesądzamy. Naszą naczelną troską jest i zawsze będzie bezpieczeństwo oraz zdrowie młodzieży – odpowiada i zdecydowanie kiwa głową.

Ten gest oznacza: „To wszystko, panowie i panie. Rozejść się. Niczego więcej nie usłyszycie”.

– Dziękuję, sędzio Edwards. Phil, oddaję głos do studia.

– Dzięki, Alaina. Tragiczny wypadek i pogrążony w żalobie ojciec... Z innych wiadomości, władze hrabstwa Davidson odmówiły zatwierdzenia...

Przestaję słuchać monotonnego głosu prezentera. Opadam ciężko na kanapę i kryję twarz w dłoniach.

– O mój Boże, mój Boże... – powtarzam raz po raz.

Wszyscy stoją jak oniemiała. Wyraźnie słyszę, jak Georgia dyszy przez nos. Nie jest to dźwięk, którego człowiek słucha z przyjemnością. Odsuwam dłonie od twarzy i patrzę na siostrę.

– Wiecie, co to było? – odzywa się, mierząc palcem w ekran. – To po prostu czyste kurestwo!

– Georgia... – napomina ją słabym głosem mama.

Oczy mojej siostry płoną. Lwica w spodniach do jogi i sportowym topie na ramiączkach.

– Nie! Żadna Georgia! Przecież to kompletny, całkowity absurd! Czego on nie rozumie?! Nie wie, że wypadek spowodował jego własny przygłupi synalek?! A teraz chce wsadzić Carvera do pierdła?! O nie! Przepraszam, ale nie... – Kręci głową tak zawzięcie, że na ten widok ucieszyłby się każdy kręgarz świata.

Nikt nie potrafi się pozbierać. Zalega milczenie.

Georgia kolejno zagląda nam w oczy, wypatruje za nimi naszych dusz i woli walki.

– Carver, dawaj komórkę! – żąda. – Zaraz zadzwonię do tego całego Wysokiego Sądu i powiem mu dokładnie, co i gdzie może sobie wsadzić.

– Georgia... – tym razem odzywa się ojciec.

– No, dawaj! – Siostra ponagla mnie, pstrykając na palcach. Jest bliska płaczu.

– Nie mam jego numeru – mówię wreszcie otumaniony. – Mam tylko do Marsa. Pewnie, że mam do Marsa – dodaję szeptem.

– Georgia, opanuj się – odzywa się tata. – Facet jest sędzią. Jeżeli go obrazisz, sama trafisz do więzienia.

– To co z tym zrobimy?

Tata nabiera głęboko powietrza i przeciera oczy wyraźnie drżącą dłonią.

– Nie wiem... Nie wiem... – Spogląda na mamę. – Lila, zadzwoń do brata. Może mógłby nam polecić dobrego adwokata, który zna się na prawie karnym.

Słowa „adwokat” i „prawo karne” odbieram jak trzy ostre kopniaki w jaja.

Mama wychodzi do sypialni po komórkę, zauważam na jej policzkach lśniące strużki łez.



– Za trzy dni zaczynam szkołę – odzywam się półgłosem.

Jestem tak samo sparaliżowany jak wtedy, kiedy usłyszałem o Wypadku. Odnoszę wrażenie, że obserwuję swoje ciało z zewnątrz. Próbuję złapać oddech. Błagam, tylko nie atak, myślę. Nie chcę kolejnego ataku. Nie tutaj, nie teraz.

Słyszę głos mamy. Rozmawia w drugim pokoju ze swoim bratem Vance'em, specjalistą od prawa handlowego, który pracuje w Memphis. Mama stara się mówić swobodnie i ponosi na tym polu widowiskową klęskę.

Georgia siada obok mnie. Widzę, że próbuje zachować nad sobą panowanie. Stara się mnie uspokoić, masując mi plecy.

– Carver, nie martw się. Jesteśmy z tobą.

Obejmuje mnie tata. Pachnie pieprzem i świeżą pościelą.

– Słuchaj, młody. Będzie... dobrze, rozumiesz? W razie czego zatrudnimy choćby i najbardziej wziętego adwokata w Tennessee.

– Pieniądze się znajdą. Zrezygnuję ze studiów i znajdę sobie pracę – zapowiada Georgia.

– Nie, ja pójdę do pracy... – mruczę pod nosem.

– Nikt z niczego nie będzie rezygnował – oponuje tata. – Poradzimy sobie.

– Jeśli zrobi się z tego poważna sprawa, zapakuję Carvera do bagażnika i wywiozę go do Meksyku. Reszta głównie mnie obchodzi – oświadcza Georgia.

Kiedy moja siostra się wścieka, wypływa na wierzch dzika strona jej natury. Co jest dosyć zabawne, ponieważ jako miejska dziewczyna z dzikością nie miała wiele do czynienia. Mama wraca do salonu. Z trudem robi dobrą minę do złej gry. Oczy ma czerwone od płaczu. Wzdycha ciężko i zwraca się do ojca:

– Callum, rozmawiałam z Vance'em. Obiecał, że popyta i kogoś znajdzie. Twierdzi też, że obecnie możemy jedynie czekać.

– Wprost fantastycznie. Zwłaszcza dla Carvera, który ma przed sobą ostatni rok liceum, myśli o studiach i stracił trójkę przyjaciół. W dodatku ma czekać jak na ścięcie! – złości się Georgia. – Przecież to po prostu popieprzone!

Siostra potrafi wyrazić to, co właśnie czuję, z jednym wyjątkiem. Otóż nie wiem, czy to naprawdę popieprzone. Być może zasłużyłem sobie, by odkupić winę utratą wolności. Może jakaś siła – ktoś lub coś – postanowiło się upomnieć o należny sobie dług. W takim przypadku nie byłoby mowy o popieprzeniu. Kręci mi się w głowie.

– Idę do siebie – rzucam. Potrzebuję chwili na osobności, muszę pomyśleć.

Mama, wciąż w fartuchu fizjoterapeutki, tuli mnie do piersi i całuje w policzek.

– Pamiętaj, nie jesteś sam. Stoimy za tobą murem.

– Carver, może chcesz skoczyć do kina albo coś? Przestałbyś się tak martwić – proponuje tata.

– Nie pomoże, ale dzięki.

– W takim razie będę w gabinecie. Muszę popracować nad wykładem. Jeśli zmienisz zdanie, to do mnie zajrzyj.

– Tata Emmy jest prawnikiem – wtrąca Georgia. – Zadzwońię do niej.

Wycofuję się do swojego pokoju i siadam na łóżku. Piszę SMS do Jesmyn: Jesteś już może wolna? Muszę z kimś pogadać. W normalnych okolicznościach dbam o dobór

słów, ale to nie są normalne okoliczności. Zastanawiam się, czy nie obraziłem jej pierwszym zdaniem. Jesteś już może wolna? To brzmi, jakby była pierwszą lepszą z brzegu. Kurde. I czy nie za bardzo się narzucam? Znaczący, jasne, że się narzucam. Nie odpowiada. Nic dziwnego.

Przechadzam się w tę i z powrotem po pokoju. Nie pomaga. Zaczynam się po cichu modlić. Tyle że, jak już wspominałem, nie jestem zbyt religijny. Mam świadomość, że modlitwa nie może zaszkodzić, ale czy może pomóc? Nie pomaga.

Rzucam się na podłogę i robię pompki. Nie ćwiczyłem od dobrych paru lat. Ramiona wypełnia mi żywy ogień. Ledwie udaje mi się wykonać dziesięć pompek, muszę zrobić przerwę. Po chwili odpoczynku zaczynam znowu. Nie rozumiem, po jaką cholere się w to bawię. A jednak troszeczkę mi lepiej.

– Carver?

Słyszę głos stojącej w otwartych drzwiach Georgii. Nieruchomieję, wisząc nad podłogą. Szkoda, że nie zamknąłem pokoju na klucz. Podrywam się na nogi i otrzepuję dłonie.

– Hej.

– Rozmawiałam już z Emmą. Obiecała, że pogada z tatą.

– Fajnie.

– Co robiłeś?

– Pompki.

– Po co?

Niektórych rzeczy o sobie dowiadujemy się dopiero wtedy, kiedy wypowiadamy je na głos. Trochę jakby chowały się wcześniej gdzieś w ustach, ukryte przed mózgiem.

– Na wypadek, gdybym poszedł do więzienia. Chcę się umieć obronić.

Georgia kręci głową. Znów szklą się jej oczy. Serce bije mi coraz głośniejsze. Siostra obejmuje mnie.

– Niedługo muszę jechać do pracy. Uważaj na siebie.

– Na szczęście nie dostałem kolejnego napadu, prawda? Chyba przejdę się do parku Warnera.

Park Percy'ego Warnera znajduje się mniej więcej dziesięć minut spacerem od naszego domu. Hektary lasu i wiele kilometrów ścieżek. Chodzę tam, gdy czuję, że jedynym sposobem poradzenia sobie z problemem jest zagubienie się wśród istot starszych niż ja i mój smutek; istot, które są w stanie przebaczyć.

Może po powrocie znajdę w komórce odpowiedź Jesmyn.

\* \* \*

Wszyscy pokładają się na kanapie Eliego. Zapomniane pady leżą obok. Śmieją się z mojego ostatniego, wyjątkowo niechlubnego zgonu.

– Widziałeś, jak ten jego trup pofrunął? – Blake ociera oczy.

– Ej, mistrzowie za dychę, rodzice nie chcą mi kupić konsoli. W dodatku mam też prawdziwe życie, więc nie przesiaduję całymi dniami przed ekranem. Nic dziwnego, że czasem daję ciała – przypominam.

Tłumaczenia powodują dodatkowy atak śmiechu.

– Kosa zawsze kręci się w kółko, strzela i marnuje bez sensu granaty. A przeciwnicy zachodzą go od tyłu i wykańczają ciosem kolby – mówi Mars.

– Wyobraźcie go sobie na prawdziwej wojnie – dodaje Eli.

– Tak, jasne, wyżyjcie się na frajerze – mówię. – Swoją drogą, Mars, powinieneś być lepszy, niż jesteś. Wiesz, geny. Czy twój ojciec nie służył w piechocie morskiej?

– Pewnie, że służył! – obrusza się Mars. – W czasie pierwszej wojny w Iraku dowodził kompanią marines. Nawet dostał brązową gwiazdę i purpurowe serce za jakąś akcję, o której za cholerę nie chce opowiadać. Nie zmieniaj tematu, lamusie.

Blake wstaje z kanapy i zaczyna wymachiwać ręką, udaje, że czymś rzuca.

– Patrzcie, tak właśnie gra nasz Kosa... Granacik dla ciebie... i jeden dla ciebie... i jeszcze dla ciebie... O! Nie bój się, kochany, o tobie też nie zapomnę... – opowiada przesadnie słodkim tonem.

Chłopaki prawie sikają pod siebie ze śmiechu.

– A gdyby Kosa był tak samo utalentowany w innych dziedzinach? – Mars próbuje złapać oddech.

– Znaczy co? Jakby na przykład został kelnerem? – pyta Eli.

– Wiecie co?! Wypchajcie się! – złośczone się. – Najlepiej czymś wyjątkowo ostrym.

Na przykład kawałkami tłuczonego szkła.

Wyją jak opętani.

Tym razem podnosi się Mars.

– Zaraz zobaczycie Kosę kelnera. Stałby na środku knajpy i rzucał w gości talerzami: „Burgerek dla pana leci! Kawusia dla szanownej pani! Uwaga, państwa kotleciki! A tu...” – Zawiesza głos.

– Oho, zdaje się, że nasz Mars nie zna innych potraw – zauważa Eli.

– No, co? Trudno tak wymyślić z miejsca – broni się Mars. – Jak jesteś taki mądry, sam jakąś wymyśl.

– Tost z serem – odpowiada błyskawicznie Eli.

– Jeszcze! – ponagla Mars. – Ale migiem! Już! Następna potrawa. Dowolna. No, słucham? Dajesz, Eli. Potrawa.

– Eee... zupa – mówi Eli.

– Jeszcze! Błyskiem!

– Eee....

Teraz ryczymy wszyscy.

Właśnie tak spędzałem czas o tej porze w zeszłym roku. Nie jestem pewien, czy ta sytuacja miała miejsce równo na trzy dni przed początkiem roku szkolnego, czy nie, ale właśnie tak wyglądało nasze spotkanie.

Złany potem przechadzam się między drzewami i wspominam wesołe chwile z ekipą. Niby nic szczególnego, jedna sytuacja z miliona... Nie rozumiem, dlaczego akurat ten moment tak żywo płonie w mojej pamięci. A przecież płonie.

Moje myśli biegną ku Jesmyn, ale przede wszystkim zajmuje mnie zbliżający się nieubłagany proces. Ciekawe, czy równie swobodnie będzie mi się myślało na więziennym spacerniaku?

\* \* \*

Po powrocie do domu przekonuję się, że Jesmyn wciąż nie napisała ani nie zadzwoniła. W komórce znajduję jedynie wiadomość od Darrena Coughlina, który prosi mnie o komentarz do słów sędziego Edwardsa. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnął mój numer. Nie opowiadam o sprawie rodzicom, nie oddzwaniam. Co właściwie miałbym mu powiedzieć? „Mam nadzieję, że nie pójdę do kicia, chociaż w głębi duszy czuję, że na to zasłużyłem. Przykro mi, że zabiłem swoich przyjaciół. Przepraszam”.

## Rozdział ósmy

Dwudziesta trzecia trzydzieści. Zасыpiam, gdy telefon daje sygnał, że dostałem SMS.

Jesmyn: Przepraszam, dopiero przeczytałam. Cały dzień ćwoczyłam. Nadal chcesz pogadać?

Wybieram jej numer tak gorączkowo, że upuszczam komórkę. Podnoszę ją z podłogi dokładnie w chwili, gdy Jesmyn odbiera. W samą porę.

– Cześć – mówię cicho.

– Cześć – odpowiada. – Co tam?

Wyciągam się na łóżku i zasłaniam oczy dłonią. Jęczę, wzdycham.

– Ech, wariuję.

– Dlaczego?

– Jeszcze o niczym nie słyszałaś?

– Nie.

– Aha. Ojciec Marsa jest sędzią.

– To ten superzasadniczy sżywniak?

– Ten sam. Dziś rano mama zawołała mnie do salonu, gdzie oglądali telewizyjne wiadomości. Nadano rozmowę z ojcem Marsa, który zapowiedział, że złożył zawiadomienie do prokuratury w sprawie wypadku. Grozi mi sąd. Sprawa karna. – Przy ostatnich słowach łamie mi się głos. Zdarzyło mi się już popłakać przy Jesmyn, ale nie chciałbym znowu tego robić.

– Co takiego?! Sprawa karna? A co ty niby zrobiłeś? Przecież ich nie zastrześliłeś. To absurd.

Jeszcze jedna osoba, która uważa, że jestem niewinny. W dodatku ważna – ostatnia przyjazna mi dusza na świecie. Tętno się uspokaja, dłonie przestają drżeć, głos znów brzmi normalnie.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co teraz będzie – przyznaję. – Na wszelki wypadek rodzice skontaktują się z prawnikiem.

– Jeśli będzie trzeba, to mogę zeznawać. Nawet wiem, co powiem: „Sprzeciw, Wysoki Sądzie!”.

– Coś mi mówi, że tylko obrońca może zgłaszać sprzeciw – zauważam.

– Bardzo nie fair. Ja też chcę!

– Tak czy inaczej, właśnie tak wygląda moje fantastyczne życie. A co u ciebie? Nad czym dzisiaj pracowałaś?

W słuchawce rozlega się westchnienie.

– Nad nokturnem Szopena. Chyba zagram ten utwór na przesłuchaniu do Juilliarda. A może i nie. Jeszcze nie wiem, czy nie zdecyduję się na jakąś kompozycję Debussy’ego albo coś zupełnie innego.

– A... Zaraz, skoro możesz zagrać Debussy’ego, to czemu się jeszcze zastanawiasz? Graj Debussy’ego!

– Cicho bądź! – Jesmyn się śmieje.

– Kto jest twoim ulubionym kompozytorem?

- Tak, jasne. Może od razu zapytaj, który palec lubię najbardziej.
- Który palec lubisz najbardziej?
- Hm, szczerze? Środkowy prawej dłoni.
- I co? Można? Można! Ulubiony kompozytor?
- Nie, to było złe porównanie. A kto jest twoim ulubionym pisarzem? Co teraz?
- Phi! Bułka z masłem. Cormac McCarthy.
- Kto? Crowmac McWoathy?
- Ej, daj spokój!
- Shermac McCathy?
- Przestań! – Rozbawiła mnie, mimo że mam za sobą koszmarny dzień.
- Cormac... Brzmi jak imię kosmity.
- Aha. Zupełnie jak Jesmyn – odpowiadam i myślę, że ta dziewczyna byłaby wspaniałym członkiem honorowym Brygady Sos.
- Nie, ale poważnie. Nie wydaje ci się, że to imię prosto z Marsa?
- Może trochę... W sumie wszystko się zgadza, bo facet przyleciał do nas z Planety Geniuszy. Serio o nim nie słyszałaś?
- Nie.
- Cóż, będziemy to musieli nadrobić. Co sądzisz o kanibalizmie?
- Niech się zastanowię... Jestem przeciw. W większości wypadków.
- A przeczytałabyś książkę o kanibalach?
- Gdyby była dobra... I zaintrygowałyby mnie postacie...
- Jasne, łapię.

W trakcie rozmowy ustępuje mi z piersi ciężar. Zupełnie jakbym przez cały wieczór leżał przygnieciony stertą kamieni, które ktoś zaczął właśnie jeden po drugim zdejmować. Stopniowa poprawa.

Gadamy do świtu. Po pewnym czasie muszę podłączyć komórkę do ładowarki. Pod koniec oboje jesteśmy już tak senni, że coraz dłuższe momenty milczenia wypełniamy, powtarzając swoje imiona po to tylko, by się upewnić, że po drugiej stronie wciąż ktoś słucha.

## Rozdział dziewiąty

Kiedy wtaczam się niewyspany do kuchni, rodzice siedzą już przy stole. Jedzą płatki, popijają kawę. Obrzucają mnie takimi spojrzeniami, jakbym właśnie oświadczył, że mam niewidzialnego przyjaciela, który każe mi kolekcjonować noże i zbierać do słoików własny mocz.

– Hej, kochanie – wita mnie mama. – Słyszeliśmy coś w środku nocy. Nie mogłeś zasnąć?

– Fakt. Nie mogłem.

Pocieram policzki.

– Powinieneś dzisiaj solidnie wypocząć – włącza się tata. – Niedługo zaczniesz się szkoła, a ostatnio mało sypiasz. A jeszcze ta historia z sędzią Edwardsem.

– W dzień i tak nie usnę. Poza tym wybieram się do babci Blake’a. Pomogę jej w ogródku.

Mama podsuwa mi miskę płatków.

– Od pogrzebu Blake’a minął już tydzień, a wciąż nam o niczym nie opowiedziałeś. Niedobrze jest dusić w sobie takie ciężkie emocje. Jeżeli nie zaczniesz rozmawiać z nami, poprosimy, żebyś zwrócił się do kogoś innego.

– Przerabiałem już tę gadkę z Georgią. Nic mi nie jest. Dobrze się czuję.

– Myślę, że to nie do końca prawda. – Tata próbuje bardziej łagodnego podejścia.

– Ludzie, którzy świetnie się czują, nie trafiają na pogotowie z napadami paniki. – W jego głosie pobrzmiwa jednak nuta irytacji.

Nie mam do niego pretensji, on też czasami działa mi na nerwy, więc jesteśmy kwita.

– To była jednorazowa akcja.

– Piszesz coś nowego? Jakies wiersze? Opowiadanie? – pyta mama. – Myślę, że to mogłoby ci pomóc.

– Nie – odpowiadam.

Takie pytania z pewnością mi nie pomagają. Jeśli chodzi o pisanie, czuję się ostatnio kompletnie zablokowany. Niewykluczone, że moja muza siedziała w samochodzie razem z Brygadą Sos. Przyglądają mi się ponad stołem. Niemal słyszę, jak intensywnie pracują trybiki w ich umysłach. Chcą wykorzystać okazję. Szukają właściwych słów. Świetnie znam tę specyficzną atmosferę, jaka zwykle otacza ludzi, którzy daremnie próbują odnaleźć w sercach odpowiednie słowa. Właśnie z tego powodu staram się zjeść jak najszybciej i milczeć jak zakłęty.

Kiedy wstaję i ruszam w kierunku łazienki, żeby umyć zęby, dogania mnie głos ojca.

– Kochamy cię, Carver. Niełatwo nam patrzeć, jak cierpisz.

– Wiem. Ja was też kocham. – A skoro samo patrzeć sprawia wam ból, dodaję w myślach, to wyobraźcie sobie, jak okrutne jest moje cierpienie.

\* \* \*

– Dobra, panowie. Wiecie, co zrobimy? Urządzimy sobie wiewiórcze rodeo –

oświadcza Blake.

– Że jak? Chcesz jeździć na wiewiórkach? – dziwi się Mars.

– Jasne. Będziemy jeździć na wiewiórkach... Nie, kretino, nie taki jest plan. Jak któryś z was zobaczy na trawie wiewiórkę, niech ją zajdzie tak, żeby weszła na ścieżkę. A potem ruszy za nią powoli i ostrożnie, żeby się nie spłoszyła. Jak śmignie, będzie po balu. Ten, komu ruda ucieknie, przegrywa. Celem jest utrzymać wiewiórkę na ścieżce przynajmniej osiem sekund. Jak powiedziałem, wiewiórcze rodeo.

– Wiesz co? Za każdym razem, gdy zaczynam myśleć, że wyszła już z ciebie cała wieś, potrafisz mnie zaskoczyć – zauważa Mars.

– Mogło być gorzej. Przynajmniej nie kazał nam ich łapać i pożerać – wtrącam.

– Na razie – rzuca Mars. – Pożyjemy, zobaczymy.

– Panowie, z takim podejściem nie macie co marzyć o sukcesach w wiewiórczym rodeo – gani nas Blake.

– Słuchaj, stary, planowałem, że ostatni tydzień wakacji spędzę spokojnie, sącząc sobie w Bobbie's Dairy Dip bananowe szejki. Nie planowałem uganiać się za jakimiś wszawymi wiewiórami.

– A jeśli nakryje nas twój ojciec? Co powie, kiedy zobaczy, że ścigasz po parku wiewiórki? – zapytał Eli.

– Jak go znam, powie coś w stylu: „Thurgood? W jakim celu straszysz to zwierzę? Czy to zajęcie poprawi twoje wyniki w nauce? A może myślisz, że staniesz się w ten sposób bardziej wartościowym człowiekiem? Kiedy twój dziadek protestował u boku Martina Lutera Kinga, nie robił tego po to, by jego wnuk mógł polować na wiewiórki”. – Mars naśladuje głęboki, poważny ton ojca.

Wybuchamy śmiechem. Właśnie taki jest jego tata. Nawet jeśli Mars go przerysował, to naprawdę tylko odrobinę.

Blake ucisza nas gestem i podkrada się do wiewiórki myszkującej obok asfaltowej ścieżki.

– Jazda – szepcze, wyciąga komórkę i zaczyna nagrywać.

Ostrożnie zapędma zwierzątko na ścieżkę. Wiewiórka truchta przed nim przez mniej więcej siedem sekund. Za każdym razem, gdy próbuje wrócić na trawę, Blake zręcznie odcina jej drogę. Wreszcie jednak zwinny gryzoń umyka. Blake wydaje z siebie jęk zawodu, a my się śmiejemy.

Następny kwadrans spędzamy, próbując kolejno sił w wiewiórczym rodeo. Blake przez cały czas filmuje. Żadnemu z nas nie idzie zbyt dobrze, za to bawimy się świetnie.

Wreszcie, złani potem, siadamy w cieniu wysokiego dębu. Popołudnie jest obłąkańczo upalne. Blake przycina filmiki, montuje i wrzuca je na YouTube'a. Eli pisze do kogoś SMS, Mars rysuje, a ja wpatruję się w ekran telefonu i piszę opowiadanie.

– Proponuję uczynić z tego tradycję – odzywam się po chwili. – Co roku, pod koniec wakacji, będziemy kupować szejki w Bobbie's Dairy Dip, przychodzić do tego parku i urządzać wiewiórcze rodeo.

Gdyby w Brygadzie Sos istniały oficjalne funkcje, zostałbym Strażnikiem Świętych Tradycji. Od zawsze bardzo mi się podobało, że wśród przyjaciół – rodzin, które wybieramy samodzielnie – można się dopatrzeć właściwie wszystkich cech rodzin



biologicznych, między innymi swoistych tradycji.

– Myślę, że Dzień Wiewiórki zdecydowanie przebiję i Gwiazdkę i Święto Dziękczynienia – zauważa Mars.

– Zabawa na pewno jest lepsza – dodaje Blake.

– A co będzie, jak pójdziemy na studia? – pyta Eli.

– Przeniesiemy rodeo na wakacje, przecież będziemy przyjeżdżać tu latem – tłumaczę.

W ten sposób spędzamy czas we względnym chłódzie rozlanej na trawie plamy dębowego cienia. Kołyszące się nad nami liście, podpalone promieniami zachodzącego słońca, buchają fioletowymi płomieniami. Cykady grają tak donośnie, że można pomyśleć, iż ziemia wibruje.

Czuję, że już nigdy nie będę sam, że za każdym razem, kiedy się tylko odezwę, usłyszy mnie ktoś, kogo kocham, ktoś, kto mnie kocha.

Już wtedy potrafiłem to docenić.

\* \* \*

Naciskam przycisk dzwonka. Podejście do drzwi zajmuje babuni Betsy sporo czasu.

– Kosa? Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Od pogrzebu Blake'a upłynął tydzień. Babunię nadal otacza aura zmęczenia i wywołanej bolesną stratą samotności. Rozpoznaję ją bezbłędnie, ponieważ dostrzegam ją za każdym razem, gdy spoglądam w lustro. Widoczne za jej plecami wewnątrz pogrążone jest w bałaganie, jakiego nie widziałem w tym domu nigdy przedtem. Na nadmiernie wybujałym trawniku plenią się chwasty.

Sięgam do tylnej kieszeni spodni i wyciągam robocze rękawice taty.

– Mówiłaś, babuniu, że Blake pomagał ci pielnić, że to dla ciebie za trudne. Przyszedłem popracować trochę w ogródku i jeszcze zrobić, co potrzeba.

– Wielkie nieba! – Betsy macha ręką. – Naprawdę nie musisz. Przecież mogę zapłacić parę dolarów dzieciakowi sąsiadów. Wejdz, proszę. Musisz mi tylko wybaczyć rozgardiasz.

– Naprawdę chcę się tym zająć. Co więcej, muszę. – Patrzę jej prosto w oczy.

– Nie musisz – stwierdza cicho, lecz z naciskiem, obejmując mnie spokojnym, łagodnym spojrzeniem.

– Właśnie, że muszę... – upieram się i nagle zbiera mi się na płacz.

Udaję, że kaszlę, odwracam głowę. Czuję silną pokusę, by opowiedzieć jej o wiszącej nade mną groźbie prokuratorskiego postępowania, lecz natychmiast ją w sobie dławię. Nie zniósłbym, gdyby Betsy zaczęła o mnie myśleć jak o przestępcy.

Babunia pozwala mi dojść do siebie. Odzywa się dopiero po dłuższej chwili.

– Dobrze, chodźmy do ogrodu. Pokażę ci, w czym możesz pomóc. Tymczasem skoczę do sklepu. Przygotuję świeżą lemoniadę i coś na lunch. Sama żywię się ostatnio głównie tym, co zostało ze stypy, ale ty zasługujesz na coś lepszego niż resztki sprzed tygodnia.

Nie zasługuję, myślę i mówię:

- Nie trzeba, naprawdę.
- Kosa, nie będę z tobą dyskutować.

Przechodzimy za dom. Betsy pokazuje mi, które grządki domagają się pielienia. Przynosi koszyk na dojrzałe pomidory. Uczy mnie, jak nalać benzynę do kosiarki, tłumaczy, jak należy się tą maszyną posługiwać.

Na koniec wsiada do samochodu i odjeżdża, a ja biorę się do roboty.

Słony pot drażni mi oczy. Nieruchome gorące powietrze południa jest gęste jak syrop. Ostry, ziołowy zapach łądyg pomidorów wierci mnie w nosie. Zatracam się w bezmyślnym rytmie pracy. Zapominam o sędzim Edwardsie. O Adair. Zapominam o Darrenie. Niewykluczone, że dzisiejszy dzień okaże się dla mnie dobrym treningiem. Niedługo mogę trafić do więzienia i w pomarańczowym kombinezonie sprzątać pobocza autostrad. Pochylić się, szarpnąć, odrzucić na bok. Pochylić, szarpnąć, odrzucić. Pochylić... szarpnąć... odrzucić. Początkowo pracuję w rękawicach, lecz dłonie pocą mi się tak intensywnie, że szybko się ich pozbywam. Wyrwane chwasty i ziemia brudzą mi ręce czarno-zielonymi plamami. Powrotu babuni Betsy nawet nie zauważam.

Jestem w połowie koszenia trawnika, kiedy spostrzegam, że staruszka macha do mnie z ganku. Wyłączam kosiarkę.

- Czas coś przekąsić. Przynieś mi, proszę, kilka pomidorów.

Wybieram największe i najbardziej dojrzałe sztuki. Zanurzam się w błogosławiony chłód klimatyzowanego domu. Przed wejściem starannie wycieram buty.

- Jestem w kuchni! – woła babunia.

Ruszam w tamtą stronę, lecz z jakiegoś powodu przystaję. Nie potrafię się zmusić. Chcę wrócić do ogrodu i znów się spocić, czuć głód i pragnienie, nadal karać swoje ciało. Nie chcę, by staruszka otaczała mnie wygodą i karmiła.

- Pospiesz się! – ponagla.

Otrząsam się z zadumy i podchodzę prosto do zlewu. Obmywam dłonie z ziemi i roślinnych soków. Na kuchennym stole czeka bochenek chleba, słoik marmolady, solniczka, pieprzniczka, dzbanek lemoniady ze świeżo wyciśniętych cytryn z kostkami lodu, ząbkowany nóż i dwa talerze.

– Siadaj. – Betsy wysuwa spod stołu drewniane krzesło. – Niby nic szczególnego, ale moim zdaniem, na całym Bożym świecie nie ma nic lepszego od kanapki ze świeżym pomidorem. Zwłaszcza w taką spiekotę.

- Pełna zgoda. – Wilgotna od potu koszulka klei mi się do piersi. Schładza.

Babunia wybiera najładniejszy pomidor i kroi go na grube plastry. Smaruje majonezem dwie kromki chleba i układa na nich czerwone krążki.

– Solą i pieprzem dopraw sobie sam – mówi, przygotowując kanapkę dla siebie. – Mmm... – mruczy po chwili i wstaje po papierowy ręcznik, którym wycieramy różowawą, pomidorowo-majonezową maź z twarzy i dłoni. – W takich świeżo zebranych pomidorach aż czuje się słońce, prawda?

– Uhm – potwierdzam, pociągając łyk kwaskowatej lemoniady. Jest tak zimna, że aż bolą mnie ślinianki. – Smakują ładnie.

W każdym razie powinny. Tyle że ja na to nie zasługuję i na języku czuję jedynie piach, mimo że kanapka jest idealna.

– Blake też to powtarzał. Uwielbiał kanapki z pomidorem.

– W sumie w ogóle uwielbiał jeść.

– O, tak. – Babunia chichocze.

– Kiedyś siedzieliśmy u mnie w domu i potwornie zgłodnieliśmy, ale nie mieliśmy pieniędzy, żeby coś kupić. W lodówce znaleźliśmy same paskudztwa w rodzaju jarmużu, bo rodzice przechodzili fazę zdrowego żywienia. Przetrzęsaliśmy całą kuchnię, szukaliśmy czegoś, co moglibyśmy ugotować. Trafiliśmy na paczkę makaronu, tyle że nie mieliśmy sosu, więc polaliśmy go keczupem i musztardą.

Babunia Betsy parska i zasłania usta dłonią. Cała aż się trzęsie ze śmiechu.

– Przełknąłem może ze dwa kęsy – ciągnę. – A Blake? Normalnie się zakochał w tak doprawionym makaronie. Pożarł całą michę. „Kosa, powinniśmy to danie opatentować – powiedział. – Trzeba tylko wymyślić nazwę. Na przykład: hamburgerowe spaghetti. Hamghetti. Zobaczysz, dorobimy się fortuny”. Odpowiedziałem mniej więcej tak: „Blake, smakuje ci tylko dlatego, że byłeś głodny. Przecież to ohydztwo”.

Staruszka pociąga nosem, ociera spod oczu łzy. Tym razem jednak płacze z radości, a ja przez chwilę przestaję się czuć winny. Małeńki posmak odkupienia. W ustach pojawia się słodycz.

– Jejku, my dwoje potrafiliśmy go rozgryźć, prawda? – pyta Betsy.

– Prawda – odpowiadam, ścierając ze stołu zbłąkaną kropelkę soku z pomidora.

– To ciekawe, że ludzie przez całe życie zostawiają wszystkim napotkanym bliźnim drobne fragmenty opowieści o samych sobie. Zastanawiam się, co by było, gdyby złożyć je wszystkie w całość, niczym elementy układanki. – Babunia odgryza spory kęs i zamyślona zapatruje się w dal. Po dłuższej chwili mówi: – Przyszedł mi do głowy zwariowany pomysł. W każdym razie mnie wydaje się zwariowany.

– Słucham.

– Najbardziej żałuję, że nie było mi dane spędzić z nim ostatniego dnia. Nie mam na myśli niczego wymyślnego, ani wspinaczki na Mount Everest, ani skoków ze spadochronem. Chodzi mi o najprostsze czynności, które chętnie robiliśmy razem. Chciałabym je jeszcze raz przeżyć.

Babunia kołysze się łagodnie na krześle i przymyka powieki. Nie wygląda, jakby przysnęła, raczej jakby pograżyła się w medytacji. Po chwili zamiera i otwiera oczy. W jej spojrzeniu pojawia się słabiutki promyk, w którym pobłyskuje coś, co wcześniej jaśniało niezmiennie – jedyny promień nadziei, jaki zobaczyłem w ciągu ostatniego miesiąca. Jakby szczęścia nie dało się nigdy zdusić na dobre, jakby jego węgielki wiecznie pełgały żarem nawet pod grubą warstwą mokrego popiołu.

– Może urządzilibyśmy sobie taki ostatni dzień z moim wnukiem? Ty i ja?

– Nie jestem pewien, czy rozumiem.

– Spotkamy się i wspólnie przeżyjemy z nim dzień, na jaki nie dano nam szansy. Złożymy kawałki układanki w całość. Pozwolimy mu na ten jeden dzień ożyć.

Czuję się, jakbym zwędził coś ze sklepowej półki i w pół drogi do wyjścia usłyszał wołanie ochroniarza.

– No... ja... Nie wiem, czy dam radę... bo...

Babunia pochyła się nad stołem.

– Oczywiście, że dasz radę. Znaliście się przecież jak łyse konie. Założę się, że wiesz o nim mnóstwo rzeczy, o których ja nie mam pojęcia.

– Może...

– Założę się też, że to samo można powiedzieć o mnie.

– Zdecydowanie.

– Poza tym Blake pokazał mi twoje teksty.

– Naprawdę? Co babunia czytała?

– Opowiadanie rozgrywające się we wschodnim Tennessee po wielkim wybuchu wulkanu, który zabił większość ludzkości. Wspaniale mi się czytało. Już dawno miałam ci o tym powiedzieć.

– Rany.

– Uważam, że jeżeli ktokolwiek na świecie jest w stanie opowiedzieć historię o Blake’u jak należy, to tym kimś jesteś właśnie ty.

– Ale... Czy babunia na pewno chce... – dopytuję, wiedząc, że ja stanowczo nie chcę.

– Oczywiście. Kto inny mógłby to dla mnie zrobić?

– Sam nie wiem. – Przenikliwy lęk skręca mi jelita.

– Nie musisz w tej chwili podejmować decyzji. Zastanów się. Co właściwie mogłoby się stać? Oczywiście, że nie będzie tak, jakby Blake rzeczywiście powrócił na stałe. To niemożliwe. Musi nam wystarczyć ten jeden dzień.

Wpatruje się we mnie łagodnie. Nie dostrzegam w jej oczach tego dystansu, jaki widziałem ostatnio. Nie chcę odmawiać, lecz nie umiem się też zmusić, nie potrafię powiedzieć „tak”.

– Nie jesteś mi niczego winien – podejmuje babunia. – Zrozumiem, jeżeli uznasz, że nie jesteś w stanie. Niewykluczone też, że obudzę się jutro i dojdę do wniosku, że to niemądry pomysł, albo że sama sobie nie poradzę. Może chociaż zechcesz przemyśleć moją propozycję?

– Na pewno. Obiecuję. – Przyglądam się jej uważnie, staram się znaleźć jakiegokolwiek świadectwo, że coś popsulem. Niczego takiego nie dostrzegam. Chociaż tyle. – Dziękuję za poczęstunek. Pójdę dokończyć koszenie.

Babunia Betsy otacza mnie ramionami.

– Dziękuję – szepcze po dłuższej chwili.

\* \* \*

Leżę na łóżku. Wciąż jestem wilgotny po prysznicu. Owiewa mnie chłodne powietrze z wiatraka. Kojące podmuchy. Przypominam sobie chwile, gdy w dzieciństwie wychodziłem z basenu i beztrąsko pozwalałem się suszyć promieniom słońca.

Planuję wieczór. Jak dotąd większość wieczorów spędzałem, oglądając z Georgią filmy na Netfliksie, ale dzisiaj siostra umówiła się z przyjaciółkami. Uświadamiam sobie nagle, jak ciche i jałowe stało się moje życie. Rzadko odzywa się komórka, bo prawie nikt do mnie nie dzwoni ani nie pisze. Czeka mnie wiele samotnych wieczorów i nocy.

Dzisiaj nie chcę być sam, choć normalnie brak towarzystwa wcale mi nie przeszkadza. Moje myśli zwracają się ku jedynej osobie, która wchodzi w rachubę.

Zaczynam pisać SMS do Jesmyn, lecz nachodzą mnie wątpliwości. Czy nie wypadnie to niezręcznie? Jasne, coś nas do siebie zbliżyło, ale czy nie była to przypadkiem kwestia jednego momentu, w którym byliśmy od siebie bezpiecznie oddzieleni, bo połączeni jedynie na odległość?

W innych okolicznościach wahałbym się i roztrząsał problem dłużej. Samotność jednak napawa mnie rozpaczliwą odwagą. Co mam do stracenia? Błyskawicznie kończę wiadomość.

*Hej, może się spotkamy?*

Pewnie. O której?

19? Mogę po ciebie przyjechać. – Wzdycham z ulgą.

*Super. Ulica Harpeth Bluffs Drive 5342.*

Zupełnie jakbym odkręcił tubkę z łagodzącą maścią.

Idę do kuchni i odgrzewam znalezione w lodówce kurczaka z rożna.

– I co? Jakies plany na wieczór? – pyta Georgia.

Siedzi przy stole wyszykowana do wyjścia i pisze SMS.

– Wychodzę – odpowiadam z pełnymi ustami.

– Z jakimiś kumplami czy...?

– Nie. Z Jesmyn, dziewczyną Eliego. Widziałaś ją na pogrzebie, rozmawiała z jego rodzicami.

– Z tą seksowną? Trzeba mnie było przedstawić.

– Teraz znamy się lepiej niż wtedy.

– I co będziecie robić?

– Mam kilka pomysłów, ale pewnie przede wszystkim będziemy gadać.

Gdyby sytuacja była zwyczajna, w tym momencie Georgia zaczęłaby się ze mną przekomarzać, tarmosić mi włosy, pokpiwać sobie ze mnie. Chciałbym, żeby tak się zachowała. Byłby to dla mnie kolejny krok w stronę normalności. Dziwnie się czuję, mówiąc na głos, że spotykam się z dziewczyną zmarłego przyjaciela. Gdyby Georgia zaczęła się ze mną droczyć, dostałbym do ręki dowód, że to zupełnie w porządku.

Siostra jednak tylko poklepuje mnie po ramieniu, niedwuznacznie dając do zrozumienia: „Och, to wspaniale, że twoje życie płynie mimo wszystko naprzód”.

– Rozmowy... Świetnie. Cieszę się, to bardzo zdrowy objaw.

– Hej, kochanie. – Do kuchni wchodzi matka. – I co u Betsy? Jak się miewa?

– W porządku – mówi, odgryzając kolejny kęs. – Smutna.

– Wybraliśmy dziś z tatą film na wieczór. Czuj się zaproszony.

– Wychodzę.

Na twarzy mamy maluje się wyraz przyjemnego zaskoczenia, ilustrujący zdanie: „Nie wiedziałam, że masz jeszcze z kim wychodzić”.

– Z kimś, kogo znamy? – pyta.

– Nie.

– Jeśli zmienisz zdanie albo wrócisz wcześniej, propozycja wciąż będzie aktualna.

– Dzięki. To miłe.

Czuję na sobie badawcze spojrzenie Georgii, więc czym prędzej wbijam wzrok w talerz i nie podnoszę głowy, dopóki nie skończę jeść.

\* \* \*

Jesmyn mieszka w dzielnicy Bellevue. Od drzwi mojego domu do jej podwórka, jednego z tych anonimowych bezdrzewnych podwórek nowych osiedli, jakich wiele w tej części Nashville, jest mniej więcej piętnaście minut drogi.

Przyjeżdżam kwadrans za wcześnie. Tak już mam, chronicznie pojawiając się przed umówionym czasem. Przyzwyczaiałem się do czekania. Siedzę przed domem Jesmyn do siódmej. Słucham muzyki i zastanawiam się, o czym pomyślał Eli, kiedy pojawił się tutaj po raz pierwszy, bo mieszkał w Hillsboro Village, w pobliżu Uniwersytetu Vanderbilt, w przepięknym starym domu przy otoczonej szpalerem cienistych drzew ulicy. Zaczynam się zastanawiać, czy Eli mnie w tej chwili widzi, czy wie, że czekam w samochodzie przed domem jego dziewczyny? Jeśli tak, to mam nadzieję, że jest w stanie zajrzeć mi też w serce. Zobaczyłby, jak bardzo bym wolał, żeby to on tu był.

Dokładnie o 19.02 (wiem z doświadczenia, że ludzie czują się nieswojo, gdy przybywam punktualnie) pukam do drzwi. Otwiera mi wysoki białoskóry facet z gęstą siwą czupryną.

– O... Przepraszam, chyba pomyliłem adresy – rzucam.

– Przyszedeś do Jesmyn? – pyta z uśmiechem.

– Tak.

– Jestem jej tatą. Jack Holder. Miło mi cię poznać.

Witamy się uściskiem dłoni.

– Carver Briggs. Mnie też bardzo przyjemnie.

– Wejdz, proszę.

Dom jest przestronny, czysty i cały biały – białe sufity i ściany. Wokół unosi się zapach jagód i zielonych jabłek. Drewniane parkiety są wypolerowane do połysku. Wszystkie sprzęty i meble wyglądają na zupełnie nowe. Część salonu zajmuje olbrzymi fortepian.

– Pięknie państwo mieszkają – komplementuję, wchodząc za nim po schodach wyłożonych dywanikiem.

– Dzięki – odpowiada pan Holder. – Dopiero miesiąc temu udało nam się wreszcie rozpakować. Przeprowadziliśmy się w połowie maja.

– A co właściwie przygnało was do Nashville? – pytam.

– Moja nowa praca w firmie Nissana oraz świadomość, że szkoła w Madison County nie jest w stanie przygotować Jesmyn do Juilliarda.

Przemierzamy hol.

– Zdaje się, że byłeś przyjacielem Eliego – dodaje pan Holder.

– Najlepszym. – Wiedziałem, że ta kwestia wypłynie, ale i tak zabołało.

– Bardzo mi przykro.

– Dziękuję.

Szkoda, że nie mogę zgromadzić na wielkim stadionie wszystkich ludzi, którzy zechcą w przyszłości wyrazić wobec mnie współczucie. Na umówiony znak, na przykład,

po odliczeniu do trzech bądź na wystrzał z armaty, wszyscy mogliby złożyć mi kondolencje jednocześnie. Mieliby na to pół minuty. Stałbym na samym środku murawy i czuł, jak zalewa mnie powodziowa fala współczucia. Miałbym to z głowy, nie czułbym raz po raz tych słabiutkich pojedynczych strumyków.

– W oczach ojca żaden chłopak nie jest dla córki dość dobry. Natomiast Eli od początku wydał mi się bardzo miłym i utalentowanym młodym człowiekiem.

– Taki właśnie był.

Podchodzimy do otwartych drzwi sypialni. Pan Holder zagląda do środka i puka we framugę.

– Jes, skarbie? Masz gościa.

Zerkam zza jego pleców. Wszędzie leżą porozrzucane ciuchy. Ściany obwieszane są plakatami anonsującymi koncerty. Muzyka współczesna i klasyczna, plakaty nowe i stare, z antykwariatów. Jesmyn siedzi przy syntezatorze podpiętym do laptopa. Dolatuje mnie stłumione postukiwanie klawiszy. Gra z zamkniętymi oczami, na uszach ma słuchawki. Jej twarz stanowi w tej chwili ucieleśnienie błogości; głęboki żal, który widziałem na pogrzebie, zniknął bez śladu. Aż mi głupio, że jej przeszkodziłem. Jesmyn podskakuje, zaskoczona dźwiękiem głosu ojca. Spogląda na nas przez ramię, po czym zerka w ekran komputera. Naciska spację – pewnie wyłącza nagrywanie. Ściąga z głowy słuchawki i odkłada je na instrument.

– Cześć, Carver. Przepraszam. Straciłam poczucie czasu.

– Wszystko w porządku – odpowiadam.

Pan Holder opiera się o ścianę. Czeka.

– Tato, naprawdę? – rzuca Jesmyn.

– Jes.

– Przecież zostaniemy sami tylko na jakieś dwie minuty. – Wznosi oczy ku niebu.

– Muszę założyć buty.

– Mogę zaczekać na dole... – Oblewam się rumieńcem.

– Nie, Carver. W porządku. Nic się nie stało – uspokaja mnie pan Holder.

Patrzy na córkę, pokazuje jej dwa palce i ostrzegawczo unosi brwi.

– Pamiętaj. Dwie minuty. Potem wracam na górę. – Z tymi słowami kieruje się ku schodom.

Jesmyn znowu wywraca oczami.

– Przepraszam.

– Ojcowie to ojcowie, mają swoje prawa. Nad czym pracujesz? – Wskazuje skinieniem sprzęt.

Macha zdawkowo ręką.

– Ach... to... Czasem piszę piosenki i nagrywam je sobie. Takie tam wprawki. Wejdz. Czas ucieka.

Przechodzę ponad porzuconą parą dżinsów i siadam na łóżku (na łóżku, na którym siadywał Eli).

– Byłem przekonany, że tylko grasz na fortepianie.

– Bo tylko to wychodzi mi dobrze. Eli wspominał, że ty też piszesz.

– Tak, ale nie piosenki. To akurat konik mojego taty. Ja piszę opowiadania, wiersze

i tak dalej. Kiedyś chciałbym napisać powieść.

- Mówił, że nieźle ci idzie.
- Sam nie wiem.
- Dostałeś się przecież do Nashville Arts Academy.
- Niby tak.

Jesmyn podchodzi do szafy. Siada tyłem do mnie na podłodze, po czym wsuwa na stopy skarpetki i wysłużone brązowe kowbojki. Znowu przybiera wygląd, do którego przywykłem (o ile można się przyzwyczaić do wyglądu osoby, którą widziało się zaledwie siedem razy w życiu). Dzisiaj nie ma na sobie żałobnej czerni, tylko zwiewną białą bluzeczkę bez rękawów i wystrzępione dżinsowe szorty. Paznokcie rąk i nóg polakierowała jak klawisze fortepianu. Dwa białe, jeden czarny, jeden biały, jeden czarny.

Cieniem kładzie mi się na sercu świadomość, że piękną dziewczynę, szykującą się do wyjścia ze mną z domu, oglądam w takich, a nie innych okolicznościach. W zwyczajnym życiu chwila byłaby nabrzmiąta bezmiarem możliwości. Dokładnie w tej sekundzie eksplodowałyby supernowa miłości. Byłby to moment, o jakim opowiada się potem wnukom: „Pamiętam, jak przyszedłem zabrać babcię na pierwszą randkę. Nie była gotowa. Udało mi się podejrzeć, jak gra na keyboardzie. Wyglądała jak spływający powoli z drzewa, unoszący się na wietrze liść. Kiedy skończyła, siedziałem na łóżku i patrzyłem, jak szuka czystych skarpetek. Potem naciągnęła na nogi te swoje kowbojki. Skrzypiała skóra. Pokój pachniał kapryfolium i jeszcze jakąś uderzającą do głowy wonią, której nie rozpoznałem, naraz świeżą i kojarzącą się z dawnymi czasami. Obserwowałem ją w trakcie tych codziennych czynności i powiem wam, że już wtedy zrozumiałem, że to niezwykła dziewczyna”.

W rzeczywistości wiem, że to nie moja chwila. Nic się od niej nie rozpocznie. Oboje chcemy coś pożegnać; złożyć coś na wieczny odpoczynek.

Mam nadzieję, że pewnego dnia znów będę w stanie bez wyrzutów sumienia przyjść po jakąś dziewczynę, kupić jej lody i zjeść je razem z nią z nią w parku. Mam nadzieję, że kiedyś tam przeżyję jeszcze jakieś nowe otwarcie.

Jestem zmęczony pogrzebaniami ludzi i rzeczy.

Jestem zmęczony przeciągającą się liturgią pożegnań.



## Rozdział dziesiąty

Siedzimy w moim samochodzie przed jej domem.

– Masz jakiś pomysł, co teraz?

Jesmyn zajęła fotel pasażera. Założyła nogę na nogę.

Jeśli chodzi o sposoby siadania w samochodzie, dziewczyny wyprzedzają facetów o wiele lat świetlnych.

– W sumie tak. Bobbie’s Dairy Dip. Pasuje?

– Nigdy tam nie byłam.

– Twój tata powiedział, że dopiero co się tu przeprowadziliście. Eli też chyba o tym wspomniał.

– Tak, z Jackson w Tennessee. Przed paroma miesiącami.

– I jak? Podoba ci się w Nashville?

– Pytasz poważnie? Przecież w tym mieście muzyka jest dosłownie wszędzie. To dla mnie wymarzone miejsce.

– Bobbie’s to lodziarnia. Braliśmy tam bananowe szejki z masłem orzechowym.

– My? W sensie ty, Eli, Mars i Blake?

– Tak. To była nasza tradycja.

– Cóż, moje filipińskie geny i natura dziewczyny z południa podpowiadają, że bananowe szejki z masłem orzechowym są pyszne.

Uruchamiam samochód, ruszamy, a moje usta wyprzedzają rozsądek:

– Nie miałem pojęcia...

– O czym?

Kurde.

– Że jesteś adoptowana.

Lekko zdziwiona Jesmyn przechyliła głowę na bok.

– Zaraz, zaraz... Co?

– No...

– O czym ty właściwie mówisz? – pyta cicho.

Milczę zażenowany.

– Chcesz powiedzieć, że całe moje życie było jednym wielkim kłamstwem? – szepcze Jesmyn z bardzo poważną miną. – A moi biali rodzice nie są moimi prawdziwymi rodzicami?

Nadal nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Jesmyn wybucha śmiechem. Wesołym, jasnym, przypominającym dźwięk srebrnych dzwoneczków.

– Przestań, stary – rzuca. – Czy według ciebie Jesmyn Holder to nazwisko dziewczyny z Filipin?

Nie mogę się powstrzymać i również się śmieję.

– Nie za bardzo się znam na filipińskich nazwiskach.

– Holder. Wiesz, ten, kto coś trzyma.

– No tak, jasne. Cóż...

– Cóż...

– Czyli twoi przodkowie byli... fachowcami od trzymania?

– Może? Pewnie świetnie trzymali miecze, a może gęsi albo podkowy, czy co tam ludzie mogli trzymać w dawnych czasach.

– I okazali się w tym tak genialni, że inni stwierdzili, że warto nadać im takie nazwisko.

Zatrzymujemy się przed lodziarnią.

– A ty? Skąd pochodzą twoje geny? – pyta Jesmyn.

Nawet nie próbuje odpiąć pasa.

– Ojciec jest Irlandczykiem, przyjechał do Stanów z Irlandii. Mama ma w sobie krew Niemców i Walijszyków. Jakoś tak.

– Serio mówisz? Nie wyglądasz na Irlandczyka. Masz ciemne oczy i włosy.

– Tata twierdzi, że jesteś tak zwanymi Czarnymi Irlandczykami.

– I ma ten fajowy akcent?

– W Stanach mieszka od dawna, więc nie tak wyraźny jak kiedyś, ale owszem.

Przyływ wyrzutów sumienia zapiera mi dech w piersi. Eliego nie ma tu przeze mnie, a tymczasem żartuję sobie z jego dziewczyną, gawędzę o tym, skąd pochodzimy. To przecież miała być tradycja Eliego. Zmagam się z wzbierającą falą zawrotów głowy i lęku. Boże, proszę, nie tutaj, błagam w myśli. Nie teraz. Nie chcę dostać ataku w samochodzie przed Bobbie's Dairy Dip, podczas gdy Jesmyn Holder siedzi obok z nogą założoną na nogę. Wpatrzony przed siebie, nabieram głęboko powietrza raz po raz. Głos Jesmyn przywołuje mnie do rzeczywistości.

– Carver, dobrze się czujesz?

Patrzę na nią, lecz moje usta wciąż nie potrafią wypowiedzieć ani słowa. Zastanawiam się, do jakiego stopnia mogę być z nią szczery, ale myśli nadal nie płyną, jak należy.

– Zbladłeś – dodaje Jesmyn. – Naprawdę wszystko w porządku?

Kiwam niepewnie głową i znowu głęboko oddycham.

– Tak... To nic. Jest okej.

– Na pewno? – Jesmyn odpina pas.

Chcę odpowiedzieć, lecz żołądek podchodzi mi do ust, więc tylko unoszę kciuk.

\* \* \*

Czuję się lepiej, kiedy z szejkami w rękach wychodzimy z lodziarni.

– Czy Eli opowiadał ci o wiewiórczym rodeo? – pytam.

Wyjeżdżam z parkingu i skręcam w stronę parku.

Jesmyn obdarza mnie spojrzeniem, jakiego można się spodziewać po wszystkich normalnych ludziach, konfrontowanych zniemacka z terminem „wiewiórcze rodeo”.

– Domyślam się, że nie – podejmuję. – To też była część tradycji. Kupowaliśmy szejki, jechaliśmy do parku i bawiliśmy się w wiewiórcze rodeo. Chodzi o to, żeby utrzymać wiewiórkę na ścieżce.

– Niesamowite. Nie mogę pojąć, dlaczego Eli nie pochwalił się czymś tak fantastycznym swojej nowej fajnej dziewczynie – mówi z pewnym przekąsem Jesmyn.

– To naprawdę świetna zabawa! Może tak nie brzmi, ale jest.

– Mówisz, że lepsza, niż się wydaje? To chyba niemożliwe. – Kącik jej warg drga

w tłumionym uśmiešku.

Ja też się uśmiecham. Jedziemy.

– Powiedz, jak się czujesz? – pytam po chwili.

– Mam kłopoty z zasypianiem – przyznaje Jesmyn.

– U mnie to samo. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś poczuję się normalnie.

– Rozmawiałam o tym z mamą; straciła przyjaciółkę na studiach. Twierdzi, że ten stan musi potrwać i nie ma na to żadnych pigułek ani nic.

Nawet gdyby taki specyfik istniał, nie jestem pewien, czy pozwoliłbym go sobie zaaplikować. Nie wiem, czy na to zasługuję.

– Czyli z twoimi rodzicami można się dogadać? – pytam.

– Jasne.

– Super.

– A ty ze swoimi rozmawiasz?

– Właściwie to nie.

– Dlaczego?

– Oboje są naprawdę w porządku. Przez cały czas zapewniają, że mogę się do nich zwrócić, pogadać i w ogóle. Tyle że... po prostu nie gadam. To jest... dziwne.

Jesmyn zlizuje ze ścianki kubka kropelkę napoju.

– A masz kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać? Oczywiście, czasem rozmawiasz ze mną, ale...

– Mam. Jesteśmy blisko z Georgią, moją siostrą. Z tym że ona niedługo zaczyna studia. Wyjeżdża jakiś tydzień po początku naszego roku szkolnego.

– Chciałabym mieć rodzeństwo w swoim wieku. Mam dwóch braci, Bo i Zeke'a, ale oni są ode mnie starsi o dziesięć i dwanaście lat.

– Rany!

– No właśnie. Obaj żonaci, dzieciaci i tak dalej. W dodatku mieszkają daleko stąd. Praktycznie rzecz biorąc, jestem jedynaczką.

Kiedy dojeżdżamy do parku, zapada zmierzch. Wsiadamy i ruszamy spacerem po alejkach.

– No dobra, czas na wiewiórcze rodeo – zapowiadam.

– Co mam robić?

Tłumaczę.

– Czyli wystarczy, że nie pozwolę jej zbiec ze ścieżki przez osiem sekund? – upewnia się Jesmyn.

– Zgadza się.

Mijamy trzymające się za ręce pary, siedzące wokół piknikowych koszy grupki znajomych, zakochanych robiących sobie zaręczynowe zdjęcia i całujących się, ojców podrzucających na rękach swoje szkraby. Latem w parkach spektakl życia rozgrywa się chyba najbardziej dynamicznie. Zastanawiam się, czy przyjdzie jeszcze kiedyś taki moment, że na widok żyjących normalnie ludzi po prostu się uśmiechnę i pójdę dalej.

Przyglądam się Jesmyn, staram się odgadnąć, o czym myśli. Bez skutku. Wciąż za słabo ją znam.

– Co? – Trąca mnie w bok.

– Nic.

– Ej, mam coś na twarzy?

– Nie.

– Okej. – Jesmyn obniża głos i wskazuje palcem siedzącą na skraju alejki wiewiórkę. Ogon zwierzątka kołysze się miarowo. – Włączaj stoper.

Jesmyn schodzi ze ścieżki i ostrożnie zapędza gryzonia na asfalt. Wiewiórka przebiega kilkadziesiąt centymetrów i się zatrzymuje. Jesmyn podbiega w jej stronę szybkimi drobnymi krokami. Obcasy kowbojek stukają o asfalt zupełnie jak małe końskie podkowy. Rudy gryzoń znowu truchta naprzód, po czym skręca w prawo. Jesmyn zagradza mu drogę ucieczki i przegania z powrotem na ścieżkę.

Przyglądam się jej w żółtej mgiełce kończącego się dnia. Ruchy Jesmyn pełne są naturalnego rytmu, być może dlatego, że jest muzykiem. To dla mnie olbrzymia ulga – wreszcie dostrzegam w czymś piękno.

Ogląda się na mnie z uśmiechem.

– I jak? Ile minęło?

– Co?

– Ty, koleś! Przecież miałeś mierzyć mi czas!

– Miałem napad paniki – wypalam, zupełnie nie wiedząc, dlaczego akurat w tym momencie zebrało mi się na wyznania.

Uśmiech Jesmyn gaśnie; chmura przesłania słońce.

– Teraz? Kiedy mierzyłeś mi czas?

– Nie, nie. Wieczorem, po pogrzebie Blake’a. Prawdziwy atak lękowy. Siostra zawiozła mnie do szpitala.

– Kurde, Carver. – Jesmyn podchodzi do pobliskiej ławki.

Oboje siadamy.

– Teraz jest już w porządku. Lekarka nie przepisała mi żadnych prochów.

– Co wtedy czułeś?

Zaczynam opowiadać, lecz milknę i czekam, żeby przeszła mijająca nas akurat para rodziców z dziecięcym wózkiem.

– Jakbym został żywcem pogrzebany. Jakbym zapadł się pod lód.

– I co? Będziesz się leczyć?

Pochylam się, przeczesuję włosy palcami.

– Może... W zasadzie sam jeszcze nie wiem. Chyba zaczekam, czy coś takiego się powtórzy, a jeśli tak, to chyba z kimś porozmawiam.

– Z psychiatrą czy kimś w tym guście?

– Bardzo bym nie chciał.

– Na twoim miejscu właśnie tak bym zrobiła.

– A ty z kimś rozmawiasz? W sensie, ze specjalistą?

– Nie, tylko z rodzicami, ale gdyby dręczyły mnie takie napady, na pewno bym się zgłosiła do lekarza.

Przez chwilę siedzimy bez słowa.

– Przepraszam, że zepsułem ci wieczór – odzywam się. – Miało być fajnie. Trochę bardziej normalnie. Chciałem podtrzymać tradycję.

– Przecież znałeś Elięgo. Naprawdę sądzisz, że wszystkie nasze randki były urocze, słodkie i pełne uśmiechów?

– Nie.

– Oczywiście, dzisiaj nie jesteśmy na randce – dodaje Jesmyn.

– Wiem. – Czerwienieją mi policzki, ale na szczęście ona nie zauważa mojego zażenowania.

– Często gadaliśmy o naprawdę ważnych sprawach. Nie boję się szczerych rozmów.

– Ja też nie.

– W takim razie nasza znajomość ma jakąś szansę.

– Żywię taką nadzieję.

Otula nas przyjazne milczenie, wpatrujemy się w ciemniejące niebo, podziwiamy zachód słońca. Wieje lekki wietrzyk, ostatnie westchnienia dnia układającego się do snu.

Kiedy się wreszcie odzywam, nie robię tego, by przerwać milczenie, lecz dlatego, że naprawdę mam coś do powiedzenia.

– Babcia Blake’a zaprosiła mnie do siebie na cały dzień. Chce zrobić ze mną to, co zrobiłaby z nim, gdyby wiedziała, że to jego ostatni dzień życia. Chce odtworzyć jego osobowość, poznać jego historię, coś w ten deseń.

– Jak konkretnie miałyby się to odbyć?

– Nie wiem. To będzie mój pierwszy raz.

– Dość wymagające zadanie. Wiesz, emocjonalnie.

– Jasne, sporo o tym myślałem.

– I zgodzisz się?

– Nie jestem pewien.

Mam ochotę wyznać, jak ogromny głód rozgrzeszenia mnie dręczy. Tyle że w ten sposób przyznałbym się jednocześnie do winy, a dręczące mnie poczucie winy to jak dotąd moja tajemnica. Ukryte pod poduszką pudełko z węzami. Chciałbym jej powiedzieć, że boję się, iż nie dam rady należycie opowiedzieć historii Blake’a.

Przemija kilka kolejnych chwil.

– Byłaś kiedyś na plaży w listopadzie?

Jesmyn kręci głową.

– Ja byłem raz. Ciotka brała ślub nad morzem, w Karolinie Północnej. Właśnie w listopadzie. Oboje z Georgią byliśmy strasznie podjarani, że jedziemy na plażę. Spakowaliśmy kostiumy kąpielowe i w ogóle.

– A przypadkiem nie jest wtedy trochę za zimno?

– Rodzice też nam to tłumaczyli, ale kto by ich słuchał. W każdym razie, kiedy dotarliśmy na miejsce, wszystko było pozamykane. Ani żywego ducha. Na plaży panował przenikliwy ziąb. Chociaż nie dało się tego stwierdzić na pierwszy rzut oka. Nad morzem nie widać nagich drzew ani niczego w tym rodzaju. Ocean wygląda jak zawsze, piasek też. Równie dobrze mogłoby być lato. Jedyłą różnicą był kompletny brak ludzi i te zamknięte sklepy. Przygnębiający widok, obraz samotności.

Jesmyn zakłada za ucho niesforny kosmyk.

– Domyślam się.

– Właśnie coś takiego noszę teraz w sercu – listopadową plażę.  
– Chodźmy. – Podnosi się z ławki.  
– Chcesz wracać do domu?  
– Nie. Chciałabym zobaczyć panoramę miasta, drapacze chmur. Jeszcze się nie napatrzyłam.

Przenosimy się na przeciwległy kraniec parku, do miejsca, skąd roztacza się widok na centrum Nashville. Światła w oknach wieżowców mrugają zza zasłony przesyconego wilgocią powietrza. Jesmyn siada na trawniku.

– Nie boisz się kleszczy? – pytam.  
– Jakoś nie.  
– Cóż, jak cierpieć, to nie indywidualnie. – Opadam na trawę obok Jesmyn. – Chyba już wiem, dlaczego Eli tak bardzo cię lubił.

– Tak?  
– Czasami posługujesz się słowami jak muzyk, który wplata w utwór jakiś zaskakujący akord.

– Przecież nie mogę ci mówić złych rzeczy. W końcu wzbogaciłeś moje życie. Pokazałeś mi wiewiórcze rodeo. – Uśmiecha się nieznacznie.

– Często rozmawialiście z Elim o muzyce?  
– Czy dziewięćdziesiąt procent czasu to często?  
– Gadając ze mną, musisz się czuć jak na tej plaży w listopadzie.  
Jesmyn kręci głową i spogląda na budynki strzelające pod szare niebo. Dokądś odpływa niczym udręczony duch.

Wpatruję się w jej rysy.  
– Jeżeli powiedziałem coś głupiego, to przepraszam.  
– Nie powiedziałeś.  
– To co się stało?  
– Boję się – przyznaje, nie odrywając oczu od panoramy miasta. Nabiera głęboko powietrza. – Za dwa dni zaczyna się szkoła, a ja wcale nie czuję się gotowa.

– Ja też nie.  
– Chociaż straciłam Elię, zyskałam niespodziewanego przyjaciela. A jednak i tak jestem przerażona.

– Ja z kolei mam znacznie mniej przyjaciół, niż się spodziewałam. Rozumiem cię. Jesmyn zmienia pozycję, siada po turecku. Zaczyna zrywać żdźbła trawy.

– Teraz w dodatku boję się, że umrę, zanim zdążę zrobić wszystko, co sobie wymarzyłam. Siedemnaście lat to stanowczo za mało. Nie nauczyłam się jeszcze wielu pięknych utworów. Chcę nagrywać płyty, koncertować. Nigdy przedtem nie panikowałam na myśl o śmierci.

– Mam to samo. Wiesz, czasami patrzę na półki z książkami i myślę, że pewnego dnia umrę i nie przeczytam ich wszystkich. Mogę przegapić tę najważniejszą i nigdy się o tym nie dowiem.

Jesmyn delikatnie zdejmuje z mojego rękawa biedronkę.

– Pójdiesz ze mną pierwszego dnia do szkoły? Wejdziemy razem do środka?  
– Właśnie chciałem cię poprosić o to samo.

Jesmyn uклада się na trawie. Splata dłonie pod głową. Ja się nie ruszam.

– Mam pomysł... – mówi półgłosem.

– Tak?

– Powinniśmy się umówić, że nie wszystkie nasze rozmowy będą dotyczyć przeszłości.

– To chyba dobry pomysł. – Cieszę się, że to zaproponowała. Mnie zabrakłoby odwagi, bo nie sędzę, abym miał prawo.

– Z tego wcale nie wynika, że o nich zapomnimy, że staną się mniej ważni. Musimy jednak żyć dalej.

Po przylegającej do parku ulicy pędzi samochód, z otwartych okien bije huczająca muzyka. Nieopodal przechodzi grupka siedmiu czy ośmiu studentów. Zaśmiewają się, rozmawiają. Mija nas kolejna para młodych rodziców. Ojciec niesie na barana zmęczonego synka.

Noc opada na świat niczym gruby pled. Miasto zmienia się w gwiazdozbiór elektrycznych świateł. Za każdą z tych żarówek kryje się ręka, która nacisnęła przycisk. Dłoń powiązana z ludzkim umysłem, kryjącym w sobie cały wszechświat mitów i wspomnień, dzieje miłości i cierpienia.

Zewsząd otacza nas życie. Pulsujące, pomrukujące. Nieustannie obracający się, zamknięty krąg. W jednym miejscu światło gaśnie, gdzie indziej się zapala. Korowód śmierci. Korowód życia. Żyjemy, a potem już nas nie ma.

Następstwo końca i początku – jedyna nieskończoność.

## Rozdział jedenasty

Zaraz po powrocie do domu piszę SMS do Jesmyn.  
*Świetnie się dziś bawiłem.*

Kurczę, trzeba było odczekać. Nie chcę wyjść na świra. Ale jednocześnie zyskałem głęboką świadomość, że jeżeli chce się komuś o czymś powiedzieć, trzeba to zrobić jak najszybciej.

Odpowiedź przychodzi po kilku sekundach: Ja też.  
*Powtórzmy to niedługo. Dobrze było pogadać.*

*Zdecydowanie.*

Na krótką chwilę wypełnia mnie światło. Płynne, różanozłote, ciepłe – nie jestem pewien, jak nazwać barwę stanowiącą przeciwieństwo koloru samotności.

I znów zaczynam się zastanawiać, czy Eli, dokądkolwiek trafił, czy widzi, że piszę SMS-y do jego dziewczyny, w których wyznaję, że świetnie spędziłem z nią czas. Bez niego. Mam nadzieję, że tego nie widzi. Mógłby sobie coś pomyśleć.



## Rozdział dwunasty

Jestem w domu. Zaczął się ostatni dzień przed szkołą. Szykuję się i zbieram w sobie przed spotkaniem z prawnikiem, które ma się odbyć już za kilka godzin. Czuję przypływ odwagi. Jestem gotów powiedzieć babuni Betsy: „Tak, zrobimy to. Pożegnamy go. Mam w sobie dość siły. Dam radę”.

Jadę do niej, parkuję, wysiadam i podchodzę do drzwi. W tym momencie oblatuje mnie strach. Zupełnie jakby odwaga splątała mi głupiego figla.

Zastanawiam się, czy i tak nie zapukać. Mógłbym sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy. Przecież wcale nie musimy rozmawiać o Blake’u. Boję się jednak, że staruszka wspomni o swoim pomysle. Zobaczy w moich oczach strach, wyczuje smród poczucia winy. Wycofuję się więc ukradkiem z nadzieją, że Betsy po prostu o wszystkim zapomni.

## Rozdział trzynasty

Wyłożona dębową boazerią poczekalnia kancelarii adwokackiej pachnie obitymi skórą fotelami, lekko zatęchłym starym papierem i tytoniowym dymem. Poprzedni klient musiał być palaczem. Ściany upstrzone są zdjęciami golfistów i obrazami przedstawiającymi myśliwskie psy z martwymi ptakami w pyskach. Na stoliku leżą te same czasopisma co wszędzie (magazyny sportowe, popularne tygodniki, coś dla pań), lecz żadne z nas nie czyta. Beznadziejny sposób na spędzenie ostatniego wolnego dnia przed szkołą. Od jakiegoś czasu całe moje życie jest raczej beznadziejne.

Siedzę między mamą a tatą. Ojciec wierci się w fotelu – to zakłada nogę na nogę, to siada prosto. Opieram łokcie na lekko drżących kolanach i gapię się na stary drewniany parkiet. Mama delikatnie masuje mnie po karku. Dotyk przynosi nieco ukojenia. Georgia, dzięki Bogu, jest w pracy. Tutaj siedziałaby cała podminowana, a jej emocje natychmiast by mi się udzieliły.

Jedynym dźwiękiem w poczekalni jest postukiwanie uderzających o ekran komórki, perfekcyjnie zadbanych i wystylizowanych paznokci recepcjonistki piszącej SMS.

\* \* \*

– *Prawnicy, tfu. – Mars przysuwa sobie krzesło i siada naprzeciwko mnie.*

– *No – odpowiadam.*

– *Stary, ja mówię poważnie. Znam się na tym.*

– *Jasne, wiem. Ojciec.*

– *Ojciec i brat, nie zapominaj o bracie. Jest kropka w kropkę jak mój stary. Zwykle atakują mnie stadnie i stosują te swoje prawnicze sztuczki w najbardziej nieprzewidzianych sytuacjach.*

– *Jakiś przykład?*

– *Gramy w grę planszową i ojciec mówi do brata: „Ej, Marcus, takiego ruchu nie możesz wykonać”, na co braciszek odpowiada: „Owszem, mogę, ponieważ jeśli wziąć pod uwagę ogólną strukturę reguł, można wywnioskować zawartą w nich implicite intencję zezwolenia graczowi na wykonywanie właśnie tego rodzaju posunięć”. Kolej na ojca: „Coś tam, coś tam... ale sama litera przepisów jeszcze nie... coś tam, coś tam”. Nie pamiętam dokładnie.*

– *Pozwól, że zgadnę. Bez względu na to, który z nich zwycięża w dyskusjach, zawsze i tak przegrywasz ty.*

– *Trafiony, zatopiony.*

– *Sam widzisz, a ja siedzę w biurze takiego prawnika i czekam, by mi powiedział, w jaki sposób będzie się spierał z innym prawnikiem, żeby ocalić mi dupę. Nie wiem, który*

*z nich wygra. Wiem za to, że ja tak czy inaczej przegram. W pewnym sensie.*

*– Zgadza się.*

*– Jeden z nich zwycięży, a ja przegram.*

*– Właśnie to powiedziałem.*

*– Ty to zawsze potrafisz poprawić mi humor.*

*– Staram się, jak mogę.*

*– Do dupy.*

*– Wiem. – Mars rzuca mi ten swój krzywy uśmiezek i poprawia okulary.*

*– Może powinniśmy się spotkać i jakoś z tego wymiksować.*

*– Ja już się wymiksowałem.*

*– Celna uwaga. Powiedz, jak się czujesz? Dobrze ci tam, dokąd trafiłeś?*

*Mars zniknął.*

*\* \* \**

Na końcu krótkiego korytarzyka otwierają się drzwi. Pewnym, zawadiackim krokiem wychodzi z nich facet przypominający człekokształtnego kojota. Ma lodowate błękitne oczy i wytatuowaną twarz. Wygląda jak typowy gangster. Za nim pojawia się wysoki, zażywny mężczyzna o bujnych, nieco przydługich siwych włosach. Ubrany jest w trzyczęściowy szary garnitur.

– Panie Krantz, czeka na pana Carver Briggs – zwraca mu uwagę recepcjonistka.

Prawnik okrąża jej biurko i podchodzi do nas z wyciągniętą dłonią. Wstajemy i się z nim witamy.

– Dzień dobry. Nazywam się Jim Krantz, ale mówcie mi Jimmy. Miło mi państwa poznać. Tędy proszę – mówi słodkim, lepkim tonem.

Wchodzimy do niewielkiej salki konferencyjnej. Okrągły mahoniowy stół. Regały zastawione oprawionymi w zielone i brązowe płótno książkami prawniczymi z wytłoczonymi na grzbietach złotymi tytułami. Kolejne skórzane fotele, zielone lampy bankierskie. Następne malowidła i zdjęcia – łowiectwo, golf.

– Siadajcie, siadajcie. – Pan Krantz zaprasza nas gestem. Przysuwa sobie fotel, usadawia się w nim z cichym pomrukiem, wciska na nos okulary do czytania i sięga po notatnik i zapewne kosztowne, złote wieczne pióro. – No dobrze, w czym mogę pomóc?

Siedzę jak oniemiały. Tata odchrząkuje, po czym opowiada panu Krantzowi o Wypadku i sędzim Edwardsie, który złożył doniesienie do prokuratury.

Pan Krantz potakuje i od czasu do czasu coś zapisuje. Wreszcie opiera się wygodniej i spogląda na mnie.

– Okej, synu. Teraz ty mi o tym wypadku opowiedz. Jaka, jeśli w ogóle, odegrałeś

w nim rolę? Czytałem o tej kraksie w gazecie, ale nie pamiętam, czy wspominali o przyczynach. Zdaje się coś z komórką? Jakies SMS-y?

Znów zaczynają mi drżeć nogi. Odbija mi się kwaśną flegmą. Przetykam i biorę głęboki łyk powietrza.

– Byłem w pracy. Umówiłem się, że Blake, Mars i Eli zajadą po mnie, wracając z galerii Opry Mills, gdzie byli w kinie, w IMAKS-ie. Chcieliśmy pojechać do parku. Napisałem do Marsa: Gdzie jesteście, chłopaki? Dajcie znać. To wszystko.

– Kto prowadził?

– Mars. Mars Edwards.

– Czyli syn Freda Edwardsa?

– Tak.

– Odpisał ci?

– Nie, ale na jego telefonie znaleźli niedokończony SMS... już po tym, jak... jak...

– Okej, rozumiem – przerywa cicho pan Krantz i patrzy mi w oczy. – Posłuchaj, Carver, cała nasza rozmowa objęta jest tajemnicą adwokacką. Oznacza to, że nikt nie może cię zmusić, abys im cokolwiek o niej powiedział. Dotyczy to również twoich rodziców, ponieważ są koniecznymi uczestnikami obrony. Ten przywilej ma na celu umożliwienie nam całkowitej wzajemnej szczeroci i otwartosci po to, bym, o ile zajdzie taka potrzeba, mógł cię bronić jak najbardziej skutecznie. Czy to jasne?

Potakuję.

– Dlatego jestem zmuszony zapytać: czy pisząc do Marsa, miałeś świadomość, że zechce ci odpisać?

Czuję się, jakbym miał za moment pośliznąć się na lodzie. Mrugam, żeby powstrzymać łzy, lecz kilka z nich i tak wypływa na policzki.

– Tak.

– A czy wiedziałeś, że Mars będzie prowadził samochód?

– Domyślałem się – odpowiadam szeptem

Boli mnie, że mówię to w obecności rodziców. Wiem, że poczują się mną rozczarowani.

– Dlaczego napisałeś właśnie do Marsa, a nie do jednego z pasażerów?

– Eee... – zaczynam się rozpadać.

– Spokojnie. Nie ma pośpiechu.

– Bo... Bo Mars zawsze odpisywał najszybciej, nawet gdy prowadził. Niecierpliwiłem się. Nie pomyślałem.

Łza kapie na zieloną wykładzinę i leniwie rozplywa się na boki. Mama gładzi mnie po karku.

– Rozumiem – rzuca półgłosem pan Krantz i znów odchyła się w fotelu.

Odkłada pióro na stół, zsuwa z nosa okulary i przygryza oprawki. Wygląda na głęboko zamyślonego. Daje mi szansę dojsć do siebie. A przynajmniej spróbować.

– Przecież to oczywiste, że Carver nie chciał nikogo skrzywdzić – odzywa się mama. – To jakiś absurd.

– Cóż... Tak i nie – odpowiada adwokat, wciąż trzymając okulary w ustach.

Wstaje z miejsca, podchodzi do regału i zdejmuje z półki zieloną książkę. Znów

zakłada okulary i szybko wertuje tom. Wraca na fotel.

– Proszę państwa, nie zamierzam lukrować. W kodeksie karnym stanu Tennessee istnieje pojęcie zabójstwa wskutek zaniedbania. Dawniej nazywało się to mimowolnym pozbawieniem życia. Dochodzi do niego, kiedy ktoś podejmuje „poważne i nieuzasadnione ryzyko”, nie dbając o to, że jego czynności „stanowią rażące odstępstwo od ogólnie przyjętych zasad ostrożności, jakich dochowałyby w podobnej sytuacji przeciętna osoba”.

Nie do końca rozumiem, ale jasne jest dla mnie znaczenie zwrotów „nieuzasadnione ryzyko” i „rażące odstępstwo”. W skurczonym żołądku rozlewa mi się fioletowy palący ogień.

– Mogę prosić o przekład na ludzki język? – Tata pociera skronie. – Cholera, wykłada człowiek literaturę, a nie rozumie kilku prawniczych reguł.

Pan Krantz ponownie ściąga okulary.

– W skrócie chodzi o to, że ktoś ma świadomość, iż jego czyn może doprowadzić do czyjejś śmierci, a i tak się na niego decyduje. Intencje nie mają tu nic do rzeczy. Nie trzeba chcieć zabijać. Ostatnio wśród prokuratorów panuje na ten paragraf swoista moda. Na przykład w Massachusetts próbowano skazać za morderstwo pewną dziewczynę, która zachęcała SMS-em przyjaciółkę do samobójstwa. Tutaj mamy do czynienia z podobnym problemem.

Moje wnętrzości próbują się schować w udach. W salce zapada natarczywe milczenie, agresywne niczym chmura toksycznego gazu.

– Dlatego właśnie nie mamy do czynienia z absurdem. Oskarżyciel zrobi wszystko, by wycisnąć z Carvera dokładnie te słowa, jakie usłyszeliśmy od niego przed chwilą. Naturalnie, nie musi o niczym opowiadać, ponieważ dzięki piątej poprawce do konstytucji oskarżony nie ma obowiązku składać obciążających go zeznań. – Pan Krantz wbija we mnie spojrzenie, w którym pobłyskuje nadzieja. – Nie rozmawiałeś o tym z nikim, prawda?

– Nie do końca... – Kręcę głową.

Brew adwokata wędruje ku górze.

– Po pogrzebie Blake’a dopadł mnie pewien dziennikarz. Powiedział, że skierował go do mnie sędzia Edwards.

– I powiedziałeś mu, że...

– Że naprawdę nie wiem, co się stało. Że tamtego popołudnia wysłałem SMS do Marsa.

– Edwards, ty cwany skurczybyku. – Pan Krantz przygryza oprawki. – Sędzia wiedział, że może cię nakłonić do dobrowolnego przyznania się do winy, a ponieważ dziennikarz nie jest przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości, treść rozmowy z nim będzie można dołączyć do materiału dowodowego. Rozmawiałeś z kimś jeszcze?

– Nie.

– Masz dziewczynę?

– Co...? Nie. To znaczy mam przyjaciółkę.

– Niczego jej nie mów. Ani słowa.

– Okej.

– Jakie są szanse, że prokuratura zdecyduje się nie wnieść oskarżenia? – pyta ojciec.  
Pan Krantz nadyma policzki i głośno wypuszcza powietrze przez usta.

– Sędzia Edwards bywa niekiedy nieprzejednany.

– Zdażyliśmy się zorientować – wtrąca mama.

– Pewną rolę mogą tu odegrać delikatne kwestie polityczne. Prokurator okręgowy Karen Walker będzie w przyszłorocznych wyborach ubiegać się o następną kadencję. Potrzebuje głosów czarnoskórych mieszkańców hrabstwa Davidson, aby wygrać. Właśnie na tych ludzi olbrzymi wpływ ma sędzia Edwards. Z politycznego punktu widzenia Walker może upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zyska przychylność Edwardsa i głosy jego czarnoskórych zwolenników, a ponadto zagra pod publiczność, podkreślając zagrożenie, jakim jest dla nastolatków pisanie SMS-ów w trakcie prowadzenia samochodu. Taka sprawa może na nią zwrócić uwagę nawet ogólnokrajowych mediów. Niewykluczone, że Walker zechce w przyszłości startować w wyborach do senatu czy na gubernatora stanu. Sporo ugra dzięki samemu wniesieniu oskarżenia, nawet jeśli Carver zostanie ostatecznie uniewinniony. A jak mówi stare powiedzenie, dobry prokurator potrafi wytoczyć sprawę nawet bułce z szynką.

– Do jasnej cholery, przecież to jawna paranoja – rzuca cichym, rozedrganym głosem tata.

Jeszcze nigdy nie słyszałem u niego takiego tonu. Pojawił się w nim lęk i teraz sam zaczynam się bać.

– Zgoda – odpowiada pan Krantz.

– Co w tej sytuacji mamy robić? – pyta mama.

Adwokat pochyla się naprzód i opiera łokciami o stół. Splata dłonie przed sobą.

– Teraz trzeba zaczekać. Zobaczymy, co postanowi prokuratura. Tymczasem Carverowi nie wolno absolutnie z nikim rozmawiać na ten temat, jeśli mnie przy tym nie będzie. Z nikim, rozumiesz? Jeśli gliny zapytają cię o ulubiony kolor, będziesz milczeć, dopóki nie przyjadę.

– Dobrze.

– I przez cały czas będzie musiał żyć ze świadomością zagrożenia – dodaje tata.

– Niestety – stwierdza pan Krantz. – To bardzo nieprzyjemna sytuacja.

– Nie powie pan nic pocieszającego? – doprasza się mama.

Adwokat wyciąga nogi przed siebie, splata dłonie na karku i przygryza wargę.

– Carver nie jechał tym samochodem.

\* \* \*

Spotkanie dobiega końca i wychodzimy. Tata idzie po mojej prawej stronie, mama z lewej.

– Przepraszam was. – Zwieszam głowę.

Tata obejmuje mnie.

– Nie masz za co przepraszać. Przecież nikogo rozmyślnie nie skrzywdziłeś.

– Wypadki chodzą po ludziach – dodaje mama. – Także te straszliwe.

– To musi was kosztować fortunę – zauważam.

– Tym też się nie przejmuj – rzuca tata.

– Ile będziecie musieli mu zapłacić?

– Nieważne – zapewnia mama.

– Dla mnie ważne.

– I tak masz się czym martwić – wyręcza ją tata.

Zdejmuje dłoń z mojego ramienia i tarmosi mi włosy.

Do tej pory byłem po prostu ciekawy. Teraz jednak muszę się dowiedzieć.

– To ja nas w to wpakowałem. Wydaje mi się, że mam prawo zapytać.

Tata unika mojego wzroku.

– Słuchaj, na razie skup się na szkole. Ucz się dobrze i postaraj się wywalczyć stypendium. Możesz nam pomóc w ten sposób.

Przystaję. Rodzice zatrzymują się i odwracają dopiero po kilku krokach.

– Ile? – syczę przez zęby.

Daję im do zrozumienia, że jeśli mi nie powiedzą, nigdzie się stąd nie ruszę.

Wymieniają się spojrzeniami. Mama kiwa niepewnie głową, jakby chciała powiedzieć „skoro musisz”. Ojciec przeciera twarz dłonią.

– W sumie, wliczając wszystkie koszty, sto, sto pięćdziesiąt. Tak mi powiedziano.

– Tysięcy?! – W mojej głowie dochodzi do oślepiająco jasnej, gorącej eksplozji.

– Tylko jeżeli przegramy proces i będzie trzeba wnieść apelację – tłumaczy mama.

– Ale i tak... – Oszołomiony przymykam oczy.

– W razie czego zastawimy dom – dodaje tata.

– Czyli dom też możemy stracić?

– Nie martwmy się na zapas – odpowiada.

– Właśnie, nie wolno się nastawiać na najgorsze. Trzeba myśleć pozytywnie – zauważa mama.

Pozytywnie? Do głowy przychodzi mi tylko jedno: mam przesrane.

\* \* \*

Rzucam się na łóżko i piszę do Jesmyn.

*Totalna kaszana. Smród jak stąd do wieczności.*

Po kilku minutach przychodzi odpowiedź. Emotikon zafrasowanej buźki i tekst: Ściskam cię mocno. Chcesz o tym pogadać?

W telegraficznym skrócie: mogą mnie oskarżyć o nieumyślne zabójstwo.

*Serio????????? Kurde.*

W dodatku wszystko będzie nas kosztowało gazylion dolców. Całą rodziną skończymy pod mostem.

*Gdybym tam była, mocno bym cię przytulila.*

*Chętnie bym na taką rekompensatę przystał.*

*Jutro rano. Kiedy po ciebie przyjadę.*

*Trzymam za słowo.*



## Rozdział czternasty

Godzina siódma siedemnaście. Pierwszy dzień roku szkolnego. Jesmyn powinna się pojawić za trzy minuty. Obudziłem się o trzeciej pięćdziesiąt siedem. Jestem pewien, że jeśli piekło istnieje, potępięcy trwają tam w stanie wiecznego oczekiwania na ważne wydarzenie z ponad dwugodzinnym zapasem. Nawet nie musi im towarzyszyć świadomość, że mogą trafić do więzienia oraz że przez cały dzień wszystko będzie im przypominać o śmierci i żałobie. Od dnia ostatniego pogrzebu nic tak nie kierowało moich myśli do członków Brygady Sos jak właśnie szkoła. Nie mam pojęcia, jak zareaguję.

To są złe strony. Dobrą jest fakt, że Jesmyn przyjedzie już za trzy – nie, za dwie minuty. Cieszę się na myśl o naszym spotkaniu, mimo że także z jej powodu dręczyła mnie bezsenność. Kończę jeść śniadanie w swoim pokoju. Strząsam kilka okruchów na podłogę. W uchylonych drzwiach pojawia się głowa Georgii.

– Czas do szkooooly! – woła. – O! Widzę, że ktoś się tu wystroił!

Koszulę, którą najczęściej noszę na wierzchu, włożyłem dziś w spodnie. Narzuciłem sportową marynarkę. Ułożyłem włosy na tyle starannie, na ile się dało.

– Wiesz, pierwszego dnia trzeba jakoś wyglądać – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem.

– Szacun, braciszku. Czy nie idziesz czasem na ósmą? Chyba powinieneś się zbierać.

– Jesmyn po mnie przyjedzie.

– Wiesz, nie znam jej, ale cieszę się, że się przyjaźnicie.

– Ja też. Polubiłabyś ją.

– Szkoda, że poznaliście się w takich okolicznościach, ale...

– Fakt.

– Jak się dziś czujesz?

– Obudziłem się o czwartej.

Georgia opiera się o futrynę.

– Kurczę, Carver...

– Bez przerwy myślałem. Za nic nie mogłem przestać.

– Jesteś chyba jedynym siedemnastolatkiem na świecie, który cierpi na taką przypadłość.

– Cóż. – Wzruszam ramionami.

– A nie mogłeś sobie... No wiesz... ulżyć? Chyba faceci tak pomagają sobie zasnąć, nie?

– A jeśli ci powiem, że nie pomogło, choć zrobiłem to dwa razy?

– Fuuuuu! Jesteś obleśny.

– Nie ja poruszyłem ten temat. Masz za swoje.

Przed domem zatrzymuje się odrapany biały pikap Jesmyn. Widzę przez okno, jak pochyla się w siedzeniu. Pewnie przerzuca szpargały na tył. Zrywam się z łóżka i łapię plecak. Georgia schodzi mi z drogi.

– Chodź no tu – mówię. – Przytul braciszka na drogę.

Siostra się wzdryga, cofa i unosi nogę, jakby chciała odpędzić mnie kopniakiem.

– Nie, z боку. Trzymaj te swoje oślizłe łapska ode mnie z daleka.

Co prawda mama jest jeszcze w sypialni, ale uciszam Georgię, przykładając palec do ust.

– Ej, ja tylko żartowałem.

Siostra obejmuje mnie ostrożnie, z grymasem obrzydzenia na twarzy.

– Wcale nie żartowałem – szepczę jej na ucho.

Odpycha mnie.

– Wiesz co? Przynajmniej przy Jesmyn nie bądź taką świnią.

Rozciągam wargi w nienaturalnie promiennym szerokim uśmiechu i odpowiadam monotonnym głosem automatycznej sekretarki:

– Firmie „Carver i spółka” bardzo zależy na państwa opinii. Cieszymy się, że zechcieliście się z nami podzielić wrażeniami ze współpracy! Niestety, obecnie wszystkie linie są zajęte i nie jesteśmy w stanie przyjąć ani jednego słowa krytyki!

– Najlepsze w tym żarcie jest, że nigdy się nie starzeje.

– Nie to co ty. – Puszczam oko do Georgie.

– Dobra, miło było, ale się skończyło. Udanego pierwszego dnia, matołku.

– Miejmy nadzieję. Postaram się. Cześć, mamó! – wołam w kierunku sypialni rodziców.

Tata pojechał już na Uniwersytet Belmont, gdzie wykłada. Ja zaczynam dziś rok szkolny, on – akademicki. Mama, ubrana i umalowana, wychodzi z pokoju i zatrzymuje mnie tuż przed drzwiami. Przytula mnie, całuje w policzek. Pachnie jakimś tanim kremem do twarzy. Mimo że czuć w nim chemię, zapach jest przyjemny.

– Miłego dnia, kochanie – żegna mnie z nutą smutku w głosie.

Być może pomyślała o dwóch innych matkach i jednej babci, które nie mają dziś kogo wyprawić do szkoły.

Na chodniku przypominam sobie, że w samochodzie Jesmyn nie działa klimatyzacja, i zdejmuję marynarkę. Otwieram drzwiczki, wsiadam. Wewnątrz panuje znacznie większy porządek niż poprzednio. Odnoszę nawet wrażenie, że ktoś odkurzył fotele. W powietrzu unosi się woń wanilii. Jesmyn wybrała na dziś obcisłe czarne dżinsy, czarne botki i westernową koszulę z błękitnego dżinsu. Widok jej nieskazitelnej stylizacji sprawia, że moje tłące się gdzieś pod powierzchnią zdenerwowanie wskakuje na nieco wyższy poziom. Jasne, myślę, naprawdę zaczyna się szkoła. Nie, żebym zapomniał, ale...

– Od dzisiaj możesz mnie nazywać Miss Punktualności – odzywa się Jesmyn. – Brawo ja! Ach, zdaje się, że coś ci obiecałam. – Nachyla się i kilka sekund trwamy w uścisku.

Moje zdenerwowanie jednocześnie ustępuje i wyostrza się, zmienia charakter.

– Świetnie wyglądasz – chwale, zapinając pas.

Ruszamy sprzed domu.

– Dzięki. Sama byłam zdziwiona, że wcisnęłam się w te spodnie. Mama przyrządziła mi moje ulubione śniadanie i bałam się, że rozedmie mnie jak balon.

– A co jadłaś?

– Placki pszenne, owsiankę, kilka plastrów szynki i świeżo wyciskany sok pomarańczowy.

– To dość zabawne, że akurat takie śniadanie lubisz najbardziej.

– Dlaczego?

Kurde. Mogłem pomyśleć, zanim się odezwałem.

– Bo...

– Bo jestem azjatyckiego pochodzenia, a lubię żarcie z południa Stanów? Koleś, ja pochodzę z Tennessee, z Jackson. Rasista!

Ech, jak zwykle wyszedłem na durnia.

– Nie, przepraszam. Naprawdę nie o to mi chodziło. No, może troszeczkę, ale przysięgam, że nie miałem na myśli niczego złego.

Jesmyn wybuchła śmiechem.

– Ej, nabijam się z ciebie. Chociaż to naprawdę była rasistowska uwaga.

– Serio nie chciałem cię urazić.

– Nie przeżywaj.

– Czasami zdarza mi się palnąć głupotę, zwłaszcza gdy się denerwuję.

– Masz szczęście, że właśnie nie jedziesz do nowej szkoły w obcym mieście. – Milknie na moment, uśmiecha się krzywo, po czym dodaje: – W gnieździe rasistów.

– Zasłużyłem sobie. – Opuszczam szybę i wysuwam łokieć na zewnątrz. – Denerwuję się właśnie dlatego, że nie idę do nowej szkoły. Wszyscy wiedzą, co się stało. Będą się gapić i szeptać. – Lekko dotąd bulgocące we mnie jeziorko stresu zaczyna powoli wrzeć.

– Eli mówił, że towarzystwo jest raczej w porządku.

– Owszem, zazwyczaj. – Zazwyczaj, czyli wtedy, gdy Adair nie sączy w ich umysły swojego jadu. Przekręcam kratkę wentylatora tak, by ciepławe powietrze owiało mi twarz.

– Zauważyłaś, że ilekroć się spotykamy, pocimy się jak myszy?

– Może dlatego, że zawsze spotykamy się w sierpniu?

– Słuszna uwaga.

– Dotąd miałeś Brygadę Sos, teraz masz Brygadę Pot.

– Brygada Pot... Niezłe – mówię, pozwalając, by te słowa roztopiły mi się w ustach niczym kostki lodu.

Upajam się ich smakiem.

– Ciekawe, czy mamy jakieś wspólne zajęcia. – Jesmyn zmienia temat. – Sprawdzimy?

Wyciągam plan lekcji i czytam na głos:

– Rozszerzony angielski, kreatywne pisanie, kółko krytyki literackiej, przerwa, rozszerzona historia, kurs pedagogiczny i rozszerzona biologia. A ty?

Jesmyn sięga po plecak, lecz odruchowo łapię ją za rękę.

– Może nie w trakcie jazdy.

– Spokojnie – mówi cicho. – Tylko chciałam ci podać.

Wręcza mi plecak, wyjmuję jej plan i widzę: teoria muzyki i czytanie nut *a vista*, fortepian, przerwa, chór, matematyka, joga.

– Cóż, niewiele się pokrywa.

Wcale się nie dziwię. Rzadko uczęszczałem na te same zajęcia, co Eli, Blake czy Mars. Eli zwykle wybierał mnóstwo kursów muzycznych, Mars koncentrował się na

zajęciach plastycznych. Blake'a spotykałem czasem na lekcjach z literatury, ale on częściej uczył się nowoczesnych mediów. Wsuwam kartkę z powrotem do plecaka.

– Spotkamy się na długiej przerwie? Moglibyśmy zjeść razem lunch.

– Nie, bardzo chcę przeżyć ten filmowy moment, gdy kroczę z pełną tacą przez stołówkę i nikt nie pozwala mi się przysiąść – rzuca ironicznie Jesmyn, po czym nastawia głośniej radio. – To jedna z moich ulubionych piosenek.

– A co to?

– *Avalanche* Leonarda Cohena.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

W tej chwili na twarzy Jesmyn pojawia się wzorcowy wyraz skrajnego niedowierzania.

– Cooo? O, stary! Koniecznie musimy to naprawić. Przecież piszesz, a jego teksty są po prostu najlepsze.

– Nie bardzo znam się na muzyce. Słucham głównie tego, co podsunęli mi Eli, Georgia i inni.

– Łapię. W takim razie zaczniesz teraz słuchać muzyki, którą ja ci podsunę.

– Dobra. Najzabawniejsze jest to, że mój tata pisał kiedyś teksty piosenek. Właśnie z tego powodu przyjechał do Stanów. W latach dziewięćdziesiątych zamieszkał w Nashville i napisał nawet w miarę popularny przebój.

– Poważnie?

– Aha.

– Nie nabijasz się?

– Piosenka miała tytuł *When My Heart's Torn Up*. Ojciec napisał tekst do spółki z Bowie Lee Danielsem, który ją wykonywał.

Jesmyn klepie dłońmi w kierownicę. Zauważam przy tym, że dzisiaj polakierowała paznokcie w barwy naszej szkoły. Są niebieskie i żółte. Żółte tylko na palcach serdecznych.

– Rany! Słyszałam ten utwór chyba milion razy. Pamiętam nawet, że tańczyłam do niego w podstawówce.

– Przykro mi.

– Nie, to naprawdę spoko piosenka. Powiedziałaś, że twój tata pisał. Już nie pisze?

– Wykłada literaturę w Belmont.

– W takim razie koniecznie chcę go poznać.

– Kiedyś na pewno.

Ledwie wjeżdżamy na szkolny parking, serce zaczyna mi walić jak oszalałe. Do tego momentu udało mi się skoncentrować na rozmowie. Jesmyn znajduje wolne miejsce, zatrzymuje samochód i wyłącza silnik. Przez chwilę milczy, po czym mówi dziwnie nieśmiało:

– Słuchaj, skoro zeszło na muzykę. Kojarzysz może Dearly'ego?

– Kojarczyć, kojarzę, ale muzyki nie znam. Georgia go uwielbia.

– Naprawdę czeka nas dużo pracy. – Jesmyn kręci głową. – Mam dwa bilety na jego październikowy koncert – dodaje i znów milknie. – Mieliśmy pójść z Elim. Chciałbyś się ze mną wybrać?

Tak! Tak, oczywiście! – wrzeszczę w duchu, gdy nagle nachodzi mnie refleksja. Hm, teraz już naprawdę zabierasz coś Eliemu. Owszem, to zwykły bilet na koncert. Eli nie może już z niego skorzystać i pewnie chętnie przekazałby go przyjacielowi, niemniej... Odbierzesz coś, co należało do niego, a w dodatku skorzystasz z tego biletu, żeby zabawić się w towarzystwie jego dziewczyny, podczas gdy jego prochy będą tkwić w urnie.

– Tak – rzucam, ignorując trzaskające pioruny wyrzutów sumienia. – Bardzo chętnie.

\* \* \*

Stoimy na dziedzińcu przed głównym wejściem i szykujemy się, by wkroczyć do środka. Nowoczesny budynek szkoły przypomina stalowo-szklane pudełko, ozdobione w kluczowych punktach wstawkami z ekologicznego drewna. Do pierwszego dzwonka zostało mniej więcej dziesięć minut.

– Okej, chłopcy – rzuca Blake. – Musimy wymyślić jakiś numer. Trzeba zacząć ten rok z przytupem. Wszyscy się po nas tego spodziewają.

– Chyba po tobie – zauważam.

– Pierwszego dnia szkoły na pewno nie będę pierdzieć. Nawet nie próbujcie mnie namawiać – dodaje Mars.

– Ja też wolałbym nie robić z siebie idioty. Tam może być Olivia – stwierdza Eli.

– Widzę, że wciąż żyjemy marzeniami, co? – Uśmiecham się.

Eli zaciska mi łokieć na karku i robi mi szybę.

– Fryzurę mi zepsujesz, debil. – Wyrywam się i odskakuję.

Blake postanawia interweniować, staje między nami.

– Dobra, panowie, jeśli skończyliście się obmacywać, to chciałbym przedstawić wam plan.

– Zamieniam się w słuch. – Wyglądam zmierzwiłone włosy.

– Skupcie się. Będziemy iść w zwolnionym tempie...

– Chłopie, przecież to jakaś nędza – przerywa mu Mars.

Blake ucina tę uwagę gestem dłoni.

– Czekaj, słuchajcie dalej. Kiedy wejdziemy, odstawię swój numer, ale wam nie wolno się śmiać. Macie cały czas iść przed siebie jak na zwolnionym filmie. Okej?

Wzdychamy i wznosimy oczy do nieba.

– Okej, niech ci będzie – odpowiadamy wreszcie chóralnie, jakbyśmy wyświadczyli mu wielką przysługę.

Tymczasem w głębi ducha nie możemy się doczekać. Chcemy się przekonać, co wykombinował. W każdym razie ja chcę. Czekamy na odpowiednią lukę we wlewającym się do szkoły strumieniu uczniów i w końcu ruszamy. Blake na czele, my lekko z tyłu. Nie myślcie sobie, że łatwo iść w zwolnionym tempie, ale dajemy radę. Mijamy przeszkłone drzwi. Kłębiący się w holu rozgadany tłumek zamiera, cichnie. Zaczynają się gapić. Wszyscy świetnie wyczuwają, że Blake Lloyd zaraz coś odwali.

Idąc kilka kroków za nim, zauważam, że jego spodnie niebezpiecznie się rozluźniają. Chwilę potem zsuwają się z pośladków. Opadają do kolan. Płaczą się,

utrudniając chód. Z trudem zachowując powagę, wciąż wleczeni się z tyłu. Mars nienaturalnie leniwym ruchem podnosi dłoń do ust. Spodnie Blake'a lądują wreszcie na kostkach. Ma na sobie białe slipy. Wraca do normalnego tempa, przeskakuje niezgrabnie kilka kroków do przodu, potyka się i wymachując ramionami pada na twarz. Tuż przed zderzeniem z podłogą ciska przed siebie plecak. Otwarty plecak. Ze środka wysypuje się około dwudziestu numerów miesięcznika „Mój Kot”. Rozjeżdżają się po śliskim parkiecie, rozkładają niczym wachlarz.

Wypadamy ostatecznie z roli i wraz z pozostałymi wpatrujemy się w Blake'a, który sapiąc i dysząc, wije się brzuchem po gładkiej podłodze niczym wielki krab na lodzie. Próbuje wstać. Wyjemy ze śmiechu. W pewnym momencie prawie mu się udaje, ale trafia ręką na błyszczącą okładkę „Mojego Kota”, pismo odjeżdża, a Blake ponownie wyciąga się jak długi. Wreszcie staje na czworakach i z czerwoną twarzą zbiera swoje rzeczy. Bielusieńkie slipy lśnią na wypiętym tyłku. Ostatecznie wstaje, choć nadal nie podciąga spodni wycierających parkiet. Zwraca się do rechoczącego tłumu, w którym stoi między innymi Adair z przyjaciółkami.

– Cześć wszystkim! Pierwsze śliwki robaczywki, nie?

Na moment zapada cisza. Wszyscy tłumią śmiech, chcą usłyszeć, czy powie coś więcej.

I naturalnie: gromkie *Prrrrrrrpprrrrrrdddppppzzztrrrr!* niesie się po całym holu, głośno i wyraźnie. Występ wieńczy szczególnie soczysta, wilgotna nuta. Widownia szaleje. Słychać oklaski.

Był to jeden z piękniejszych układów choreograficznych, które widziałem w życiu. Nie mam pojęcia, jak wiele elementów opracował z góry, a ile oparł na improwizacji.

Wyjątkowy talent Blake'a sprawia, że jego wyreżyserowane akcje zdają się spontaniczne, a spontaniczne wywołują wrażenie starannie zaplanowanych.

Rozlega się dzwonek i uczniowie z uśmiechami na twarzach rozchodzą się do klas. Przybijamy piątki z naszym niezawodnym komikiem.

– Muszę przyznać, że niezłe to było. – Mars ociera łzy. – Naprawdę szacun.

– Łapki w górę – chwali Eli. – Adair cię filmowała.

– Zagadaj z nią potem. Chciałbym to sobie przegrać – rzuca Blake.

Kiedy idziemy na lekcje, zauważam, że Blake dziwnie szeroko stawia nogi.

– Ej, stało ci się coś?

– Nie, nie... – Widzę, że z całych sił próbuje zachować pozory normalności. –

Panowie, czy któryś ma może przypadkiem bieliznę na zmianę? Przydałaby mi się.

\* \* \*

– Elegancki budynek – odzywa się Jesmyn. – Zupełnie jak w Los Angeles czy podobnym miejscu. Moja poprzednia szkoła wyglądała jak... z Jackson.

– Aha – odpowiadam.

– Nie słuchasz mnie. – Zerka na mnie z ukosa.

– Co? Nie! Słucham.

– Kłamczuch.

Głęboki wdech. Stopniowo po całym ciele rozlewa się przerażenie – jest jak

wstrzyknięta prosto do mózgu, sącząca się przez żyły ciemnofioletowa farba.

– Po prostu o czymś myślałem.

– O nich?

Kiwam głową.

Lekka i ciepła dłoń Jesmyn opada na moje ramię, na pasek plecaka. Ledwie zauważam ogarniającą nas ludzką falę, sterczymy pośrodku niczym wetknięte w dno strumienia patyki. Zmiętą marynarkę wciąż trzymam w rękę. Myślałem, że będę się w niej prezentował fajnie, jak gość z bohemy. W tej chwili wiem, że wyglądałbym jak na pogrzebie.

– Przynajmniej nie jesteś tu sam – odzywa się Jesmyn. – Ja też nie. To już coś.

– Chyba powinniśmy wejść. Zaraz się zacnie.

– Idziemy?

– Nie mamy wyboru – odpowiadam takim tonem, jakby zaproponowała mi spacer po głębokim jeziorze pokrytym świeżym lodem.

Woń ekologicznych (rodzice uczniów szkół artystycznych bywają niezwykle wybredni) środków czystości atakuje moje nozdrza. Zamiast nienaturalnych chemicznych zapachów mydła i sztucznej sosny wyławiam nuty szaławii i cedrowego drewna. Dawniej uwielbiałem ten zapach; kojarzył mi się z obietnicą całorocznej przygody i początkiem szkolnych perypetii. Dawniej, kiedy miałem Brygadę Sos. Wspomnienie sprzed roku dodatkowo wyostrza mój węch oraz jątrzące, narastające doznanie grozy.

W holu jest rojno jak w ulu. Gdy wchodzimy z Jesmyn do środka, gwar zauważalnie przycicha. Zupełnie jakby ktoś delikatnie ściszył radio, tak o jedną ósmą obrotu gałki. Wszyscy starają się kontynuować rozmowy, lecz na mój widok pospiesznie zmieniają temat. Co widzę na ich twarzach? „Patrzcie, to Carver! Co robimy? Będziemy z nim gadać? Czy naprawdę musimy się kalać kontaktami z kimś takim?”.

Chwilę potem zauważam Adair w eskorcie trzech przyjaciółek. Wychwytuje moje spojrzenie i kaleczy mnie wzrokiem twardym i ostrym jak sople lodu. Rzuca coś półgębkiem do koleżanki, a ja wyobrażam sobie co. „Spójrz! Carver już pierwszego dnia pokazał się publicznie z dziewczyną najlepszego przyjaciela. Nieżyjącego przyjaciela. Mojego brata. Ciekawe, czy zadzwonił do niej po pogrzebie, czy jeszcze przed?”.

Znowu czuję się jak postać z filmu puszczonego w zwolnionym tempie. Tym razem efekt jest zupełnie niezamierzony i ani trochę zabawny. Nie idzie przede mną Blake, nie zsuwa kciukiem spodni z tyłka. Obok wciąż wyczuwam obecność Jesmyn. Jak przez mgłę dociera do mnie, że coś mówi, lecz moje uszy wyłapują wyłącznie urywki szeptanych rozmów. „O, przyszedł... Nieźle się trzyma... Nie słyszałem... Dziewczyna Eliego... Nie, nie wiem, jak ma na imię”.

I nagle ponad pomruki wyraźnie przebijają się słowa Adair.

– Piękny mamy dzień, nie? Aż chce się żyć – mówi do przyjaciółki.

Natychmiast tracę wiarę, że w tym roku spotka mnie tutaj choć jedna szczęśliwa chwila. Niewidzialna anakonda owija się wokół mojej piersi, zaciska, grubymi splotami miażdży żebra. Zmuszone do nadmiernego wysiłku serce bije coraz słabiej. Coś zatyka mi gardło. Czoło pokrywa warstewka potu, połyskująca niczym szron na moście. Pierzchną mi wargi.

Wtem zupełnie jak pchnięta niewidoczną dłonią moja głowa zwraca się mimowolnie w prawo. A tam, w szklanej gablocie, gdzie zazwyczaj prezentowane są zdobyte przez uczniów nagrody tudzież obrazy, rysunki, zdjęcia i inne prace, widnieją fotografie Blake'a, Eliego i Marsa. Tylko te trzy portrety i czarne tło. Nad nimi srebrzą się widmowe słowa *In Memoriam*. „Patrzcie, podziwiajcie najnowsze dzieło Carvera, jego *opus magnum*. Czy to nie zabawne, że z całej jego pisaniny jedynym tekstem, który wpłynął na czyjeś życie, był zabójczy SMS o treści: Gdzie jesteście, chłopaki? Odpiszcie”.

– Carver?

Głos Jesmyn słyszę jak z wielkiej odległości, jakby stała na drugim końcu rozbrzmiewającego echem, długiego marmurowego korytarza. Muska moje lewe ramię. Nie reaguję, ponieważ całą siłę woli skupiam właśnie na następujących myślach: Potrzebuję powietrza. Pójdę siedzieć. Potrzebuję powietrza. Adair mnie nienawidzi. Potrzebuję powietrza. Wszyscy uważają, że startuję do panny Eliego. Potrzebuję powietrza. Wszyscy mnie nienawidzą. Potrzebuję powietrza.

Świat zaczyna chybotać, parkiet przeobraża się w pokład rozbujanej łodzi. Wraca doznanie wpadania pod lód. Wrażenie, że obserwuję coś kruchego, co lada moment nieuchronnie spadnie z wysokiej półki. Przed oczami gęstnieją mi ciemne plamki. Potrzebuję powietrza. Potrzebuję powietrza. Nie tutaj. Nie teraz. Tylko nie to. Nie przy Jesmyn. Nie przy wszystkich... Na ratunek jest już jednak za późno. Zupełnie, jak kiedy nadchodzi orgazm – po przekroczeniu pewnej granicy nie ma mowy o odwrócie.

Marynarka wymyka się spomiędzy słabnących palców. Plecak zsuwa się z ramienia i pada z hukiem na podłogę. Mam w nim laptopa i pewnie byłbym się przejął, gdyby nie taka oto błahostka: Nie mogę oddychać. Trafiłem żywcem do grobu. Muszę złapać choć trochę powietrza. Umieram.

Jesmyn staje przede mną i kładzie mi dłonie na ramionach. Zasłania mnie przed oczami tłumem.

– Carver – słyszę jej szept. – Carver, dobrze się czujesz? Masz atak?

Widzę, jak za jej plecami zbiera się cała horda.

Kiwam głową, krótko i nieznacznie, by nie pogłębić zawrotów głowy. Tracę czucie w nogach. Serce pulsuje grzmotami. Zbiera mi się na mdłości.

– Na zewnątrz... – udaje mi się wychrypieć.

– Jasne. – Jesmyn otacza mnie ramieniem, pomaga się odwrócić i ruszyć z miejsca.

Ledwie zdołałem oderwać stopę od ziemi, zataczam się w bok i zahaczam czubkiem buta o podłogę. Moje ciało uwalnia się z delikatnego objęcia i leci prosto na ścianę. Z tłustym młasnieniem uderzam w nią głową, tuż poniżej gabloty z fotografiami Brygady Sos. Gapie wydają z siebie chóralny jęk. Pewnie poczułbym wstyd, ale potrzeba zyskania dostępu do tlenu jest ważniejsza niż zachowanie twarzy. Blake byłby ze mnie dumny. Kilka osób podchodzi niepewnie. Widzę po ich minach, że nie wiedzą, co się dzieje.

– Zawołajcie pielęgniarkę – ktoś podpowiada.

Adair musi być w siódmym niebie.

– Jestem tu, pomogę ci. – Jesmyn kuca tuż obok, jej wargi niemal muskają moje ucho, owocowo-kwiatowy zapach jej włosów owiewa mi twarz.



Podpiera mnie, podciąga, a kiedy udaje mi się wreszcie stanąć na rozdygotanych nogach, podnosi mój plecak i marynarkę. Wspólnie wychodzimy na zewnątrz. Przez cały czas patrzę pod nogi, staram się nie zwracać uwagi na stłumione pomruki niezadowolenia. Nikt nie rozumie, dlaczego nie czekam na pielęgniarkę. Jesmyn zaciska dłoń na moim ramieniu. Ma silne palce. To na pewno skutek codziennych wielogodzinnych ćwiczeń.

Targa mną nagły skurcz żołądka. Przystaję.

– W porządku? – niepokoje się Jesmyn.

Kilka głębszych oddechów, skinienie. Mijają nas spóźnialscy, obrzucają mnie zatroskanymi spojrzeniami. Jesmyn odpędza ich wzrokiem.

Już w klimatyzowanym wnętrzu szkoły spościłem się jak mysz. Na dziedzińcu jest jak w saunie. Po skroniach spływają mi całe potoki. Koszula lepi się do grzbietu niczym mokry liść do szyby. Po przebyciu dystansu, który wydaje mi się kilometrem, docieramy jakimś cudem do pikapa Jesmyn.

Opuszcza zgrzytającą rdzewiejącą klapę paki.

– Usiądź tutaj.

Odpowiadam szybkim skinieniem, zraszając asfalt kropelkami potu. Siadam i zwieszam głowę jak do modlitwy. O, dzięki Ci, Boże, za twe hojne dary, za ten kretyński napad lękowy pierwszego dnia szkoły i za to, że w tym stanie widzieli mnie wszyscy. Między innymi bliźniaczka mojego najlepszego kumpla, kolesia, którego zabiłem. Dziewczyna nienawidząca mnie i mojej nowej (jedynej) przyjaciółki Jesmyn, która – tak przy okazji – była dziewczyną wspomnianego zmarłego. Dzięki ci, Panie, za tę powszechną dawkę upokorzenia. Amen.

Jesmyn przetrząsa wnętrze kabiny. Szuka czegoś. Po chwili wraca z drapiącym szarym kocem, od którego bije zapach siana. Rozkłada go na pace, tworząc prowizoryczne posłanie. W charakterze poduszki występuje moja zwinięta marynarka.

– Połóż się. – Wskazuje palcem na legowisko.

Wyciągam się na plecach i mrużę powieki. Światło tak razi...

– Przepraszam, ale zapocę ci cały koc – chrypię.

– Lubię cię na tyle, że wybaczę, nawet jeśli obrzydzisz mi mój ulubiony koc do oglądania gwiazd – odpowiada. – Podciągnij nogi. O, właśnie tak. – Zatrząskuje klapę, dzięki czemu nikt nie może mnie zobaczyć.

Po chwili głowa Jesmyn ukazuje się tuż nad krawędzią paki. Na tle falującego roziskrzonego nieba jej twarz wydaje się niezwykle ciemna. Przykłada mi do policzka chłodną miękką dłoń.

– Co mogę teraz...

– Idź. Ja sobie poradzę. Zadzwoń do Georgii albo coś wymyślę.

– To mój pierwszy dzień. Już jestem spóźniona.

– Spoko.

– Masz mój numer. W razie czego zadzwoń albo napisz. Przemycę telefon na lekcje.

– Mogłabyś przy okazji spróbować powstrzymać pielęgniarkę? Nie chciałbym się pokazywać siostrze Angie w takim stanie. Powiedz, że pojechałem do domu.

– Żaden problem. Naprawdę muszę lecieć.

– Pewnie myślisz, że jestem totalnym świrem.

– Nie jesteś. Ani trochę. Potem pogadamy. – Raz jeszcze gładzi mnie po policzku i znika. Słucham cichnącego tupotu.

Sięgam po telefon, żeby zadzwonić do Georgii, lecz dochodzę do wniosku, że lepiej będzie, jeśli jeszcze przez chwilę poleżę. Oczywiście, nie zamierzam spędzać całego dnia na parkingu. Jestem zbyt wycieńczony. Jestem zbyt... Rany, ale wstyd! Dopiero teraz świadomość żenady zaczyna docierać do mnie z pełną mocą. Z utratą godności jest trochę jak ze śniegiem, po którym można chodzić tylko w rakietach. Inaczej człowiek się zapadnie. W takiej sytuacji jak moja raketami mogliby być inni ludzie. Tyle że zostałem sam.

W głowie odzywa się pulsujący ból. Pocieram wciąż puchnący guz. W oczach stają mi gorące łzy. Jedna spływa po policzku i z cichym pacnięciem upada na ulubiony koc Jesmyn. Koc do oglądania gwiazd. A raczej: ulubiony koc Jesmyn i Elięgo. Do oglądania gwiazd... i do czego jeszcze? Eli, zwracam się do niego w myślach, odebrałem ci już dzisiaj dwie rzeczy. Najpierw bilet, a teraz twoją połowę koca do oglądania gwiazd. Jeśli będzie to dla ciebie jakkolwiek pociechą, wiedz, że za obie te rzeczy zapłaciłem niemałą cenę. Walutą była godność. Jestem też pewien, że Adair zrobi wszystko, co w jej mocy, żebym zapłacił jeszcze drożej. O ile wcześniej nie dopadnie mnie sędzia Edwards.

Wpatruję się w świetlisty błękit obramowany metalowymi burtami paki. W tej chwili w pudłach leżą już wszyscy czterej członkowie Brygady Sos. Ja jestem jedynym, którego nie spowija całkowita ciemność. Policzyłem Elięgo, chociaż on akurat został skremowany. Trafił do urny. W sumie to też rodzaj pudełka i wewnątrz także jest ciemno.

Zastanawiam się, czy umierając, mogli choć przez moment spojrzeć ku niebu, tak jak ja patrzę w tej chwili, czy zerknęli w górę przez oderwany dach samochodu Marsa. Jakiś czas temu otrzymałem „zapewnienie”, że zginęli błyskawicznie. Jakby te słowa mogły mnie podnieść na duchu.

Szkoda, że nie pada. Przydałaby się ulewa. Oberwanie chmury, które oczyściłoby mnie, uwolniło od trosk i zmartwień; nawałnica, która obmyłaby mnie ze smrodu śmierci i poniosła moje ciało do rzeki i dalej, prosto do morza.

## Rozdział piętnasty

*Blake zagląda ponad burtą paki.*

*– Cześć, skubańcu – wita się półgłosem.*

*– Hej – odpowiadam.*

*Obok twarzy Blake'a pojawiają się wyszczerzone gęby Marsa i Eliego.*

*– Nieźle ci poszło – podejmuje Mars. – Może nie był to poziom Blake'a, ale całkiem zgrabnie.*

*– Poziom Blake'a jest zarezerwowany wyłącznie dla mnie – zastrzega Blake. – Niemniej, owszem, przyzwoity występ.*

*– Dzięki. Podejrzewam, że byłoby jeszcze śmieszniej, gdybym to zrobił z premedytacją.*

*– Prawdziwą wisienką na torcie był moment, gdy przygrzałeś łbem o ścianę. Wcześniej było po prostu śmiesznie, potem wkroczyłeś na poziom komedii – komentuje Blake. – O to właśnie w tej sztuce chodzi, że nie wolno się ograniczać.*

*– Następnym razem – dodaje Eli – spróbuj się jednak nie uszkodzić. Publika bawi się znacznie lepiej, kiedy nie musi się bać o życie komika. Nikt nie lubi poczucia winy.*

*– Dzięki, stary. Skorzystam – mówię. – Poczucie winy jest rzeczywiście do bani.*

Wciąż rozcieram nabrzmiewającą nad prawym okiem opuchliznę. Ból głowy ospale rozlewa się na kolejne okolice czaszki. Już teraz jestem pewien, że guz wyrośnie na tyle wielki, że przez jakiś czas będę widzieć jego krawędź, co zawsze doprowadza mnie do szału. Okazuje się, że omdlenie na oczach całej szkoły i zaatakowanie ściany z byka – w dodatku po dwóch minutach pierwszego dnia szkoły – nie ma żadnych dobrych stron. Nagle moje myśli zamierają. Gapię się na sunący leniwie po niebie obłok koloru kości słoniowej. Ma kształt psa. Po chwili staje się żabą. Coś pod kocem uwiera mnie w kręgosłup. Układam się na boku, wyciągam z kieszeni komórkę i przez chwilę po prostu trzymam ją w dłoni. W pobliżu szumi silnik, trzaskają drzwiczki samochodu, rozlegają się czyjeś pospieszne kroki. Znów zapada cisza zmacona jedynie dalekimi odgłosami ulicy i monotonnym brzęczeniem owadów żyjących w koronach drzew. Otacza mnie niewidzialne życie.

Dzwonię do siostry.

\* \* \*

*– Carver? Nie powinieneś teraz być na lekcji?*

*– Tylko się nie złość – zaczynam drżącym głosem.*

*– Nie będę, ale musisz mi powiedzieć, co się stało.*

*– Miałem kolejny napad.*

*Słyszę, jak Georgia zмага się ze sobą, żeby stłumić: „Mówiłam, że tak będzie”.*

- Jasna cholera. Jak się czujesz?
- Hm.
- I naturalnie dzwonicz z tym do mnie, zamiast do mamy.
- Tak.
- Gdzie jesteś? U pielęgniarki?
- Na parkingu.
- Okej.
- Poszukaj białego nissana pikapa. Leżę na pace.

Georgia wybucha śmiechem i natychmiast milknie.

- Braciszku, myślę, że to...
- Najbardziej kijowy pierwszy dzień szkoły w historii.
- Niedługo do ciebie podjadę, ale naprawdę nie mam czasu. Praca, rozumiesz.
- Jasne.

Chowam telefon i układam się z zamkniętymi oczami. Śledzę pływające mi pod powiekami kalejdoskopowe wzory. Wreszcie tuż obok zatrzymuje się samochód. Nie ruszam się nawet wtedy, gdy otwierają się drzwiczki. Nie mogę ryzykować, to wcale nie musi być Georgia. Jak na jeden dzień wystarczy mi upokorzeń. Nie chcę wystraszyć przypadkowego kierowcy, bo mógłby wezwać gliniarzy.

Słyszę kroki i nad burtą pojawia się głowa siostry. Podobnie jak wcześniej twarz Jesmyn, jej twarz jest niemal czarna na jasnym tle nieba. Drgam nerwowo, mimo że przecież na nią czekałem. Przez chwilę bez słowa patrzymy sobie w oczy.

- Carver... – odzywa się cicho i wyciąga rękę do mojego guza.

Zabolało. Krzywię się i klepię ją w dłoń.

- Nie ruszaj.
- Jak to... Dobra, opowiesz w samochodzie.

Siadam i czekam, aż ustąpi zawrót głowy. Jestem słaby jak niemowlę. Z paki wygrzebuję się ze sporym wysiłkiem. Kiedy opadam na siedzenie w samochodzie Georgii, opieram się o zagłówek i zamykam oczy.

Przypominam sobie, że zapomniałem o marynarce, ale nie mam dość energii, żeby po nią wracać.

- Będziesz musiał mi się za to odwdzięczyć. – Georgia siada za kierownicą.

- Dlaczego się na mnie wyżywasz? Moi przyjaciele nie żyją.

– Po pierwsze, nie wyżywam się, a po drugie nie możesz bez przerwy zasłaniać się ich śmiercią. Próbowałam przemówić ci do rozsądku, nakłonić do poszukania pomocy, a ty nie... Zgadnij, co teraz zrobię. – Podnosi telefon, przegląda listę kontaktów, wybiera numer i przykłada komórkę do ucha. Jednocześnie zapala silnik i rusza.

- Do kogo...

– Dzień dobry, Lila Briggs z tej strony. Chciałabym umówić wizytę. – Genialnie naśladuje słodki południowy akcent naszej matki. W dowolnych innych okolicznościach parsknąłbym śmiechem. – Tak – podejmuje. – Chodzi o mojego syna, Carvera... Do doktora Mendeza. Odwiedzała go już Georgia, moja córka... Pierwszy wolny termin... Okej... Dobrze... Doskonale. Rzeczywiście świetnie się składa... Znakomicie... Jutro dziesiąta rano.

– Georgia... – szepczę bez większego przekonania.

Nie każdą bitwę można wygrać.

Siostra obrzuca mnie jadowitym spojrzeniem, pod którym się kulę. Nawet nie próbuj, ostrzegają jej oczy.

– Dobrze, cudnie. Do zobaczenia jutro... Wzajemnie. Do usłyszenia. – Rozłącza się i patrzy na drogę.

– Georgia...

– Nie zaczynaj! – ucina ostro, po czym dodaje łagodniej: – Przepraszam, widzę, że źle się czujesz. Owszem, nikomu nie jest łatwo przyznać, że potrzebuje pomocy. Wiem to po sobie. Dlatego postanowiłam okazać się dobrą starszą siostrą i sprawić, abys sobie pomógł.

– Czy ja zwariowałem?

– Czy zwariowałeś? Nie. Przechodzisz trudne chwile i bardzo cierpisz. A na takie sytuacje ludzie reagują niekiedy w bardzo nietypowy sposób.

– Wszyscy mnie widzieli... – mówię cicho, patrząc w okno.

Po policzku spływa mi łza. Ocieram ją grzbietem dłoni.

Georgia ściska moją rękę.

– Przyłóż sobie lód do głowy, jak wrócimy do domu.

Potakuję.

– Dokładnie za tydzień będę w Knoxville. Ja też zaczynam naukę. Naturalnie, możemy do siebie dzwonić i pisać, ale...

– Wiem.

– W takim razie wiesz także, że wreszcie musisz się otworzyć i zaufać innym ludziom, dopuścić do siebie rodziców. Wobec doktora Mendeza też musisz być szczery. Skoro jesteś w stanie rozmawiać z Jesmyn, to i z nim porozmawiaj. Nie możesz się zachowywać jak jakiś dumny kowboj. Nie zgrywaj twardziela.

– Babunia Betsy poprosiła, żebym spędził z nią dzień, jakby był to ostatni wspólny dzień jej i Blake'a. Rodzaj pożegnania.

– Rany!

– Właśnie.

– Trudne wyzwanie.

– Bardzo trudne.

– Oto kolejny argument, żebyś poszukał porady u specjalisty – mówi Georgia. – Nie mam pojęcia, czy powinieneś przystać na życzenie Betsy. Takie sprawy należy omawiać właśnie z doktorem Mendezem. To mądry facet.

– Dobrze, spotkam się z nim. Zresztą i tak już mnie umówiłaś. Poddaję się. Wygrałaś.

– Bardzo dobrze.

– Mogłabyś jeszcze raz podszyć się pod mamę?

– Po co?

– Trzeba zadzwonić do szkoły i powiedzieć, że jestem chory.

– To ciebie powinnam zmusić, żebyś ją udawał – zauważa Georgia.

– Przestań.

- Byłoby śmiesznie.
- Może dla ciebie – zauważam.
- Właśnie dlatego.
- Bardzo cię proszę.

Siostra wydaje z siebie teatralne westchnienie i dzwoni.

Przez resztę drogi do domu siedzę przygnębiony, usta mam jak zaszyte. Zdaje się, że porażka, jakiej właśnie doznałem, może jednak wyjść mi na dobre. Tylko szkoda, że przegrałem w tak marnym stylu.

\* \* \*

- Okej. Muszę gnać do roboty. I tak jestem spóźniona. Masz klucze, prawda? Kiwam głową.

– Kiedy rodzice wrócą z pracy, o wszystkim im opowiesz. Rozumiesz, że tak trzeba, tak?

- Dzięki, Georgia.
- Do doktora Mendeza zawiozę cię osobiście. Chętnie się z nim zobaczę.
- W porządku.

Siostra odjeżdża, a ja podchodzę do drzwi. Wnętrze domu kojarzy mi się z grobowcem. Nie cierpię tej nieruchomej zakłócanej jedynie rutynowymi dźwiękami ciszy, jaka panuje w domu, kiedy nie powinno się w nim być. Wszystkie dźwięki rozbrzmiewają znacznie głośniejsze niż zwykle. Lodówka włącza się i wyłącza. Tyka zegar. Pobrzękują talerze wyciągane z szafki. Biję serce. Krew szumi w uszach. Wszystko to przeszkadza nawet w najbardziej normalnych okolicznościach, a przecież to nie są normalne okoliczności. Dzisiejsza cisza przywodzi mi na myśl nieobecność. Z kolei nieobecność kojarzy się ze stratą, a ta z żałobą. Wraz z żałobą pojawia się poczucie winy i wraz z nim nadchodzą fale cierpienia.

Siedzę w swoim pokoju, nasłuchuję skrzypnięć i westchnień budynku. Nagle ogarnia mnie przemożna potrzeba znalezienia towarzystwa.

W połowie pisania SMS-a do Jesmyn coś sobie uświadamiam i mówię sobie w duchu: Masz kiepskie doświadczenia z wiadomościami wysyłanymi w niepomyślnych okolicznościach. Adresatów nie spotyka nic miłego.

Rezygnuję i wyciągam się na łóżku. Przykładam sobie do czoła paczkę mrożonego groszku i przez jakiś czas po prostu gapię się w sufit. Zajęcie wcale nie jest tak przyjemne, jak mogłoby się wydawać, więc wstaję i siadam przy biurku. Odpalam laptopa. Może uda mi się zrobić coś konstruktywnego. Może popracuję nad esejem i dzięki temu znikną wyrzuty sumienia z powodu opuszczenia szkoły już pierwszego dnia. Pochyliam się nad klawiaturą i zaczynam pisać.

*Od wczesnego dzieciństwa chciałem zostać pisarzem.*

Okej. Może niezbyt oryginalnie, mało ciekawie, ale zawsze to jakiś początek.

*Fascynowała mnie sama możliwość tworzenia nowych światów i postaci.*

Do dupy.

*Myszę, że ten esej już panów i panie zafascynował. Proszę, oto kolejny dzieciak,*

*który chce się dostać na studia z powodu fascynacji [tu wpisać zainteresowanie mogące zaciekać komisję rekrutacyjną], jaką czuł od momentu, gdy [wpisać doświadczenie, które pchnęło go w kierunku owego zainteresowania]. Ma to na celu przekonanie komisji, że zainteresowanie jest szczere, a nie wymyślone wyłącznie na potrzeby rekrutacji]. Powiniennem jednak wspomnieć o tym, do czego doprowadziła mnie miłość do pisania. Pewnego dnia napisałem SMS, którym zabiłem trzech swoich najlepszych przyjaciół. Może teraz udało mi się państwa zaciekać? Jasne, mam na koncie kilka opowiadań, lecz moim prawdziwym arcydziełem okazała się króciutka wiadomość, która za jednym zamachem doprowadziła do kresu trzech fabuł. Jestem jedynym pisarzem na świecie, który potrafi swoim piórem unicestwiać historie. Któż by nie chciał mieć w gronie studentów swojej uczelni istoty tak pięknej i wyjątkowej? Przyjmijcie mnie więc, a obiecuję zrobić wszystko, by już nikt nie zginął wskutek mojej pisaniny. Oczywiście, powyższe będzie miało sens tylko pod warunkiem, że w przyszłym roku o tej porze nie będę gnić za kratkami.*

Totalnie zdołowani ludzie chyba nie powinni pisać esejów, które mają zdecydować o ich akademickiej przyszłości. Czuję się wyczerpany, lecz nie chcę odpoczywać. Jestem niespokojny, ale też nazbyt znużony, by cokolwiek z tym zrobić. Z przyjemnością oddałbym komuś kilka kolejnych godzin życia, a najchętniej już zakończyłbym dzień.

Leżę na łóżku i czytam. Rozlega się sygnał telefonu. Ostatnio słyszę ten dźwięk znacznie rzadziej, niż jestem do tego przyzwyczajony. Podrywam się – w oczach natychmiast stają mi czarne mroczki – i chwytam komórkę. SMS od Jesmyn.

*Jak się czujesz?*

*Przede wszystkim zażenowany. Przepraszam.*

*Nie masz za co przepraszać.*

Rzucam okiem na zegar. Właśnie powinna się kończyć długa przerwa.  
*Mam nadzieję, że nie musiałaś jeść sama.*

Nie. Alex Bishop zaprosił mnie do stolika. Usiadłam z nim i jego znajomymi.

Czuję skręt kiszek. Jasne. Alex Bishop. Gdybyście poprosili mnie o stworzenie scenariusza najgorszego możliwego pierwszego dnia szkoły, wyglądałby mniej więcej następująco:

1. Doznaję napadu lękowego na oczach wszystkich, w tym Adair, robię z siebie totalnego wariata, po czym znikam.

2. Alex Bishop próbuje swoich bajerów na Jesmyn, ponieważ jest nowa. Alex jest tancerzem, zdołał już zawrócić głowę znakomitej większości uczennic Nashville Arts Academy, w tym Adair. Nie przepadam za tym kolesiem. Eli darzył go szczerą nienawiścią. Byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że Jesmyn usiadła z nim w stołówce. Wściekam się w jego imieniu.

*Uważaj na niego.*

*Haha. Sprawiał sympatyczne wrażenie.*

*Wrażenie. Trafnie dobierasz słowa.*

*Cóż, ty mnie wystawiłeś.*

*Nieumyślnie.*

*Wiem. Żart.*

Przy okazji, zostawiłem w twoim samochodzie marynarkę.  
*Spoko, mogę ci ją podrzucić wieczorem, kiedy skończę ćwiczyć.*

*Zrobimy coś potem?*

*Pewnie, ku chwale Brygady Pot!*

Ta krótka wymiana wiadomości sprawiła na jedną ulotną chwilę, że poczułem się normalnie. Jakbym znowu prowadził zwyczajne życie – bogate, intensywne, pełne możliwości i przyjaciół. Czar jednak prędko pryska, a w moich myślach ponownie pojawia się więzienie, sędzia Edwards, ataki paniki i Adair.

Ciekawe, czy kiedykolwiek powrócę do stanu, w którym przejściowa chwila zapomnienia nie będzie mi się wydawać szczodrym podarkiem.

\* \* \*

Perspektywa rozmowy z rodzicami niespecjalnie mi się uśmiecha, ale w końcu się przełamuję. I tak by się dowiedzieli, tym bardziej że teraz w grę wchodzi terapia. Wydają się zadowoleni, że Georgia zdołała mnie wreszcie przekonać i zasięgnę fachowej porady. Mama nie wścieka się nawet, gdy opowiadam, że Georgia się pod nią podszyła.

– Doktor Mendez szalenie jej pomógł – mówi.

Kiedy przyznałem się już do wszystkiego, do czego tylko mogłem się przyznać, ktoś dzwoni do drzwi. Nareszcie. Wybiegam do przedpokoju.

Na mój widok na twarz Jesmyn wypływa lekki uśmiech.

– Cześć – rzuca, po czym przesuwając spojrzenie na pęczniejący na moim czole guz. Uśmiezek gaśnie.

– O, stary... – mruczy pod nosem.

Trącam opuchliznę palcem.

– E tam. Był większy, ale lód zrobił swoje. Wejdz.

– Przywiozłam ci marynarkę. Trzymaj.

Wpuszczam Jesmyn do środka i zaglądam do kuchni, gdzie rodzice przygotowują kolację, w tle gra radio.

– Poznajcie Jesmyn, to moja nowa przyjaciółka. Dopiero co przeniosła się do Nashville i będzie chodzić do mojej szkoły. Poznaliśmy się przez Eliego.

Ostatnie zdanie wypadło bardzo niezręcznie. *Jesmyn, to Carver, Carver, poznaj*



*Jesmyn. Dobra, teraz sobie umrę, a wy pogadajcie.*

Mama wyciera dłonie i podaje rękę mojemu gościowi.

– Hej, witaj w Nashville. Zjesz z nami?

– Och, dziękuję, ale rodzice już coś zaplanowali.

– Rozumiem.

– Cześć, Jesmyn! – Tata macha znad deski, na której kroi marchewkę.

– Dzień dobry, miło mi pana poznać. – Jesmyn również macha.

Szkoda, że nie ma z nami Georgii. Po takim dniu przydałoby mi się wsparcie starszej supersiostry.

Wycofujemy się do salonu.

– Może pójdziemy na krótki spacer? Mam ochotę na pogawędkę w plenerze.

– Dobrze, tylko niedługo będę musiała wracać do domu.

– Chyba możemy się razem przez chwilę spocić?

– Cóż, Brygada Pot to Brygada Pot.

Zalewa nas pot, gdy tylko wychodzimy na parny, wczesnowieczorny upał.

Koszula oblepia mi tors, zanim docieramy do następnej przecznicy. Przymglone powietrze niesie zapach świeżo skoszonej trawy i hamburgerów grillowanych w ogródkach.

– Twój tata naprawdę ma świetny akcent – zauważa Jesmyn.

– Dawniej, kiedy poznali się z mamą, był wyraźniejszy. Potem zaczął go tracić.

– Szkoda.

– Może. Gdy byłem mały, z tego powodu trochę wstydzilem się taty.

Jesmyn robi wielkie oczy.

– Co??? Przecież to najbardziej seksowny akcent świata.

– Ech, wszystkie jesteście takie same!

– Mówię, co myślę.

– Ja też. To obleśne. – Ścieram ze skroni słońką kroplę, która próbowała dokonać najazdu na moje oko.

– Moim zdaniem po prostu chciałbyś być tak fajny jak ojciec.

– Na pewno zazdrościsz mu akcentu. Naprawdę nie mam nic przeciwko rozmawianiu o zaletach taty, ale może powiesz, jak ci się dziś ćwiczyło?

Oczy się jej rozjaśniają.

– Świetnie! W szkole mają prawdziwego koncertowego steinwaya. Ma nieziemskie brzmienie. Ten instrument to źródło muzycznych orgazmów. Nie wiem, jak teraz usiądę do swojego fortepianu.

To akurat rozumiem doskonale – przejście z wymarzonej, fantastycznej sytuacji do innej, skrajnie mniej fajnej, potrafi zabołec.

– Niektórzy twierdzą, że klawiatura tego steinwaya chodzi tak mięciutko, że człowiek czuje, jakby zanurzał palce w ciepłym maśle.

– Uuu, pan Mądraliński. Faktycznie tak się czułam. A jak tobie minął dzień wagarowicza?

– Do kitu. Najpierw Georgia zbombardowała mnie komentarzami w stylu: „A nie mówiłam?”, a potem próbowałam pisać esej na studia, żeby nie siedzieć beczynn timer. Nic

z tego nie wyszło. A jak w ogóle odebrałaś szkołę?

– Fajnie, choć trochę też strasznie. W poprzedniej byłam najbardziej utalentowana. Tutaj jestem po prostu przeciętna. Słuchałam gry paru innych osób; okazali się niesamowici. Niemniej myślę, że taki trening mi się przyda. W końcu chcę iść do Juilliarda. Całe szczęście, że wszyscy byli dla mnie bardzo mili.

– Aha, a jak tam obiadek z Alekssem Bishopem? Dał ci spróbować koktajlu z wilczego nasienia? Bo podejrzewam, że coś takiego pija. – Staram się nie zdradzić, jak bardzo jestem poirytowany.

Jesmyn wydaje z siebie pisk odrazy, chichoce i zasłania usta.

– Ej, to było obrzydliwe.

Wyczuwam nadarzącą się okazję i rzucam głosem faceta z reklamy:

– Wilcze nasienie. Jedyne na rynku napój energetyczny zawierający stuprocentową wilczą spermę pobraną z chowanych na wolnym wybiegu ekologicznych osobników. Dzięki naszemu koktajlowi otrzymasz zastrzyk energii, pozwalający przetańczyć nie tylko całą noc, ale i następny dzień. Dla klientów zamawiających dzisiaj przygotowaliśmy ofertę specjalną: gratisową porcję białkowej odżywkii z rekinich penisów.

Jesmyn chichoce coraz głośniej i próbuje zasłonić mi usta dłonią.

– Przestań. Zaraz puszcę pawia.

Zauważam, że ma krzywe palce. Jedyne wyglądają naturalnie na klawiaturze fortepianu. Są piękne.

– Okej, ale tak na poważnie? – rzucam.

– Alex był w porządku, tyle że jako tapetę w telefonie ma własne zdjęcie. Bez koszulki.

– Eli go nie znosił.

– Dlaczego? – Uśmiech Jesmyn gaśnie.

– Dlatego, że kiedyś chodziła z nim Adair. Alex rzucił ją w tydzień po tym, jak straciła z nim dziewictwo.

– Ups!

– Wszyscy nazywali ich Absami. Wiesz, Alex Bishop i Adair Bauer. Także dlatego, że oboje mieli obłędne mięśnie brzucha. U tancerzy to w sumie normalka. Przez krótki czas byli najpopularniejszą parą w szkole.

– Ach, to wiele wyjaśnia. Teraz już rozumiem, dlaczego Adair patrzyła na mnie tak, jakby chciała przeciąć mi tętnice cążkami do paznokci. Myślałam, że chodzi o ciebie.

– Pewnie o jedno i drugie. W każdym razie raczej nie nabiłaś sobie dzisiaj u niej zbyt wielu punktów.

– Ani dzisiaj, ani wcześniej. Od początku traktowała mnie dość dziwnie, jakbym za bardzo absorbowała Elię, czy coś w tym guście.

– Nigdy się z nią nie przyjaźniłem, ale byliśmy normalnymi znajomymi.

Rozmowa się urywa i ostatnie kilkaset metrów do bramy parku Percy'ego Warnera pokonujemy w milczeniu. Wciąż bez słowa zanurzamy się pod gęstniejące sklepienie drzew. Nad ścieżką splatają się konary. Spływające z nieba promienie słońca przydają liściom szmaragdowej barwy.

Jesmyn chce coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. Spoglądam na nią pytająco.

Patrzy prosto przed siebie. Wreszcie, po chwili wyjawia:

– Dzisiaj podczas ćwiczenia nagle się rozplakałam. Zupełnie bez powodu. Nie myślałam nawet o Elim ani nic. Było tak, jakby muzyka otworzyła we mnie jakieś drzwi i wszystko wylało się na zewnątrz. Żaloba jest dziwna, uderza nagłymi falami, zaskakuje. W jednej chwili stoję sobie po kolana w wodzie i jest dobrze, a zaraz potem czuję, że tonę.

– Brzmi znajomo.

– Zauważyłam.

– Dzięki za przypomnienie. – Rumienię się.

– Zastanów się, jakim człowiekiem byś musiał być, żeby nie cierpieć po ich stracie?

– Takim, który ma na tapecie komórki własne zdjęcie bez koszulki i popija wilcze nasienie?

– Właśnie. Widzę, że nie odpuszczysz, dopóki nie zwymiotuję – dodaje niemal bezgłośnie.

Nie odpuszczę, ale w innej sprawie. Wiem, że już zawsze będę próbował rozśmieszyć Jesmyn, bo jej śmiech pozwala mi zapomnieć przynajmniej na chwilę.

Zatrzymuję się i oznajmiam:

– Lubię z tobą rozmawiać.

– Z wzajemnością. – Jesmyn staje twarzą do mnie.

– Jutro też stracę trochę lekcji. Mam wizytę u terapeuty. Siostra mnie zapisała.

Podobno jest niezły.

– Niegłupi pomysł – chwali Jesmyn.

– Czyli myślisz, że już do tego stopnia ześwirowałam, tak?

– Na pewno nie bardziej niż ja. W końcu to ja beczę przy fortepianie. Na pewno jednak bardzo cierpisz.

– To prawda.

– Oboje cierpimy.

Podchodzimy do powalonego pnia i siadamy.

– Chciałbym kiedyś posłuchać, jak grasz – przyznaję.

– Okej. Pod warunkiem, że pozwolisz mi przeczytać coś swojego.

– Dobrze, o ile zdołam jeszcze cokolwiek napisać.

– Na pewno. Na razie zadowolę się starszym tekstem.

– Jasne. Coś ci dam, jak wrócimy.

Spomiędzy drzew wychodzi jelen. Na naszych oczach obwąchuje trawę na skraju łąki, ostrożnie posuwa się dalej, cały czas czujnie badając otoczenie.

– Wiesz, nasza znajomość to najlepsze, co mogło mnie w tej chwili spotkać – odzywam się szeptem, żeby nie spłoszyć zwierzęcia. – Cieszę się, że zostaliśmy przyjaciółmi.

Jesmyn zmienia pozycję. Siada wygodniej i – chociaż mogłem sobie to tylko wyobrazić – przysuwa się bliżej.

– Ja też.

## Rozdział szesnasty

Poczekalnia doktora Mendeza zastawiona jest lśniąco-nowoczesnymi meblami, które jakimś cudem sprawiają jednocześnie wrażenie przytulnych i naturalnych. Na stoliku pomiędzy fotelami czekają egzemplarze czasopism: „Atlantic”, „New Yorker”, „Economist”. W całym wnętrzu dominują kojące, stonowane odcienie brązu i szarości. Nic nie sprawia wrażenia urządzonego bezmyślnie lub chaotycznie.

Georgia siedzi obok mnie, pisze SMS.

W pewnym momencie drzwi gabinetu stają otworem i pojawia się w nich szczupły mężczyzna, na oko kilka lat po czterdziestce, ubrany w świetnie skrojony garnitur z beżowego lnu. Nie nosi krawata. Ma schludnie przyszyżoną siwą brodę i szpakowate na skroniach włosy. Spogląda na nas zza szkieł okularów w prostokątnych szylkretowych oprawkach.

Na widok Georgii natychmiast się rozpromienia.

– Proszę, proszę! Znajoma twarz!

Georgia zrywa się z fotela.

– Mogę pana wyściskać? Przecież już nie jestem pacjentką.

Doktor Mendez szeroko rozkłada ramiona.

– Chodź no tu! – zaprasza.

Kiedy się od siebie odsuwają, terapeuta obrzuca ją uważnym spojrzeniem.

– Wyglądasz na zdrową i szczęśliwą – mówi, a w jego głosie pojawia się niemal niezauważalny ślad obcego akcentu.

– Wszystko prawda. A jak się ma Steven i dzieciaki?

– Cóż, Aurelia zaczyna pierwszy rok na Harding Academy, a Ruben za parę dni wyjeżdża na studia do Stanford. Co do Stevena... – Doktor Mendez unosi lewą dłoń, pokazując Georgii srebrną obrączkę.

Siostra piszczy i z zachwytem przesłania usta dłońmi.

– Serio? Moje gratulacje! Kiedy?

– W czerwcu – odpowiada z szerokim uśmiechem terapeuta. – W Sonomie. To okolice rodzinnego domu Stevena. Pięknie było. Stawiła się nawet moja bardzo katolicka *madrecita*. Zauważyłem, że w pewnym momencie uroniła łezkę.

– Tak bardzo się cieszę. Wszystkiego dobrego wam obu.

– Dziękuję, dziękuję. – Wzrok doktora Mendeza pada na mnie. – A kogóż mi tu sprowadziłaś?

– To Carver, mój brat.

Terapeuta podaje mi rękę.

– Dzień dobry, Carver. Miło poznać. – Uścisk jest silny i ciepły. Nieudawany.

– Mnie też bardzo przyjemnie, doktorze.

– Może zaczniemy, jak to się mówi, bez zbędnej zwłoki? – Zachęcającym gestem wskazuje gabinet.

Wchodzę. Zza pleców dolatują mnie słowa terapeuty.

– Zaczekasz, Georgia? Bo jeśli tak, nie będę się żegnać.

Siostra odpowiada, że poczeka.

Rozglądam się. Kolejny komplet lśniących nowoczesnych mebli, tym razem dopełniony kilkoma antykami. Na ścianach wiszą oprawione stare mapy i ryciny z dawnych podręczników botaniki. Powietrze ma korzenny, lekko drewniany zapach – ciepły, brązowy i czysty. Sięgające sufitu regały wypełniają rzędy książek. Widzę wśród nich fachowe podręczniki i poradniki, lecz poza nimi dostrzegam też prace o fotografii i malarstwie, trochę beletrystyki i poezji. Klasyka w skórzanych okładkach. Książki po hiszpańsku i angielsku. Kolekcja robi na mnie niemałe wrażenie.

Doktor Mendez zamyka drzwi i pokazuje dwa identyczne głębokie fotele obite brązową skórą. Stoją naprzeciwko siebie rozdzielone niskim stolikiem, na którym czeka karafka z wodą, szklanki i pudełko chusteczek higienicznych.

– Zapraszam. Czuj się jak u siebie w domu.

– Spodziewałem się, że wyląduję na kozetce – mówię, choć nie do końca jest to żart.

Terapeuta wybucha śmiechem. To ciepły, przyjazny dźwięk.

– Kozetki występują głównie w filmach. Chyba że naprawdę ci zależy. Możemy tu rozwiesić jakiś hamak czy coś w tym rodzaju.

Podchodzę do fotela i zajmuję miejsce.

– Nie trzeba. Wygodnie mi. Lubię siedzieć. To przyjemna pozycja, kiedy jestem spięty – plotę trzy po trzy i stanowczo za dużo.

Nie opieram się, przycupnąłem na skraju fotela, zupełnie jakbym oglądał horror. Staram się opanować drżenie nóg. Zaplatam ramiona na piersi i zaraz je opuszczam. Zwracam uwagę, że doktor Mendez nie ma w ręku długopisu.

– Nie sporządza pan notatek?

Terapeuta siada swobodnie, przodem do mnie.

– Owszem, ale dopiero po sesji. Zauważyłem, że jeśli piszę w trakcie rozmowy, nie skupiam się należycie na pacjencie. Czy to dla ciebie problem?

– Nie.

– Już na pierwszy rzut oka widać, że siostra bardzo cię kocha.

– To prawda. Odkąd pamiętam, zawsze się o mnie troszczyła i potrafiła o mnie walczyć.

– Walczyć?

– W poprzedniej szkole często spotykały mnie nieprzyjemne sytuacje. Byłem raczej mołem książkowym, a tacy ludzie nie są zbyt popularni w towarzystwie. W każdym razie Georgia zawsze potrafiła stanąć w mojej obronie.

– Zainteresowały cię moje książki.

– Cóż, przyłapał mnie pan. – Rumienię się.

Uśmiecha się i macha lekceważąco ręką.

– Spokojnie. Po to tutaj stoją. Natomiast większość moich gości nie zwraca na nie uwagi. Ty zwróciłeś. Domyślam się, że lubisz czytać?

– I pisać.

– Ach, tak? Fantastycznie. Ja od mniej więcej... hm... dwudziestu lat pracuję nad pewną bardzo nudną powieścią. Na obecnym etapie największą przyjemność sprawia mi myśl o tym, że ją piszę. Co pisujesz?

– Opowiadania. Wiersze. Mam też kilka pomysłów na powieść, ale żadnej jeszcze nie zacząłem.

– W takim razie żywię nadzieję, że nie zniechęciłem cię historyjką o swoich twórczych mękach.

– Nie.

– Świetnie. Pozwól, że się oficjalnie przedstawię. Nazywam się Raúl Mendez. Urodziłem się w Juarez, w Meksyku, ale jeszcze za młodu przeprowadziłem się do El Paso. Wychowałem się w Teksasie, magisterium zdobyłem na Uniwersytecie Stanowym w Austin, a doktorat zrobiłem w Vanderbilt. Potem osiadłem tutaj na stałe. Odwiedzałeś już kiedyś terapeutę? A może Georgia opowiedziała ci, jak takie spotkania wyglądają?

– Nie opowiedziała, ale domyślam się, że będziemy rozmawiać, tak? Mam opowiadać o mamie? Doszukiwać się penisów na obrazkach z testu Rorschacha?

Normalnie nie zażartowałbym w ten sposób w rozmowie z dopiero co poznanym dorosłym, ale przy doktorze Mendezie czuję się swobodnie, a poza tym chcę odwlec moment przejścia do trudniejszych tematów.

Terapeuta parska śmiechem. Żartobliwie grozi mi palcem i pochyla się lekko w fotelu. Poprawia okulary.

– Ciepło. Ty mówisz, ja słucham. Czasami podzielę się własnym spostrzeżeniem na temat tego, co powiesz, lub poproszę, żebyś rozwinął jakiś wątek. Najłatwiej jednak mi pracować, kiedy milczę i słucham. Moja rola nie polega na podsuwaniu rozwiązań. Jestem po to, by pomóc pacjentom w samodzielnym znalezieniu odpowiedzi. Zdaję sobie sprawę, że niekiedy bywa to irytujące. Pacjenci zwykle oczekują, że usłyszą ode mnie konkretne porady, ale zapewniam cię, że nie tak ten proces powinien wyglądać. Zgoda?

– Zgoda. Z tym, że... to nie jest tak, że przyszedłem tu z wielką ochotą.

– To zupełnie normalne.

– Czyli jednak nie jestem do końca nienormalny.

– Okej, Carver, swoją drogą nosisz ciekawe imię, opowiedz mi o sobie.

Biorę głęboki wdech, przeczesuję włosy palcami.

– Imię dostałem na cześć Raymonda Carvera. Tata jest wielbicielem jego opowiadań.

– Ja też jestem fanem.

– Imienia czy Raymonda Carvera?

– Jednego i drugiego. Widzę, że macie z ojcem sporo wspólnego.

– Obaj uwielbiamy czytać. Tata wyklada literaturę.

– Przepraszam za te wtręty. Mów dalej, proszę.

– Cóż, mam siedemnaście lat i uczęszczam do Nashville Arts Academy.

– Dla pasjonata książek to znakomita szkoła. Musisz być naprawdę uzdolnionym pisarzem, skoro się tam dostałeś. Zakładam, że pomogło ci w tym pisanie, a nie jesteś, na przykład, wybitnym saksofonistą jazzowym? – Podkreśla pytanie, zawadiacko unosząc brew.

– Jestem – mamrocze cicho.

Terapeuta podnosi się z fotela.

– Super, bo tak się składa, że trzymam tu dla pacjentów saksofon. Może zechcesz...

– Żartowałem. – Uśmiecham się.

– Ja też. – Skrzą mu się oczy. Siada. Milknie na moment, po czym pyta: – Jak się czujesz?

Wbijam spojrzenie w nieokreślony punkt ponad jego ramieniem i staram się odpowiedzieć nonszalancko.

– Świetnie. Tak, czuję się naprawdę znakomicie.

– Cieszę się.

– Tak. – Postukuję palcami o podłokietnik, tak jak robią to zrelaksowani ludzie.

– Wielu moich pacjentów dobrze się czuje.

– To po co przychodzą?

– Chcą się poczuć jeszcze lepiej.

– I?

– I niekiedy rozmowa pomaga, a czasami nie. Lubię myśleć, że pomaga częściej niż rzadziej.

– Trudno nie zauważyć, że ta opinia się panu opłaca.

– Fakt. – Śmieje się. – Masz rację.

– A czy zdarza się, że terapia pogarsza stan pacjenta?

– Przeżywasz obecnie coś, co terapia mogłaby pogorszyć, pogłębić?

– Nie wiem.

– A przechodzisz na tym etapie życia coś, o czym chciałbyś porozmawiać?

Zastanawiam się, czy nie zaprzeczyć. Jednak taka odpowiedź wypadłaby raczej mało wiarygodnie – ostatecznie przyszedłem na to spotkanie z własnej woli.

– Dostałem niedawno... napadu lękowego.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– W jakich okolicznościach?

– Nie ma na to jakichś pigułek? – pytam.

– Są.

– To dlaczego nie pójdziemy w tę stronę?

– Pójdziemy. Odeślę cię dzisiaj do domu z receptą na zoloft. To specyfik, który często i z powodzeniem przepisuję pacjentom doświadczającym podobnych ataków. Zwykle jednak zaczynam od niewielkich dawek. Dzięki temu organizm ma szansę się przyzwyczać. Dobranie odpowiedniej dawki zajmuje trochę czasu. Zanim kuracja zadziała, może minąć nawet kilka tygodni. W tym czasie skupimy się na terapii. Z mojego doświadczenia wynika, że dwutorowe podejście działa najbardziej skutecznie.

– Chciałem oszczędzić panu czasu.

– Zapewniam cię, że mój czas nie jest na tyle cenny, żebyś mógł go zmarnować.

– Zabrzmiało jak wyzwanie.

Uśmiecha się.

– Czy czujesz, że ten stan zagraża twojemu bezpieczeństwu? Na przykład w trakcie jazdy samochodem?

– W sumie... Nie, raczej nie. Potrafię rozpoznać symptomy.

– Twoje bezpieczeństwo jest najważniejsze. Jeśli kiedykolwiek poczujesz się

zagrożony, chcę się natychmiast o tym dowiedzieć.

– Dobrze.

– Co się stało wczoraj?

Wzdycham.

– Wchodziłem właśnie do szkoły, by zacząć kolejny rok nauki. Nagle mi odje... odwalilo.

Doktor Mendez wzrusza ramionami.

– Używaj takich słów, na jakie masz ochotę. Nie urazisz mnie. Sporo się w życiu nasłuchałem.

– Odjebało mi przy wszystkich. Kompletnie. Przewróciłem się i uderzyłem w głowę. Potem pojechałem do domu. Po prostu nie byłem w stanie... Dlatego jestem tutaj.

– Opowiadanie o tej sytuacji na głos mocno mnie wyczerpuje. Jednocześnie, o dziwo, czuję się lepiej, niż kiedy tłumiliem to w sobie.

– Czyli spotkał cię pierwszy napad i...

Odwracam spojrzenie.

– Ach, zatem nie był pierwszy – domyśla się doktor Mendez.

Podnoszę dwa palce, wciąż unikając jego wzroku.

Terapeuta kiwa głową i sadowi się wygodniej w fotelu. Palce dłoni składa w piramidkę.

– Czy ataki następują w związku z jakimś zdarzeniem wyzwalającym? A może w twoim życiu pojawiło się nowe źródło stresu?

Za użycie sformułowania „zdarzenie wyzwalające” przyznaję mu kilka dodatkowych punktów. Musiał zauważyć, że nie przepadam za ludźmi, którzy rozmawiają ze mną jak z półgłówkiem. Niemniej to wcale nie oznacza, że chętnie opowiem o wspomnianym „zdarzeniu wyzwalającym”.

Wpatruję się we wzorzysty perski dywan. Nie mam pojęcia, z jaką miną powinno się opowiadać nieznanym o śmierci trzech najlepszych przyjaciół. Zwłaszcza że jest to nieznanym, z którym wolałbym w ogóle nie gadać. Obojętność wydaje mi się niestosowna, uśmiech wykluczam zdecydowanie.

– To, o czym rozmawiamy, zostaje między nami, prawda? Nie wygada pan niczego policji? – pytam.

Terapeuta nie wydaje się w najmniejszym stopniu poruszony.

– Obowiązuje mnie całkowita poufność. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy nabiorę podejrzeń, że stanowisz bezpośrednie zagrożenie dla siebie lub innych. Poza tym wszystko pozostaje w tych czterech ścianach.

– Okej.

– Nie chcę, żebyś się powstrzymywał. Nie myśl, że sobie z czymś nie poradzę. Zapewniam cię, że zniósę bardzo wiele.

– Miałem ostatnio sporo stresu.

Doktor Mendez nie komentuje.

– Niespecjalnie mam ochotę rozmawiać o przyczynie.

Wciąż siedzi bez słowa.

– Nawet z rodzicami o tym nie gadałem.



– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– W zasadzie nie. Są świetni. Tyle że ja od zawsze jestem raczej skryty, nie dzielę się z nimi uczuciami i tak dalej. Sam nie wiem z jakiego powodu.

– Niekiedy z rodzicami wcale nie jest łatwo.

Ciężko z tym facetem nie rozmawiać. Czuję się tak, jakby słowa same rozpychały moje zęby i wargi. Jakby mówiły im: „Przykro nam, ale jeśli nie pomożecie nam dotrzeć do uszu doktora, będziemy musiały wziąć sprawę we własne ręce”.

Zaciskam dłonie w pięści i je otwieram.

– Przed kilkoma tygodniami trzech moi najlepsi przyjaciele zginęli w wypadku samochodowym. – Dopiero pod koniec zdania odrywam wzrok od podłogi i spotykam spojrzenie terapeuty.

Nawet nie drgnął; jego oczy przypominają otwarte drzwi.

– Bardzo mi przykro – mówi. – To straszne.

Odwracam głowę i pocieram szyję, ponieważ zaciska mi się gardło. Mam nadzieję, że doktor nie zacznie drążyć choćby dlatego, że nie jestem gotów rozmawiać o swojej odpowiedzialności i o tym, że stałem się osobistym wrogiem sędziego Edwardsa. Nie jestem gotów słuchać tych słów padających z własnych ust. Obawiam się, że jeśli wypowiem je na głos, staną się jeszcze bardziej rzeczywiste, że okażą się czymś na kształt zaklęcia przyzywającego z ognistej otchłani demona pożerającego dusze. Wciągam powietrze przez ściśnięte gardło.

– Straszne – przyznaję. – Pierwszy napad przytrafił mi się wieczorem po ostatnim pogrzebie. Skończyłem na pogotowiu. Drugi był wczoraj, w pierwszym dniu nowego roku szkolnego. Przyszedłem do pana, bo nie chcę dostać trzeciego ataku.

Doktor Mendez powoli kiwa głową.

– W zasadzie mamy jasność, od czego powinniśmy zacząć terapię. Opowiedz mi, co czujesz w tej chwili. Zastanawiałeś się nad swoim cierpieniem? Nad doświadczeniem żałoby?

Pytanie jest proste, ale nie potrafię na nie odpowiedzieć. Terapeuta ma w sobie coś z duchownego, co skłania pacjenta do spowiedzi. Jest wobec mnie otwarty, delikatny i całkowicie bezkrytyczny, nie ocenia. Waham się niczym na huśtawce – z jednej strony, nie ufam mu na tyle, by powiedzieć, że śmierć chłopaków ciąży mi na szyi jak młyńskie koło, a z drugiej nie chciałbym rozczarować go milczeniem.

– Tęsknię za nimi.

Znów kiwa głową, nie komentuje. Najwyraźniej nie należy do ludzi, którzy krępujące przerwy w rozmowie wypełniają nerwowo rzucanymi uwagami. Pozwala oddychać ciszy.

– Czasami... Czasami zapominam, że już ich nie ma. Zwykle zaraz po przebudzeniu. Prawdę mówiąc, codziennie. Trwa to jakieś pięć sekund. Przez tę krótką chwilę jestem wolny, a potem sobie przypominam. Czasami, gdy zasypiam, też sobie przypominam i wtedy natychmiast się wybudzam.

Nalewam sobie wody do szklanki, popijam. Nie chce mi się pić, ale nie mam pojęcia, gdzie podziąć ręce.

– Przyjaciółka, o której wspomniałem, spotykała się z jednym z nich. Opowiadała

mi, że żałoba atakuje ją falami w najmniej spodziewanych momentach.

– Czy twój ból przybrał podobną formę?

– Tak.

– Ta dziewczyna... Czy ona stanowi dla ciebie źródło wsparcia, pocieszenia?

– Tak, dokładnie tak jest.

– Czy znasz innych ludzi, z którymi możesz w podobny sposób dzielić się przeżyciami?

– Rozmawiałem trochę z babcią jednego ze zmarłych.

– Zauważyłem, że mówisz jedynie o przyjacielu lub przyjaciółkach. Nie wymieniasz na głos ich imion i nazwisk. Czy dlatego, że sprawia ci to kłopot?

– Chyba... W sumie... Chyba tak. Tak.

– Czy wiesz z jakiej przyczyny?

Zamyślam się, po czym odpowiadam:

– Nie jestem tego pewien, ale naprawdę nie cierpię wymieniać ich imion. Zwłaszcza gdy rozmawiam o ich śmierci. Boję się, że jeśli ich nazwę, wszystko stanie się jeszcze bardziej prawdziwe.

Doktor Mendez kręci głową.

– Spotykałem ludzi, którzy bali się wyrzucić ubrania czy buty ukochanych zmarłych. Obawiali się, że wówczas śmierć stanie się czymś ostatecznym, bezspornym. Co by zrobili, gdyby pewnego dnia zmarły nagle wrócił i nie znalazł butów?

Dłonie wciąż mi drżą, ale ledwie dostrzegalnie. Trochę to przypomina niewidoczne w lustrze, lecz wyczuwalne drżenie powieki.

– Czy mogę powiedzieć, jak się nazywali? – Głos mi się łamie.

– Jeżeli chcesz.

Waham się i wreszcie padają imiona i nazwiska niczym dziękczynna modlitwa:

– Blake Lloyd. Eli Bauer. Mars Edwards.

Boli mnie to i zarazem sprawia przyjemność. Doktor Mendez słucha uważnie.

– Dziękuję, że podzieliłeś się ze mną ich personaliami. Od razu widzę, jak bardzo są dla ciebie ważne, wręcz święte.

– W każdym razie – zaczynam, sam nie wiedząc dlaczego – jakiś czas temu odwiedziłem babcię Blake'a. Chciałem jej pomóc w ogrodzie, przedtem to on się nim zajmował, zanim... zanim zginął. Wówczas zaproponowała, żebyśmy wspólnie urządzili całodniowe pożegnanie Blake'a. Nie jestem pewien, czy powinienem się zgodzić.

– Na czym polega całodniowe pożegnanie?

– O ile dobrze ją zrozumiałem, spędzilibyśmy ze sobą czas, robiąc to, co zrobiłaby z nim, gdyby wiedziała, że muszą się pożegnać na dobre. Chodzi o ożywienie jego historii. Rodzaj hołdu, ostatecznego rozstania. Nie mam pojęcia, jakby to miało dokładnie wyglądać.

Doktor Mendez zapada się głębiej w fotel, spogląda gdzieś poza mnie, postukuje palcem po wardze.

– Hmm.

– Panie doktorze – odzywam się po kilku sekundach milczenia – proszę mi opowiedzieć o swoich relacjach z matką.

Parska śmiechem i pochyła się ku mnie.

– Popraw, jeśli się mylę. Miałbyś się dla niej stać kimś w rodzaju namiastki Blake’a? Jego zastępcy?

– Może. W pewnym sensie. Oczywiście nie zakładałbym jego ciuchów ani nic takiego, ale...

– ...ale dzielilibyście się wspomnieniami o Blake’u, tymi najbardziej znaczącymi.

– Chyba tak.

– Intrygujące. – Znowu postukuje się w usta. W zadumie marszczy czoło.

– Intrygujące w sensie pozytywnym czy negatywnym? A może sam muszę do tego dojść?

– Miałem na myśli to ostatnie. Żałoba jest doliną, z której można się wydostać wieloma różnymi ścieżkami. Taki dzień pożegnania to dla mnie nowość, ale słyszałem o terapiach opartych na podobnych założeniach. Rzecz polega na poszukiwaniu nowego kontekstu dla własnych przeżyć. Dajmy na to, osoba obawiająca się związków wchodzi w kolejny związek i próbuje doświadczać go w nowy dla siebie, zdrowszy sposób. Może więc przywoływanie wspomnień o Blake’u pomogłoby ci inaczej spojrzeć na to, że go straciłeś.

– Czyli mam się zgodzić?

– Z odpowiedzią na to pytanie miałbym kłopot, nawet gdybyśmy znali się dłużej. Musisz tę decyzję podjąć samodzielnie. Zadać sobie pytania: Czy tego chcę? Czy ten pomysł wydaje mi się słuszny i wartościowy? Jeśli się zdecydujesz, a rzeczywistość okaże się inna niż oczekiwania, po prostu to przepracujemy. Będzie to kolejna lekcja. Nie zaproponowałbym ci takiej formy pożegnania, ale przecież nie zawsze muszę mieć rację.

Roztrząsam te słowa w duchu przez resztę sesji, podczas gdy rozmawiamy o tym, jak się trzymam, sypiam, jaki mam apetyt.

Spotkanie dobiega końca. Doktor Mendez żegna się serdecznie z Georgią. Życzy jej powodzenia na studiach. Ona odwdzięcza się, życząc szczęścia w małżeństwie. Wychodząc na zewnątrz, ściskam w dłoni receptę na zolofit.

Może nie jest aż tak, jakbym zrzucił z pleców mocno wypakowany plecak, ale jakbym na pewien czas powstrzymał działanie wyniszczającej trucizny. Czuję się pusty, wydrążony, jałowy.

\* \* \*

Niebo przybrało szarzielony odcień, powietrze wypełnia specyficzna, dzika witalność, jak zawsze gdy zanoszą się burze. Kojące podmuchy smagają nam twarze, z oddali dolatuje metaliczne pobrzękiwanie linki, na której uwiązano łopoczącą na maszcie flagę. Poza szumem wiatru to jedyny dźwięk, jaki do mnie dociera.

Wsiadamy do samochodu i nagle zaczynam płakać. Nie mam pojęcia z jakiej przyczyny. Georgia o nic nie pyta. Może łzy wywołało żalosne dzwonięcie liny? A może to ulga? Może dobrze było porozmawiać z kimś, kto mnie nie ocenia? Niewykluczone, że żałoba nie potrzebuje powodu, by sprowadzić na człowieka płacz. Sezon na łzy. Szwedzki stół pełen łez.

– Hej. – Siostra bierze mnie za rękę.

– Hej. – Osuszam oczy. – Musimy podjechać do apteki. Dostałem receptę.

– Wreszcie poszukałeś pomocy. To odważna decyzja.

Wypuszczam wstrzymywany oddech.

– Wcale nie jestem odważny. Panicznie się boję, że trafię do więzienia. Bez przerwy czuję strach, smutek i wyrzuty sumienia. Ogólnie do dupy.

– Wiem, ale powoli to przejdzie. Rób wszystko, co ci podpowie doktor Mendez. Bądź z nim szczery i bierz leki.

Mam nadzieję, że Georgia się nie myli. Może rzeczywiście terapia pomoże mi uporać się z żałobą. A co z poczuciem winy? Wątpię, by doktor Mendez dysponował wehikułem czasu.

Zawozimy receptę do Walgreens, po czym Georgia odstawia mnie do domu. Szykuję się w myślach na drugi pierwszy dzień – właściwie pół dnia – ostatniego roku w szkole. Burza wciąż nie nadeszła. Niebo wisi nad światem niczym ciężki młot na wystrzępionym sznurku.

Rozdział siedemnasty

Podczas lekcji pana McCullougha na temat historii cywilizacji zachodniej Brygada Sos siadała w dwóch ostatnich rzędach. To były jedyne zajęcia, na które chodziliśmy całą paczką. Uważam, że osoba, która dopuściła do tego, że wybraliśmy ten sam przedmiot, powinna zostać zwolniona w trybie natychmiastowym. Pan McCullough, oby żył wiecznie, był człowiekiem na wskroś życzliwym, uczciwym i pozbawionym choćby odrobiny poczucia humoru. Starał się odpowiadać na dowolne pytania, nawet te frywolne i w oczywisty sposób zadane dla jaj. Dlatego też zasypywaliśmy go na zmianę serią stopniowo coraz bardziej absurdalnych podstępnych pytań. Próbowaliśmy go złamać, zmarnować trochę lekcji, a także nie zasnąć.

„Czy mieszkańcy Mezopotamii mieli łaskotki?”

„Czy Aleksander Wielki był na początku kariery zwany Aleksandrem Sporym, a po kolejnych zwycięstwach Aleksandrem Dużym?”

„Czy Napoleon interesował się motocyklami?”

Siedzę w ławce z Marsem. Blake i Eli zajmują miejsca tuż przed nami.

Szepczą do siebie, a w tle słychać monotony wykład pana McCullougha. Snuje opowieść o wikingach.

– Kosa, twoja kolej – przypomina Eli.

– Jesteś pewien? Moim zdaniem teraz Mars.

– Nie. Ja zapytałem, czy w piramidach były toalety, zapomniałeś?

– Otóż to – potwierdza Blake. – Teraz ty, Kosa.

– Okej, moment. Dajcie pomyśleć.

– Byle nie za długo. Nad dobrym pytaniem nie wolno myśleć w nieskończoność – ostrzega Blake.

– Dobra, mam – szepczę po kilku sekundach. Podnoszę rękę.

Pan McCullough zerka na mnie ponad szklami okularów.

– Tak, Carver?

– Czy wikingowie chętnie nosiliby dzinsowe szorty?

Blake, Mars i Eli zanoszą się bezgłośnym śmiechem. Pokładają się na ławkach, widzę, jak trzęsą im się ramiona, jak pracują zębra.

Pan McCullough odchrząkuje.

– Cóż. Tak, to rzeczywiście zajmująca kwestia. Ciekawie jest zastanawiać się nad tym, jak dawne ludy zareagowałyby na zdobycze nowoczesności. Wikingowie najczęściej sporządzali swój przyodziewek z lnu oraz ze skóry zwierząt, a ze względu na chroniczny niedobór surowców... – gada i gada.

W podsumowaniu okazuje się, że owszem, wikingowie najprawdopodobniej polubiliby dżinsowe szorty, a zwłaszcza latem. Doceniliby trwałość i funkcjonalność tkaniny, pozwalające nosić je w trakcie pracy na roli, na statkach i podczas walki.

Nie słucham go, pławię się w widoku roześmianych przyjaciół. Cokolwiek robimy, uchodzi nam na sucho.

\* \* \*

Wiem, że zanurzając się w tego typu wspomnieniach tuż przed drugą próbą wkroczenia do szkoły, narażam się na kolejny napad paniki. Tym razem przynajmniej nie zatrzymuję się przed drzwiami. Ale nie mogę się powstrzymać. Zwieszam głowę i idę prosto przed siebie, ignorując błagalne i uśmiechnięte twarze Blake'a, Eliego i Marsa, proszące mnie – nas wszystkich – byśmy zachowali ich w pamięci. Nieliczne osoby, jakie spotykam w drodze do stołówki, pozdrawiają mnie skinieniami i uśmiechami, lecz większość ucieka wzrokiem.

Wtem zauważam Adair. Wychodzi z łazienki, jest sama.

Poza nami na korytarzu nie ma nikogo. Adair bez asysty? Niebywale rzadkie zjawisko. Jak idiota postanowiłem skorzystać z okazji i zawołałem ją po imieniu. Nie pomyślałem nawet, co mam jej powiedzieć. Nie wiem, skąd się wziął ten impuls. Może po wizycie u doktora Mendeza mam ochotę kogoś posłuchać? Tak dla odmiany.

Adair okręca się na pięcie wdzięcznym ruchem tancerki i podchodzi. Oczy ma bardziej szare i chmurne niż burzowe niebo. Ciemniej w bladej twarzy.

– Czego chcesz? – Brzmienie jej głosu przywodzi na myśl zgrzyt ostrzonego na osetce noża.

Nie mam pojęcia, czego chcę, i właściwie to cieszę się, że nie pozwala mi odpowiedzieć, stwierdzając:

– Ładne przedstawienie wczoraj odstawileś.

– To nie było przedstawienie. Niczego nie udawałem.

– Akurat. Wszyscy gadają o twoim napadzie paniki, zamiast rozmawiać o tym, co zrobiłeś. Wygodne rozwiązanie.

– Nie dla mnie.

– Co takiego?! Może oczekujesz, że będę ci współczuć?

– O nic nie proszę.

– Ach, jaki wspomniałomyślny! Wielkie dzięki.

– Adair, słuchaj... – Tylko nie mów, przestrzegam się w duchu, że kiedyś byliśmy przyjaciółmi, wszystko byle nie to. – Przecież kiedyś byliśmy przyjaciółmi...

Zaplata ramiona na piersi i wybucha krótkim, złośliwym śmiechem. Mruga

gwałtownie oczami i wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

– Serio? Po to mnie zatrzymałeś? Aby przypomnieć, że kiedyś byliśmy przyjaciółmi?

– Nie moglibyśmy pogadać gdzie indziej? Może spotkamy się przy kawie? – proponuję półgłosem.

– Nie.

– Adair...

– Mówię poważnie. Wczoraj bez żadnych zahamowań zagrałeś na ludzkim współczuciu, a teraz nagle krępujesz się rozmawiać na korytarzu?

– Nie w tym rzecz.

– Oczywiście, że w tym. Mogłeś pomyśleć, zanim mnie zawołałeś. Mów, co ci chodzi po głowie, o ile w ogóle cokolwiek?

– Pomyślałem, że... – Płoną mi policzki.

– Mów dalej.

– No, że...

– Że co?

– Że moglibyśmy... No wiesz... Wesprzeć się jakoś... Wzajemnie.

Tak, jestem w pełni świadomy, jak głupio i żałośnie musiało to zabrzmieć. Kątem oka dostrzegam czyjąś sylwetkę. Ktoś pojawił się na korytarzu. Zaraz potem pospieszenie zmieniam zdanie. Przypominam sobie, dlaczego tak bardzo boję się lęku, jaki inni czują przed Adair.

Nagle jej głos przybiera zwodniczo niewinne słodkie brzmienie. Trzepocze rzęsami.

– Och, naprawdę czujesz się samotny, Carver? Ciężko ci w życiu? – Akcentuje ostatni wyraz. – A może żałujesz, że wciąż żyjesz?

– Ja...

Adair podnosi palec.

– Powiem ci, jak jest. Przyjaciół mi nie brakuje, ale miałam tylko jednego brata. Skoro tak bardzo boisz się braku przyjaciół, to trzeba było zdobyć ich więcej, niż mieści się do samochodu. Trzeba się było zastanowić, zanim wysłałeś ten SMS.

– Tak, pewnie masz rację – szepczę zdruzgotany.

Jej słowa obdzierają mnie ze skóry.

– Chociaż coś mi mówi, że bardzo samotny nie jesteś, prawda? Jesmyn już się tobą zajęła, co?

– Przecież nie został mi nikt poza nią. Ty raczej się nie garniesz do...

– A czyja to wina?

– Nie wiem, czy o to ci chodzi, ale ja jej nie podrywam.

– No proszę, prawdziwy romantyk! Książę!

– Adair...

Rzuca mi wzgardliwe spojrzenie, mruży powieki.

Stoję jak kretyn, czuję, że ślina wzbiera mi w ustach, rumienię się jak głupek.

– Przepraszam – dukam.

– Niby za co? – Adair podchodzi bliżej. – Za co tak mnie przepraszasz?

Oczami duszy widzę nagle pana Krantza. Wkraczasz na niepewny grunt.

– Za Eliego, Blake’a i Marsa. Bardzo ich kochałem.

– Aha! A co takiego zrobiłeś Eliemu, Blake’owi i Marsowi, że jest ci tak przykro?

Głośno przełykam ślinę. Wyobraźnia podsuwa mi komiczny obraz podskakującego jabłka Adama. Normalnie jak w kreskówce.

– Przykro mi, że odeszli. Naprawdę bardzo mi ich brakuje.

Adair ponownie wchodzi w swój drwiący tryb.

– Och tak, Carver. Mnie również. Wiem, jak musisz cierpieć. Ja wyszłam z tej samej macicy, co Eli, mieszkałam z nim pod jednym dachem, ale ty... Musi być ci naprawdę ciężko. Jak mogłabym o tym zapomnieć? Twój ból jest najważniejszy. – Pod koniec jej głos zaczyna się łamać.

– Przepraszam. – Wbijam wzrok w podłogę, policzki mam czerwone jak burak.

Ktoś przechodzi pospiesznie obok, również patrzy w czubki własnych butów, na nas nawet nie zerka. Wiem, że za piętnaście minut dowie się o tym cała szkoła.

– Tak, wspomniałeś już.

– A Mars? – pytam półgłosem, czując bolesny skurcz serca, które próbuje gdzieś się ukryć, zniknąć. Myślisz, że Mars zawinił bardziej niż ty? Tchórz.

Adair parska śmiechem, a raczej zjadliwie prycha.

– Z nim też chętnie bym się rozmówiła. Ale wiesz co? On zginął, a ty przeżyłeś!

Przez chwilę mierzymy się spojrzeniami. Szare oczy Adair kipią niczym jeziora roztopionego ołowiu. Wypalają wszelkie słowa, jakie miałem jeszcze w głowie. Po raz kolejny ona ratuje mnie przed spełnieniem obowiązku. Nie ja muszę się teraz odezwać.

– Mam nadzieję, że pójdziesz siedzieć! Szczerze. Mam też nadzieję, że tam zdechniesz! – rzuca, odwraca się i odchodzi.

\* \* \*

Wchodzę z przygiętym karkiem do stołówki i czym prędzej siadam w kącie. Słyszę typowy gwar stłumionych rozmów. Zastanawiam się, ile z nich dotyczy mojej niedawnej wymiany zdań z Adair. Opieram się plecami o ścianę i udaję, że sprawdzam, czy nie dostałem SMS-a od przyjaciół. Od swoich nieistniejących przyjaciół. Ciekawe, czy ktokolwiek w dziejach przeżył gorsze pierwsze dwa dni szkoły. Chciałbym, żeby mój organizm zaczął wreszcie wchłaniać całą tę adrenalinę. Po chwili pieczenie w żołądku ustępuje. Czerwień odpływa mi z twarzy i zaczynam się rozglądać wśród rozgadanego tłumu za Jesmyn. Tymczasem ona znajduje mnie pierwsza; niezauważona podchodzi z lewej strony.

– A, dzień dobry panu! – rzuca.

Podskakuję.

– Hej.

Oboje nerwowo się uśmiechamy.

Nagle Jesmyn zarzuca mi ramiona na szyję. Pierwsze prawdziwie przyjemne doznanie tego dnia. Jej ciało pasuje do mojego wprost idealnie. Chłodny policzek pociera o mój, ostre światła stołówki igrają w jej włosach, przepływają wśród ciemnych kosmyków. Pachnie proszkiem do prania i wiśniowymi cukierkami. Szkoda, że nie mogę

się tym wszystkim nacieszyć, nie myśląc, czy widzi nas Adair.

Powinieneś jej powiedzieć, mówię sobie w duchu, że obserwuje nas Adair, która uważa, że wyrwam dziewczynę jej zmarłego brata. Powinieneś dać Jesmyn szansę wyrwania się z pułapki. Niech znajdzie sobie innych przyjaciół. Nie chcesz przecież, żeby stała się takim samym celem, takim samym pariasem jak ty. Powinieneś...

– Ktoś tu chyba czekał na przytulanie. Więc jak, jesteś wariatem? – pyta Jesmyn.

– Małpa! A gdyby się okazało, że tak? Co byś powiedziała?

– Ej, żartowałam. Lepiej ci?

Dobre pytanie. Zwłaszcza po starciu z Adair. W sumie nieco lepiej. Nie eksplodowałem, wchodząc do szkoły.

– Trochę lepiej.

– Trochę?

– Dopiero co gadałem z Adair. Rozwalila mnie na dobre.

– Oho!

– Właśnie.

– Wszyscy potrzebujemy czasu, ona też.

– W jej przypadku naprawdę sporo.

– Usiądźmy. Masz coś do jedzenia?

– Pewnie. – Wyciągam z plecaka kanapkę z indykiem i awokado. Zupełnie straciłem apetyt. – A ty? Co masz?

– Też kanapkę. Z masłem orzechowym, bananem, miodem i boczkiem – odpowiada Jesmyn, zakrywając pełne usta.

– A ja się martwiłem, że wzgardzisz szejkami u Bobbiego. Co to w ogóle za dieta? Elvis jesteś?

– Chciałabym. A skoro o tym mowa, po lekcjach chcę popracować nad utworem, który zagram na przesłuchaniu. Muszę w końcu zacząć ćwiczyć przy słuchaczach, aby zwalczyć treść. Chciałbyś mi towarzyszyć? Mógłbyś sobie odrabiać lekcje. Ważne, żeby ktoś był w pobliżu.

– Z przyjemnością! Dzięki! O ile wystarczy ci bezduszny worek ludzkiego mięsa z działającymi organami, jestem do usług. Tym właśnie ostatnio jestem.

Jesmyn prychna i trąca mnie w ramię.

– Ej, sam mówiłeś, że masz ochotę posłuchać, jak gram. Gdybym chciała zaprosić przypadkowego kolesia, poszukałabym w sieci.

Tak sobie gawędzimy o przypadkowych kolesiach i workach ludzkiego mięsa. A tu o wilku mowa: podnoszę wzrok i po drugiej stronie stołówki zauważam Aleksa Bishopa. Spotykamy się spojrzeniami. Moje oczy mówią: „Nie potrzebuję twojego współczucia, dupku żołądny. Straciłem naprawdę dużo, ale mam to jedno. Siedzę sobie z Jesmyn, która zajada ulubioną kanapkę Elvisa, a ciebie tu nie ma. Pocałuj mnie gdzieś”.

Zdażyłem już zapomnieć, jak słodko smakuje zwycięstwo. Cholernie słodko.

Rozkoszuję się triumfem przez mniej więcej trzy sekundy, po czym wychwytyuję wściekłą minę Adair. Wpatruje się we mnie i Jesmyn. Szepcze coś do przyjaciółek. W głowie dudni mi echo niedawnego starcia.

– To jak będzie? – dopytuje się Jesmyn.



- Że co?
- Chcesz posłuchać?
- A, tak. Jasne.
- Nad czym się tak zamyśliłeś?
- Nad niczym – kłamię. – A co?
- Nic, po prostu wyglądasz w tej chwili bardzo... hm... carverowsko. Mimowolnie parskam śmiechem.
- I co to ma znaczyć?
- Carverowsko wygląda ktoś... zatracony.
- Aha. Super.

– Nie, nie. Miałam na myśli wyraz twarzy człowieka pogrążonego w refleksji, zadumanego. Takiego, który zastanawia się nad rozwikłaniem najważniejszych zagadek wszechświata.

Nigdy nie zdołałem oswoić się z tym, że niektórzy myślą o mnie nawet wtedy, gdy z nimi nie rozmawiam.

– Nad niczym nie pracuję. Zresztą, im częściej zastanawiam się nad zagadkami wszechświata, tym bardziej wydają mi się tajemnicze i niezrozumiałe.

– O tym właśnie rozmawiałaś z terapeutą? O zagadkach wszechświata?

– Raczej o zagadkach swojego mózgu.

– Doprawdy fascynujące – szepcze Jesmyn.

– Ironistka...

– Do pewnego stopnia. Chcesz gryza mojej... – zaczyna, lecz milknie, gdy stołówką wstrząsa potężny huk grzmotu.

Słysząc go wyraźnie mimo panującego w sali gwaru. Wszyscy rozglądają się podekscytowani. Jesmyn się rozpromienia, jej oczy lśnią.

Podrywa się z miejsca, łapie mnie za rękę i pociąga za sobą.

– Chodź!

– Dokąd? – pytam, przeżuając po drodze kanapkę.

– Prędko! Musimy to zobaczyć!

Prowadzi mnie do przeszklonego korytarza łączącego stołówkę z innymi częściami szkoły. Kiedy się zatrzymujemy, Jesmyn uwalnia mój przegub, wciąż nienasycony, głodny dotyku przegub, i przykładła dłoń do szyby. Zmienia się w małą dziewczynkę w ogrodzie zoologicznym, staje się przepelnionym niemym zachwytem dzieckiem. Sprawia wrażenie, jakby chciała coś w siebie wchłonąć. Zalewa nas olśniewający błysk pioruna, ogłusza następujący po nim grzmot. Jesmyn lekko dygocze, śmieje się cicho.

W szklane ściany korytarza biją ukośne smugi ulewy. Niosący je wichry przygina drzewa niemal do samej ziemi.

– Rany... – szepcze Jesmyn.

Fascynuje mnie jej uniesienie. Nie zwracam uwagi na burzę.

– Wiesz? Wyglądasz, jakbyś doznała religijnej ekstazy.

– Właśnie tak jest – odpowiada z rozognionym spojrzeniem. Ani na moment nie odwraca się od okna. – Uwielbiam burze. Taka potęga... Taka moc... Ten widok uświadamia mi, jak wielkie siły drzemią na świecie.

Budynkiem wstrząsa kolejne dudniące wyładowanie. Ciekawe, czy w więzieniu słycać pioruny?

– Gdyby przyroda była utworem muzycznym, burze byłyby jego najbardziej energetycznymi fragmentami – dodaje.

Od czasu sesji z doktorem Mendezem zacząłem uważniej słuchać innych, więc się nie odzywam i pozwalam jej mówić.

– Myślisz, że jestem nienormalna? – pyta tonem dobitnie dającym do zrozumienia, że wcale się nie obrazi, jeśli odpowiem twierdząco.

– Nie. Tylko nie zapominaj, że to ja zaciągnąłem cię do parku, żeby ganiać za wiewiórkami. Nie wiem, czy pytasz odpowiednią osobę.

Nawałnica wzmaga się z każdą chwilą. Mimo że jest dopiero południe, na zewnątrz zrobiło się szaro jak przed zmrokiem. Błyskawica rozświetla niebo, dźwięczy kolejny grzmot. Lamy na korytarzu przygasają.

Podchodzę nieco bliżej do Jesmyn. Wpatruję się w przestrzeń za oknem.

– Kiedy byliśmy w parku, mówiłem, że babcia Blake’a zaproponowała, żebyśmy wyprawili dla niego całodniowe pożegnanie. Pamiętasz?

– Pamiętam. – Patrzy mi w oczy.

– Rozmawiałem o tym z terapeutą. Spytałem, czy według niego to dobry pomysł. Dowiedziałem się tylko, że sam muszę o tym zdecydować.

– I jak? Zdecydujesz się?

– Myślę, że mógłbym poczuć się lepiej.

– W takim razie powinienes to zrobić.

Skierowaną do okna połowę jej twarzy zalewa jaskrawa poświata. Nagle z całą mocą dociera do mnie, jak bardzo jestem żywy. Naprawdę żyję i oddycham. Doznaję również przebłysku olśnienia, że choć Mars, Blake i Eli nie będą już przeszkadzać panu McCulloughowi podczas lekcji historii, ja zyskałem coś nowego – mogę podziwiać burzę z Jesmyn Holder. Staram się zachować w sobie to nagłe objawienie, lecz okazuje się nazbyt efemeryczne i rozplywa się gdzieś w eterze.

Jesmyn posyła mi lekki uśmiezek i ponownie zagląda w oczy piorunom.

\* \* \*

Po lekcjach przysłuchuję się grze Jesmyn. Jeszcze nigdy nie byłem tak blisko kogoś, kto robi coś z takim znanstwem i talentem. Jesmyn kołysze się miarowo na taborecie, bezgłośnie porusza ustami, a jej dłonie szybują ponad klawiszami niczym rozpostarte skrzydła. W połowie frazy przerywa i notuje coś między nutami. Jeżeli zajrzy tu Adair, nasza – moja i Jesmyn – sytuacja dodatkowo się pogorszy.

Powinienem być teraz w McKay’s i prosić, by ponownie przyjęli mnie do pracy, żebym mógł zarobić na adwokata.

Zamiast tego przyglądam się grającej Jesmyn. Gdybym porzucił swoje ciało i spojrział na siebie z boku, zapewne zobaczyłbym chłopaka zafascynowanego grą Jesmyn równie głęboko jak ona wcześniej była zafascynowana burzą. Ujrzałbym człowieka doświadczającego obecności czegoś świętego i prawdziwego, jakbym nagle odkrył zagadkę cudzego serca bądź został zaproszony do udziału w sekretnym obrzędzie. Na

moment zapominam o sobie i wszystkim, co mi ciąży, o żalobie, poczuciu winy, strachu.

Wszechświat – w tym zakamarki mojego umysłu – kryje wiele rozmaitych tajemnic, ale nie jest dla mnie tajemnicą, co Eli widział w tej dziewczynie.

## Rozdział osiemnasty

Profil na Facebooku założyłem wyłącznie po to, by korespondować ze swoją irlandzką babcią. Zmusiłem ją, by się zarejestrowała, ponieważ notorycznie zasypywała mnie mejlami z durnymi obrazkami i kiepskimi dowcipami. Widzę, że na ekranie wyświetla się powiadomienie, coś do mnie napisała. Już mam przeczytać wiadomość, ale wzrok ucieka mi ku kolumnie z sugerowanymi profilami.

Między licznymi propozycjami pojawia się propozycja nowej grupy: *Wsadzić Carvera Briggsa*.

Moje serce wpada w panikę, objęta się o żebra niczym zamknięta w ciasnej klatce wściekłe zwierzę. Wchodzę. Na razie nie ma tam zbyt wielu treści. Tylko skrótowy opis Wypadku oraz garść statystyk dotyczących ofiar śmiertelnych wypadków samochodowych powiązanych z korzystaniem z komórek. Jest również artykuł z „Tennesseeana”; zdobył pięć polubień. Dwa zostały przyjaciółki Adair. Główna strona profilu ma trzydzieści siedem lajków.

Nie czytam wiadomości od babci. Zatrzaszuję laptopa, wstaję zza biurka i zaczynam chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Z jakiegoś powodu zaciągam żaluzje. Czuję się nagi i bezbronny, wystawiony na ciosy.

Rzecz w tym, że dotąd w żadnym z artykułów prasowych o Wypadku nie pojawiło się moje imię i nazwisko. Grupa na fejsie zmieniła to diametralnie. Od tej pory każdy przyszedł pracodawca, wszystkie ewentualne uczelnie, mogą ją znaleźć bez trudu. Wystarczy, że wyszukają mnie w Google’u. Oczywiście, będzie to problem pod warunkiem, że będę się dalej uczyć i kiedyś szukać pracy. Chyba że trafię do więzienia.

Do dzisiaj podświadomie zakładałem, że pewnego dnia szpecące mnie plamy znikną, że nie będę nosić na sobie śladów śmierci przyjaciół.

Głupie założenie.

## Rozdział dziewiętnasty

– Dlaczego musisz jechać już dzisiaj? Przecież zajęcia zaczynasz dopiero w poniedziałek – zauważam.

Stoimy na ganku. Samochód Georgii, wyładowany po brzegi bagażami, dosłownie uginający się na resorach, czeka na podjeździe.

– Naprawdę chcesz, żebym jechała w poniedziałek? Byłoby zabawnie, co? Musiałabym wstać o trzeciej w nocy, dotrzeć na miejsce, zameldować się, wprowadzić, a potem natychmiast biec na wykład z chemii organicznej – odpowiada siostra.

– Przecież możesz pojechać w niedzielę. Dziś jest dopiero piątek.

– Nie martw się. Jeszcze się na mnie napatrzysz. Przyjadę w październiku na koncert Dearly'ego.

– Ej, pojedź jutro. Posiedź dzisiaj ze mną.

– Naprawdę potrzebuję czasu, żeby się tam urządzić, zorientować co i jak.

– Czyli, w wolnym tłumaczeniu: zaliczyć jakąś imprezkę – mamroczę pod nosem.

Georgia nachyla się do mnie i przykłada dłoń do ucha.

– Co mówisz? Nie dosłyszałam. Co mam zaliczyć? Twoje ucho? – Wsuwa sobie mały palec do ust, ślini go i próbuje mi wcisnąć do ucha.

– Georgia, nie zgrywaj głupiej. To obleśne! – Łapię ją za nadgarstek.

Chichocze, oblizuje palec drugiej dłoni i sięga do mojego drugiego ucha. Chwytam jej drugi przegub. Wrywa się i znowu próbuje. Palec nie trafia i ześlizguje mi się po policzku. Georgia jest prawdziwą maniaczką pilates, sporo ćwiczy, a ja... nieprzesadnie. Niełatwo powstrzymać jej natarcie.

– Przestań, Georgia! Dosyć! – Mięśnie ramion zaczynają mi drżeć, palec siostry zbliża się coraz bardziej.

– Okej, okej. Rozejm? – Ma zaczerwienione policzki. Świetnie się bawi.

– Dobra, rozejm. – Uwalniam jej ręce, mimo że jestem prawie pewien, że nie zrezygnowała.

Rozdzielamy się i mierzymy czujnymi spojrzeniami. Wtem Georgia atakuje niczym kobra. Zanim zdołałem choć drgnąć, jej mały palec smaruje mi śliną wnętrze ucha. Pokonała mnie. Zamieram. Nie próbuję się nawet opędzać. Trudno jest patrzeć w oczy komuś, kto trzyma mokry palec w twoim uchu. To naprawdę krępująca sytuacja.

– Niedługo poczujesz się lepiej – zapewnia łagodnie.

– Mówisz? – Chciałbym jej uwierzyć, ale ciężko mi to sobie wyobrazić.

– Zacząłeś odwiedzać doktora Mendeza. To spory krok naprzód. Bierzesz lekarstwa. Również super. Masz przy sobie Jesmyn, która wydaje się superfajna.

Wczoraj wieczorem Jesmyn pojawiła się u nas na pożegnalnym grillu Georgii.

– Tak, jest fajna – potwierdzam.

– Cokolwiek się między wami dzieje, nie spieprz tego.

– Jesteśmy przyjaciółmi. – Wyrzuty sumienia ściskają mi serce.

– Obiecuj, że nie przestaniesz chodzić do Mendeza, nawet jeśli nie poczujesz poprawy zbyt szybko. Dobrze?

– Dobrze.

– Jeśli zechcesz pogadać, zawsze możesz do mnie zadzwonić albo napisać.  
– Aha.  
– Spróbujesz dopuścić bliżej rodziców? Otworzysz się?  
– Postaram się.  
– Pamiętaj też, że gdybyś chciał, żeby ktoś skopał tyłek Adair, zgłaszam się na ochotnika.  
– Wiem, ale naprawdę nie musimy iść siedzieć oboje.  
– Carver, bądź ostrożny, błagam. Nie ułatwiał zadania Edwardsowi. Nie mów niczego, czego nie powinienś.  
– Okej.  
– A teraz przytul mnie.  
Zasłaniam uszy dłońmi i wchodzę między jej gościnnie otwarte ramiona. Gdy zaczynam się czuć bezpiecznie, sam ją obejmuję.  
– W moim życiu jest coraz mniej ludzi. – To miał być żart, ale chyba mi nie wyszedł.  
– Trzymaj się. – Georgia wsiada do samochodu, macha i odjeżdża.  
Unoszę rękę i patrzę w ślad za nią. Moje życie kurczy się z dnia na dzień.  
\* \* \*

Czując narastający lęk, wybieram drżącymi palcami numer babuni Betsy.  
– Kosa! – woła, a w jej głosie słychać uśmiech. – Jak się masz?  
– W porządku. A babunia?  
– Wciąż żyję. Czasami lepiej, czasami gorzej.  
– Wiem coś o tym. Dzwonię, bo chcę powiedzieć, że wszystko sobie przemyślałem. Myślę, że powinniśmy urządzić pożegnanie Blake’a. Wciąż nie jestem pewien, na czym dokładnie ma ono polegać, ale postanowiłem spróbować.  
Na linii zapada na moment milczenie.  
– To wspaniale. A co do twoich wątpliwości, chyba wymyślimy coś na poczekaniu, jak sądzisz?  
– Improwizacja? Dla Blake’a to wymarzony hołd.  
W słuchawce rozlega się śmiech.  
– Co powiesz na sobotę w przyszłym tygodniu?  
– Brzmi nieźle.  
– Zaczniemy rano i skończymy wieczorem. Będzie to prawdziwy ostatni dzień dla Blake’a.  
– Dobrze.  
– Wiesz, dla mnie to bardzo ważne. On też potraktowałby ten pomysł poważnie.  
– Mam nadzieję.  
Rozłączamy się. Jakiś czas siedzę na łóżku, nasłuchując własnych oddechów. Zastanawiam się, w co się właśnie wpakowałem. Nie mam pojęcia, czy sprostim zadaniu, czy zdołam ponownie pochować przyjaciela, tym razem na dobre. Nie wiem, czy zasługuję na to, by móc go pożegnać.

## Rozdział dwudziesty

Znowu o nich śnię. Razem robimy coś wesołego, ale nie do końca wiem, co to takiego. Moje sny często bywają mało konkretne. Cieszę się, że nie odeszli. Po przebudzeniu błagam ich, żeby pobyli ze mną choć kilka chwil dłużej, lecz nie zostają.

Co rano wyparowują w półmrok przedświtu, porzucając mnie sam na sam z żalobą. I z palącym poczuciem winy.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

*W ludzkim życiu pojawiają się niekiedy chwile, gdy mierzymy się z wyzwaniem ponad nasze siły. Jedną z takich sytuacji spotkała mnie tuż przed rozpoczęciem ostatniego roku szkoły. Musiałem sobie przyswoić...*

*Musiałem przewyciężyć...*

*Nauczyło mnie to...*

*Nie. Nie potrafię. Przepraszam, szanowna komisjo, ale naprawdę nie mogę wypisywać tych bzdur. Niczego się nie nauczyłem. Niczego nie przewyciężyłem. Dręczą mnie bezsenność i ataki paniki. Utrata trzech przyjaciół sprawiła jedynie, że jestem zdolny odczuwać żalobę i gardzić sam sobą.*

*Tgjgdssvhjinngdsbnkjmvcdfbnncsdgkfsfd'apsdofias'dpfosakdf'sapdfjo*

Wykasuję te pierdoły i pójdę na jakąś publiczną uczelnię, może Nashville State Community College, gdzie będę studiować na przykład konserwację powierzchni płaskich. Zostanę dozorcą. O ile, rzecz jasna, nie wsadzą mnie najpierw do więzienia.

Odchyłam się w krześle i warczę na sufit. Aż do tej pory dzień wcale nie był najgorszy. Do domu wróciłem mniej więcej godzinę temu. Przedtem słuchałem ćwiczącej Jesmyn. Od kilku dni, jeżeli nie uda mi się posłuchać jej gry choć przez chwilę, dręczy mnie później coś w rodzaju natrętnego głodu. Muzyka wydaje się otwierać we mnie jakieś zardzewiałe drzwi. Moje słowa zaczynają na powrót płynąć. No dobra, ciurkać. Napisałem dwie pierwsze strony nowego opowiadania. To już coś?

Pukanie do drzwi.

– Proszę! – wołam.

W pokoju pojawia się mama, w ślad za nią wchodzi tata. Na twarzach obojga maluje się niecodzienna powaga. Ojciec trzyma w ręku gazetę. Serce zaczyna mi głośno kołatać.

– Hej, kochanie... – zaczyna mama. – Możemy chwilę porozmawiać?

Głos drży jej niemal niedostrzegalnie, ale biorąc pod uwagę kontekst, zauważam to od razu.

– Hm, pewnie.

Tata siada na łóżku, mama zajmuje miejsce obok niego i patrzy mu w oczy.

– Callum, może ty... Ja nie do końca...

Ojciec chrząka. Wpatruje się we mnie, po czym opuszcza wzrok na gazetę. Mówi cicho. Jego słowa również są niepewne, rozedrgane.

– Carver, zadzwonił pan Krantz i poinformował nas o artykule w „Tennessean”. Prokurator okręgowa zdecydowała się wszcząć postępowanie w sprawie wypadku.

Kołatanie w mojej piersi przechodzi w złowróżbny marszowy łoskot werbli.

– Nie mówił nic więcej?

– Mówił – odpowiada mama. – Powiedział, że władze będą chciały się z tobą skontaktować. Musisz teraz bezwzględnie pamiętać, żeby nie rozmawiać z policją pod jego nieobecność.



Zasycha mi w ustach. Dłonie pokrywa mi pot. Nie mogę złapać tchu. Znajome koszmarne doznania.

– Mógłbym na chwilę zostać sam? Potrzebuję... Chcę być sam. – Staram się ukryć panikę, chociaż wiem, że płuca zapadną mi się już za sekundę.

Ściskają mnie i wychodzą. Cicho zamykają za sobą drzwi.

Opadam na łóżko, kręci mi się w głowie. Przed oczami wirują mi czarne plamy. Już niemal widzę siebie na więziennej pryczy, przeżywającego atak paniki.

Cóż, te miniaturowe śmierci stały się najwyraźniej trwałym elementem pejzażu mojego nowego życia. Przynajmniej będę miał co omawiać na sesji z doktorem Mendezem.

Kiedy najgorsze ustępuje, piszę SMS do Jesmyn i proszę, żeby położyła telefon obok fortepianu i coś dla mnie zagrała. Nie tłumaczę dlaczego. Ona nie pyta, tylko spełnia moją prośbę.

Muzyka trochę pomaga.

Gdy utwór dobiega końca, wyjawiam Jesmyn, że mogę trafić do więzienia.

## Rozdział dwudziesty drugi

Najczęściej dzieje się to wówczas, gdy moje myśli ogarnia spokój. Kiedy odpływam w sen. Słucham grającej Jesmyn. Gdy chciałbym oczami wyobraźni zobaczyć słowa następnego opowiadania, a widzę jedynie szare jak kamień zimowe niebo.

Właśnie wtedy zaczyna się gdybanie. Czy mogłem postąpić inaczej? Jak rozegrać ten dzień w inny sposób?

A gdybym nie podjął żadnego działania? Nie piszę SMS-a do Marsa. Co jeszcze? Może mogłem spróbować wybić im z głów cały ten wypad do kina, lecz to znacznie trudniejsze do wyobrażenia. Musiałbym ich powstrzymać przed obejrzeniem filmu, na który byli bardzo nakręceni. Przecież nie miałem powodu podejrzewać, że cokolwiek im grozi.

Nie wiem, co Mars mógł zrobić inaczej. Nie było mnie z nimi. Nie miałem na nic wpływu, także na kierowcę ciężarówki. Kontroluję tylko sam siebie, własne uczynki. A w tym konkretnym scenariuszu wystarczyłoby, żebym powstrzymał się od wszelkich działań. Bezczynność jest łatwa. Tak naprawdę nic nie mogę zrobić.

W każdym razie nie wysyłam mu tamtego SMS-a. Odczekuję piętnaście minut. Tłumaczę sobie, że przecież niedługo przyjadą, a SMS niczego nie przyspieszy. Korci mnie, lecz się powstrzymuję. Nie piszę SMS-a do Marsa.

Czekając, wertuję książkę, którą powinienem ustawić na półce. Gdy wracam do pracy, dolatuje mnie nikiemna parodia kobiecego głosu:

– Przepraszam, młody człowieku, gdzie znajdę *Pięćdziesiąt twarzy Greya*? I nie chcę używanych egzemplarzy... – To Blake. Obok niego stoją Eli i Mars.

Uśmiecham się szeroko.

– Wie pani oczywiście, że to nie jest podręcznik makijażu, prawda?

– Ach, tak? W takim razie dziękuję.

Wybuchamy śmiechem.

– I jak tam film? – pytam.

– Zajefajny – odpowiadają chórem Blake i Eli.

– Do dupy – mruczy Mars.

Świdrują go wzrokiem. Zbywa ich wzruszeniem ramion.

– Świat Marvela jest znacznie lepszy od uniwersum DC – stwierdza.

Tamci wznoszą oczy ku niebu.

– Dobrze, że nie jestem tak ideologicznie zafiksowany jak ty. Straciłbym masę zabawy – podejmuje Eli.

– Widzisz, ja się dziwię, że w ogóle z nami poszedłeś. Myślałem, że Jesmyn trzyma cię za jaja i nie wypuszcza na dwór – rzuca Mars.

– Uuu! – zawodzimy.

Eli prycha drwiąco pod nosem.

– Stary, jeśli interesują cię moje jaja, zagadaj ze swoją mamą.

Zawodzimy jeszcze głośniej.

– Chyba cię przebił. – Blake zwraca się do Marsa.

Mars chce kontynuować starcie, ale wtedy przykładam palec do uśmiechniętych

ust.

– Panowie, dajcie na luz. Wywalą mnie przez was z roboty. Założmy, że Mars odpowiedziałby równie jadownym tekstem.

Eli wyciąga dłoń do Marsa. Przybijają piątkę.

Blake zerka na telefon.

– Kosa, weź, zerwij się wcześniej. Wiewiórki nie będą na nas czekać, a poza tym mam interes do pewnego Bobbiego.

Zdejmuję z siebie zielony fartuch i ruszam na zaplecze. Tuż przed drzwiami dolatują mnie słowa Marsa:

– Przydałyby się nam dziewczyny. Nie tobie, Eli, ale całej reszcie. Tak ciągle latać za wiewiórkami... Nuda...

Ich głosy milkną gdzieś z tyłu, wiatr porywa je pod niebo.

Właśnie tak miał wyglądać ten dzień.

Nie piszę więc do Marsa. Komórka zostaje w kieszeni. Ustawiam książki na regałach, a potem oni przyjeżdżają. Rozmawiamy, śmiejemy się i klękamy przed ołtarzem życia, zupełnie tego nieświadomi. Czekam. Nie piszę do Marsa.

A oni nie leżą rozwłóczeni pośród chaosu błyskających świateł i ludzkich krzyków, ich szkarłatna krew nie rozlewa się na czarnym asfalcie.

Nie piszę więc do Marsa.

Nie piszę do Marsa.

Nie piszę do Marsa.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Jesmyn gra, a ja z dłońmi pod głową leżę pod fortepianem. W tym miejscu i pozycji czuję się, jakbym nurkował w zalanym gwiezdą poświatą oceanie. Kojące doznanie.

Muzyka cichnie. Nie ruszam się jeszcze przez chwilę, a kiedy zaczynam się wreszcie podnosić, Jesmyn klęka i zagłąda pod instrument. Wsuwa się i układa obok.

– Hej – mówi, patrząc ku górze.

– Fenomenalnie zagrałaś.

– Nie powiesz chyba, że nie słyszałeś, jak dałam ciała pod koniec.

– Owszem, powiem. Nie słyszałem. To naprawdę było przepiękne. Co to za utwór?

– *Jeux d'eau* Ravela. Pod względem technicznym istny koszmar, ale gdybym zagrała na przesłuchaniu coś prostego, nie miałabym szans. Nawet gdyby dobrze mi poszło. – Jesmyn krzyżuje nogi i wygładza sukienkę na udach. – Czyli taki masz tutaj widok...

– Nie układam się tu dla widoków. Kwestia brzmienia. Ej, ubrudzisz się.

– I co z tego? – prychnęła. – Dawniej chodziłam z braćmi na żaby. Nie uwierzysz, jak można się przy tym ubłocić.

– Chodziłaś na żaby?

Jesmyn wzdycha i wywraca oczami.

– Oho, znowu ten twój rasizm.

– Co? Nie! No jak to?

– Za każdym razem, gdy przypominam, że pochodzę ze wsi, wydajesz się wstrząśnięty. Jakby Azjaci nie mogli pochodzić z amerykańskiej wsi.

– Nie o to chodzi.

– W takim razie to na pewno seksizm.

– Też nie.

– A gdybym była białym siedemnastolatkiem z Jackson, też byś się dziwił, że zbierałam z braćmi żaby?

Kurde, sam się w to wmanewrowałam.

– Tak.

– Kłamca! Seksistowski kłamca!

– Wcale nie! Chodziło mi o to, że jesteś pianistką, i pomyślałem, że... wiesz... że troszczysz się o palce i tak dalej. – O, to było dobre! W sumie aż tak głupi nie jestem.

Jesmyn tłumi cisnący się jej na usta chichot i klepie mnie po brzuchu.

– Ach, czyli jesteś... muzyksistą.

Parskam śmiechem.

– Auć. Zabolało! Ale nie, wcale się nie dziwię. Dziewczyny też potrafią... przywalić.

– Kretyn... – rzuca z uśmiechem. – Wiesz co? Chciałabym się przekonać, jak stąd słyszać. Idź, zagraj mi coś.

– Nie umiem.

– Nie ma na świecie człowieka, który nie potrafiłby czegoś zagrać na fortepianie.

Do roboty!

– Dobra, już dobra. – Udamę irytację.  
Wstaję i otrzepuję się z kurzu. Siadam na taborecie.  
\* \* \*

*Natychmiast pojawia się Eli. Siada obok mnie.*

– Poradzisz sobie, nie łam się – pociesza.

– Wypchaj się.

– Przecież chciałem cię uczyć. Naprawdę.

– Wiem. Mówiłem ci już: po prostu nie mam do tego smykałki. Muzyka to zupełnie nie moja bajka. Widocznie ojciec nie przekazał mi w genach talentu. Zresztą sam nie wiem.

– Ile razy proponowałem, że nauczę cię grać na gitarze?

– Stary, proponowałeś, starałeś się. Przyznaję. Czasem miałem nawet wrażenie, że wkurzają cię znajomi, których nie jara granie na instrumentach.

– Fakt. Innym faktem jest, że niestety nie zdołałem cię przygotować do spotkań z moją umuzykalnioną dziewczyną. Zwłaszcza że spotykacie się po mojej śmierci.

– Nie twoja wina.

– Ją też chciałem nauczyć gitary. Byłaby świetna.

– Nie wątpię.

*Eli szybkim ruchem głowy odrzuca grzywkę z oczu.*

– Trzymaj się tonacji C. Żadnych krzyżyków i bemoli.

– Uwielbiam prostotę.

– Może, ale i tak widzę, że nie skumałeś ani słowa.

– Prawdę mówiąc, nie. Ani jednego.

– Jak to możliwe, że rodzice nie zmusili cię do nauki gry w dzieciństwie? Uciekałeś z lekcji?

– Z Georgią mieli istne skaranie boskie. Na mnie po prostu machnęli ręką.

– Mam dla ciebie ostatnią, oficjalną radę.

– Zamieniam się w słuch.

– Rozbaw ją. Masz tylko jedną szansę.

– To samo powiedziałby Blake.

- *No wiesz, Kosa, wszyscy znamy twoje wady i zalety.*
- *Tęsknię za wami, chłopaki.*

*Eliego już nie ma.*

\* \* \*

– No dobra, czekam. Zachwyć mnie. – Głos wyciągniętej pod fortepianem Jesmyn płynie jakby z bardzo daleka.

Sięgam po jedną ze swoich broni – okropnego naśladownictwa przedwojennego brytyjskiego akcentu.

– Tylko cóż tu zagrać? Czymże miałbym cię uraczyć? Mozart? Ech, nie! Beethoven? Pisali wyłącznie muzyczne androny, nic więcej. Może zatem... hm... Czy znamy innych kompozytorów?

– Bartók – podpowiada z chichotem.

– Bartók? Ten nadęty bufon! Nie. Otóż odegram dla twojej przyjemności jedno z własnych arcydzieł...

– Graj już, błaznie!

– Sza...! Zaprezentuję jeden spośród swoich najbardziej trafionych utworów...

*Wlazł kotek na płotek.*

Jesmyn wciąż się zaśmiewa. Gram niewprawnie, co chwila przerywam. Kiedy kończę, kłaniam się, a ona głośno bije brawo.

Wracam pod fortepian i kładę się obok niej.

– I jak wypadłem?

– *Bravo, maestro!* – Klepie mnie po ramieniu. – Tutaj rzeczywiście świetnie słyhać. Niesamowicie pełne brzmienie – stwierdza i na kilka chwil milknie. – Przypomniało mi się, jak grywał dla mnie Eli.

Atmosfera między nami zaczyna nagle przypominać powietrze zaraz po ustaniu porywistej wichury, kiedy wierzchołki drzew zastygają w bezruchu.

– No tak... – rzucam, ponieważ nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Dla was też grał? – Jesmyn układa się na boku, twarzą do mnie. Policzek opiera na złożonych dłoniach.

Przekręcam się i przyjmuję identyczną pozycję jak ona, wyglądamy niczym lustrzane odbicia.

– Czasami. Zaryzykuję stwierdzenie, że żadnego z nas nie próbował nigdy pocałować – żartuję i wymieniamy się smutnymi, tęsknymi uśmiechami.

– Wciąż nie czuję się dobrze – przyznaje Jesmyn. – Jest może trochę lepiej, ale do normy nadal sporo brakuje.

– Kiedy ostatnio do ciebie zadzwoniłem i poprosiłem, żebyś zagrała, otrząsałem się właśnie po kolejnym ataku.

– Dobra, przebiłeś mnie. A teraz? Jak się czujesz?

– W miarę. Jak na razie wygrywam, ale to bardzo ciężka konkurencja.

– Ja często płaczę w najmniej przewidywalnych momentach. Niedawno mama

wysłała mnie do sklepu po jajka. Stałam w kolejce do kasy i nagle zaczęłam ryczeć. Przedtem nigdy nie zdarzało mi się mazać. Przenigdy.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o pomysłe babci Blake’a? O pożegnaniu? To już jutro.

– Rany – szepcze Jesmyn. – Denerwujesz się?

– Tak. Wczoraj do niej zadzwoniłem. Ma jakiś plan, więc coś pewnie z tego wyjdzie. Naprawdę niełatwo jest wymyślić dobry sposób upamiętnienia czyjegoś życia.

– Rozumiem. Przecież jesteś niegłupi i w dodatku bardzo wrażliwy. Poradzisz sobie.

– Ej! Nie jestem aż tak wrażliwy!

– Po pierwsze męska wrażliwość to fantastyczna cecha. Po drugie, owszem, jesteś wrażliwy i nie widzę w tym nic wstydliwego. To miał być komplement.

– Przepraszam i dziękuję. Bo wiesz, to właśnie męska część mojego ego zbuntowała się przeciwko określeniu „wrażliwy”.

– Która godzina?

Zerkam na telefon.

– Szesnasta piętnaście.

– Kurczę. Za pół godziny przychodzi do mnie uczeń na korki. – Jesmyn wyslizguje się spod fortepianu i wstaje.

Podnoszę się zaraz za nią.

Staje tyłem do mnie, zbiera oburącz gęste czarne włosy i je unosi.

– Otrzep mnie.

Drgam niepewnie. Jesmyn czeka bez słowa. Ostatecznie zaczynam ją czyścić. Strzepuję kurz z gładkich, niemal w całości odsłoniętych ramion. Bije od nich zapach jakiegoś kosmetyku, woń kapryfolium. Przeciągam dłonią po miejscu, gdzie szyja łączy się z barkiem, mimo że osłaniały je włosy i nie miało jak się zabrudzić. Po prostu staram się działać metodycznie. Nie robię tego ruchami człowieka strącającego okruchy krakersów z samochodowego fotela. Raczej jakbym zgarniał kłaczki pajęczyny z antycznego i cennego obrazu, odkrytego na poddaszu. Czuję pod palcami jej skórę ciepłą niczym wlatujące przez okno pierwsze wiosenne powiewy.

Czyszczę jej łopatki. Plecy. Tył lewego ramienia. Tył prawego ramienia. I krzyż. Docieram tak nisko, na ile pozwala mi odwaga.

W opuszkach wyraźnie czuję przyspieszający puls.

– Nogi też? – pytam.

Jasne, nogi bez problemu może otrzepać sobie sama, lecz...

– Nie – odpowiada półgłosem. – Mam dziś ochotę chodzić z zakurzonymi nogami – dodaje z ironią.

Ciekawe.

– Widzisz? Nawet przez moment nie przeszło mi przez myśl, że poprosiłaś mnie o to, bo jesteś dziewczyną i boisz się odrobiny kurzu.

Zerka na mnie przez ramię.

– Czyli jest dla ciebie nadzieja.

Pochyliam się i otrzepuję z kurzu jej gładkie uda, tuż poniżej rąbka sukienki. Gdy

tylko ich dotykam, zaczynam odczuwać to, co mógłbym nazwać „rozwojem bardzo osobistym”. Usilnie się staram, by czynność nie przestała być czysta, aby nie straciła swojej niewinności. Nie chcę mieć brudnych myśli w odniesieniu do przyjaciółki, lecz przecież dotykam jej nóg, i to bardzo ładnych. Natychmiast wyobrażam sobie własną babcię na toalecie, próbuję zdusić swoje reakcje w zarodku, uniknąć ewentualnej kompromitacji i wstydu, kiedy Jesmyn się odwróci. Udaje mi się prawie w stu procentach.

– Jutro wszystko pójdzie dobrze – stwierdza ni z gruszki, ni z pietruszki Jesmyn. To jedno zdanie ostudziło mnie bardziej skutecznie niż wizja wydalającej babci. – Myślę, że podjęłaś słuszną decyzję. I myślę też, że potem poczujesz się znacznie lepiej.

– Nie chciałbym czegoś zepsuć.

– Nie zepsujesz. Skończyłeś? Dobrze wyglądam? – pyta, pozwalając włosom opaść na plecy.

– Tak – rzucam. – Dobrze wyglądasz.

\* \* \*

Kiedy jadę do domu, dzwoni do mnie Darren Coughlin. Parkuję na poboczu i odbieram. Dziennikarz prosi o komentarz w sprawie dochodzenia. Odmawiam i przez jakiś czas po prostu siedzę, oddycham, nasłuchuję bicia własnego serca. Chcę mieć pewność, że napad nie zaskoczy mnie za kierownicą. Gdybym miał milion dolarów, to przede wszystkim zapłaciłbym panu Krantzowi, ale całą resztę wydałbym na godzinę czasu wolnego od myśli o Wypadku, sędzim Edwardsie i prokuraturze, Adair, kosztach sądowych i więzieniu... po prostu o tym wszystkim. Chciałbym mieć jedną spokojną godzinę, by odpocząć, czując, jak wspomnienie gorącej skóry Jesmyn paruje z koniuszków moich palców. Godzinę z umysłem wolnym i spokojnym niczym gładkie morze w cichy bezwietrzny dzień.



## Rozdział dwudziesty czwarty

Leżę w łóżku. Cisza huczy mi w uszach. Zielone cyfry na budziku informują, że jest druga czterdzieści pięć. Już prawie udało mi się zasnąć, lecz rozbudził mnie terkot przejeżdżającego pociągu. Babunia Betsy wcale nie żartowała, mówiąc, że zaczniemy wcześniej rano. Umówiliśmy się na siódmą.

Próbuję pozbierać wszystkie związane z nim historie. Z pewnością nie pomoże mi to usnąć, ale i tak wspominam. Układam je w głowie w schludnych rzędkach. Czyszczę je, poleruję.

Przygotowuję te opowieści, by wreszcie pozwolić im odejść.

\* \* \*

Trzeci tydzień ósmej klasy w NAA. Nikogo nie znam, ponieważ to mój pierwszy rok (do NAA chodzą dzieciaki od ósmej do dwunastej klasy). Z dawnymi przyjaciółmi i nieprzyjaciółmi (tych drugich zawsze było więcej) ze szkoły w Bellevue już się rozstałem. Dość dziwaczne uczucie, kiedy wszyscy w klasie są nowi.

Siedzę z tyłu sali. Nauczycielka wiedzy o społeczeństwie, panna Lunsgaard, opowiada monotonnym głosem o parlamentach dwuizbowych, trójpodziale i równowadze władz. To najdłuższa lekcja z całego dnia, ponieważ tuż po niej wypada długa przerwa obiadowa. Ukradkiem przyglądam się sąsiadowi z ławki. Wydaje się sympatyczny i miły. Uśmiecha się do mnie i udaje, że zaplata coś w dłoniach. Zakłada sobie na szyję wyobrażoną pętlę, zaciska ją i szarpie ku górze, wywalając język kącikiem ust.

Tłumię parsknięcie i rewanżuję się pantomimą, w której naśladowuję otwieranie fiolki z pigułkami. Wrzucam do ust całą zawartość i połykam.

Chłopakowi nie udaje się zdusić śmiechu. Zwracamy uwagę panny Lunsgaard.

– Blake? Carver? Dzisiejszy temat pojawi się na najbliższej klasówce.

– Przepraszamy – mamrocemy i znów spotykamy się spojrzeniami. On pod blatem podcina sobie palcem żyły.

Wreszcie odzywa się dzwonek. Wciskam podręcznik i przybory do plecaka. On podaje mi rękę.

– Cześć, jestem Blake.

– Carver. – Ściskam wyciągniętą dłoń.

– Zajebiste imię, stary. Mógłby się tak nazywać seryjny morderca. Carver z Bostonu – mówi z wyraźnym akcentem południowca. Raczej nie pochodzi z mojego miasta.

– Dostałem je na cześć autora opowiadań.

– Ach.

– I to uznanego autora – podkreślam.

– Och, doprawdy?! – rzuca głosem zachwyconej staruszki i przesłania dłonią rozdziawione usta.

Śmieję się.

– Gdzie wcześniej chodziłeś?

– Nie będziesz wiedział. Szkoła Andrew Johnsona. W Greeneville.

– To w Karolinie Południowej?  
– Wschodnie rejony Tennessee. Bliżej stamtąd do Karoliny Północnej niż do Nashville.

– Jak tu trafiłeś?

– Mieszkam z babcią. Jakiś czas temu zmarł dziadek i oboje potrzebowaliśmy odmiany. Babcia postanowiła, że zapisze mnie do lepszej szkoły, więc się przeprowadziliśmy.

– Super. I jak ci się podoba w Nashville?

– Spoko. Szkoda tylko, że jak na razie mam raczej mało kumpli.

Wychodzimy na tłoczny korytarz.

– Może zjemy razem? – sugeruję.

– Pewnie, brachu. – Rozpromienia się. – Chodźmy.

Siadamy w stołówce i jemy. Blake pokazuje mi swój kanał na YouTube. Ja w rewanżu streszczam mu kilka swoich opowiadań. Śmiejemy się.

Bardzo często się śmiejemy.

Potem nastął – zdaje się – okres, kiedy nie byliśmy jeszcze najlepszymi, nierozłącznymi przyjaciółmi. Kilka dni lub nawet parę tygodni. Jednak w moich wspomnieniach zaprzyjaźniliśmy się na dobre już pierwszego dnia. To ciekawe, że pamięć potrafi wycinać z całości mniej interesujące fragmenty. Tak, pamięć jest świetnym montażystą. Zdarza się, że chcemy sobie przypomnieć każdą spędzoną z kimś chwilę. Nawet te najnudniejsze i najbardziej przyziemne momenty. Człowiek żałuje wtedy, że nie przeżył ich bardziej dogłębnie, nie wchłonął ich w siebie na zawsze – nie pomimo ich zwyczajności, lecz właśnie ze względu na ich zwyczajność. Nikt nie jest nigdy przygotowany na koniec opowieści. O tym jednak przekonujemy się zbyt późno.

Myślę o tym, czekając na wschód słońca.

\* \* \*

Przed domem babuni zatrzymuję się o szóstej pięćdziesiąt cztery. Siedzę w samochodzie do siódmej zero jeden. Zza metalowego ogrodzenia po drugiej stronie ulicy czeka na mnie pies. Słychać też brzęczenie owadów, lecz poza tym okolica jest senna i spowita w sobotnią ciszę. Powietrze wciąż jest gęste od letniej wilgoci, choć przecież dobiega końca pierwszy tydzień września. Na nieco przydługiej trawie skrzą się kropelki rosy. Niedługo znów będę musiał tu zajrzeć i skosić trawnik.

Babunia Betsy otwiera drzwi ubrana w bawełnianą koszulkę w pluszowe misie. Ma też na sobie baseballową czapkę z logo uniwersytetu stanowego, typowo babcine džinsy i białe adidas. Na jej twarzy widać ślady zmęczenia, wyraźne jak tatuaż. Nie jest to zmęczenie chwilowe, przelotne; nie można go z siebie zmyć lub po prostu odespać. Niemniej, kiedy się uśmiecha, cienie nieco bledną.

– Kosa! Wchodź, proszę. Więc...

– Więc... – Odwzajemniam jej zmęczony uśmiech i przechodzę przez próg.

– Jesteś gotów?

– Tak myślę.

– Nie będziesz miał mi za złe, jeśli trochę się ubrudzisz?

– Nie.

– Świetnie. Pomyślałam, że zaczniemy od czegoś, co Blake i ja bardzo chętnie robiliśmy w sobotnie poranki. Najpierw chodziliśmy na kiepskie ryby, a potem odwiedzaliśmy naszą ulubioną śniadaniową knajpkę Waffle House.

– Na kiepskie ryby?

– Wyjaśnię ci w samochodzie.

Pomagam starszycie spakować dwie wędki, składane krzeselka, turystyczną lodówkę i pojemnik z przynętami. Wszystko trafia do bagażnika odrapanego, rozklekotanego brązowego buicka. Zapadam się w miękkim fotelu. Wnętrze samochodu pachnie sosną i starymi chusteczkami higienicznymi. Na desce rozdzielczej jaśnieją pomarańczowe kontrolki. Gdy tyłem wycofuję wóz z podjazdu, z silnika dobywa się dziwny pisk. Z radia płynie cicha piosenka Johnny’ego Casha.

– Tę nazwę wymyślił naturalnie Blake – podejmuje babunia. – Mnie żarty nigdy nie przychodziły tak łatwo jak jemu.

– Był w tym najlepszy.

– Racja. Tak czy inaczej, chodzenie na kiepskie ryby to po prostu chodzenie na kiepskie ryby. Łowienie szło nam jak po grudzie. Blake zamieszkał ze mną, gdy miał osiem lat. Wcześniej nie robił niczego, czym zwykle zajmują się chłopcy. Mitzi przez cały czas chodziła pijana lub naćpana, a jedynymi mężczyznami w domu byli jej znajomi. W najlepszym razie – znajomi. Sadzali małego Blake’a przed telewizorem i w ten sposób spędzał długie godziny.

– Właśnie dzięki telewizji zainteresował się komediami i kabaretem. Rzadko wspominał dzieciństwo, ale o tym mi opowiedział.

– Pewnego dnia przyszedł do mnie i oznajmił: „Babuniu, chcę łowić ryby jak ci ludzie w telewizji”. Cóż miałam zrobić? Rolly, mój mąż, ubóstwiał wędkowanie. Wtedy jednak już nie żył. Uznałam, że muszę coś wymyślić. Kupiłam dwie wędki, kilkanaście haczyków i wykopałam w ogródku trochę dżdżownic. Pomyślałam, że możemy łowić jak bohaterowie kreskówek. Za pierwszym razem straciliśmy cały poranek, a nie złowiliśmy ani jednej ryby. Nawet brania nie było. Ale, Bóg mi świadkiem, setnie się bawiliśmy. Rozmawialiśmy, popijaliśmy piwo korzenne. Po którejś z kolejnych wypraw, Blake powiedział... – Urywa i zaczyna się śmiać, cała aż się trzęsie, ociera łzę spod oka. – Przepraszam – mówi po chwili – to wcale nie jest aż tak zabawne. Powiedział: „Babuniu, my nie chodzimy na ryby, my chodzimy na kiepskie ryby”.

Szykowałam się na przeżycie przypominające deptanie poświęconej ziemi. Rzeczywistość okazuje się jednak zupełnie inna. Nagle czuję przemożną ochotę wyznać, dlaczego nie jestem tego dnia godzien, ale rozlega mi się w głowie głos pana Krantza i to sprowadza mnie z powrotem na ziemię. Dostyc brutalnie. Decyduję się na niepełne wyznanie:

– Babuniu Betsy, nie jestem pewien, czy powinienem tu być. To szczególna chwila i...

Wyłącza ledwie szemrzające radio.

– Owszem, bardzo wyjątkowa. Dla mnie wręcz najbardziej wyjątkowa z możliwych. Dlatego to ja decyduję, w czym towarzystwie chcę spędzić dzisiejszy dzień.

Kto tu być powinien, a kto nie. A skoro cię zaprosiłam, znaczy, że powinieneś. Jasne? – mówi niby delikatnie, lecz jakaś nuta w jej głosie przestrzega wyraźnie: „Nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu”.

Zerka na mnie z ukosa. Potakuję.

– Jak myślisz, co powiedziała by Blake, gdyby był z nami? – zastanawia się. – Czy powiedziała by: „Nie, babuniu, ten chłopak nie zasługuje, żeby jechać na kiepskie ryby”?

Kręcę głową. Wciąż się jednak boję, że nawet dobroduszość babuni i Blake’a nie zdoła mnie rozgrzeszyć.

– Po raz pierwszy wspomniał o tobie właśnie podczas jednego z naszych wędkarskich wypadów – podejmuje babunia Betsy.

– Naprawdę?

– Zapytałam go, jak tam w szkole, czy dobrze mu idzie, czy znalazł już nowych przyjaciół. Wiesz, dzięki swojej stronie miał wiele znajomości internetowych, ale znajomości z żywym człowiekiem nic przecież nie zastąpi. Trochę się niepokoiłam, bo pod względem nawiązywania kontaktów nie miał najlepszych wzorów do naśladowania.

– Tego babunia nie mogła być pewna.

– To też prawda, ale dopiero co przenieśliśmy się z małej dziury we wschodnim Tennessee do wielkiego miasta, a Blake został ciśnięty do szkoły pełnej inteligentnych, utalentowanych dzieciaków. Wiedziałam oczywiście, że sam jest mądry i uzdolniony, ale i tak się martwiłam.

– Co odpowiedział?

– „Babuniu, poznałem takiego sympatycznego chłopca. Nazywa się Carver i zjadł ze mną lanch. Zaprzyjaźnimy się!” – wspomina z uśmiechem staruszka.

– Serio takich słów użył? Zabrzmiało trochę... dziecinnie.

– Dokładnie tak powiedział. Zapamiętałam, ponieważ był to jeden z momentów, które dowiodły, że moja decyzja o zmianie otoczenia i przeprowadzce była słuszna. Bałam się, bo wiele ryzykowaliśmy.

Nagle olśnienie: Zaryzykowałam i ostatecznym skutkiem tej decyzji była śmierć Blake’a. Gdybyście zostali w swoim małym miasteczku, on wciąż by żył.

– Zdarza się babci żałować? W sensie przenosin? – pytam półgłosem. Drugiej części pytania nie jestem w stanie wypowiedzieć.

Odnoszę wrażenie, że staruszka samodzielnie dodała dwa do dwóch. Oczy jej się szklą, jakby wpatrywała się w coś bardzo odległego, wzbierają w nich łzy.

– Nie. Wiem, że Blake’a spotkała tu śmierć. Gdybyśmy się nie przeprowadzili, nigdy nie spotkałoby go życie. Odnalazł tutaj dobrych ludzi. Życiem nas wszystkich kieruje ręka Boga i wierzę, że to On nas tutaj przywiódł. Nie wiem, z jakiego powodu tak wcześniej wezwał Blake’a do siebie, dlaczego go nam odebrał, ale boskie zrządzenia często bywają nieodgadnione.

Przez kilka chwil jedziemy w milczeniu. Cisza zawisa nad nami niczym zawieszona na wątlej nici kurtyna. Babunia Betsy pochyla się i ponownie włącza radio.

– Jeszcze się dzisiaj nagadamy. Teraz powinniśmy odśpiewać na cały głos jakąś piosenkę country i niemiłosiernie przy tym fałszować. Tradycja zobowiązuje.

\* \* \*

Zatrzymujemy się nad jeziorem Percy'ego Priesta i kierujemy się do ich ulubionego zakątka. Rozkładamy krzeselka. Babunia pomaga mi zacząć haczyk.

– Chyba trafiłam na jedyną osobę na świecie, która wie o wędkowaniu jeszcze mniej niż ja i Blake – mówi z chichotem.

– Szczęściara.

Zarzucają wędkę i sadowimy się na krzeselkach.

Betsy klepie mnie w kolano.

– Zobacz – szepcze, wskazując palcem.

Nieopodal szybuje pełna wdzięku czapla. Patykowate nogi ciągną się sztywno za ptakiem.

– O rany...

– Między innymi dlatego tutaj przyjeżdżaliśmy. Często siadaliśmy w tej pięknej okolicy i podziwialiśmy boskie stworzenia.

Babunia smutnieje i wpatruje się w przeciwległy brzeg jeziora. Zaczyna coś mówić. Przesłania usta, lecz znów cała się trzęsie od wstrzymywanego śmiechu. Parska.

– Oczywiście, przy Blake'u nawet dzieła wszechmocnego nie były bezpieczne. Któregoś dnia z lasu wyszła czwórka lub nawet piątka jeleni. Stały na skraju wody, jakieś cztery metry od nas, i zaczęły się poić. Siedzimy, przyglądamy się im, a Blake w pewnym momencie szepcze: „Babuniu, jak sądzisz, co sobie Bóg myślał, tworząc jelenie? Najpierw dał im tę śliczną brązową sierść, która pozwala ukrywać się w lesie, między drzewami, ale potem stwierdził chyba, że koniecznie musi coś dodać i obdarzył je tymi cudownymi błyszczącymi tyłkami. Najpiękniejszymi tyłkami na całym Bożym świecie”.

Śmiejemy się do utraty tchu.

– Pewnie dlatego nigdy niczego nie złowiliśmy. Nie potrafiliśmy wysiedzieć cicho i płoszyliśmy wszystkie ryby – stwierdza babunia, na chwilę popada w zadumę i dodaje:

– Często myślę o tym, jak życie z nim mnie odmieniło. Ciebie też zmienił?

Usta zaczynają odpowiadać, zanim jeszcze umysł zdążył się zastanowić.

– Dzięki niemu znacznie mniej boję się obnażać.

Babunia Betsy robi lekko wystraszoną minę.

– Nie, nie w takim sensie. Przepraszam. Mniej boję się okazywać słabość, odsłaniać.

– Ach, dlatego, że przy Blake'u...

– Tak, człowiek nigdy nie wiedział, czego się po nim spodziewać.

Staruszka otwiera turystyczną lodówkę, wyjmując butelkę piwa korzennego i częstuje mnie.

Zdejmuję kapsel, wypijam nieduży łyk.

– Pamiętam, jak poszliśmy kręcić filmik – podejmuję. – Ten, na którym wchodzi bez koszulki do galerii Green Hills.

– Oj, szkoda, że nie wybiłeś mu tego pomysłu z głowy. – Betsy przykładła dłoń do policzka. – Panie wszechmogący!

– Próbowałem, proszę mi wierzyć. Umierałem wtedy ze strachu, chociaż przecież miałem tylko iść za nim z kamerą. Kiedy Blake wtargnął do Nordstroma i nareszcie

wyrzucił nas ochroniarz, naprawdę bardzo mi ulżyło.

– Domyślam się, że mój wnuk zapytał ochroniarza, w jaki niby sposób ma kupić koszulę, skoro wyprasza ją go ze sklepu z ciuchami.

– Coś w tym rodzaju. W każdym razie, gdy wróciliśmy do samochodu, pytam go: „Ej, stary, ty się nigdy nie wstydzisz?”. Popatrzył na mnie, jakbym to ja był wariatem, i powiedział: „Naprawdę pomyślałeś kiedyś źle o człowieku tylko dlatego, że z premedytacją cię rozśmieszył?”. Zastanowiłem się i odpowiedziałem, że nie. A Blake: „Godność jest stanowczo przeceniana. Spokojnie można się bez niej obejść. Wiem, bo sam miałem taki okres. Za to bez śmiechu nikt nie może żyć. Z radością przehandluję godność za śmiech, bo godność jest tania, a śmiech bezcenny”.

Babunia Betsy wpatruje się w jezioro, delikatnie kiwa głową. Chrząka raz i drugi, wyciera nos.

– Często słyszałam od niego tę pierwszą część. Drugiej nigdy. Co opowiadał ci o swoim dzieciństwie?

– Robił to naprawdę rzadko. Było jasne, że nie lubi poruszać tego tematu. Domyślam się, że nie miał lekko.

Babunia dopija piwo, odstawia pustą butelkę i sięga do lodówki po następną. Na jej twarzy gości ból.

– Mitzi od początku była zbuntowanym dzieckiem. Przyszła na świat jako najmłodsza z rodzeństwa i podejrzewam, że byliśmy już zanadto zmęczeni, żeby wychowywać ją należycie surowo. W efekcie robiła, co jej się żywnie podobało. W ciążę zaszła w wieku szesnastu lat. Ojcem mógł być dowolny z piątki kandydatów. Wszyscy po trzydziestce. Wybrała tego, który miał najlepszą przyczepę mieszkalną i najwięcej sprawnych aut. Wmówiła mu, że Blake jest jego dzieckiem.

– Czyli Blake nigdy nie miał pewności, czyim jest synem?

– Nie. Co gorsza, wszystkie ewentualności były po prostu koszarne.

– Jezu...

– I to właśnie z tym człowiekiem Mitzi go wychowywała. – Przy ostatnim słowie babunia Betsy zaznacza palcami w powietrzu wymowny cudzysłów. – Polegało to na sadzaniu dziecka na wiele godzin przed telewizorem. Tyle czasu w jednej pielusze... A oni bawili się i wciągali metę. Czasami pozwalali, żebym go zabrała na jeden dzień. Kąpałam go wtedy, karmiłam porządnym jedzeniem, starałam się uczyć go mówić, chodzić i czytać. Był zaniedbany pod wieloma względami.

– Nie zgłosiła ich pani do...

– Opieki społecznej? Panie mój, oczywiście. A do szeryfa? Po wielokroć. Tyle że wszystko to miało miejsce w niewielkim miasteczku, w zasadzie na wsi. Służby niewiele mogą tam działać, więc najczęściej nie robią nic.

– Przykro mi. Co było dalej?

– Nic się nie zmieniało, dokąd Blake nie skończył ósmego roku życia. Wtedy zaczęli go zostawiać samopas na całe dni. Nie wysłali go do szkoły. Faceci Mitzi posuwali się do rękoczynów. Wreszcie stwierdziłam, że dłużej na to nie pozwolę. Zabrałam go. Tak po prostu, nikogo nie pytałam o zdanie. Uznałam, że skoro policja i opieka społeczna nie są w stanie ochronić Blake'a przed Mitzi, nie pomogą jej też

odzyskać chłopca ode mnie.

Opowieść budzi we mnie wspomnienie.

– Blake próbował mnie zmienić w jeszcze inny sposób – odzywam się półgłosem.

– Byliśmy akurat u mnie w domu. Nie pamiętam, co konkretnie robiliśmy. W pewnej chwili zapukała mama. Chciała mnie o coś zapytać, a ja się na nią wściekłem, że przeszkadza. Aż wstyd coś takiego opowiadać. Wychodzę na najgorsze dziecko pod słońcem.

– Nie zamierzam cię oceniać. Zresztą, sam powiedziałeś, że Blake nauczył cię nie bać się odsłaniać.

– No tak. W każdym razie wściekłem się, a mama wyszła. „Dlaczego jesteś taki niemiły dla matki? – zapytał mnie Blake. – Ja w życiu nie odezwałbym się do niej w ten sposób. Nie masz pojęcia, jakie spotkało cię szczęście. Coś o tym wiem”. Bardzo mi wstyd, że tak ją potraktowałem. W dodatku przy nim.

Znów na kilka chwil zapada milczenie. Zabijamy natrętne komary, sączymy piwo. Ponownie zaczynamy gawędzić, czując przygrzewające nam plecy promienie słońca. Ze dwa razy wydaje się nam, że ryba bierze. Oczywiście, nic z tego. Spławikami musiał poruszyć wiatr czy coś w tym stylu. Nawet nie sprawdzamy, czy ryby nie zwędziły przynęty z haczyków.

Wreszcie babunia Betsy zerka na zegarek.

– Kosa, powoli robię się głodna. Chyba czas pożegnać kiepskie ryby – stwierdza łamiącym się głosem. – Muszę przyznać, że okazałeś się wybornym towarzyszem. W konkurencji niełapania ryb otrzymujesz srebrny medal.

– Możemy to jeszcze kiedyś powtórzyć.

Babunia wbija wzrok w ziemię, spogląda na wodę i znów w ziemię. Gwałtownie mruga powiekami.

– Obawiam się, że nie. Wyjeżdżam.

Znaczenie tych słów nie od razu dociera do mojego umysłu. Przez moment wydaje mi się, że miała na myśl „wyjazd” na śniadanie.

– Chwila, co takiego?

– Przeprowadzam się. Tęsknię za swoimi górami. Tutaj mieszkałam wyłącznie ze względu na Blake’a. Chciałam jak najbardziej oddalić go od poprzedniego życia. Obaj moi synowie mieszkają w Greenville, a starsza córka w Chattanoodze.

Siedzę oniemiały. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

– Przepracowałam w administracji stanowej dość długo, by wreszcie przejść na emeryturę. W poniedziałek wystawiam dom na sprzedaż. Niedrogo. Chcę tyle, by pokryć koszty pogrzebu i żeby jeszcze wystarczyło na chatkę na górskim zboczu. Będę oglądać swoje seriale i czytać ulubione kryminały, a w niedzielę zapraszać dzieci na obiad. Będę żyć spokojnie ze swoimi wspomnieniami, dopóki Pan nie zaprosi mnie do siebie.

Aż dotąd nie przyszło mi do głowy, że śmierć Blake’a może pociągnąć za sobą i taki skutek. Żyłem w przekonaniu, że pokłosie Wypadku ograniczy się do żałoby, poczucia winy, bólu i tęsknoty. Nie myślałem o pakowaniu dobytku i przeprowadzkach. Ciekawe, jakie jeszcze owoce spadną z tego wstrząśniętego drzewa.

– Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Cieszę się, że wrócę w swoje strony.
- Przykro mi, że przeze mnie musi się babunia przeprowadzać.
- Już to przerabialiśmy. Nie musisz mnie przepraszać.

Milknę. Oczywiście, że muszę. Popełniłem coś tak bliskiego zabójstwu, że nie mogę o tym rozmawiać z nikim poza doktorem Mendezem i panem Krantzem. Przecież gdybym był niewinny, chyba nie musiałbym ukrywać przed ludźmi swojej wersji wydarzeń?

- Okej – odzywam się wreszcie.
- Sięgam po wędkę, chcę ją spakować.

– Nie. – Babunia kładzie dłoń na mojej dłoni. – Zostaw. – Wyciąga z kieszeni dzinsów złożoną na pół kartkę z zeszytu i ją rozkłada. Wygląda i kładzie na jednym z krzesełek. Przyciska papier kamieniem wielkości kurzego jaja.

Zerkam na liścik. Pokrywają go rzędy precyzyjnych, schludnych, wyuczonych pewnie na szkolnych lekcjach kaligrafii literek:

Do Znalazcy:

Proszę to wszystko zachować – od tego momentu te rzeczy są Twoje. Przedtem należały do mnie i mojego wnuka. Nigdy nie byliśmy dobrymi wędkarzami, ale dzięki temu sprzętowi powstało wiele cudownych wspomnień. Mam nadzieję, że Tobie posłużą równie dobrze.

Ku pamięci Blake’a Jacksona Lloyda.

Ruszam wzdłuż ścieżki, spodziewając się, że staruszka pójdzie za mną. Nie idzie.

– Kosa, poradzisz sobie chwilę beze mnie? Chciałabym spędzić moment na osobności – szepcze ochryple.

Jej głos brzmi jak szmer wiatru w wysokiej trawie. Podaje mi kluczyki do samochodu. Przed odejściem patrzę, jak siada na składanym krzeselku. Opiera łokcie na kolanach i kryje twarz w dłoniach.

W samochodzie robię dokładnie to samo.

\* \* \*

Kiedy wraca – mniej więcej dziesięć minut później – oboje w zasadzie zdołaliśmy się pozbierać.

– Dobra – mówi autentycznie wesoło (na pewno nie smutno). – Chętnie wtrząchnę gofra z bekonem. To tradycyjny posiłek po wędkowaniu. Co powiesz?

– Ja? Zawsze!

Jedziemy do pobliskiego Waffle House. Babunia Betsy parkuje i zanoszą się śmiechem.

– Pewnie uważasz, że jak na pożegnanie Blake’a to nic szczególnego. Tyle że uwielbialiśmy to robić. W miarę możliwości spędzaliśmy w ten sposób każdy sobotni rano od ładnych paru lat. Oczywiście, nie mogę być pewna, czego sam by sobie w ostatni dzień zażyczył, ale ja wyobraziłam sobie to właśnie tak.

– Skoro mam odgrywać jego rolę, pozwolę sobie powiedzieć, że też by tego chciał.

– Moim zdaniem, jeśli ktoś uważa, że jego ostatni dzień na świecie powinien odbiegać od codzienności, to najwyższa pora, by poważnie przemyślał swoje życie.



– Święta prawda.

Wygląda na to, że nawet na parkingu przed knajpką z goframi można dowiedzieć się czegoś o sensie życia.

– Chodźmy wreszcie coś zjeść.

– Dzień dobry – wita nas jasnowłosa kelnerka o głosie nałogowej palaczki. – Dzień dobry, Betsy. Widzę, że dziś przyprowadziłaś na śniadanie innego towarzysza?

Uśmiech babuni blednie niemal niedostrzegalnie.

– Dzień dobry, Lindo. Blake niestety nie mógł przyjść. A to jest Carver, mój serdeczny przyjaciel.

– Hej. – Macham ręką.

– Miło cię poznać, skarbie – odpowiada Linda. – Podać menu czy po prostu to samo co zwykle?

Babunia obrzuca mnie pytającym spojrzeniem.

– Niech będzie to co zwykle. Zapowiada się ciekawie – mówię.

– Zatem jak zwykle – potwierdza Betsy.

– Zaraz podam – rzuca Linda. – Proszę przekazać wnukowi, że bardzo za nim tęsknimy.

– Na pewno o tym wie. – Betsy sili się na uśmiech.

Siadamy. Kelnerka nalewa nam kawę do kubków i odchodzi. Babunia pochyła się ku mnie nad blatem.

– Nie mogłam jej powiedzieć – szepcze. – Linda jest taka kochana. Niepotrzebnie bym ją zasmuciła.

– Blake uznałby, że to zabawne.

W oczach Betsy pojawia się błysk.

– Wyobrażam sobie, że przygląda się nam w tej chwili z nieba i zaśmiewa z numeru, jaki jej wykręciliśmy.

Uśmiecham się. Bawię się widelcem.

– Wierzysz w niebo? – pyta babunia.

Odpowiedź brzmi: „Wierzyłem”. Równie niezobowiązująco jak we wszystko, co wiąże się z Bogiem. Moja wiara była niesprawdzona, więc trwałem przy niej bez kłopotu. A teraz? Gdyby ktoś mi powiedział: „Słuchaj, Blake zginie, ale nic się nie martw, bo przecież wierzysz chyba w niebo, co?”, musiałbym zaprzeczyć.

– Tak mi się wydaje – przyznaję. – Tyle że jeszcze nigdy tak często się nad tym nie zastanawiałem.

– Ja wierzę w niebo – mówi cicho Betsy. – Wierzę też w zmartwychwstanie ciał i w powrót umarłych. Wierzę w to wszystko. Pewnie myślisz, że dzięki temu jest mi łatwiej. Skoro wierzę, że pewnego dnia znów będę mogła przytulić Blake’a do piersi, że dla mnie to coś w rodzaju posłania wnuka na letni obóz. Nie, to nieprawda.

Wraca Linda. Przynosi dwa talerze, na których piętrzą się świeże gofry i półmisek wypełniony plastrami grillowanego bekonu.

– Proszę bardzo, smacznego.

– Wygląda smakowicie – chwali babunia.

Oboje wyglądamy przez okno. Patrzymy na przechodzących ludzi, na

przejeżdżające samochody. Nasłuchujemy brzęku sztućców, skwierczenia smażonego na grillu mięsa, trzasków strzelającego tłuszczu. Pomruku rozmów, wykrzykiwanych w kierunku kuchni zamówień.

Zbiera mi się na wyznania.

– Jak babunia myśli, za co mogą nie wpuścić człowieka do nieba?

Zagląda mi głęboko w oczy, przetyka kęs gofra, popija kawą.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem.

– Chodzi mi o to, że gdyby Bóg uznał, iż miałem coś wspólnego z...

Znowu pojawia się kelnerka. Tym razem dolewa nam wody do szklanek.

– Wszystko w porządku? – upewnia się.

– W stuprocentowym – odpowiada Betsy.

Linda znika.

– A jeśli w oczach Boga to ja odpowiadam za Wypadek? – podejmuję z lekkim drżeniem w głosie.

Chciałbym powiedzieć znacznie więcej, ale w głowie nadal słyszę echo słów pana Krantza. W sumie zawsze mnie dziwiło, dlaczego przestępcy przyznają się do zbrodni. Zwłaszcza w sytuacjach, gdy takie przyznanie jest dla władz jedynym dowodem. Teraz rozumiem to doskonale.

– Posłuchaj, powiem ci, co sama wiem na temat Boga. – Babunia rzuca okiem na zewnątrz, po czym przesuwając spojrzenie na mnie. – Mój Bóg osądza całość ludzkiego życia i zawartość całego ludzkiego serca. Nie ocenia nas w oparciu o najgorsze potknięcia i błędy. I powiem ci coś jeszcze. Gdyby Bóg był istotą, która zmusza ludzi do karkołomnych spacerów po linie rozpostartej nad piekielnym ogniem, to wcale nie chciałabym spędzić wieczności u jego boku. Nie chciałabym, wylegując się na srebrnym obłoczku, śpiewać na jego cześć pochwalnych hymnów. Już prędzej sama zeskoczyłabym z tej liny. – Przy ostatnim zdaniu głos babuni nieco się łamie.

Nagle mnie zatyka. Zupełnie jakbym miał w gardle wielką kostkę lodu. Próbuję ją przełknąć. Bardzo chciałbym wierzyć tak gorąco jak Betsy, chciałbym tę wiarę od niej pożyczyć. Ale cóż, to raczej niemożliwe.

– Mogę opowiedzieć historię? Tyle że taką, która przyszła mi właśnie do głowy, ale nie ma żadnego związku z tematem? – pytam.

– Proszę bardzo.

– Któregoś dnia Blake odwiedził mnie w domu, a Georgia zaprosiła do siebie dwie koleżanki. Słuchały muzyki w jej pokoju. Nie zamknęły drzwi. Ja i Blake wyszliśmy na korytarz, tak żeby nas widziały, i zaczęliśmy odstawiać komiczne tańce. Hawajskie hula, kacuszki i tak dalej. Z początku dziewczyny zaczęły na nas wrzeszczeć, chciały nas przepędzić, ale pod koniec śmiały się tak, że prawie pospadały z łóżka. Kurczę. W opowieści sytuacja nie wypada tak zabawnie. Pewnie trzeba było tam być.

Betsy dygoce: zasłania usta dłonią, z oczu ciekną jej strugi łez. Nie potrafię ocenić – płacze czy się śmieje. Wreszcie jednak chwyta powietrze i odnoszę wrażenie, że to jednak śmiech.

– Wiesz? Z anegdotami o naszych bliskich zawsze tak jest. Nie da się ich opowiedzieć. Trzeba je przeżyć.

Kończymy śniadanie i wstajemy. Babunia wyciąga z kieszeni jeszcze jedną złożoną kartkę z zeszytu i układa ją na stole, tuż obok nowiutkiego, gładkiego studolarowego banknotu. Całość przyciska pustą szklanką.

– Do zobaczenia. Miłego dnia! – żegna się z nami Linda pędząca między stolikami z dzbankiem kawy.

– Pa, Lindo – odpowiada Betsy. – Dziękuję za wszystko. Blake też przesyła podziękowania.

Kelnerka nie słyszy pobrzmiewającej w tonie staruszki ostatecznej nuty. Ja wyławiam ją od razu.

Do samochodu idziemy milcząco, zamyśleni. Zastanawiam się nad piekłem. Ciekawe, czy zamiast jeziora wrzącej lawy, w którym pływają skowyczące dusze potępieńców, piekło nie jest przypadkiem bezkresnym ciągiem pozbawionych okien cichych pokoi. W każdym z nich siedzi skazana dusza na typowym biurowym fotelu i wpatrując się w nagie szare ściany, w nieskończoność przeżywa najgorszy błąd swojego życia.

Raz po raz. I jeszcze. I znowu.

\* \* \*

Babunia świetnie wszystko zaplanowała. Domyśliła się, że na tym etapie nam obojgu przyda się nieco wytchnienia od rozmów i właśnie dlatego jedziemy do kina na poranny seans. Ma to sporo sensu, ponieważ zarówno Blake, jak i Betsy uwielbiali chodzić do kina.

Oglądamy adaptację *Danny'ego, mistrza świata*. W dzieciństwie była to jedna moich ulubionych książek i już od jakiegoś czasu sam na ten film się wybierałem. Naturalnie, najczęściej oglądałem filmy z Georgią lub chłopakami z Brygady Sos. Cóż, kolejna zmiana w moim życiu. Może Jesmyn da się kiedyś namówić na kino? W zasadzie wydaje się to dość prawdopodobne. Choć może po prostu myślę życzeniowo.

Kupujemy na spółkę gigantyczny kubełek prażonej kukurydzy.

– Nie będę miała pretensji, jeśli się nie skusisz – tłumaczy staruszka. – Sama nic w siebie nie wcisnę, ale zawsze braliśmy na salę taką porcję. Wiesz, tradycja.

Gdy zasiadamy w ciemności i zaczyna się projekcja, popadam w zadumę. Myślę o przyziemnych rytuałach, które wypełniają nasze życie i je tworzą. Pracujemy, żeby zdobyć pieniądze, a potem mamy nadzieję, że kupimy sobie za te pieniądze wspomnienia dzielone z ludźmi, których kochamy. Proste, sprawiające radość.

Pogrążony w myślach nie jestem w stanie się skupić i większość filmu po prostu mi umyka. Może rzeczywiście obejrzę go jeszcze raz, tyle że z Jesmyn.

Kukurydza stoi między nami nietknięta.

Na ekran wypływają napisy końcowe i babunia z głuchym jękiem dźwiga się z fotela.

– Te kinowe siedzenia okropnie dają mi w kość. W starości nie ma nic zabawnego. Niedoczekanie starości również nie jest zabawne.

Ruszamy w kierunku wyjścia.

– Podejrzewam, że nie będę już tak często bywać w kinie. Chyba że wtedy, gdy

reszta moich wnucząt podrośnie. Sama chodzić nie lubię, a w towarzystwie Blake'a oglądało mi się świetnie – mówi Betsy, otwierając drzwi.

Wychodzimy z tonącego w półmroku wnętrza i mrużymy oczy w jasnym popołudniowym słońcu. Przychodzi mi do głowy, że właśnie tak może wyglądać zmartwychwstanie. Krok z ciemności prosto w oślepiający blask.

Podchodzimy do czekającego samochodu. Babunia osłania oczy dłonią.

– Zawsze powtarzałam Blake'owi, że powinien sobie poszukać ładnej dziewczyny, którą mógłby zabierać do kina. Odpowiadał niezmiennie: „Nie, babuniu, wolę chodzić z tobą”. Szczerze mówiąc, trochę się teraz cieszę, że nie znalazł odpowiedniej paniutki – opowiada i wsuwa kluczyk do zamka.

A ja mam problem, naprawdę wielki problem.

\* \* \*

– To było równie ciotowate jak hasanie po łące na różowym kucyku w sukience. – Eli zaczepia Marsa.

Wybuchają śmiechem. Kiedy zatrzymuję się przed domem Eliego, on klepie Blake'a po ramieniu.

– Dalej, stary, teraz ty coś wymyśl.

Blake uśmiecha się słabo i poprawia na siedzeniu.

– Nie, sami sobie świetnie radzicie.

– No dawaj! – zachęca Mars. – Może wsiądz na Kosę? Dogryź mu.

– Nie tam, nic mi nie przychodzi do głowy.

– Widzę, że tracisz formę.

Mars i Eli wysiadają.

– Chyba twoja stara traci formę – odcina się Blake.

– Co to za komentarz? Bez sensu – dziwi się Mars.

– Twoja stara nie ma sensu.

Śmiejemy się. Mars i Eli biegną chodnikiem do domu.

Cofam samochód i ruszam w kierunku domu Blake'a. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek był tak wycofany. Żartobliwie trącam go pięścią w ramię.

– Nie łam się, bracie. W sumie to były niewinne żarty.

– Właśnie. – Blake uśmiecha się sztucznie. Jest myślami gdzie indziej. Coś mu doskwiera. To widać, słyhać i czuć.

– Ej, oni naprawdę tylko żartowali.

– Aha.

– Gryzie cię coś?

– Nie, spoko. Wszystko w porzo. – Milknie na kilkanaście sekund. – Mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie – odpowiadam.

– Ale... Nieważne.

– Wał, chłopie.

– Nie, dziwnie by zabrzmiało.

– Spodziewam się. W końcu to twoje pytanie.

– No dobra, ale mogę ci zaufać? Tak serio?

– Stary! Jak najbardziej. Na sto pro.

Wzdycha i drapie się po głowie. Już ma coś powiedzieć, ale zamyka usta. Zaraz potem próbuje ponownie:

– Skąd... Kiedy stwierdziłeś, że podobają ci się laski?

Czuję się, jakbym dostał obuchem w głowę.

– Hm. Tak tego, no... seksualnie? Miałem chyba jedenaście lat. A co? – W głębi ducha już wiem, dlaczego mnie o to pyta.

Blake bierze głęboki haust powietrza. Wargi mu drżą. Wygląda jak człowiek, który zamierza skoczyć do morza z pokładu tonącego okrętu.

– Bo... Mnie się dziewczyny nigdy nie podobały... Nie w ten sposób. Normalnie nigdy.

Zapada przeciągła chwila milczenia.

Chcę, żeby sam to powiedział, kiedy będzie gotów. Blake wciąż milczy.

– Czyli wolisz...? – zaczynam nieśmiało.

– Owieczki? Nie.

Parskamy śmiechem.

– Ale – przyznaje półgłosem Blake – wydaje mi się, że wolę... chłopców. Ty mi się nie podobasz – dodaje pospiesznie. – Nie masz się czego bać.

– Rany.

– Jesteś superprzyjacielem, lecz nic poza tym. Nie dla mnie.

– Kurczę... Tak sobie kombinuję... Może za rzadko się kremuję? Używam za mało peelingu? Ale wiesz, chodzę czasem na siłkę – rzucam.

– Nie chodzisz – mówi Blake.

– Przepraszam cię, bracie – mój uśmiech gdzieś się rozplywa – za te wszystkie żarty o ciotach. Nie chciałem nikogo urazić. Gdyby wiedzieli o tym Mars i Eli, też byłoby im przykro. Nie są homofobami. Żaden z nas nie jest. Po prostu... Wiesz, nie mieliśmy pojęcia. To było bezmyślne. Półmózgi jesteśmy i tyle. Tak mi teraz wstyd.

– W porzo. Kiedyś sam im powiem, ale póki co niech to zostanie między nami, okej?

– Pewnie, stary. Oczywiście. Tyle że kiedy znowu zaczną w ten sposób żartować, powiem im, żeby dali spokój. W sumie to i tak debilne.

– Nie będę cię powstrzymywać. Wiesz? Dobrze było to z siebie wyrzucić. Jesteś pierwszą osobą, której się przyznałem. Dzięki, że mnie wysłuchałeś.

– Nie ma problemu, i tak zawsze będziesz moim przyjacielem – mówię. – Przyznaj – dodaję po chwili – nie chcesz mnie z powodu fryzury?

\* \* \*

Babci się nie zwierzył. Domyśliłem się tego, ponieważ niecały rok temu wspomniał mi, że wciąż się waha, czy jej powiedzieć. A teraz decyzja przypadła w udziale mnie. Zastanawiam się, czy pozwolić jej poznać Blake'a do końca, czy nie?

Gdyby chciał, żeby się dowiedziała, sam by się przyznał.

Gdyby nie chciał, żeby ktoś o tym wiedział, nie powiedziałby mnie.

Może czekał na właściwy moment. W końcu zdobyłby się na odwagę.

Ale teraz ten moment już nie nastąpi.

Nie powiedział ci jasno, że jej powie.

Nie powiedział ci jasno, że jej nie powie.

Jeżeli ona się nie dowie, będzie szczęśliwa z innymi wspomnieniami.

Jeśli się nie dowie, jej obraz Blake'a nie będzie kompletny.

Zaboli ją, że byłem pierwszym, któremu się zwierzył.

Zaprosiła cię tutaj właśnie dlatego, że wiesz o nim rzeczy, o których ona nie ma pojęcia.

Nie powinienem. Tak nie wolno.

Powinienem. Tak trzeba.

Wsiadamy do samochodu.

– No dobrze – zaczyna babunia – a teraz...

– Powinienem coś babuni powiedzieć. – Cholera, zły pomysł.

– Naturalnie, słucham?

Słowa wcale nie chcą opuścić mych ust. Zacinam się:

– Blake... nie znalazł odpowiedniej dziewczyny, bo... bo nie chciał.

– Prawda? Też odniosłam wrażenie, że randki nigdy go nie interesowały.

Chwytam jej spojrzenie, nie pozwalam przekręcić kluczyka w stacyjce.

– Nie to miałem na myśli.

Mija kilka sekund. Wyraz twarzy Betsy nie zmienia się ani o jotę. Dopiero po chwili zaczyna do niej docierać prawda. Kręci głową takim ruchem, jakby chciała otrząsnąć się ze snu.

– Ale nie był chyba...

Moje serce spływa gdzieś w dół piersi, zimne i lepkie jak białko z pękniętego jajka, oblepiające kolejne półki lodówki. Naprawdę nie wiem, czy dobrze zrobiłem.

Betsy odrywa dłoń od kluczyka i zapada się w siedzeniu, jakby uszło z niej powietrze. Siedzi jak sparaliżowana. Cisza dusi mnie mocniej niż gorące powietrze w samochodzie. Babunia pochyla się i zapala silnik. Syczy budząca się do życia klimatyzacja. Ona znów jednak tonie w fotelu. Siedzimy w bezruchu.

– Nie miałam pojęcia – odzywa się wreszcie. – A przecież tyle lat mieszkaliśmy pod jednym dachem. Nawet nie przyszło mi to do głowy.

– Mnie też nie. Sam mi powiedział.

– Kiedy to było?

– Niecały rok temu.

Babunia ściąga pomarszczoną twarz. Szłocha.

– Dlaczego mnie się nie zwierzył?

– Chciał... wiem o tym od niego. – Naturalnie, kłamię, ale muszę, żeby niczego bardziej nie popsuć.

– Dlaczego się wstrzymywał?

– Moim zdaniem rozumiał, jak ważna jest dla babuni religia. Bał się reakcji.

Drżącymi palcami sięga do torebki. Z niemałym trudem wyciąga paczkę chusteczek i osusza oczy.

– Nasza religia rzeczywiście nie pochwała tego rodzaju drogi życiowej, ale przecież nigdy nie sądziłam, że ludzie wkraczają na nią z wyboru. Może gdybym wcześniej zabrała go Mitzi...

– Jestem pewien, że to nie jest takie proste. Myślę, że taki się urodził.

– Nie pojmuję, naprawdę nie pojmuję. Okazuje się, że nie wiedziałam o nim tylu istotnych rzeczy.

– To była tylko część Blake'a, jedna z wielu. Znała go babunia bardzo dobrze.

– Wychodzi na to, że ty znałeś go lepiej.

– Mógłbym powiedzieć to samo. Podejrzewam, że całą prawdę o człowieku zna wyłącznie on sam. Zresztą też nie zawsze.

– Błądziłam, wyobrażając sobie jego przyszłość. Naprawdę widziałam w duchu dziewczynę, białą sukienkę, prawnuki...

– Ślub i wnuki są w porządku. Tyle że zamiast sukienki powinna babunia myśleć o smokingu. – Błagam, niech to jej wyjdzie na dobre. Niech nie zaszkodzi.

– Znałam tylko jednego geja. Był moim fryzjerem w Greenville. Uwielbiałam go. Ale po nim było to widać na pierwszy rzut oka. – Betsy wyciera nos i przyciska dłoń do czoła. Jej twarz ściąga się jeszcze bardziej, szloch przechodzi w stłumione łkanie. – Tyle razy pozwalałam, żeby ludzie opowiadali przy nim te idiotyczne dowcipy. Nawet nie próbowałam im przeszkodzić. Nic dziwnego, że się nie otworzył.

Moje serce nadal się rozplęwa.

– Przykro mi, jeśli to babunię zabolalo. Uznałem, że powinienem.

– Dobrze postąpiłeś – odpowiada niepewnie. – W końcu chciałam, żebyś pomógł mi go ożywić. Całego. Całą jego historię. – Milknie na moment, waha się. – Kosa, czy według ciebie zdążył kogoś pokochać?

– Nie wiem, mam nadzieję.

– Ja też. – Opiera rękę na dźwigni, ale nie wrzuca biegu. – Posłuchaj, możesz mi odmówić, ale czy chciałbyś zabawić się w mały teatrzyk?

– Spróbuję.

– Gdybyś wszedł w rolę Blake'a, miałabym szansę powiedzieć to, czego nie zdążyłam w prawdziwym życiu. Być może nas teraz słucha.

– Dobrze, ale uprzedzam, nie jestem tak dowcipny jak on.

– Nie szkodzi.

– Okej. Hm. Babuniu, mogę ci o czymś powiedzieć?

Naprawdę nie wiem, jak do tego podejść. Niestety, na rynku brakuje podręczników zatytułowanych *Jak przyznać się do homoseksualizmu – wydanie dla ludzi udających zmarłych przyjaciół*.

– Tak, Blake. – Betsy ociera łzy. – Możesz.

Chichoczymy, mimo że nie ma w tym nic śmiesznego.

– Uświadomiłem to sobie już jakiś czas temu, a dzisiaj muszę ci to wyjawić. Jestem gejem.

Babunia wznosi oczy do nieba.

– Blake, kochanie, jeżeli mnie słyszysz, skup się. – Odwraca się do mnie, z trudem przełyka ślinę, a kiedy znów się odzywa, mówi już pewnie, jej głos spowija mnie niczym

puchowa kołdra. – Dla mnie niczego to nie zmienia. Kocham cię bardziej niż Boga. Jeśli dla niego okaże się to problemem, powinien lepiej pomówić ze mną. Kocham cię takim, jaki jesteś. A jeśli to wszystko, najlepiej będzie pojechać na solidnego kurczaka z plackiem kukurydzianym. W końcu to twoje ulubione danie.

Babunia kiwa głową – gest kojarzy mi się z opadającym młotkiem wydającego ostateczny wyrok sędziego – wrzuca bieg i odjeżdżamy.

\* \* \*

Kurczak z plackiem okazał się jak najbardziej realny. Siedzimy w kuchni. Babunia roztopia masło na żeliwnej patelni. Druga patelnia nagrzewa się w piekarniku, trafią na nią placki. Na półmisku piętrzy się kopczyk kurzych udek obleczonych warstwą mąki z przyprawami. Obok czeka miska z mąką kukurydzianą.

Burza emocji. W pewnym sensie dzisiejszy dzień wyostrzył wszystko, co przeżyłem w ciągu kilku ubiegłych tygodni. Poczucie winy. Żalobę. Strach. Stały się teraz zabójczymi, śmiertelnie groźnymi ostrzami. Ale ból ustąpił nieco na rzecz tępego poczucia nieobecności. Żałoba jest uczuciem znacznie bardziej energetycznym – człowiek wciąż ma nadzieję na jakieś negocjacje – a doznanie nieobecności zawiera w sobie domieszkę akceptacji. Gdyby przyrównać żalobę do bijących o skały wzburzonych fal, to doznanie braku byłoby łagodnie falującym melancholijnym morzem.

– Cieszysz się, że tu ze mną jesteś?

Babunia zaskakuje mnie tym pytaniem. Musiałem się zdradzić miną.

– Tak – odpowiadam i w znacznej mierze to prawda. Kłamstwo zawiera się jedynie w tym, że nigdy, przenigdy nie chciałem się w tej sytuacji znaleźć. Nie chciałem siedzieć w jej kuchni i wspólnie z nią żegnać Blake’a. – Terapeuta orzekł, że to może mi pomóc. – Znów nie do końca prawdziwe stwierdzenie. A w zasadzie bardzo nieprawdziwe.

– Terapeuta? Mój Boże... A myślałam, że to ja sobie nie radzę. – Betsy rzuca na patelnię szczyptę ciasta, które natychmiast zaczyna skwierczeć i pluć tłuszczem.

Zadowolona z temperatury, sięga po szczypcę i przenosi na rozgrzane masło kilka kawałków kurczaka. Syk, bąbelki.

Chyba mogę jej powiedzieć? Przecież gdybym w głębi ducha nie chciał, słowem nie wspomniałbym o doktorze Mendezie.

– Dręczą mnie napady lękowe. Jak dotąd zdarzyły się trzy. Pierwszy miałem tuż po pogrzebie Blake’a. Dwie godziny po wyjściu stąd. Potem w szkole, pierwszego dnia nowego roku. Zaraz za drzwiami. A trzeci, kiedy dowiedziałem się... – Okej, przesadzam z wyznaniem.

– O czym się dowiedziałeś?

Kręci mi się w głowie. Pierzchną mi wargi. Czuję suchość w ustach.

– Prokuratura przeprowadzi dochodzenie w sprawie mojego udziału w wypadku.

– Że co proszę?! – Babunia gwałtownie odwraca się od kuchenki. Staje z szeroko otwartymi ustami, dłoń ze szczypcami zawisa u jej boku.

Odpowiadam cicho jak mały chłopiec, który na oczach całej klasy zlał się w gacie:

– Ojciec Marsa poprosił prokuraturę, żeby przyjrzała się sprawie i sprawdziła, czy nie można przedstawić mi zarzutów.



– Żartujesz sobie, prawda?

– Chciałbym.

– Ale, na Boga...

– Skontaktowaliśmy się z adwokatem. Poinformował nas, że mogę zostać oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci.

– Jak to?

– Pewnie są w stanie udowodnić, że napisałem SMS do Marsa, wiedząc, że będzie akurat siedział za kierownicą i że pewnie mi odpisze, a przecież wiem, że jednocześnie pisanie i prowadzenie samochodu jest niebezpieczne. – Moje wnętrzości zmieniają się w stado skłębionych węgorków.

Babunia zerka na kurczaka. Przewraca udka na drugą stronę.

– Ale nie miałeś o tym pojęcia.

Siedzę jak sparaliżowany. Nie odpowiadam. Nie ruszam się. Betsy patrzy mi w oczy. Czuję się, jakbym przysunął dłoń za blisko ogniska. Tak, ta rozmowa może mnie wiele kosztować. Niemniej dręczy mnie nieodparta potrzeba. Chcę wyrzucić z siebie truciznę. Pozbyć się poczucia winy.

– Oczywiście, mogłeś się domyślić – dodaje półgłosem.

Nadal unieruchomiony odzywam się słabym głosem:

– Adwokat twierdzi, że nic mi nie zrobią, jeżeli się nie przyznam. A do tego nie są w stanie mnie zmusić. Chyba że powiem komuś innemu. Wtedy postawią na swoim.

Wrobiłem właśnie sam siebie. O dziwo, sprawiło mi to przyjemność. Poczuję się, jakbym wreszcie zerwał świerzbący strup. Jakbym wsunął wacik zbyt głęboko do ucha. Doznanie przypomina pragnienie skoczenia z wieżowca lub wbiegnięcia na autostradę pełną rozpędzonych samochodów. Dziwne, ludzie są zaprogramowani do autodestrukcji.

Babunia milczy. Pochyla się, wyciąga patelnię z piekarnika, przeciera ją tłuszczem, zalewa warstwą kukurydzianego ciasta i wsuwa z powrotem. Siada przy stole.

– W takim razie nasza rozmowa nie miała miejsca – stwierdza.

– Nie musi babunia dla mnie kłamać. Zasluguje na karę.

– Kłamać? W jakiej sprawie?

– Właśnie dlatego czułem, że nie jestem godzien... przyjść.

– Ale dlaczego konkretnie?

Chowam twarz w dłoniach.

– Tak bardzo mi wstyd. Wstydę się sam siebie. Nienawidzę się za to, co zrobiłem.

Betsy odrywa dłonie od moich policzków i mocno je ściska. Nie jestem w stanie spojrzeć jej w oczy. Moja twarz płonie. Czeka przez chwilę, a kiedy nie odpowiadam – nawet na nią nie patrzę – mówi:

– Popełniłeś błąd, lecz z tej historii przynajmniej jedna osoba powinna wyjść bez szwanku. Jesteś to winien Blake'owi.

Uwalnia mnie, prostuje się i ostrożnie zdejmuje udka z patelni. Czeka, by ze złocistych kawałków mięsa odciekł tłuszcz, po czym układa je na talerzu nakrytym papierowym ręcznikiem.

Wrzuca do smażenia kolejne trzy porcje. Siada.

– Powiem ci, kto na pewno nie miałby ci niczego za złe – zagaja szeptem.

Kręcę głową. Słabo mi.

– Blake. On nigdy nie żył pragnieniem zemsty. O Mitzi nie usłyszałam od niego jednego złego słowa. A wiesz, że nie miał z nią łatwo. Tyle że to ona się na nim wyżywała. On się nie odgryzał. Nigdy.

– Mnie też się na nią nie skarżył.

– Blake nie narzekał na nic i na nikogo. Żył po prostu swoim życiem, takim, jakie przypadło mu w udziale. Na pewno nie siedzi teraz w raju, biadoląc, że nie może żyć jak ty.

Ostatnie słowa kaleczą mnie od wewnątrz jak niebacznie połknięty gwóźdź.

Betsy wraca do patelni, przewraca kurczaka.

– A skoro mowa o tobie, jak się ostatnio miewasz? Poznałeś kogoś nowego?

– Nie wiem, czy babunia знаła Jesmyn, dziewczynę Eliego?

– Tę ładną? Żółtą?

– Azjatkę. – Rumienię się.

– No tak, Azjatkę. – Betsy zasłania usta. – Przepraszam.

– Tak, o niej mówię. Ostatnio bardzo się ze sobą zżyliśmy. To przyjaźń. Dawniej byłem zaprzyjaźniony z Adair, siostrą Eliego. Teraz to już przeszłość.

– Dobrze, że nie jesteś sam.

– Zawsze byłem też blisko z Georgią, moją siostrą. Zresztą, nadal często rozmawiamy i się kontaktujemy, ale na przykład do kina już nie mogę z nią skoczyć. Wyjechała na studia do Knoxville.

– A twoi rodzice?

Spinam się w duchu.

– Rzadko opowiadam im o sobie.

– Sądziłam, że to mili, życzliwi ludzie.

– To prawda, ale myślę, że warto zachować pewien dystans. Chronić własną prywatność. Zwłaszcza przed rodzicami.

Babunia odwraca się, bierze pod boki i mierzy mnie krzywym spojrzeniem.

– Kto ci takich rzeczy naopowiadał?

Wbijam wzrok w podłogę pokrytą beżowym linoleum.

– Sam już nie wiem, o co mi chodzi.

Na szczęście nie komentuje. Być może wyczuła, jak niewygodny to dla mnie temat. Zdejmuje z patelni ostatnie udka, odkłada je na talerzu, otwiera piekarnik i wyciąga placek.

Podchodzi do stołu. Podaje talerze i dzbanek słodkiej herbaty. Zaraz potem przynosi z lodówki miskę surówki.

Odmawia modlitwę i zaczynamy jeść.

– To samo danie przyrządziłam Blake’owi, kiedy dostał się do Nashville Arts Academy. Miał obiecaną wizytę w dowolnej restauracji, ale wybrał mojego kurczaka.

– Doskonale go rozumiem – odpowiadam z pełnymi ustami. – Nawet nie byłem głodny.

– Zostaw sobie trochę miejsca. Jest jeszcze ciasto.

\* \* \*

Jemy powoli, rozkoszując się każdym kęsem – oboje jesteśmy przekonani, że tak samo cieszyłby się tą potrawą Blake. Rozmawiamy całymi godzinami. Traktujemy posiłek jak komunię i chyba w pewnym sensie tym właśnie jest. Atmosfera staje się przyjazna. Wspominamy drobiazgi, najzwyklejsze opowiadki związane ze zmarłym.

Dowiaduję się, że mój przyjaciel nigdy nie zabił pająka. Dlatego że pająki polują na robale, których bał się znacznie bardziej.

Rewanżuję się uwagą, że Blake, jak długo go znałem, nie mówił „inteligencja” tylko „inteligencja”.

Babunia opowiada, że Blake uwielbiał oblizywać z piany trzepaczkę do jajek. Do tego stopnia, że jeśli akurat był w szkole, zostawiała mu ją w lodówce na potem.

Mówię, że nigdy nie traktował ludzi podle.

Betsy wspomina, że nie cierpiał rodziny.

Opowiadam, że pozwalałem mu jeździć swoim samochodem, na co zawsze miał wielką ochotę. Prowadzenie cieszyło go niezmiennie jak świeżo upieczonego kierowcę.

Podobno nie umiał pływać ani jeździć na rowerze.

Przypominam naszą pierwszą kłótnię – spieraliśmy się, czy w głębokiej Syberii mogły się uchować żywe mamuty.

– Kiedy kładł się spać – wyjawia babunia – bardzo długo zostawiałam zapaloną lampę w korytarzu. Przestałam dopiero, gdy miał czternaście lat.

– Za każdym razem, gdy się z nim żegnałem, miałem wrażenie, że nad moim światem zapada cień, że bledną wszystkie barwy. Kolory wracały dopiero przy naszym następnym spotkaniu.

\* \* \*

Nastaje wczesny wieczór. Jesteśmy po obiedzie i gawędzimy, siedząc przy niedojezdzonym placku cytrynowym. Wyciągamy się wygodnie w fotelach, pozwalając odpocząć przepełnionym żołądkom.

– Gotów na następny punkt programu? – Babunia Betsy zgarnia ze stolika okruszki i przesypuje je na swój talerzyk.

– Pod warunkiem, że nie będę musiał więcej jeść.

Betsy wstaje z uśmiechem. Słyszę, jak krząta się po domu. Po chwili wraca z czymś w rodzaju pęcherza z różowej gumy. W jej spojrzeniu pojawia się szelmowski błysk.

– Bawiłeś się kiedyś czymś takim?

Kręcę głową.

– Widzisz, to jest poduszka-pierdziuszka – tłumaczy Betsy. – Uważaj... – Nadmuchuje ją, kładzie na fotelu, po czym siada.

W pokoju rozlega się przenikliwe, głośne pruknięcie. Parskamy śmiechem.

– Czytałem o takich gadżetach – przyznaję – ale pierwszy raz widzę coś takiego na własne oczy.

– Kupiłam w sieci.

– Na pewno są też takie apki na telefon.

– Popatrz, nawet nie pomyślałam. Chyba jestem zbyt staroświecka. – Babunia robi

zmieszaną minę.

– Ale po co właściwie...?

– Spójrzmy na świat oczami mojego wnuka. Skontaktowałam się z YouTube'em i udało mi się odzyskać hasło do jego konta. Chciałabym, żebyś mi pomógł nakręcić dla niego pożegnalny filmik.

Aż do tego momentu ani razu nie pomyślałam o osieroconych fanach Blake'a. Ciekawe, czy w ogóle wiedzą, co go spotkało?

– Cóż, mam w tym spore doświadczenie. Często go filmowałam.

– W takim razie powinno nam pójść jak z płatka. Ale po kolei. Najpierw musimy nagrać wstęp. Możemy to zrobić tutaj.

Ustawiam kamerę, a Betsy jękając się i przerywając, wypowiada swoją kwestię:

– Witajcie. Jestem babcią Blake'a. Odszedł na zawsze i bardzo za nim tęsknimy. Chcieliśmy wszystkim wam podziękować za wsparcie, jakiego mu udzielaliście. Naprawdę dziękuję. Ten filmik powstał w hołdzie dla mojego wnuka.

Sięga po kluczyki i torebkę, z której wytrząsa kilka drobiazgów. Nadmuchuje poduszkę i wsuwa ją do środka. Na próbę ściska torebkę pod pachą. Działa jak należy. Nadmuchuje ją ponownie.

– Dobra, gotowe. Możemy jechać.

Jedziemy do sklepu dla artystów. Mój pomysł. Blake uwielbiał miejsca, gdzie pracują wymuskani, obłudni ludzie, a w tego rodzaju przybytku zawsze można spotkać parę osób, które zdecydowanie wolą godzinami aranżować bukiety, niż słuchać odgłosów prukania.

– Jejku – odzywa się Betsy, gdy samochód zatrzymuje się na parkingu. – Strasznie się denerwuję. Zupełnie nie rozumiem, jak Blake mógł to wszystko robić.

– Blake sam tego nie wymyślił, ale mawiał, że prawdziwy artysta komik nieustannie zachowuje kontrolę nad publicznością, zawsze jest świadomy, dlaczego ludzie się z niego śmieją.

Babunia zdecydowanie kiwa głową. Niepewność znika z jej oczu. Bierze głęboki wdech.

– W takim razie sprawdźmy tę teorię w praktyce. Dla niego.

Wchodzimy do sklepu przesiąkniętego zapachem potpourri. Betsy chroni torebkę przy boku, jakby przemyślała w niej ładunek wybuchowy – w pewnym sensie tak właśnie jest. Mocno zaciska wargi i strzela dokoła czujnymi spojrzeniami. Wypatruje celu. Ja w tym czasie przygotowuję komórkę.

Większość ekspedientek to około dwudziestoletnie dziewczyny z kolczykami w nosach i fioletowymi włosami. Ten typ się nie nadaje. Rozglądam się dalej. Stajemy między rzędami półek z dekoracyjnymi tkaninami.

– Tam – szepczę i ruchem głowy wskazuję dostojnie wyglądającą matronę o krótkich siwych włosach. Na koniuszku jej nosa balansują okulary. Zwija właśnie belę kolorowej flaneli.

– Brawo – odpowiada równie cicho babunia. Raz jeszcze bierze głęboki oddech. – Boże, co ja wyprawiam? – dodaje pod nosem.

Podchodzimy do sprzedawczyni. Wyciągam z kieszeni telefon i udaję, że

interesuje mnie jakiś wzorzysty materiał, zaczynam filmować. Betsy głośno przełyka ślinę i zagaduje:

– Przepraszam panią.

Wyraźnie słycać, że ściska ją w gardle, mówi wystraszonym, wyższym niż zwykle głosem. Zupełnie, jakby ktoś zatkał jej usta poduszką-pierdziuszką.

Sprzedawczyni obrzuca ją skwaszonym spojrzeniem. Unosi pytająco brwi. Cel idealny.

– W czym mogę pomóc? – pyta.

– Cóż, szukamy właśnie...

Babunia odstawia torebkę na stolik i otwiera ją takim gestem, jakby chciała wyciągnąć kartkę z zanotowanymi w domu wymiarami. Kiedy wsuwa dłoń do środka, naciska poduszkę i cały sklep wypełnia przeciągły dźwięczny odgłos, jaki wydają ludzie z poważnymi kłopotami gastrycznymi. Po wszystkim na kilka chwil zapada wokół głucha cisza – doskonały moment na cięcie w filmiku. Sprzedawczyni rozdziawia usta, popatruje to na Betsy, to na mnie.

Twarz babuni robi się tak czerwona, jakby zasnęła na pełnym słońcu i przespała co najmniej pięć godzin. Nerwowo chichocząc, jękając się, przeprasza i kładzie dłoń na ramieniu ekspedientki.

– Proszę pani, naprawdę najmocniej, serdecznie panią przepraszam. Żadną miarą nie chciałam pani urazić. Ale musieliśmy... bo ja...

Kobieta patrzy na nią takim wzrokiem, jakby Betsy naprawdę puściła bąka.

– Mam szalenie dużo pracy, więc jeżeli państwo pozwolą...

Betsy szybko odzyskuje nad sobą panowanie. Przypomina mi się dzień pogrzebu Blake'a, wtedy też zachowywała się bardzo dzielnie. Mówi już powoli i spokojnie:

– Jeszcze raz bardzo przepraszam. Kilka tygodni temu straciłam wnuka. Uwielbiał tego rodzaju wyglupy, po prostu kochał robić z siebie błazna. Razem z jego najlepszym przyjacielem – pokazuje mnie skinieniem – żegnamy go dzisiaj przez cały dzień. Chciałam się przekonać, jak wyglądał jego świat. Zobaczyć wszystko jego oczami.

– Bardzo mi przykro. – Mina sprzedawczyni wyraźnie łagodnieje.

Betsy sięga do torebki i wyciąga banknot. Dwadzieścia dolarów. Podaje pieniądze kobiecie.

– Proszę to przyjąć. Naprawdę chcieliśmy ośmieszyć siebie, nie panią.

Siwowłosa ekspedientka kręci głową i łagodnie odsuwa dłoń babuni.

– Nie, proszę pani. Kilka lat temu zginął mój siostrzeniec. Zabił się na motorze. Żałoba robi błaznów z nas wszystkich.

Betsy chowa pieniądze do portfela.

– Święta prawda. Raz jeszcze przepraszam, jeśli panią uraziłam.

– Nic się nie stało. Życzę państwu udanej reszty wieczoru.

Wracamy do samochodu.

– Nie było tak źle – mówię. – Chociaż prawdziwe pruknięcie wypada lepiej niż takie z poduszki. W dodatku można wtedy zachować kontakt wzrokowy z ofiarą, a Blake twierdził, że to kluczowa sprawa.

– W moim wieku – babunia się uśmiecha – zdecydowanie lepiej pewnych... działań

unikać. Nawet gdybym miała talent Blake'a, wolałabym nie ryzykować. – Otwiera drzwiczki i wsiadamy. – Nakręciłeś wszystko?

– Tak. Pomóc babuni z wrzuceniem filmików do sieci?

– Byłoby świetnie. Proszę. – Podaje mi kartkę z danymi konta Blake'a. Loguję się z telefonu i wysyłam nagrania.

– To było naprawdę trudne. Ostatni raz się na coś takiego zdecydowałam. Widzisz, normalnie ludzie starają się nie robić z siebie idiotów, musiałam się przełamać – zauważa Betsy.

– To tylko strach. Nic poza tym.

– Blake żył dla dreszczyku emocji, który odczuwał, rozbawiając innych ludzi, poprawiając im humor. Robił to właściwie bez przerwy... Mierzył się z własnym lękiem tylko po to, by zobaczyć czyjs uśmiech. Nie mam pojęcia, jak mu się to udawało. O mało nie umarłam w tym sklepie.

Nie wiadomo, jak inni radzą sobie z własnym życiem. Po prostu sobie radzą.

\* \* \*

Kiedy wracamy do domu Betsy, na trawie kładą się długie cienie. Nadciąga mglisty zmierzch.

– Padam z nóg – przyznaje babunia – ale mamy do zrobienia jeszcze jedno.

Wchodzimy do kuchni, gdzie otwiera czekającą na blacie, wypchaną papierową torbę. Ze środka wystają długie kolby kukurydzy.

Zagląda do szafki, wyciąga garnek i napelnia go wodą. Nie patrzy na mnie. Domyślam się, że coś ją gryzie.

– Kiedy Blake miał osiem lat, Mitzi zabroniła mi się z nim widywać. Stwierdziła, że ma dosyć mojego wtrącania się w jej sprawy. Przeprowadzili się do Johnson City, godzinę drogi dalej, żeby dodatkowo utrudnić nam kontakty – opowiada tak cicho, że muszę mocno wyęźać słuch.

Garnek ląduje na kuchence, Betsy zapala gaz. Sięga po kukurydzę i zaczyna obierać ją z liści.

– Może pomogę? – Chwytam drugą kolbę i staję obok babuni.

– Bardzo proszę. Wracając... Któregoś wieczoru zadzwonił telefon. Blake. Nigdy nie zapomnę, jak słabym głosiłem ze mną rozmawiał. „Babuniu – powiedział. – Mamy nie ma. Wyszła trzy dni temu i bardzo się boję”. „Nie bój się, kochanie – stwierdziłam – babunia zaraz po ciebie przyjedzie”.

Oczyszczona kukurydza trafia do garnka. Siadamy przy stole.

– Znalazłam strzelbę mojego męża Rolly'ego, nabiłam ją i wrzuciłam do bagażnika. Wyobrażasz sobie? Byłam w pełni gotowa zagrozić bronią własnej córce, żeby odebrać wnuka. Zresztą każdemu, kto stanąłby mi na drodze.

– Nie, jakoś sobie nie wyobrażam. – W opowieści babuni nie ma nic śmiesznego, lecz mimo to oboje zaczynamy się śmiać.

– W życiu nie jechałam tak szybko jak wtedy. A na miejscu... Boże, do dziś czuję swąd tej ich przyczepy... – Wzdryga się na samo wspomnienie. – Potworny smród śmieci, papierosowego dymu, brudnych ubrań, zepsutego mleka i gnijącego mięsa. Swoją drogą

to dość dziwne, bo nigdzie nie widziałam żadnych naturalnych produktów. Wszędzie za to wały się puste butelki po Mountain Dew, wymięte paczki po czipsach i jakieś zapleśniałe chrupki. Wiesz, mówi się czasami, że ktoś żyje jak w śmietniku. Tam było gorzej niż w śmietniku. Naprawdę. Po dziś dzień nie pojmuję, jak ktokolwiek mógł mieszkać w takich warunkach.

– O Jezu...

– Zaczęłam go wołać i po chwili znalazłam. Schował się pod łóżkiem. Strzelbę odłożyłam, żeby się nie przestraszył. Był niemiłosiernie brudny. Wyglądał, jakby nie brał kąpieli co najmniej od miesiąca. Pewnie tak właśnie było, bo kiedy odkręciłam kran, nie popłynęła nawet kropla wody. Na całym ciele miał strupy i ślady ukąszeń owadów. Na plecach nosił wielki siniak w kształcie ludzkiej dłoni, a niżej drugi przypominający odcisk buta.

Odnoszę wrażenie, że nie powinienem jej przerywać. Milczę. Rzeczy straszne bywają równie święte jak te piękne. Na swój sposób. Poza tym nie znajduję w sobie stosownych słów. Ta historia jest dla mnie tak samo nowa i poruszająca, jak dla babuni wiadomość o seksualnych preferencjach Blake'a. Mogę jedynie słuchać.

Staruszka zagląda do kukurydzy, po czym wraca do stołu.

– Zabrałam go stamtąd. Strzelba została im na pamiątkę. Na śmierć o niej zapomniałam. Podejrzewam, że wstawili ją do lombardu, a pieniądze wydali na prochy. Do domu dojechaliśmy sporo po północy. Sklepy były już oczywiście zamknięte, choć i tak nie miałabym siły zrobić zakupów. Niemniej chciałam, żeby Blake coś zjadł. Obiecałam sobie, że już nigdy w życiu nie położę się spać z pustym brzuchem. Zależało mi też na tym, żeby nakarmić go czymś, co wyrosło z ziemi, czymś nasączonym słońcem. Okazało się, że mam w spiżarni worek kukurydzy. Kupiłam ją dzień wcześniej na targu. Piękne, dorodne kolby. Zjedliśmy na ciepło, z solą i masłem. Była słodka jak cukierek. Spałaszował aż trzy.

Mam wrażenie, że ktoś oplótł moje serce cienkim srebrnym drucikiem, który wpija się w nie boleśnie przy każdym uderzeniu.

– W taki sam sposób zakończymy to pożegnanie. Zjemy fantastyczną kukurydzą i poczujemy smak tamtej nocy. Pierwszej nocy w nowym życia Blake'a. Mam nadzieję, że zdążyłeś zgłodnieć?

Zdążyłem.

Złociste kolby posypujemy grubymi ziarenkami soli, smarujemy je masłem i siadamy w bujanych fotelach na ganku. Jemy, przyglądając się tonącemu za horyzontem słońcu. Niebo mieni się całą paletą błękitów i różu. Spowija nas woń trawy i liści, zwracających światu nagromadzone przez cały dzień ciepło.

– Chciałaby się babunia dowiedzieć, kiedy Blake rozbawił mnie najbardziej? – pytam, mimo że wcale nie jestem pewny, czy znam odpowiedź, widzę natomiast, że staruszka jest mocno przybita.

– Oczywiście – odpowiada z uśmiechem, który nie rozświetla jej oczu.

– Pewnego razu wybrałem się z nim na jeden z tych waszych pikników kościelnych. Nie pamiętam, czy babunia tam była. W każdym razie jakiś maluch miał zmówić przed wyżerką modlitwę. Bierze mikrofon, staje na podwyższeniu i zaczyna: „Panie,

dziękujemy ci za trawę, za drzewa i za ocean..”. Na tym wcale nie koniec, bo dzieciak dziękuje Bogu dosłownie za wszystko, co mu przychodzi do głowy. A tymczasem my umieramy z głodu. Znienacka Blake wypala tym swoim zbyt donośnym głosem: „Kończ waść, głodu oszczędź!”.

Nadal nie jestem przekonany, czy rzeczywiście ten wygłup Blake’a rozbawił mnie najbardziej ze wszystkich. Ostatecznie konkurencja jest liczna i silna. Z pewnością jednak śmiałem się wtedy bardzo, bardzo długo.

Babunia Betsy cicho chichocze, lecz na jej twarzy wciąż gości melancholia.

– Chciałabym na zawsze zachować w pamięci wszystkie nasze wspólne chwile. Trzymałabym się ich tak kurczowo, jak tonący trzyma się ratownika.

Jeszcze przez jakiś czas myszkujemy po szufladach wspomnień, wynajdujemy najbardziej wyraziste i najlepiej zapamiętane sytuacje. Układamy je w równych rządach. Rozniecamy węgielki dawno wygasłych ogni. A potem milkniemy i słuchamy własnych oddechów, bo u wrót pałacu Śmierci nawet tak prosta czynność okazuje się świętym obrzędem.

\* \* \*

Babunia wygląda na równie wyczerpaną co ja. Niechętnie przyjmuję na siebie obowiązek zakończenia dnia, lecz ktoś przecież musi.

– Nie żebym chciał, ale wydaje mi się, że powinienem już iść. – Pochyliam się wraz z fotelem. – To był dobry dzień. Cieszę się, że go przeżyliśmy. Dzięki naszemu spotkaniu poznałem Blake’a znacznie lepiej.

– Powinnam się położyć. – Babunia kładzie dłoń na mojej dłoni. Wyczuwam drżenie jej palców. – Nie wiem, jak mam ci dziękować. Mam świadomość, że nie zrobiliśmy dzisiaj niczego wyjątkowego. Ot, zwykłe błahostki, jakie wcześniej robiłam z moim wnukiem. Ale właśnie tak chciałam spędzić z nim ostatni dzień.

– Ja też. – Podnoszę się. – Niedługo zajrzę. Trzeba skosić trawę.

– Nie musisz. Trochę ruchu na świeżym powietrzu dobrze mi robi.

– Wiem, ale... – Teraz, kiedy stoję, czuję, jak jedzenie układa mi się w żołądku. – To wszystko wciąż boli. Może już nie tak jak na początku, ale zawsze....

– Nie, nie tak bardzo – odpowiada Betsy.

W jej tonie pojawia się nieobecna dotąd posępna nuta. Zdaje się roztrzęsiona. Waha się. Wierci się w fotelu, jakby chciała coś dodać. Unika mojego spojrzenia.

– Babuniu?

Dopiero teraz podnosi na mnie wzrok i wyraźnie dostrzegam w nim strach.

– Carver, mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

– Jasne.

Powiedziała „Carver”, nie „Kosa”. Strach okazuje się zaraźliwy. Siadam.

Babunia wypuszcza z płuc wstrzymywane powietrze i wsuwa dłoń do kieszeni. Wyciąga kolejną złożoną kartkę. Prawie ją przy tym upuszcza, tak bardzo trzęsą się jej ręce. Kiedy ją wreszcie rozkłada, widzę numer telefonu.

– Wynajęłam prywatnego detektywa. Poprosiłam, żeby odszukał Mitzi. Odezwał się kilka dni temu i podał mi ten numer. Jeszcze do niej nie zadzwoniłam. Wydawało mi



się, że po dzisiejszym dniu zdobędę się na odwagę, że poradzę sobie sama, a jednak... Może zechcesz zostać kilka minut dłużej? Zatelefonuję do niej, a ty po prostu potrzywasz mnie za rękę?

Staram się nie zwracać uwagi na widmo grozy, które wspina się po moich żebrach niczym po drabinie.

– Dobrze.

Krzywi się. Łka.

– Wiem, co powie: „Odebrałaś mi syna i właśnie dlatego zginął”. Będzie mieć rację. Nie wiem, jak zareaguję.

– Nie. Ale... Nie... Przecież to bzdura. To wszystko przeze mnie. Mówiłem już przecież.

Babunia parska śmiechem. Śmieje się gorzko, przez łzy.

– Oj, Kosa, Kosa... Gdybym ja się z nim tutaj nie przeniosła, nie wsiadłby do tego samochodu. W każdym razie rzecz w tym, że nie jestem gotowa usłyszeć tych słów od niej. Wiem też, że nigdy nie będę gotowa. Sam widzisz...

– To nie jest wina babuni. – Spoglądam jej głęboko w oczy. Mam nadzieję, że wyraz mojej twarzy wyraża w tej chwili niezbitą pewność.

– Okej. – Po chwili kiwa głową.

Powiedziała to jakby dla świętego spokoju, wcale jej nie przekonałem. Wchodzimy do środka i siadamy obok siebie przy kuchennym stole. Jest ciemno. Domyślam się, że gdyby chciała zapalić światło, po prostu by to zrobiła.

– Panie, natchnij mnie odwagą.

Babunia oddycha głęboko. Sięga po telefon i wybiera numer. Ściskam jej dłoń. Odpowiada mi dokładnie tak mocnym uściskiem, o jakim opowiadała wcześniej. Tonący i ratownik.

Słyszę kolejne sygnały. Jeden. Drugi. Trzeci. Czwarty. Piąty. Babunia podnosi oczy ku niebu. Dolatuje mnie jej nieczytelny szept. Szósty. Siódmy. Dźwięki kaleczą moje uszy jak dziób wściekłej wrony. Ósmy. Dziewiąty. Betsy coraz mocniej ściska mi palce.

Chwilę potem, kiedy babunia opuszcza już słuchawkę, ktoś odbiera. Natychmiast przykłada telefon do ucha.

– Mitzi? Mitzi? Halo...? Czy to Mitzi? Mitzi... Mama mówi. Mama. Mitzi... Czy mogłabyś, proszę... przyciszyć muzykę? Przycisz... Nieważne, skąd mam. Muszę z tobą porozmawiać... Wiem, wiem. Ale ty... Kochanie, proszę cię... Musisz mnie wysłu... Chodzi o Blake'a. Dzwonię w sprawie Blake'a!

Rozpada się w mojej dłoni. Mam wrażenie, że próbuję zebrać z morskiego dna garść piasku, a tymczasem nadciąga wzburzona fala.

Babunia chce mówić dalej, lecz słowa więzną jej w gardle. Na policzkach połyskują ślady świeżych łez.

– Nie mogę... – prawie bezgłośnie porusza wargami. – Nie mogę.

Komórka upada jej na kolana, poświata wyświetlacza podkreśla twarz babuni upiorną bielą. Dolatują mnie piskliwe krzyki Mitzi.

Czuję, że znów to we mnie wzbiera. Coś zsuwa się z półki, ale nie spada. Zatrzymuje się chwiejnie na krawędzi, grozi upadkiem lada moment. A jednak nie spada.

Teraz, mówię sobie w duchu. Przynajmniej tyle możesz zrobić. Jesteś w stanie. Uwalniam jej dłoń i powoli sięgam po telefon. Mitzi wciąż wrzeszczy. Gdyby sytuacja nie była tak poważna, właściwie byłaby komiczna. Betsy próbuje mnie powstrzymać, lecz tylko przez moment. Słabo.

Przykładam komórkę do ucha.

– Halo? Mitzi? – Przelykam ślinę. Nogi zaczynają mi dygotać. Serce z trudem nadaża pompować krew.

– A ty coś, kurwa, za jeden?

W ochrypłym głosie słyszę wpływ chemicznych substancji. Mrówki pełzną mi pod skórą, nie mrówki – karaluchy. Ton Mitzi sprawia, że gniją mi zęby, a twarz pokrywa się parchami. Ten głos grozi mi gangreną, jest skażony. W tle ryczy telewizor, bardzo głośna muzyka. Wyławiam też pomruki jakiegoś faceta.

– Ja... jestem przyjacielem Blake'a. Nazywam się Carver. Jestem jego najlepszym przyjacielem.

– O co chodzi? Dlaczego mama chce ze mną rozmawiać o Blake'u? Skąd wytrzasnęła mój numer?

– Dz... dzwonimy, aby powiadomić, że Blake zginął w wypadku samochodowym. Ponad miesiąc temu. – Gardło mi pulsuje, mięśnie powstrzymują powódź.

– Co? Niemożliwe. Czy to jakiś żart?

Buńczuczne słowa brzmią dość krucho. Jakbym rozmawiał z dzieckiem, które dowiedziało się właśnie, że ulubionej zabawki nie da się naprawić. Albo z człowiekiem, który został niespodziewanie spoliczkowany. Bo i to doświadczenie nie jest Mitzi obce. Słyszę to wyraźnie.

Kręcę głową i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że kobieta mnie nie widzi.

– Blake odszedł. Byliśmy na pogrzebie. Pochowaliśmy go. Babunia... pani mama... próbowała panią znaleźć, ale nie zdążyła na czas. Przy... przykro mi. Naprawdę. Chciała wcześniej panią powiadomić.

– Nie... – Mitzi mówi coraz ciszej. – Przecież ja nawet nie wiem, z kim rozmawiam. Męski głos rozlega się ponownie, tyle że bliżej.

– Przykro mi. – Teraz i ja się zacinam.

– Jezuuuuuuuuu, nieeeeeeeeeee! – zawodzenie błyskawicznie przechodzi w nieartykułowany lament, wrzask.

Muszę odsunąć telefon od ucha. Babunia zasłania sobie uszy, opiera łokcie na stole. Szlocha, dyszy coraz szybciej. Gdy na powrót przysuwam komórkę do ucha, słyszę już tylko rozpaczliwą litanię:

– Daj mi z nią porozmawiać. Daj mi z nią porozmawiać! To jej wina! Zabrała mi go. Chcę to jej powiedzieć. Dawaj mi ją! Dawaj!!! Jej wina! Przez nią nie żyje! Boże mój. Nie... Nie mogę... nie mogę... Boże...

– Nie – odpowiadam, wkładając w te słowa tyle stalowej determinacji, ile tylko zdołałem w sobie znaleźć. – Nie oddam telefonu. Będzie pani krzyczeć.

Babunia podnosi głowę i wyciąga rękę. Robi to jednak bez przekonania, a ja wstaję i się cofam. Mitzi dławi się płaczem. Wypełniam więc ciszę:

– To nie jej wina. To moja wina. Może pani krzyczeć na mnie. Proszę bardzo.

Proszę wrzeszczeć. To przeze mnie.

– Pozwoliłeś, żeby stała mu się krzywda. Nie ochroniłeś go! – skowycze Mitzi.

– Wiem – mówię, czując na twarzy gorące łzy. – Przepraszam – dodaję, lecz w tym samym momencie coś we mnie pęka. Coś się rozpala i przeradza w gniew. Mam świadomość, że powiem coś, czego będę żałować, lecz żal już jakiś czas temu stał się moim dobrym znajomym. – Pani też go nie ochroniła. Nie było pani przy nim. Nawet na pogrzebie. Dzięki pani mamie Blake otrzymał szansę na dobre życie. Miał wokół siebie przyjaciół, ludzi, którzy go kochali. Powinna jej pani dziękować. A ja...

W słuchawce zapada głucha cisza i słyszę już tylko pochlipywanie babuni. Powolnym gestem odkładam komórkę na stół. Czuję się jak człowiek, którego ktoś zawiesił w worku na gałęzi drzewa i zaczął okładać grubą kłonicą.

– Naprawdę chciałem przekazać słuchawkę. Nie chciałem tylko, żeby panią obwiniała. Nie pomyślałem, że się rozłączy.

Babunia kręci głową.

– Dziękuję ci. Dziękuję, że jej powiedziałeś.

Równocześnie dociera do mnie, że przyznałem się do winy. Chyba nie powinienem był tego robić. Jednak w tym momencie nie ma to żadnego znaczenia. Niech jej sobie szukają. I tak brzmiała jak człowiek, który ma przed sobą mniej niż dwadzieścia cztery godziny życia. Ba, niech mnie nawet ukrzyżują. Przynajmniej poczułbym w końcu ulgę.

Babunia jest gdzieś daleko. Straciła resztki energii. Nawet uniesienie dłoni sprawia jej trud.

– Nie mam już siły. Naprawdę padam na twarz.

– Pójdę już. – Ruszam do drzwi.

– Kosa? – woła za mną. – Może odegrasz ze mną jeszcze jedną scenkę?

– Dobrze.

– Pozwól mi się z nim pożegnać. Tak jak trzeba.

– Dobrze. – Szukam w sobie resztek odwagi.

Podnosi się i staje przede mną.

– Blake, kocham cię i czule wspominam wszystkie chwile, które razem spędziłyśmy. Zachowałam je głęboko w sercu. A kiedyś, pewnego dnia, gdy zabrzmie dźwięk trąb, przytulę cię znowu. – Zamyka mnie w uścisku.

Brak mi słów. Po prostu.

– To było piękne pożegnanie. Piękny i godny Blake’a dzień. Mam nadzieję, że też tak myślisz.

– Tak.

– Był pięknym chłopcem. Zawsze będę za nim tęsknić.

– Ja też – odpowiadam i wychodzę.

\* \* \*

Rodzice oglądają w sypialni telewizję. Nie tłumaczyłem im wcześniej, co mnie czeka. Wiedzą jedynie, że miałem spędzić trochę czasu z babunią i wspominać z nią Blake’a.

Wchodzę i tulę ich oboje. Dłużej niż zazwyczaj. Mówię, że ich kocham. Pytają, jak

minął mi dzień, na co odpowiadam, że nie mam ochoty rozmawiać, że jestem zmęczony i pogadamy potem.

Rzucam się na łóżko, piszę SMS do Jesmyn. Chcę się dowiedzieć, czy ma chęć pogadać.

Gdy czekam na odpowiedź, wspomnienia układają się z powrotem do trumien, z których je wyciągnąłem. Tak, to był oczyszczający dzień. Oczyszczający jak wymioty po poważnym zatruciu. Nie czuję się wprawdzie lepiej, lecz z pewnością coś z siebie wyrzuciłem.

## Rozdział dwudziesty piąty

– O! Nowe okulary! – zauważam.

Doktor Mendez założył dziś okulary w okrągłych czarnych oprawkach.

– I tak, i nie – odpowiada. – Nie, ponieważ akurat te mam już od pewnego czasu. Tak, bo bez przerwy kupuję nowe, choć ich nie potrzebuję. Postępuję podobnie jak kobiety z torebkami i butami.

– Jesmyn, moja nowa przyjaciółka, oskarżyłaby pana o seksizm.

Terapeuta rzuca mi ugodowy uśmieszek.

– Miałaby rację. Powinienem się pilnować.

– Obiecuję, że nie naskarzę.

Zsuwa okulary z nosa i podnosi je do światła. Wypatruje smug.

– Najśmieszniejsze, że nawet nowe szkła nie pozwalają mi zobaczyć świata w inny sposób. Co innego, kiedy spojrzę w lustro.

Znacząco trącam nos koniuszkiem palca.

– Co? Kurzy mi się? – Doktor Mendez śmieje się. – Możliwe. Naprawdę to nie miała być tania psychologiczna zagrywka. Nie chciałem cię do niczego namawiać.

– Wcale bym się nie zdziwił. W końcu całymi dniami nie robi pan nic innego.

– Co prawda, to prawda. Z jednej strony trochę mnie uspokajasz, a z drugiej nie pozwalasz uniknąć odpowiedzialności. Nie wiem, czy przypadkiem nie powinniśmy zamienić się miejscami.

Uśmiecham się półgębkiem.

Terapeuta siada wygodniej i zakłada nogę na nogę.

– Przepraszam, że nie mogłem się z tobą spotkać dwa tygodnie temu. Byliśmy na wakacjach. Jak się czujesz?

Biorę głęboki wdech, wstrzymuję powietrze. Czekam z wydechem do ostatniej chwili. Muszę zebrać myśli.

– W zeszłym tygodniu zrobiłem to, o czym panu wcześniej wspominałem. Urządziliśmy z babcią Blake’a pożegnanie.

– Serio? I jak wypadło?

– Całkiem nieźle. Udało nam się w pewien sposób... zostawić go za sobą? Nie wiem, czy to dobre sformułowanie. Musiałem też przekazać wiadomość o śmierci Blake’a jego matce, ponieważ babcia nie była w stanie.

– Niełatwe zadanie.

– Zgadza się. Podczas tej rozmowy byłem na skraju kolejnego napadu, a jednak nie przyszedł.

– Bardzo dobrze.

– Tak. W każdym razie obecnie znam Blake’a znacznie lepiej. Opowiedziałem jego babci o kilku sprawach, o jakich nie miała pojęcia. Może nawet byłem zbyt szczery.

– Czujesz się z tego powodu winny?

– Nie, akurat z tego powodu niespecjalnie.

– A z jakiego?

Wbijam spojrzenie w podłogę. Przecieram twarz.

Chcę mu się zwierzyć i jednocześnie nie chcę. Nie chodzi o to, że boję się jego opinii. Przeciwnie – obawiam się, że mnie nie oceni. Zaraz potem przychodzą mi do głowy pytania. Czy fakt, że tuż przed rozmową z Mitzi o mały włos uniknąłem ataku, świadczy o tym, iż wracam powoli do zdrowia? Czy jeżeli mu o tym nie opowiem, będzie to znaczyło, że nie czynię żadnego postępu?

Jednak mówię. Wylewam z siebie wszystko. Każdy szczegół. Opowiadam równie szczerze, jakbym rozmawiał z prawnikiem. Nawet bardziej, ponieważ nie ukrywam emocji, podczas gdy Krantzowi przedstawiłem suche fakty. Informuję doktora Mendeza o prokuratorskim śledztwie. Wysłuchuje mnie bez zmruczenia oka. Z rzadka tylko kręci głową, potakuje bądź wtrąca niezobowiązujące: „Uhm”.

– Cóż – odzywa się, gdy wreszcie milknę. Krzyżuje ramiona i trąca dolną wargę. Myśli. Po chwili pokazuje mi trzy palce. – Na twój obecny stan emocjonalny składają się, jak sądzę, trzy czynniki. Żałoba, ponieważ zmarli bliscy ci ludzie. Strach, który wiąże się z dochodzeniem w sprawie wypadku. I do kompletu poczucie winy, bo jesteś przekonany, że doprowadziłeś do śmierci przyjaciół. Czy dobrze rozumię?

– W zasadzie dobrze. Boję się też o rodziców. Wiadomo, pieniądze. Prawnicy nie pracują za darmo.

– Jasne.

– Poza tym siostra jednego z tych kumpli nie daje mi spokoju w szkole.

– Rozumiem. Domyślam się również, że ta trójca: żałoba, strach i poczucie winy wzajemnie się potęgują. Jeden plus jeden plus jeden nie równa się trzy, tylko dziewięć.

– Coś w ten deseń.

– Hm – mruczy i składa palce w piramidkę.

Przez kilka sekund po prostu mierzymy się spojrzeniami. Słuchamy tykającego zegara i stłumionych oddechów.

– Opowiedz mi coś – podejmuje półgłosem doktor Mendez.

– Znaczący cokolwiek?

– Nie, nie. Opowiedz mi historię związaną ze śmiercią swoich przyjaciół, taką, z której wyniknie, że nie ty doprowadziłeś do wypadku.

– Nazwaliśmy się Brygadą Sos.

– Zakładam, że ta nazwa nie wzięła się z powietrza? – Uśmiecha się łagodnie.

– Owszem. Może o tym opowiem, zamiast...

– Kiedyś chętnie wysłucham, ale teraz mówimy o czymś innym.

– Czyli mam opowiedzieć historię, która usunie ze mnie winę?

– Właśnie.

Moje myśli zaczynają wirować, szukają punktu oparcia. Czegóż, co mógłbym przetrwać, przekuć w konkret. Bez skutku.

– Nie potrafię.

– Dlaczego?

– Dlatego. Nie tak było.

– Proszę cię, przestań – rzuca doktor Mendez. – Przecież piszesz opowiadania. Jesteś specem.

– Przykro, że pana zawiodłem.

– Proszę cię tylko o jedną historię. Co ci szkodzi?

– Na wszystko chciałbym zasłużyć.

– Przecież dość się ostatnio wycierpiałeś, prawda?

– Tak.

– W takim razie zasłużyłeś, choć wcale nie musiałeś.

Wywracam oczami i podnoszę rękę.

– Niech będzie. Hm... Zamiast pisać SMS, czekam, aż przyjadą po mnie do pracy.

Wszyscy wciąż żyją, a ja nie muszę tu siedzieć. Koniec. Wystarczy?

– Nie. Zapomniałeś o zasadach? Tę fabułę już od początku skoncentrowałeś wokół własnej osoby. Mnie chodziło o coś innego: ciebie ma w tym nie być. Chciałbym usłyszeć wersję, w której absolutnie nic nie łączy się z wypadkiem.

Thumię w sobie warknięcie.

– Dobra. Samochód, w który walnęli, nie powinien się znaleźć w tym miejscu. Gdyby jego kierowca się spóźnił... wtedy nic by się nie stało. Mogliby nadal żyć.

Doktor Mendez ściąga czoło, potakuje.

– Nie najgorzej... Aczkolwiek... brakuje mi przekonujących postaci. Jak się ten kierowca nazywał?

– Skąd mam wiedzieć?

– Widzisz? Może właśnie dlatego ta wersja też mnie nie przekonała. – Oczy doktora Mendeza rozbłyskują. – Wiem, że stać cię na lepszą.

Ponownie spoglądam w sufit, osuwam się w fotelu. Odpowiadam mu, nie zmieniając pozycji.

– Dobra. Kierowca nazywał się... Billy... Scruggs. To chyba dobre nazwisko dla kierowcy ciężarówki, prawda? – Wciąż nie patrzę na terapeutę.

– Doskonale.

– Żona kazała mu się wynosić. Wystąpiła o rozwód, bo nigdy nie było go w domu i całymi dniami siedziała sama. Wpadła w depresję. Wyjechał więc z... Georgii... dokładnie z Macon... Bo chyba w takich miastach rodzą się kierowcy ciężarówek?

– Billy Scruggs z Macon. Dla mnie bomba. Chcę usłyszeć więcej.

– Wiózł akurat... – spoglądam terapeutę w oczy, a on rozkłada ręce, daje mi znać, że nie może mi pomóc – ...podręczniki psychiatryczne i okulary. Jechał do Denver.

Próbuję wytrącić z równowagi doktora Mendez, jednak on się śmieje, po czym stwierdza:

– Punkt dla ciebie. W dodatku zaczynam się wciągać.

O dziwo, czuję się trochę lepiej.

– Billy nie był zdyscyplinowanym kierowcą. Dzisiaj też jest trochę spóźniony. Zatrzymał się na śniadanie w Chattanoodze, by wrzucić coś na ząb. Wiedział, że powinien jechać dalej, ale nie mógł z powodu kelnerki... Tammy Daniels. Ma trzydzieści dziewięć lat, ale wygląda na pięćdziesiątkę.

– Fantastycznie – chwali ze śmiechem doktor Mendez.

– Jej uroda zdążyła przygasnąć, więc próbuje to ukryć pod warstwą zbyt wulgarnego makijażu. Billy dostrzegł jej prawdziwe piękno; wystarcza mu, że Tammy wygląda lepiej niż bezkresne szosy i tablice reklamowe.

– Tak. – Terapeuta kiwa głową. – Mów dalej, proszę.

– Billy szykuje się, żeby poprosić ją o numer komórki. Kilka minut temu uśmiechnęła się i puściła do niego oczko, czyli jest nadzieja. Billy pije kawę za kawą, mimo że nie ma na to ochoty, ale cieszy się, kiedy Tammy podchodzi do jego stolika. Zastanawia się, czy gdyby zdobył się na odwagę, zobaczyliby się znowu. Ostatecznie tchórzy. Poddaje się. Jest nie tylko mało solidnym kierowcą, lecz też życiowym tchórzem. Zostawia suty napiwek, na rachunku pisze *Jesteś piękna*, po czym odjeżdża.

– Cholera, zdążyłem go polubić – mówi Mendez. – Nie dość, że się spóźni, to jeszcze nici ze spotkania.

Opowiadając, nieświadomie przesunąłem się na krawędź fotela.

– Co gorsza, strasznie chce mu się siku. Wypił u Tanyi tyle kaw...

– Tammy.

– A, tak. Tammy. Naprawdę musi się pospieszyć. W Nashville okazuje się, że powinien być znacznie dalej, ale nie jest. W tym momencie w jego ciężarówkę z ogromną prędkością wjeżdża samochód Brygady Sos. Tuż przed ciężarówką Billy’ego jechała furgonetka z puchowymi poduchami i orzeszkami ziemnymi. Gdyby chłopaki trafili w nią, nadal mogliby żyć, ale wpadli akurat na Billy’ego. Pieprz się, Billy.

Długa chwila milczenia. Zauważam na spodniach ciemną smugę i rozcieram ją palcem.

– W tej opowieści nie przyczyniłeś się do ich śmierci – odzywa się doktor Mendez.

– W tej opowieści rzeczywiście nie.

– Jak się teraz czujesz?

– Jakbym nas obu okłamał.

– Dlaczego?

– Bo nie tak to się odbyło.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem.

– Skąd?

– Wiem.

– Ale skąd?

– Dobra, nie wiem. – Wzdycham.

Znów zapada milczenie. Następuje przeciągły, wypełniony myślami moment. Jako pierwszy przerywa je doktor Mendez.

– Ludzki umysł w każdej sytuacji dopatruje się związków przyczynowo-skutkowych. Dzieje się tak, ponieważ tego typu związki pozwalają nam zachować wiarę w rządzący wszechświatem porządek. A to wiara niełatwa nawet dla osób uznających istnienie jakiegoś rodzaju siły wyższej. Większość ludzi woli wziąć na siebie odpowiedzialność za tragedię, niż przyznać, że światem kieruje przypadek. Chaos nas przeraża. Podobnie jak myśl o tym, że władają nami kaprysy losu, wskutek których nawet dobrych ludzi może spotkać coś bardzo złego.

Tak, to z pewnością prawda.

– Pareidolia – mówię.

– Słucham?



– Pareidolia. Jedno z moich ulubionych słów. Tak nazywa się skłonność umysłu do wyszukiwania znanych kształtów w chaotycznych wzorach. Widzimy, na przykład, zarys twarzy na tarczy Księżyca. Albo zwierzęta w chmurach.

– Pareidolia. – Doktor Mendez uśmiecha się właściwie do siebie. – Jakże piękne słowo.

– Z tym że oznacza zjawisko, które nie zawsze bywa piękne.

– Tak, to zjawisko nie zawsze bywa piękne.

## Rozdział dwudziesty szósty

Niekiedy na kilka sekund zapominam, że odeszli. Na przykład, gdy słyszę w szkole o zbliżającej się imprezie czy próbach do nowego przedstawienia. Kiedy czytam o nadchodzącej premierze filmu lub gry komputerowej. Chodzi o sytuacje, które zwykle przeżywaliśmy wspólnie. Pojawia się iskra ekscytacji. Pojawia się i niemal natychmiast znika, wyparowuje, jakby powietrze miało większe prawo do mojego szczęścia niż ja sam. Ktoś mógłby się spodziewać, że wraz z upływem czasu, rosnącym dystansem do ich śmierci takie chwile będą mnie spotykać coraz rzadziej. Tymczasem w miarę jak lato ustępuje przed naporem jesieni, przydarza mi się to coraz częściej.

Słyszałem, że osoby tracące jakąś kończynę odczuwają tak zwane bóle fantomowe – nieistniejąca ręka czy noga piecze ich, swędzi, jakby ciało zapomniało o amputacji.

Ja żyję z trzema takimi fantomami.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Siedzimy pod dachem, chociaż nie powinniśmy. Należałoby się cieszyć ciepłym (dwadzieścia dwa stopnie), przepięknym późnym popołudniem. Okres wycofującego się lata jest moją ulubioną miniporą roku. Uwielbiam te łagodne dni i wciąż powściągliwe, lecz niekiedy bardzo już rześkie noce. Leniwe koncerty świerszczy. Poranki, których atmosfera osiada na skórze niczym chłodny jedwab. Zwykle przeżywałem ten czas przepełniony głupim, nieuzasadnionym szczęściem. W tym roku jest inaczej.

Biblioteka Bellevue. Niedawno wzniesiony nowoczesny budynek. Nad naszymi głowami szybują dziesiątki ptaków zawieszonych na drucikach. Wyrzeźbiono je z drewna drzew wykarczowanych podczas budowy. Identycznie postępujemy ze wspomnieniami, gdy jakieś wydarzenie karczuje i niczym buldożer rozjeżdża nasze dotychczasowe życie. Rzeźbimy z nich ptaki i zawieszamy w górze, jakby wciąż były w stanie fruwać.

Jesmyn siedzi naprzeciwko mnie. W skupieniu, ze słuchawkami w uszach, wpatruje się w laptop. Teoretycznie miałem tworzyć wypracowanie o Toni Morrison – zadanie domowe z literatury. Nie ma mowy. Jesmyn mnie rozprasza. Od rana chodzi czymś wkurzona. Staram się wyczytać cokolwiek z jej twarzy, lecz wciąż za słabo rozpoznaję odcienie jej nastroju.

Pociąga nosem. Kciukiem ukradkiem osusza kąciki oczu. Rozważam, czy lepiej będzie udać, że tego nie widzę, czy może coś jednak powiedzieć. W końcu postanawiam się odezwać.

– Hej – zagajam szeptem.

– Hej – odpowiada cichym, słabym głosem i znów pociera oczy.

– Może pójdziemy na spacer?

Kiwa głową. Zamyka laptop, chowa go do torby. Cały czas unika moich spojrzeń. Ukrywa twarz za zasłoną opadających włosów. Szybko zbieram swoje rzeczy i wychodzę za Jesmyn na zewnątrz. Zdążyła usiąść na ławce, torbę ułożyła przy nogach.

Czekam. Wolałbym, żeby sama zaczęła, ale ona wciąż milczy.

– Zrobiłem coś nie tak? – pytam.

Nie reaguje przez kilka kolejnych sekund. Przygląda się przejeżdżającym ulicą samochodom. Wreszcie mówi:

– Chciałabym, żebyś był wobec mnie całkowicie szczery.

– Okej. – Niepewnie wiercę się na ławce.

– Opowiadasz ludziom, że ze sobą chodzimy?

Robi mi się zimno, momentalnie zasycha mi w ustach.

– Nie. Nie! O czym ty, do diabła... Komu miałbym opowiadać?

– Komu miałbym opowiadać? – powtarza. – Nie rozczulaj mnie. Jeśli faceci chcą się pochwalić nową dziewczyną, plotkują nawet z rozwodzicielami pizzy.

Z premedytacją staram się przywołać na twarz szczerą minę. Jestem szczery. Problem w tym, że im bardziej człowiek próbuje wydawać się wiarygodny, tym trudniej to przychodzi.

– Jesmyn, przysięgam. Kto ci o tym powiedział? I co konkretnie?

– Dzisiaj na teorii muzyki Kerry oznajmiła, że podobno się spotykamy, a wszystko

zaczęło się jeszcze przed śmiercią Eliego.

Nic nie wywołuje takiego poczucia bezbronności jak obrzydliwe plotki na własny temat. Czuję się tak, jakby ktoś zdzielił mnie w szczękę. Zresztą pewnie dlatego ludzie rozsiewają fałszywe pogłoski. Ci, którzy nas nienawidzą. W piersi wzbiera mi fala wściekłości i upokorzenia.

– Tiaaaa... Co za niespodzianka... Przecież to jasne, kto te bzdury rozpowiada.

– Adair? Myślisz, że to ona?

– Nie cierpi nas oboje.

– Rozumiem, ale po co kłamię?

– Bo chce nam dopiec? Czuję się trochę rozczarowany, że to mnie zaczęłaś podejrzewać.

– Cóż...

– Mówię poważnie. Nawet gdybyśmy rzeczywiście ze sobą chodzili, nikomu bym o tym nie powiedział. W życiu!

– W sumie wciąż znamy się dość słabo.

– Powinnaś znać mnie już na tyle dobrze, by takie rzeczy wiedzieć. Kurczę, Georgia naprawdę dobrze mnie wyszkoliła.

Jesmyn wzdycha z niejaką ulgą.

– Przepraszam. Po prostu dokładnie to samo spotkało mnie w poprzedniej szkole. Zaczęłam się spotykać z takim jednym kolesiem, a jego była rozpowiadała, jaka ze mnie dziwka.

– Widzisz? Dziewczyny są tak samo zdolne rozsiewać złośliwe plotki jak faceci.

– Przecież nie twierdziłam, że nie są.

– Seksistka.

– Daj spokój.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że cię na to naraziłem. – Bardzo, chociaż nie za bardzo, dodaję w myśli.

– Na co dokładnie? Na przyjaźń? Weź, przestań. Będę się przyjaźnić, z kim zechcę. Adair może mi ewentualnie naskoczyć. Po prostu nie cierpię słuchać kłamstw na własny temat – oznajmia, ale nadal wydaje się przybita.

– Tylko to tak cię od rana dręczy?

Jesmyn bawi się bransoletką. Paznokcie pociągnęła dziś ciemnoszarym lakierem. Są niemal czarne.

– Nie – przyznaje.

– Chcesz o tym pogadać?

– Pod warunkiem, że nie będziesz próbował mi pomóc. Wy, faceci, zawsze chcecie wszystko naprawiać.

– Obiecuję. Co więcej, przyrzekam nie tylko, że niczego nie naprawię, ale i że dodatkowo wszystko pogorszę.

Jesmyn parska śmiechem.

– Nie, tego może też nie rób. Wystarczy, że mnie wysłuchasz.

– Po prostu słucham.

– Widzisz, mam zdolność zwaną synestezją. Kwestia mózgu.

– Tak... to zdaje się, polega na... hm...

– Z grubsza chodzi o to, że działanie jednego zmysłu automatycznie wyzwała reakcje innych. U mnie wygląda to tak, że kiedy gram lub słucham muzyki – w zasadzie mogą to być dowolne dźwięki – widzę kolory.

– O rany! Zajeście! Coś na ten temat czytałem.

– Czasami faktycznie zajeście. Jednak nie zawsze. W każdym razie pamiętasz może utwór, który przygotowuję na przesłuchanie do Juilliarda? *Jeux d'eau*? Słuchałam go niedawno w wykonaniu Marthy Argerich. Brzmiał kryształowo, miał kobaltowy odcień błękitu. Trochę jak... leżąca na parapecie niebieska szybka. Taką barwę widzę, kiedy gra ona. Za to kiedy ja gram, słyszę same brązy i zielenie. Jak smarki na chusteczce. Obrzydliwe, straszne. Kiedy słucham sama siebie, czuję fizyczny ból.

– A kiedy ja cię słucham, słyszę jedynie piękno.

– Nie obraż się, ale akurat ten kawałek będę musiała wykonać przed osobami o ciut bardziej wyrobionym uchu.

– Zobaczysz, przejdiesz to przesłuchanie jak burza.

– Od prawie dwóch miesięcy wszystko, co gram, brzmi jak smarki. Zupełnie jakby śmierć Eliego czegoś mnie pozbawiła. Wszystko, za co się teraz biorę, jest jak przesłonięte jakimś brązowozielonym filtrem fotograficznym. To naprawdę koszmar. Coś, co bardzo kocham, okazało się nagle tak brzydkie.

– Rozumiem.

– Zupełnie nie wiem, co począć.

Reaguję znaczącym milczeniem. Siedzę w bezruchu. Jesmyn zerka na mnie wyczekująco.

– No co? Przecież miałem niczego nie naprawiać – mówię niewyraźnie, samym kącikiem ust.

Jesmyn się śmieje. Ten dźwięk stał się dla mnie czymś w rodzaju azylu.

– Okej, warunkowo możesz mnie przytulić. To jeszcze jestem gotowa zaakceptować.

Wstajemy i obejmujemy się, lekko kołysząc.

– Całkiem nieźle tulisz – szepcze mi do ucha.

– Uważaj, nie chcemy, żebym przypadkiem coś naprawił.

– Będę ostrożna.

– Przykro mi, że musisz oglądać świat w kolorach glutów.

– Mnie też.

Odsuwa się i – choć może to jedynie gra wyobraźni – leciutko przeciąga wargami po moim policzku. (Znów czuję „rozwój bardzo osobisty”, więc muszę ostrożnie wrócić na ławkę).

Jesmyn też siada.

– Myślisz, że poczułabym się lepiej, gdybym urządziła dla Eliego takie pożegnanie jak ty z babcią Blake’a? Nie chcę teraz słyszeć żartów o naprawianiu.

Pytanie mnie zaskakuje.

– Niewykluczone. Mogę ci powiedzieć, że Blake nie odzywa się już w mojej głowie tak często jak przedtem.

– Może powinniśmy coś takiego przeżyć razem z jego rodzicami?  
Skorzystalibyśmy oboje.

To również nie przyszło mi do głowy. Wszystko przez Adair. Nie wiem, co myśleć.

– Chcesz, żebym się dowiedział, czy byliby zainteresowani? – Mam wielką nadzieję, że usłyszę: „Nie”.

– Może...

– Okej. A co z Adair?

– Jeżeli będzie robić problemy, po prostu odmówią.

– Ale co z nią tak w ogóle? Myślisz, że powinniśmy z nią porozmawiać?

– Nie wiem, w czym mogłoby to pomóc, zważywszy na twoją pierwszą próbę.

Myśli zaczynają mi wrzeć, wypływają na powierzchnię niczym bąbelki.

– Powiedz – odzywam się – jakiego koloru jest mój głos? Co widzisz, kiedy mówię?  
Jesmyń drapie się po podbródku, mruży oczy.

– Hm, najczęściej ma kolor bajeru.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Na wyświetlaczu komórki pojawia się nieznany numer.

– Halo?

– Carver Briggs?

Głos w słuchawce jest szorstki, obcesowy. Takie głosy raczej nie przekazują informacji, że zostałeś właśnie wytypowany do udziału w programie *Pływaj z delfinkami*. Ten ton brzmi dokładnie tak, jak wygląda czarna skórzana kabura pistoletu.

– Przy telefonie – odpowiadam, słysząc w głowie wycie setki alarmowych syren.

– Mówi porucznik Dan Farmer, Komenda Główna Policji w Nashville. Chcemy z tobą porozmawiać na temat wypadku samochodowego, do którego doszło dnia pierwszego sierpnia z udziałem Thurgooda Edwardsa, Eliego Bauera oraz Blake’a Lloyda. Według naszych informacji byliście przyjaciółmi. Kiedy mógłbyś się stawić w komendzie, oczywiście w towarzystwie rodziców?

Całą dostępną sobie siłą woli próbuję opanować głos. Daremnie, i tak zadrżał:

– Ja... Prawdę mówiąc... Chciałbym najpierw skontaktować się z adwokatem.

– Nie zamierzamy cię aresztować. Nie stawiamy żadnych zarzutów. Chcemy po prostu porozmawiać.

Gliniarz jest wyczuwalnie poirytowany.

– Mój prawnik odradzał rozmowy z policją pod jego nieobecność. Nazywa się Jim Krantz.

Irytacja porucznika Farmera przeradza się w żarliwą złość. Ukrywanie jej wychodzi mu mniej więcej tak, jak mnie idzie maskowanie zdenerwowania.

– Rozumiem. Czy mój numer się wyświetlił?

– Tak.

– Proszę zadzwonić do adwokata, a potem skontaktować się ze mną.

– Dobrze.

Porucznik Farmer rozłącza się bez pożegnania.

Opowiadam o rozmowie rodzicom. Zaraz potem telefonujemy do pana Krantza.

Zaczęło się.

W jakimś mrocznym, głęboko ukrytym zakątku duszy bardzo się z tego cieszę.

\* \* \*

Nazajutrz, po najdłuższym dniu lekcyjnym w całym moim życiu, siedzimy przy stole w gabinecie pana Krantza. Rodzice po lewej. Po prawej czeka na prawnika wolny fotel. W kącie, na trójnogu, stoi kamera. Nikt się nie odzywa.

Dolatują mnie głosy, wymieniane za drzwiami uprzejmości. Recepcjonistka wprowadza dwóch mężczyzn w bojówkach i sportowych kurtkach. Do pasów mają przypięte kabury z bronią i policyjne odznaki. Tuż za nimi wchodzi młoda kobieta w nienagannie skrojonej garsonce, otoczona równie dobrze do niej pasującą aurą profesjonalizmu.

– Carver? Porucznik Dan Farmer – przedstawia się starszy z policjantów. – Dziękuję, że zechciałeś się spotkać.

Och, cała przyjemność po mojej stronie! Wprost nie mogłem się doczekać! – myślę.

– Sierżant Troy Metcalf – odzywa się drugi z mężczyzn.

– Carver? – Kobieta podchodzi do stołu. – Alyssa Curtis. Jestem wiceprokuratorem okręgowym hrabstwa Davidson.

– Widzę, że drużyna stawiała się w komplecie – odzywa się ojciec.

Stara się mówić swobodnie, jakbyśmy nie mieli się czego obawiać. Jednocześnie w jego głosie pobrzmiwa drwina (akcent taty doskonale się sprawdza w takich sytuacjach). Zapada niezręczne milczenie. Aczkolwiek nie po naszej stronie stołu. W moim żołądku szaleje rój wściekle bzyjących os. Goście siadają naprzeciwko. Wbijam wzrok w spocone dłonie. Wciąż nikt się nie odzywa. Wreszcie do sali wpada pan Krantz. W ręku ma notatnik, okulary ryzykownie wiszą na czubku nosa. Ani policjanci, ani panna Curtis nie wydają się jego przybyciem szczególnie uradowani. Niemniej podają sobie ręce.

– W porządku – rzuca prawnik. Sapiąc, zajmuje miejsce i zerka na zegarek. – Jestem zapracowanym człowiekiem. Podobnie jak mój klient i wy... Taką mam przynajmniej nadzieję. Chyba możemy jechać z tym koksem?

– Proszę bardzo. – Porucznik Farmer bawi się długopisem, pstryka. – Carver, prowadzimy dochodzenie w sprawie wypadku, w którym śmierć ponieśli Thurgood Edwards, Elias Bauer i Blake Lloyd. Do wzmiankowanego wypadku doszło pierwszego sierpnia bieżącego roku. Chciałbym, abyś powiedział nam wszystko, co ci wiadomo o okolicznościach towarzyszących zdarzeniu.

Głośno przełykam ślinę. Już mam się odezwać, kiedy interweniuje pan Krantz. Szybkim ruchem ściąga okulary i ze stuknięciem odkłada je na notatnik.

– Nie, nie, nie. Macie bardziej konkretne pytania? To proszę je zadać. Mój klient lubi opowiadać bajeczki, ale tylko przy ognisku.

Porucznik Farmer ściąga usta, poprawia się na siedzeniu.

– Carver, czy w momencie wypadku miałeś świadomość, że w pojeździe znajdują się trzy martwe osoby?

Otwieram usta, lecz znów uprzedza mnie prawnik.

– Mój klient odmawia odpowiedzi, powołując się na prawo gwarantowane przez piątą poprawkę do konstytucji Stanów Zjednoczonych oraz artykuł pierwszy, paragraf dziewiąty konstytucji stanu Tennessee.

Porucznik Farmer wciąga powietrze przez nos. „Tego się właśnie obawiałem” – mówi jego spojrzeń.

– Czy tuż przed omawianym wypadkiem wysłałeś wiadomość tekstową do Thurgooda Edwardsa?

– Ja...

– Klient odmawia odpowiedzi – wtrąca adwokat. – Piąta poprawka oraz artykuł pierwszy, paragraf dziewiąty.

– Czy pisząc wiadomość, miałeś świadomość, że Thurgood prowadzi pojazd mechaniczny?

Tym razem odczekuję dwie sekundy w milczeniu. Okazuje się, że słusznie.

– Mój klient nie przyznał się do wysyłania jakichkolwiek wiadomości do pana Edwardsa. To zwykła sugestia, poruczniku. Ponadto mój klient odmawia odpowiedzi.



Piąta poprawka oraz artykuł pierwszy, paragraf dziewiąty.

Sierżant Metcalf wzdycha.

– Posłuchaj, Carver – podejmuje cicho porucznik Farmer. – Po prostu próbujemy wyjaśnić całą tę sprawę. Nie chcemy cię w nic wrabiać.

Pan Krantz chichocze.

– Dan, wszedłeś tu jako zły policjant, a teraz chcesz się bawić w dobrego? Poza tym bzdury opowiadasz. Próbujecie wynaleźć na tego dzieciaka haczyk, bo sędzia ciosa wam kołki na głowie. Nie owijajmy w bawełnę.

– Jimmy, dla nas to też nie jest przyjemność.

– Tego nie twierdzę. Dobra, następne pytanie. Spieszę się na golfa.

– Carver, z kim rozmawiałeś na temat wypadku?

Milczę, czekam na...

– Klient odmawia odpowiedzi. Piąta poprawka oraz artykuł pierwszy, paragraf dziewiąty. Następne pytanie.

– Jim... – Panna Curtis po raz pierwszy zabiera głos. – Moim zdaniem współpraca Carvera bardzo by wam pomogła i zachęciła prokuraturę do zawarcia jakiegoś rodzaju ugody. Zwłaszcza jeśli dochodzenie coś jednak wykaże. Potem może być za późno.

– Współpraca Carvera pomogłaby również wam. Wręczylibyśmy wam sznur, na którym moglibyście go powiesić. Dziś macie jedyną szansę na rozmowę z moim klientem, więc sugeruję ją wykorzystać.

Porucznik Farmer przeszywa mnie spojrzeniem. Zupełnie jakby rzucał mi wyzwanie, jakby sprawdzał, czy postawię się panu Krantzowi i jednak coś powiem.

– Carver, czy gdybyś miał taką możliwość, zmieniłbyś którąkolwiek z decyzji, jakie podjąłeś pierwszego dnia sierpnia?

Och, na ile sposobów mógłbym na to pytanie odpowiedzieć. I na ile sposobów ta kwestia zdefiniowała cały mój świat. Odpowiedź brzmi jednak...

– Klient odmawia odpowiedzi. Piąta poprawka oraz artykuł pierwszy, paragraf dziewiąty.

Otóż właśnie.

Panna Curtis trąca ramię porucznika Farmera i wstaje.

– Okej. Wszyscy możemy spożytkować ten dzień bardziej produktywnie. – Obrzuca mnie niechętnym spojrzeniem. – Nie mogę obiecać, że prokurator pozytywnie zareaguje na wiadomość o twojej odmowie współpracy, Carver. Zwłaszcza jeśli zdecydujemy się iść ze sprawą do sądu.

Ton kobiety mrozi mnie do szpiku kości.

Pan Krantz zanosi się nieprzyjemnym chichotem.

– Jaką sprawą? – Dźwiga się z fotela. – Drodzy państwo, jak zwykle było mi niezmiernie miło gościć. – Nie podaje im ręki.

Policjanci i panna Curtis odwzajemniają się tym samym.

– Będziemy w kontakcie – mówi panna Curtis w drodze do drzwi.

– Spodziewam się. Ach, jeszcze jedno...

Odwracają się.

– Lepiej, żebyśmy nie usłyszał o żadnych sztuczkach. Nie nakłaniajcie Carvera, by

powiedział coś, czego nie powinien. Nie chcę słyszeć o atrakcyjnych młodych policjantkach w cywilu. Żadnych czterdziestopięciolatek udających w sieci szesnastki z wielkim dekoltem. Po prostu bez wygłupów, proszę. Od tej pory mój klient będzie korzystał z prawa do zachowania milczenia. Pomaganie Fredowi Edwardsowi nie leży w jego interesie. Czy dobrze się rozumiemy?

Żadne z nich nie odpowiada. Wychodzą.

Pan Krantz spogląda na zegarek i zbiera swoje rzeczy.

– Przepraszam za pośpiech. Z golfem wcale nie żartowałem. – Poklepuje mnie po ramieniu, ściska je lekko. – Trzymaj się, synu.

„Trzymaj się”. Sensowna porada, a zwłaszcza dla człowieka, który stanął właśnie pod szubienicą.

\* \* \*

Po powrocie do domu daję Jesmyn znać, że zamierzam porozmawiać z rodzicami Eliego o pożegnaniu. Nie tłumaczę jej natomiast, że postanowiłem się do tego zabrać, ponieważ martwią mnie dwie sprawy: po pierwsze mogę pójść do więzienia i nie zdążę, a po drugie, jeśli nie pójdę do więzienia, wyrzuty sumienia wpędzą mnie do grobu i też nie zdążę. Tak czy inaczej lepiej się tym zająć wcześniej niż później.

Ogarnia mnie zdenerwowanie, lecz przypominam sobie, że całkiem niedawno poinformowałem matkę o śmierci jej dziecka. Skoro poradziłem sobie z takim wyzwaniem, to chyba ze wszystkim dam sobie radę. Przynajmniej przez telefon. Oczywiście, pozostaje jeszcze Adair, lecz z nią niech borykają się jej rodzice.

Spodziewałem się, że będę musiał wyjaśniać znacznie dłużej. Okazuje się, że nie. Rozmawiam z matką Eliego. Dowiaduję się, iż babunia Betsy zadzwoniła do nich niebawem po pożegnaniu Blake’a i powiedziała, że dla niej była to świetna terapia. Zaczęli się nad tym zastanawiać, nie byli jednak pewni, jak ze mną poruszyć ten temat. Pojawiła się znakomita okazja, ponieważ postanowili niedługo rozsypać prochy Eliego nad wodospadem Fall Creek. Uznali, że właśnie tego ich syn by sobie życzył. Matka Eliego prosi również, żebym przyprowadził Jesmyn. Obiecuję jej to.

Nie dodaję, że mam nadzieję, iż dzięki temu głos Eliego ucichnie w mojej głowie. Ponieważ śmierć staje się prawdziwa dopiero wtedy, gdy zmarli mogą wreszcie zamilknąć.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

– Opowiedz mi kolejną historię – mówi bez wstępów doktor Mendez, podczas gdy zajmujemy swoje miejsca.

Dzisiaj nie będzie pogaduszek o pogodzie.

Przygotowałem się. Wiedziałem, że i tak namówi mnie do snucia opowieści, a nie chciałem wymyślać czegoś na poczekaniu.

– W dwa tysiące pierwszym roku pracował w zakładach Nissana niejaki Hiro Takasagawa. Jako inżynier zajmował się sprawami bezpieczeństwa. Był przy tym artystą – tworzył ruchome rzeźby. Nikt ich jednak nie kupował, więc musiał znaleźć sobie zwyczajną pracę.

– Świat rzadko sprzyja artystom.

– Właśnie. Niemniej Hiro kochał swoje zajęcie, ponieważ gdy był małym dzieckiem, stracił w wypadku samochodowym rodziców. Na oblodzonej drodze wjechali w tył ciężarówce. Postanowił, że zrobi wszystko, by oszczędzić innym takiej tragedii. Zaprojektował system zabezpieczeń, w którego skład wchodziły montowane pod podwoziem białe mechaniczne skrzydła – wzorowane na skrzydłach żurawi. Zamontowany na masce czujnik radarowy sprawiał, że gdy tylko samochód zbliżał się ze zbyt dużą prędkością do przeszkody, skrzydła się rozpościerały i zaczynały bić, w efekcie pozwalając pojazdowi przefrunąć nad niebezpiecznym miejscem. W powietrzu kierowca mógł sterować zwyczajną kierownicą i spokojnie wylądować na ziemi.

– Rok dwa tysiące pierwszy. Bardzo konkretna data. – Terapeuta wydaje się szczerze zainteresowany opowieścią.

– Hiro zaprezentował pomysł szefowi. Chciał rozpocząć montaż wynalazku w nissanach już od dwa tysiące drugiego roku. Prezes jednak się wściekł: „Takasagawa, zdajesz sobie sprawę, ile to będzie kosztować firmę?!” – wrzasnął. „Ale to działa – odparł Hiro. – Zbudowałem prototyp i przetestowałem. Ludzkie życie jest chyba więcej warte?”. Szef na to: „Ty idioto! My tu robimy pieniądze. Skoro zmarnowałaś czas i pieniądze na coś takiego, czuj się zwolniony!”.

Zaczynam się angażować. Zmieniam ton, wypowiadając kwestie Hira i jego szefa.

– Jak się nazywał ten szef? – dopytuje doktor Mendez.

– Yoshikazu Hanawa. Naprawdę był prezesem firmy Nissan w dwa tysiące pierwszym roku. Sprawdziłem.

– Dobrze – odpowiada cicho terapeuta. – Naprawdę świetnie. Przepraszam. Mów dalej. – Macha ręką.

Biorę głęboki haust powietrza.

– Przybity Hiro wychodzi z gabinetu Hanawy. Czuje, że zawiódł rodziców, a na dodatek okrył się hańbą. Wsiada do samochodu i odjeżdża. Zamierza popełnić samobójstwo. Próbuje wjechać w ścianę budynku, lecz w ostatniej chwili spod samochodu wyrastają błyszczące białe skrzydła żurawia. Rzecz w tym, że Hiro nie jechał swoim prototypem. Skrzydła pojawiły się po prostu znikąd. Wyniosły go ponad budynek, prosto ku niebu. Od tamtej pory nigdy nie wylądował. Wciąż szybuje wśród chmur.

Na dłuższą chwilę zapada milczenie.

- A Mars jechał... – odzywa się doktor Mendez.
- Nissanem maxima. Rocznik dwa tysiące drugi.
- Tyle że bez wynalazku Hira.
- Dlatego że okazał się zbyt drogi.
- Gdyby jednak Hanawa zaakceptował pomysł Hira...
- Wtedy Mars, nawet gdyby zechciał odpisać na mój SMS, wyszedłby bez szwanku. Przeleciałby nad ciężarówką.
- Ciężarówką Billy’ego Scruggsa.
- Właśnie.
- Bez względu na to, co ty zrobiłeś.
- Tak.
- Jak się czułeś, opowiadając tę historyjkę?
- Jak człowiek, który okłamuje sam siebie i próbuje zrzucić winę na kogoś innego.
- Dlaczego?
- Dlatego, że to zmyślenie.

Doktor Mendez przechyla głowę na bok. W jego oczach pojawia się błysk. Dostrzegam w nich pytanie.

- Racja – mówię. – Nie mam pewności, czy tak nie było.

Terapeuta uśmiecha się szeroko.

- Właśnie. Jak się miewasz?

Przygryzam wewnętrzną stronę policzka.

– Niedawno rozmawiałem z policją o wypadku. To znaczy siedziałem z nimi w jednym pokoju, słuchałem pytań, a mój adwokat powtarzał, że nie odpowiem.

– Nieczęsto chwalę klientów za milczenie, ale w tym wypadku muszę zrobić wyjątek.

- Dlaczego?

– Pamiętasz, o czym mówiliśmy ostatnim razem? O tym, że doszukujemy się przyczyn nawet tam, gdzie ich nie ma?

- Sądzi pan, że nie powinienem się przyznawać do winy?

– Nie ma znaczenia, co ja sądzę. Ważne jest, co ty myślisz. Próbuję ci w tym pomóc.

Zanim zrobisz cokolwiek, co mogłoby mieć bardzo poważne konsekwencje, chciałbym, żebyś rozważył wszystkie możliwe punkty widzenia.

- Boję się.

– Czego?

– Więzienia.

– Ani trochę ci się nie dziwię. – Doktor Mendez ściąga brwi.

– Czy zabrmi dziwnie, jeśli powiem, że boję się też, iż nie pójdę siedzieć?

– A rozumiesz, dlaczego się tego boisz?

– Niezupełnie.

– Może po części dlatego, że czujesz, iż straciłbyś wtedy okazję na odbycie pokuty?

– Może...

Wyraz twarzy doktora Mendeza daje mi znać, że powinienem pociągnąć wątek.

– Skoro mowa o odkupieniu – podejmuję. – Szykuje się kolejne pożegnanie. Tym

razem z rodzicami Eliego.

– Wspominałeś, że doświadczenie z babcią Blake’a okazało się cenne.

– To prawda.

– Czy teraz, kiedy upłynęło już trochę czasu, wyciągnąłeś dodatkowe wnioski?

Wpatruję się w regał stojący za plecami terapeuty. Patrzę tak, jakby odpowiedź na pytanie czekała na grzbietach książek.

– Dzięki temu spotkaniu jeszcze bardziej zacząłem żałować, że nie w pełni doceniałem spędzane z nimi chwile.

– To zupełnie normalna reakcja. Nikt nie chce bez przerwy żyć w cieniu śmierci, ale jeśli w ogóle nie bierzemy jej pod uwagę, niemal zawsze coś nam umyka. Skoro pożegnanie Blake’a przyniosło ci więcej dobrego niż złego, to rzeczywiście powinieneś się spotkać z rodzicami Eliego.

– Wiem.

Przygląda mi się z miną, jaką robi zawsze, kiedy próbuje odgadnąć, o czym myślę.

– Wciąż się jednak wahasz.

– Tak.

– Dlaczego?

– Rodzina Eliego jest zupełnie inna niż babcia Blake’a.

– Pod jakim względem?

– Chyba pod... filozoficznym. Ich świat jest znacznie bardziej skomplikowany. Oboje są świetnie wykształconymi ludźmi. Według babci Blake’a istnieje Bóg, niebo, piekło i tyle. Nie sądzę, by rodzice Eliego spodziewali się go jeszcze kiedyś zobaczyć. Nie są religijni. W dodatku Eli miał bliźniaczkę Adair. A ona twierdzi, że jej brat zginął przeze mnie.

– Uhm...

– Sam nie wiem, co na ten temat myślą ich rodzice.

– Podejrzewam, że gdyby cię obwiniali, nie przystaliby na ten pomysł.

– Być może. Co więcej, naprawdę bardzo zbliżyłem się do Jesmyn, dziewczyny Eliego. Byłej dziewczyny. Owdowiałej dziewczyny. Sam nie wiem, jak powinienem ją nazywać.

– I to cię niepokoi. Dlaczego?

– Nie chcę wywołać wrażenia, że próbuję coś mu odebrać. Tak nie jest. Tymczasem po szkole zaczęły już krążyć plotki. Moim zdaniem to sprawa Adair, ona je rozpowiada.

– Czy mówisz o tej samej Jesmyn, o której wspominałeś podczas ostatniej wizyty? Tej, która wzięłaby mnie w obroty za seksistowskie żarciki?

– Tak. Świetną ma pan pamięć.

Doktor Mendez unosi dłonie do ust i składa palce w piramidkę.

– Nie opowiadałeś o niej zbyt wiele, ale coś mi mówi, że nie jest to dziewczyna, która pozwoliłaby komukolwiek się tak po prostu odebrać.

– Oj, zdecydowanie nie.

– W takim razie pozostaje zupełnie bez znaczenia co, o ile w ogóle, rodzice Eliego sądzą o waszej znajomości oraz co ty myślisz na ten temat. Jesmyn nie pozwoliłaby sobie wejść w jakąkolwiek relację, na którą nie miałaby ochoty. Czy tak?

– Owszem. Tyle że my się tylko przyjaźnimy.

Za każdym razem, gdy wypowiadam te słowa, wyczuwam w nich pewien fałsz. Nie chodzi o to, co mi się przy niej przydarza (bądźmy szczerzy, w określonych okolicznościach identyczny efekt może wywołać nawet reklama kobiecej bielizny). Naprawdę nie przypuszczam, by łączyło nas cokolwiek ponad przyjaźń. Pomimo to wkroczyliśmy na taki poziom intymności, jakiego nie osiągnąłem z żadnym innym przyjacielem czy przyjaciółką, i nie wiem, czy „tylko przyjaźń” jest odpowiednim określeniem.

– Rozumiem.

– Rozmawiam z nią o tym wszystkim znacznie częściej niż z rodzicami.

– Czy twoi rodzice byliby gotowi cię wysłuchać?

– Pewnie. Tyle że niespecjalnie potrafię się przed nimi otwierać. Nie lubię, i to nie jest ich wina. Chyba po prostu... nie chciałbym ich rozczarować, zawieść. Może chcę też zachować niezależność? Cenię sobie własną przestrzeń osobistą? Albo jestem jakimś dziwadłem. Trudno powiedzieć.

Doktor Mendez kręci głową.

– Nie jesteś. Ani trochę. Zastanów się, całe życie uczyłem się rozmawiać z ludźmi. Tymczasem Ruben, mój syn, nieco starszy od ciebie, wcale ze mną nie gada. Nie, dziwadłem nie jesteś na pewno.

Upływa kilka chwil.

– Co do otwierania się przed rodzicami, ukazywania im własnych słabości... moglibyśmy nad tym popracować – podejmuje terapeuta.

– Moglibyśmy, ale mam w tej chwili naprawdę sporo na głowie.

– Wiem. Miałem na myśli bardziej odległą przyszłość.

– Czy ja kiedykolwiek wydobreję? – pytam.

– Moim zdaniem tak. Naturalnie, taki proces wymaga wiele czasu i pracy. Pewnego dnia stwierdzisz, że twój świat nabrał wreszcie właściwych kształtów. Nigdy nie uważałem, że powinno to polegać na oczyszczeniu, na wyzbyciu się niektórych uczuć. Chodzi raczej o naukę życia z ich bagażem. Właściwie powinny się stać integralną częścią twojej osobowości, czymś, co nie będzie już sprawiać ci bólu. Wiesz, w jaki sposób w małży tworzy się perła?

Potakuję.

– Z naszym problemem sprawa ma się podobnie – stwierdza doktor Mendez. – Pamięć o zmarłych jest perłą, która powstaje wokół drażniącego ziarenka piasku, wokół żałoby.

Przez chwilę rozważam to porównanie.

– Coś sobie przypomniałem. W sumie dość ciekawy zbieg okoliczności.

– Bardzo lubię ciekawe zbiegi okoliczności.

– Tata Jesmyn pracuje w firmie Nissan. Jak Hiro. Właśnie z powodu tej pracy sprowadzili się do Nashville.

Doktor Mendez uśmiecha się bez słowa.

## Rozdział trzydziesty

Sprzedaż domu zajmuje babuni Betsy ledwie kilka tygodni. Uzyskane w ten sposób pieniądze wystarczą jej na kupno nowego niewielkiego domku i zwrócą koszty pogrzebu Blake'a. Mam nadzieję, że będzie też mogła opłacić pogrzeb Mitzi, którego spodziewam się w każdej chwili.

Wraz z jej synami cały dzień pomagam w przeprowadzce. Znacznie więcej gratów ładuje na śmietniku niż w wynajętej furgonetce.

Po korepetycjach z uczniami dołącza do nas Jesmyn.

Kiedy wszystko jest już gotowe, synowie Betsy wsiadają do furgonetki i odjeżdżają do Greenville. Babunia pojedzie za nimi własnym samochodem. Jesmyn wraca do domu, musi ćwiczyć. A ja z babunią po raz kolejny siadam na schodkach w błękitnym chłodzie październikowego wieczoru naznaczonego wonią liści palonych w ogródkach. Trwamy tak mniej więcej kwadrans. W końcu Betsy musi jechać. Zaczynamy się żegnać.

Przyznaje, że odwiedziła ją policja. Wypytywali o Wypadek. Zapewnia, że niczego im nie powiedziała. Nie zdradziła mnie nawet jednym słowem i na pewno nigdy nie zdradzi.

Dziękuję jej. Zaraz potem uświadamiam sobie, że stała się przeze mnie w oczach swojego Boga kłamczuchą, i w moim żołądku otwiera się wilgotna otchłań. Żyję w stale rozrastającej się strefie cienia.

Pyta, czy kiedy przyjedzie z okazji Święta Zmarłych, wybiorę się z nią na cmentarz i złożę kwiaty na grobie Blake'a.

Obiecuję.

Prosi, żebym wiódł dobre, szczęśliwe życie, wypełnione śmiechem, miłością i przyjaźnią.

Obiecuję, że się postaram.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Od Wypadku upłynęły zaledwie dwa miesiące, a ja dotarłem już do momentu, w którym podejrzewam swój umysł o produkowanie fałszywych wspomnień. Czegoś w rodzaju fanowskich opowiadań osadzonych w świecie Brygady Sos. Zdarza mi się nie być pewnym, czy coś miało miejsce naprawdę, czy może jedynie we śnie. Powoli zaczynam wierzyć w swoje sny.

„Pamiętam”, na przykład, chwile, które pewnego umiarkowanie ciepłego popołudnia spędziliśmy na szkolnym boisku. Być może było to pod koniec roku szkolnego, gdy wiosna ustępuje pola latu. Z jakiegoś powodu któryś z nas przyniósł ze sobą przenośny odtwarzacz, który można podłączyć do iPod'a. Siedzimy na ławce i słuchamy muzyki. To wszystko. Niczego więcej nie jestem w stanie odtworzyć.

Nie potrafię wyobrazić sobie tej sytuacji. Nie wiem, kiedy mogło do niej dojść ani w jakich okolicznościach. Nie przypominam sobie innych podobnych momentów. Ani żadnych bliższych szczegółów.

Niemniej mój umysł jest święcie przekonany, że wydarzyło się to naprawdę. A skoro umysł postanowił układać nowe wspomnienia o przyjaciółach, gotów jestem je przyjąć. Nie chcę zadawać zbędnych pytań.



## Rozdział trzydziesty drugi

Siedzimy z Jesmyn w samochodzie przed domem Eliego. Zbieramy się do wejścia. Zaczynamy od krótkiej rozmowy.

– Adair też będzie? – pyta Jesmyn.

– Módlmy się, żeby nie.

Otwieram drzwiczki.

Jesmyn śmieje się sama do siebie.

– Co jest? – pytam.

– Tak naprawdę nic w tym śmiesznego. Dotarło do mnie, że z Elim widywaliśmy się tylko latem. Ani razu nie zobaczył mnie w kurtce, a ja uwielbiam chodzić w kurtkach. I pomyślałam o tym, jak krótko się znaliśmy. Jedną porę roku.

Ma na sobie szarą wełnianą kurtkę o motocyklowym kroju. Na miejscu zamka błyskawicznego widnieje lekko ukośny szereg guzików.

– W tej na pewno byś mu się spodobała. Świetnie na tobie leży.

– Dobra, zróbmy to. – Jesmyn uśmiecha się z lekkim niepokojem.

– Ja też się denerwuję.

– Ty przynajmniej masz już coś podobnego za sobą.

– Nie pomaga.

– Znaliśmy się ledwie dwa miesiące. Jestem pewna, że wiem na jego temat to, o czym ty i jego rodzice nie macie pojęcia, ale nie chciałabym nikogo rozczarować.

– Marne szanse.

Spotykamy się spojrzeniami. Nachylam się i tulę ją do siebie. Bardziej sobie niż jej dodaję tym gestem otuchy. Uwielbiam bliskość tej dziewczyny. Nie, nie chodzi o nic zmysłowego. W podobny sposób, kiedy byłem mały, uwielbiałem gładzić palcami kawałek jedwabiu. Jest w tym dotyku coś niewysłowienie kojącego.

Jak na komendę głęboko wzdychamy, wysiadamy i wchodzimy na ganek. To pierwszy raz od Wypadku, gdy odwiedzam dom Eliego. Gwałtowne ukłucie nostalgii kaleczy mi serce.

\* \* \*

Rozglądam się kompletnie oszołomiony. Jasne, słyszałem, że domy w Hillsboro Village są bardzo ładne, ale żadnego nie widziałem od środka. Otaczają mnie książki ustawione na jasnych, nowoczesnych, sięgających samego sufitu regałach. Jedna ze ścian w salonie jest nieotynkowana, na nagich ceglach wiszą abstrakcyjne obrazy. O malarstwie wiem tyle co nic, lecz te malowidła bez problemu mogę sobie wyobrazić w muzeum. Nie zdziwiłbym się, gdyby były warte więcej niż cały mój dom.

Sąsiednią ścianę zdobi wielki zabytkowy plan Londynu. Na kolejnej umieszczono szeroką czarno-białą panoramę Nowego Jorku. Meble przypominają te, które kojarzę z rodzinnych wypadów do Ikei, lecz wydają się cięższe i bardziej luksusowe.

– O stary! Spoko chata – chwale.

– Dziękuję. Doceniam komplement – odpowiada Eli.

– Twoi starsi są jakimiś artystami, architektami czy coś w ten deseń?

– Nie. Mama jest neurochirurgiem. Pracuje w szpitalu Vanderbilta. A tata wykłada historię na uniwerku Vanderbilta. Specjalizuje się w czasach zimnej wojny. Powinieneś usłyszeć jego obłąkańczą teorię na temat tego ufo z Roswell.

Śmieję się.

– Wiesz? Mój ojciec też jest wykładowcą. Literatura na Belmont. A mama jest fizjoterapeutką.

– Nie mów! No kurde! Normalnie mamy identyczne rodziny.

– Mam jeszcze siostrę.

– Ha! Ja też. W dodatku bliźniaczkę. Adair chodzi do naszej szkoły. Jest właśnie na zajęciach z tańca.

– Fajnie.

– Może jesteś głodny? Albo chcesz się czegoś napić?

– Nieustannie.

Eli prowadzi mnie do kuchni, która sprawia równie imponujące wrażenie co reszta domu. Mnóstwo szkła, stali i granitu. Wielki stojak na wino. Spod sufitu zwieszają się mosiężne garnki i patelnie. Eli otwiera szafkę i wyciąga paczki czipsów, popcorn oraz suszone owoce i orzechy.

– Bierz, co chcesz – mówi.

Podchodzi do lodówki i wyjmuję dwie butelki jakiejś nietypowej coli. Nie znam tej marki, ale na etykiecie widnieje napis – *Wytwór rzemieślniczy, niewielkie partie.*

– Dzięki. – Oglądam napój uważnie. – Ej, jak można rzemieślniczo wyrabiać colę?

– Prawda, że dziwne? Wyobrażam sobie faceta w kowalskim fartuchu, okładającego młotem każdą pełną coli.

– Albo stolarza tnącego bloki zmrożonej coli potężną piłą.

Wybuchamy śmiechem. Wybieram torebkę suszonych mandarynek i idziemy do jego pokoju.

Dopiero tam dostrzegam pierwsze oznaki, że w tej rezydencji mieszka osoba poniżej czterdziestego roku życia. Ciemnoszare ściany oklejone są plakatami nieznanymi mi zespołów. Grupy black i death metalowe. Przestylizowane, najeżone kośćmi i czaszkami logotypy praktycznie uniemożliwiają odcyfrowanie nazw. Jedna ściana wygląda jak prawdziwa wystawa gitar – cztery elektryczne i dwa akustyki.

Na podłodze walają się czarne dżinsy i koszulki z nadrukami.

– Kolega troszkę muzykuje, co? – Brodzę wśród T-shirtów.

– Jak na to wpadłeś? A ty? Jakie demony przygnały cię do NAA?

– Literatura. Proza.

– Super. Zostaniesz naszym klasowym skrybą?

– Jasne.

Wyciągam laptopa i sadowię się przy biurku.

Eli zdejmuję ze ściany gitarę akustyczną i siada na skraju łóżka.

– Nie będzie ci przeszkadzało? Łatwiej mi się skupić, kiedy gram.

– Proszę bardzo.

Trąca palcami struny. Od razu staje się jasne, co robi w NAA.

– Czyli jak? – zagaja. – Mieliśmy, zdaje się, przepowiedzieć jakąś futurystyczną

technologię, tak?

– I opisać jej wpływ na ludzkie życie.

– Kurde, strasznie się cieszę, że wyznaczyli mnie do tego zadania akurat z tobą.

Takie tematy to chyba twoja działka, nie?

– Tyle że nie pisuję fantastyki.

– A co piszesz?

– Najczęściej mroczne opowieści z amerykańskiego Południa.

– Mroczne? Bomba. Lubię taki klimat.

– Kto by pomyślał?

Eli parska śmiechem.

– Może nawiążemy współpracę? Wiesz, ty zajmiesz się tekstami, a ja będę komponował muzykę?

– To jest myśl.

– Okej. Przyszłość... Mama opowiadała mi kiedyś, że naukowcy wyhodowali na grzbiecie myszy ludzkie ucho. Przeczytała o tym w którymś ze swoich fachowych czasopism.

– Co? Aż mnie ciarki przeszły.

– Właśnie, ale, kurde, jakie to fajne!

– A gdyby wyhodowali na myszy, wiesz, pełnowymiarowego fiuta?

To wystarczyło.

Następnego dnia Eli przysiadł się w stołówce do mnie i Blake'a. Nie do Adair. Od tamtej pory nie spędził z nią ani jednej długiej przerwy.

\* \* \*

Drzwi otwiera nam Melissa. Ubrała się już do wyjścia. Turystyczne spodnie i sportowe buty. Kamizelka z polaru. Ciemne kręcone włosy spięła w koński ogon. Eli wspominał, że jego mama jest zapaloną biegaczką. W jej oczach dostrzegam to samo, co wcześniej widziałem w spojrzeniach babuni Betsy – trochę nieobecny wzrok błądzi gdzieś daleko.

– Dobrze was widzieć. Wejdźcie, proszę.

– Cześć, Melissa – rzucam.

Zwracając się do dorosłej kobiety po imieniu, czuję się lekko skrępowany, ale Eli i Adair zawsze mówili do rodziców w ten sposób – Melissa i Pierce – więc...

Dom wygląda w zasadzie tak, jak go zapamiętałem. Identyczny jest nawet zapach – mama Eliego ubóstwia świece o aromacie czarnej herbaty, tytoniu i skóry. Unosząca się w powietrzu woń otwiera w mojej pamięci kolejne zamknięte dotąd drzwi.

Na twarzy Jesmyn maluje się znajomy ból.

– Hej – szepczę do niej.

– Hej – odpowiada.

Melissa prowadzi nas do kuchni. Na szklanej paterze piętrzą się ciastka i rogaliki. Zachęca gestem, żebyśmy się częstowali.

– To ulubione słodczyce Eliego. Wiecie, z tej cukierni Provence. Chadzaliśmy tam w każdą sobotę rano, o ile akurat nie pracowałam i sprzyjała pogoda. Nadal bywam tam

z Adair. Jesmyn, zdaje się, że i ty się z nami kiedyś wybrałaś, prawda?

Jesmyn kiwa głową.

– Jadłam rogalika z czekoladowym nadzieniem.

– Dzisiaj też je mamy – mówi Melissa.

Bierzemy z Jesmyn po rogaliku i zaczynamy jeść. Mama Eliego w milczeniu wyciska sok z pomarańczy i stawia przed nami dwie szklanki.

– Pierce też się pojawi? – pyta Jesmyn.

– Co...? A, tak. Musiał na chwilę wyskoczyć. Za parę minut powinien być z powrotem.

– Adair także będzie? – dopytuję ostrożnie.

– Adair... – Melissa wzdycha i urywa na moment. – Niekiedy jest... problematyczna.

Niekiedy problematyczna? Niemożliwe! – dziwię się w duchu.

– Zapraszaliśmy ją, lecz odmówiła. Nocowała dziś u przyjaciółki i jeszcze nie wróciła – ciągnie Melissa. – Nie czuje się gotowa podjąć tak wymagającego wyzwania. Bliźnięta przeżywają stratę rodzeństwa inaczej niż wszyscy. Z Pierce'em nigdy nie zdołaliśmy w pełni zrozumieć łączącej ich więzi. Zresztą, to chyba niemożliwe.

– Czy nasze dzisiejsze plany... Była na was zła? – pyta Jesmyn.

Melissa staje plecami do nas i przeciera szmatką nieskazitelny blat z cętkowanego granitu.

– To dziwne. Sama się nie zdecydowała, ale usilnie nalegała, żebyśmy się z wami spotkali. Doszliśmy jednak do wniosku, że zrezygnujemy z rozsypania prochów Eliego. Nie chcemy tego robić bez niej. Uczynimy to kiedy indziej.

Dlaczego Adair tak bardzo zależało, żeby jej rodzice wzięli udział w pożegnaniu? Wiadomość powinna właściwie poprawić mi nastrój, ale nic takiego nie następuje.

– Możemy wszystko odwołać – podpowiadam.

– Nie. – Melissa protestuje spokojnie, lecz z naciskiem. – Chcę to zrobić. Dobrze będzie zmierzyć się z uczuciami. Wy oboje znaliście Eliego od takiej strony, której nie pokazywał ani nam, ani Adair. – Bierze do ręki słoik wypełniony czystym wielobarwnym piaskiem. – Zamiast prochów rozsypiemy dzisiaj to. To jedna z pierwszych prac, jakie Eli zrobił na zajęciach w przedszkolu. Specjalnie dla mnie. W pewnym sensie w tym piasku zawiera się jego twórcza energia. Tak będzie wyglądać nasza ceremonia.

W powietrzu daje się wyczuć napięcie. Rodzice Eliego nigdy, nawet przed Wypadkiem, nie byli ludźmi przesadnie ciepłymi i wylewnymi. Skupiamy się więc z Jesmyn na ciastkach. Od czasu do czasu dodajemy sobie otuchy ukradkowymi spojrzeciami.

Mniej więcej pięć minut później szcękają otwierane drzwi i na progu kuchni pojawia się Pierce. On również jest ubrany w turystyczny strój. Ma wymizerowaną twarz, zapadnięte policzki. Sprawia wrażenie potwornie zmęczonego.

– Dzień dobry wszystkim – rzuca. Mimo że nie dysponuję darem synestezji, w jego tonie słyszę wyłącznie odcienie szarości.

– Dobry – mamrocze z Jesmyn prawie równocześnie.

Pierce wchodzi do kuchni i całuje w policzek Melissę, która odpowiada mu

oszczędnym uśmiechem. Praktycznie nie uniosła kącików ust, nie rozchyliła warg.

– Często się – zwraca się do męża.

– Nie, dzięki – odpowiada Pierce.

– Dziękuję wam za to spotkanie – odzywa się Jesmyn. – Cieszę się, że mogłam was znowu zobaczyć. Stęskniłam się.

Tym razem Melissa uśmiecha się znacznie cieplej.

– Nam też ciebie brakowało. Pamiętaj, że zawsze jesteś u nas mile widzianym gościem.

– Cóż – podejmuje Jesmyn. – Nie jestem pewna, jak dzisiejsze pożegnanie ma wyglądać, ale jeśli chcecie, mogę opowiedzieć, jak się z Elim poznaliśmy.

– Bardzo chętnie posłuchamy. – Pierce kiwa głową. – Znamy tylko ogólne. Eli nie wdawał się w szczegóły.

Jesmyn upija łyk soku i ociera usta.

– Zwróciłam na niego uwagę już pierwszego dnia obozu rockowego. Pamiętam, że było to w auli, na scenie. Instruktorzy próbowali nas uczyć punkowego aerobiku, ale ja za nic nie mogłam się skoncentrować. Ciągle zerkałam na Eliego. Ćwiczył naprzeciwko mnie. Spodobały mi się te jego piękne włosy. Długie, ciemne, kręcone... Od razu skojarzył mi się z Jonem Snowem z *Gry o tron*.

– Od początku ciąży bardzo się martwiłam, że odziedziczy po mnie włosy – wtrąca Melissa. – Obawy się spełniły. Kiedy był mały, rozczesywanie tych loczków stało się prawdziwym utrapieniem.

– Obiecałam sobie, że nie będę się na niego gapić – opowiada dalej Jesmyn. – W końcu nie pojechałam tam szukać faceta, tylko po to, by grać. Instruktorzy dość szybko podzielili nas na zespoły i jak pewnie możecie sobie wyobrazić...

– Trafiliście do tego samego – dopowiada za nią Pierce. – Właśnie o tym raczył nam wspomnieć, ale o niczym więcej.

– Początkowo wzruszyłam tylko ramionami. Wiadomo, jacy są gitarzyści. Jasne, podobał mi się, i to bardzo, ale co z tego? Kiedy zaczęliśmy pracować nad piosenką, zniemacka podszedł do mnie i przedstawił swój pomysł. Wymyślił kontrapunktowy motyw na dwie gitary. Spróbowaliśmy kilka razy, przećwiczyliśmy. To były ciepłe, czerwono-pomarańczowo-różowe dźwięki.

– Carver? Słyszałeś o synestezji Jesmyn? – pyta Melissa.

Potakuję i czuję dziwne ukłucie zazdrości. Wiedziała o tym wcześniej niż ja. To głupie, ostatecznie Eli był jej synem, a ona jest w dodatku neurochirurgiem, ale...

– Te kolory spodobały mi się do tego stopnia, że namawiałam Eliego, żebyśmy zagrali ten fragment. Ani przez chwilę nie odniosłam przy tym wrażenia, że chce mnie poderwać. Zachowywał się jak rasowy dżentelmen. To raczej ja się za nim uganiałam. Pod koniec tygodnia byliśmy nierozłączni. Szkoda, że nie widzieliście mojej miny, kiedy się dowiedziałam, że będziemy chodzić do jednej szkoły. Wpadłam w panikę.

Opowieść Jesmyn działa na mnie jak wbijany powoli między żebra szpikulec do lodu. Tyle że dzisiaj ból jest inny niż wtedy, gdy słuchałem historii z życia Blake'a. Wpatruję się w talerz, jakby okruszki ciasta mogły mi podsunąć rozwiązanie odwiecznej zagadki. Boję się podnieść wzrok. Nie chcę, by ktokolwiek zapytał mnie, co właśnie

czuję. Nie zdobyłbym się na odpowiedź.

Przez kilka następnych chwil jemy. Spod powierzchni panującego milczenia wynurzają się urywki sztywnej zdawkowej konwersacji, ale na powrót toną. Kiedy Pierce zauważa, że czas się zbierać, prawie chcę, by Jesmyn opowiedziała kolejną historię o zauroczeniu Elim. Co prawda poprzednia wywołała we mnie bardzo nieprzyjemne emocje, niemniej zniwelowała nieco ogólne napięcie.

Pakujemy ciastka. Zbieramy się. Pierce zatrzymuje nas na samym progu.

– Zaczekajcie – prosi ołowianym głosem; tonem deszczowej chmury zwiastującej światu straszliwy potop. – Zaraz wyprowadzimy z tego domu część Eliego, zabierzemy ją stąd na zawsze. Z domu, w którym go wychowaliśmy. W dniu, kiedy przywieźliśmy ich ze szpitala... Adair i Eliego... – Milknie i odkasłuje. Zbiera się w sobie. Próbuje coś dodać, lecz bez powodzenia. Chrząka i wreszcie mówi: – Melissa zajęła się karmieniem Adair, więc zabrałem małego, usiadłem z nim na ganku i pozwoliłem, by wiatr po raz pierwszy omiół mu buzię. To niesamowite przeżycie oglądać człowieka, który po raz pierwszy czuje dotyk wiatru. W pewnym momencie otworzył oczy, zmrużył powieki i spojrzał na mnie. Pomyślałem sobie wtedy, jak wiele będę mu jeszcze mógł pokazać.

Po raz pierwszy uświadamiam sobie, na czym polega jedna z różnic pomiędzy pożegnaniami Blake'a a Eliego: w przeciwieństwie do babuni Betsy, Bauerowie znają historię z dzieciństwa swojego syna.

Wychodzimy przed dom. Silny podmuch mierzwi nam włosy.

Pierce znowu przystaje.

– Słuchajcie, wiem, że mieliśmy rozsypać ten piasek dopiero nad wodospadem, ale czy moglibyśmy zostawić trochę i tutaj?

Kiwamy głowami. Melissa od początku spotkania zachowywała stoicki spokój. Domyślałam się, że jako chirurg, osoba codziennie stykająca się ze śmiercią i umieraniem, musiała się nauczyć kontrolować emocje. W tej chwili jednak na jej policzki wypływa kilka łez.

Pierce odkręca słoik i wyjmuje szczyptę piasku. Zaraz potem przekazuje tę maleńką cząstkę duszy Eliego wiatrowi, który kiedyś muskał jego twarz.

\* \* \*

Zajmujemy z Jesmyn tylne siedzenie volvo. Melissa prowadzi, Pierce zajął fotel pasażera, słoik z piaskiem ustawił sobie na kolanach. Nie odrywa od niego wzroku.

Kiedy wjeżdżamy na szosę, za oknami zaczynają śmigać drzewa. Niektóre rozplomieniły się już czerwienią, żółcią, pomarańczem... Większość jednak wciąż jest odziana w wypłowiałą zmęczoną zieleń. Nadal noszą na sobie wspomnienie lata.

Kątem oka chwytam spojrzenie Jesmyn. Kładzie rękę na siedzeniu, zadziera kciuk i pytająco unosi brew. Opuszczam dłoń i pokazuję gestem: „Tak sobie”. Następnie powtarzam jej nieme pytanie. Odpowiada identycznie jak ja: „Tak sobie”.

W aucie panuje milczenie. Czyli jednak zdawkowe konwersacje o pogodzie nie są najgorsze.

– Uwielbialiśmy tam jeździć – odzywa się w końcu Melissa. – Właściwie tylko podczas tych wycieczek Eli trochę się odsłaniał i rozmawiał z nami otwarcie.

– To pewnie moje zboczenie zawodowe, w końcu profesja historyka zobowiązuje – podejmuje Pierce – ale nie umiem dzisiaj nie myśleć o tym, że niekiedy wydarzenia pociągają za sobą zupełnie nieprzewidziane konsekwencje. Wiecie, machnięcie skrzydeł motyla może w efekcie wywołać trzęsienie ziemi. Właśnie podczas jednej z tych wycieczek postanowiliśmy, że Eli i Adair wstąpią do Nashville Arts Academy.

Cholera. Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierzają ich wypowiedzi. Patrzę prosto przed siebie. Boję się choć drgnąć. Żyły wypełnia mi wrząca adrenalina. Jesmyn obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem.

– Cóż, skutek tej decyzji – komentuje cierpko Melissa – nasz syn otrzymał fantastyczne wykształcenie i nawiązał wspaniałe przyjaźnie.

– Mel, naprawdę musisz reagować w ten sposób? Przecież tylko skonstatowałem pewien fakt.

– Niemniej wyczułam w tej konstatacji dość wyraźną ocenę.

W takim razie jest nas dwoje, myślę.

– Mylisz się – oponuje Pierce.

– Doprawdy?

– Tak, doprawdy. W tym, co powiedziałem, nie było nawet cienia moralnego wartościowania. Zwróciłem jedynie uwagę na fakt, że gdyby Eli nie poszedł do NAA, nie wsiadłby wraz z kolegami do samochodu.

Przez moment rozważam w duchu, czy bardzo bym ucierpiał, gdybym otworzył drzwiczki i wyskoczył na asfalt.

– Być może tego nie dostrzegasz, ale w twoim „zwracaniu uwagi na fakt” jest w domyśle zawarty moralny osąd – stwierdza Melissa. – Już samo poruszenie tego tematu świadczy o swego rodzaju postawie wartościującej. Poza tym chyba nie musimy prowadzić tej dyskusji przy gościach?

Kulę się na siedzeniu. Jesmyn ukradkiem trąca mnie nogą. „Jestem tu – mówi jej dotyk. – Stoję po twojej stronie”.

Pierce ogląda się na nas przez ramię.

– Czy ktokolwiek ma coś przeciwko, byśmy przynajmniej dzisiaj uczcili pamięć Eliego poprzez szczerość i odwagę przyznawania się do emocji? Czy jest wśród nas osoba, która uważa, że zdrowo jest tłumić w sobie uczucia? Naprawdę tak mielibyśmy uhonorować mojego syna?

Widzę w lusterku, jak Melissa wywraca oczami, po czym mówi:

– Byłoby pięknie i z szacunkiem dla Eliego, gdybyśmy skupili się na upamiętnieniu jego życia i nie próbowali doszukiwać się przyczyn śmierci. Niewiele różni się to od próby ustalenia, kto zbudował Stonehenge.

Właśnie. Pożegnanie Blake’a wyglądało skrajnie inaczej. Nie cierpię być świadkiem kłótni dorosłych. Zwłaszcza tych, którzy są rodzicami moich zmarłych przyjaciół. A już najgorszym możliwym doświadczeniem jest wysłuchiwanie kłótni rodziców zmarłego przyjaciela, którzy mogą obwinić mnie o jego śmierć.

Pierce otwiera usta.

– Nasz pierwszy pocałunek? – uprzedza go Jesmyn.

Zapada milczenie. Czuję ulgę, aczkolwiek wiem, że ta historia również może

zaboleć.

– Doszło do tego po finałowym koncercie na obozie. Byliśmy właśnie za kulisami, wszyscy się już zbierali do wyjścia. Dokoła kręcili się ludzie, lecz z jakiegoś powodu, kiedy weszłam do garderoby po keyboard, zastałam tam tylko Elię. Pakował gitarę i wzmacniacz. Zaczęliśmy sobie gratulować występu, a jednocześnie podchodziliśmy do siebie coraz bliżej. Centymetr za centymetrem. Denerwowałam się, choć z drugiej strony, cieszyłam. Byłam pełna emocji, jak zwykle po występie. Wreszcie tak po prostu doszło do pocałunku. Nie pamiętam, kto zaczął. Możliwe, że zrobiliśmy to w tym samym momencie. To nie był długi pocałunek, ale pamiętam, że przez cały następny dzień śmiałam się jak głupia. Myślę, że rodzice podejrzewali, że się czegoś naćpałam.

Zgodnie z przewidywaniami czuję się bardzo niezręcznie. Nie jestem tylko pewien dlaczego. Bez wątplenia nie są to wyrzuty sumienia ani żaloba. Doznanie jest bardziej gorące, gwałtowne.

Rodzice Elię reagują wprost przeciwnie. Twarz Pierce'a nieznacznie się rozpromienia. Melissa wybucha śmiechem.

– Tego dnia Eli też był cały rozchichotany. Wygłupiał się tak, że uznaliśmy, że coś po koncercie paliliście. Pamiętasz, Pierce?

– Zapamiętałem, że w samochodzie nie pokłóciłem się z nim o muzykę, a to zdarzało się rzadko. Uznałem, że to emocje po udanym występie. Nie przyszło mi do głowy, że mogło chodzić o narkotyki.

Jesmy skupia niewidzące spojrzenie na słoiku.

– Naprawdę nigdy wcześniej nie pocałowałam chłopaka, którego znałam ledwie od tygodnia. Raczej już tego nie zrobię.

– Od razu zrozumiałam, że łączy was coś wyjątkowego – odzywa się Melissa. – Czulałam tę niesamowitą chemię...

– Kochaliśmy każdą spędzaną wspólnie chwilę... Tyle że... nagle się skończyły.

Mam wrażenie, że krwawię. Być może zdrowienie przypomina chirurgiczną operację – otwarcie świeżych ran jest konieczne do zaleczenia otrzymanych wcześniej. Mam nadzieję, że jest w tym sens.

Rozmowa przygasa i w końcu zamiera. Zatrzymujemy się na przydrożnym parkingu. Wszyscy chcą skorzystać z toalety i rozprostować nogi, a jedziemy dopiero godzinę.

Przyglądam się Pierce'owi. Staje przed maską. Słoik tuli mocno do piersi.

Zaczerwienionymi oczami śledzi odległy widnokrąg. Uświadamiam sobie jeszcze jedną różnicę. W dzień pożegnania Blake'a byłem gotów przyznać się do winy wobec babuni Betsy. Dzisiaj nie ma o tym mowy, chociaż wyczuwam, iż Pierce bardzo by się ucieszył, podobnie jak jego córka.

Wracamy do samochodu. Pierce przejmuje kierownicę, a Melissa słoik. Nawet gdybym chciał o czymś opowiedzieć, nie mogę sobie przypomnieć żadnej dobrej historii. W głowie mam pustkę, myśli pierzchają równie szybko, jak się pojawiają.

Pierce wierci się niespokojnie, wreszcie mówi:

– Za każdym razem, gdy siadam teraz za kółkiem, myślę o ich ostatnich chwilach.

– Pierce... – rzuca ostrzegawczo Melissa.



– Wyobrażam sobie, co Eli mógł zobaczyć. W tym jednym ułamku sekundy, zanim ciężarówka wypełniła mu całe pole widzenia.

– Proszę cię, darujmy sobie makabrę. Chociaż dziś.

– Oczywiście. – Pierce prychnął gorzkim, sardonycznym śmiechem. – Bo akurat Eli, nasz syn, który chodził wyłącznie w czarnych ubraniach i w wieku czterech lat poprosił, żebyśmy mu kupili *Straszne opowieści na dobranoc*, miałyby coś przeciwko odrobinie makabry.

– Nie miałam na myśli Eliego.

– Przepraszam cię. Czy to czasem nie jego dzisiaj czcimy?

Melissa kręci tylko głową i macha ręką, jakby chciała powiedzieć: „Już dłużej nie mogę”.

Wchodzę w rolę doktora Mendeza.

– Nic się nie stało – zapewniam. – My... Ja... Mogę wysłuchać wszystkiego, o ile miałyby to w czymś pomóc. Proszę się mną nie przejmować.

– Mną też nie musicie – wtóruje mi Jesmyn.

Pierce chwyta mój wzrok w lusterku i dziękuje mi skinieniem. Zaraz potem obrzuca żonę triumfalnym spojrzeniem.

Melissa patrzy prosto przed siebie, nie zwraca uwagi na męża.

– W takim razie powiedz, co masz do powiedzenia – stwierdza oziębło.

Bywałem już świadkiem intelektualnych sparingów tej pary. W jakimś sensie stanowiły nieodłączny element ich rodzinnego życia. Dzisiaj jednak starcie wydaje się ostrzejsze i bardziej osobiste. Zaczynam żałować, że nie ma z nami doktora Mendeza. Poradziłby sobie znacznie lepiej niż ja. Pod względem wykształcenia dorównuje obojgu i podejrzewam, że szybko by rozładował sytuację.

– Zastanawiam się, czy Eli miał świadomość, co się dzieje. Czy jego umysł działał jeszcze przez kilka sekund po zderzeniu, czy może w jednej chwili wszystko było zupełnie normalnie, a zaraz potem gwałtownie zagarnęła go ciemność – oznajmia Pierce.

– Naprawdę uważasz, że odpowiedź na to pytanie zmieniałaby w jakikolwiek sposób twoje życie? I skąd, do cholery, mają to wiedzieć te dzieciaki?

– Mel, ja nikogo nie pytam. Jedynie przyznałem głośno, że się nad tym zastanawiam. Czy naprawdę nie wolno mi wyrażać ciekawości wobec ludzi, którzy nie są jej w stanie zaspokoić?

Melissa szykuje się do riposty.

– Eli wierzył w Boga... – wyrzucam z siebie. Nie pozwalam jej dojść do słowa.

W okamgnieniu zapada milczenie. Dochodzę do wniosku, że jeśli przy każdej okazji, gdy Melissa i Pierce zaczną rzucać się sobie do gardeł, mnie lub Jesmyn uda się przytoczyć odpowiednio dramatyczną historię z życia ich dziecka, zdołamy przeżyć dzisiejszy dzień. Jesmyn też wygląda na mocno zaintrygowaną.

– Znaczący... no... w pewnym sensie – dodaję.

– Nigdy nie wypowiadał się przy nas na temat religii. – Pierce sprawia wrażenie zbitego z tropu.

– Być może dlatego, że przy każdej nadarzającej się okazji kpiłeś z wierzących i określałeś ich mianem skończonych idiotów – mówi zjadliwie Melissa. – W najlepszym

razie.

– Stawiasz sprawę wyjątkowo nieuczciwie.

– Nie pamiętam, co akurat robiliśmy – podejmuję nieco głośniejszy – może, na przykład, jechaliśmy do kina. Tak czy inaczej rozmowa odbyła się w samochodzie. Nie mam pojęcia z jakiego powodu, ale zeszło właśnie na Boga. Wiedziałem już, że oboje jesteście ateistami, więc Eli bardzo mnie zaskoczył, gdy powiedział: „A co, jeśli Bóg istnieje? Tak wielki i potężny, że tworzy wszechświaty, tak jak niektórzy budują żaglowce w butelkach? I nikt, kto znajduje się wewnątrz, bez względu na to, jak bardzo by się starał, nie ma szansy zobaczyć tego, co znajduje się poza butelką? Z tego wynika, że nie dałoby się stwierdzić, czy On istnieje. Nijak nie można by tego dowiedzieć. A przecież i tak by istniał. A może cały nasz wszechświat jest uruchomionym przez Boga programem komputerowym?”. Bardzo się wtedy zdziwiłem. Myślę, że naprawdę mógł wierzyć.

– Z twoich słów wypływa jedynie, że dopuszczał samą ewentualność istnienia istoty wyższej. Takich osób nie określamy mianem teistów, tylko agnostyków. – Na twarzy Pierce’a maluje się irytacja i poczucie zawodu.

Z doświadczenia – podobnie niespodziewane rewelacje przekazałem przecież babuni Betsy – zgaduję, o czym może w tej chwili myśleć. Sądząc po minie, Melissa zastanawia się nad tym samym, co jej mąż.

– Jeżeli dobrze rozumiem – odzywa się – Carver chciał nam w ten sposób uzmysłwić, że Eli niekoniecznie podzielał nasz system wartości, że stworzył własny. Nie miałam o tym pojęcia. Zresztą – te słowa kieruje do męża – ty również nie, co widać na pierwszy rzut oka.

– Szkoda, że nie zechciał omówić tej kwestii z nami – stwierdza Pierce.

– Szkoda, że nie stworzyliśmy mu otoczenia bardziej sprzyjającego rozmowom – odpiera Melissa.

Jej mąż kręci głową.

– Moim zdaniem nie ma tu niczyjej winy – wtrącam. – Eli miał swoje i tylko swoje sprawy. Ewentualnie takie, o których opowiadał bardzo niewielu ludziom.

– Ze mną tematu Boga nie poruszył nigdy – odzywa się Jesmyn. – Wiem natomiast, że uwielbiał zastanawiać się nad nierozstrzygalnymi dylematami. Mniej więcej po dwóch tygodniach znajomości zabrał mnie do parku Centennial. Byłam tam wtedy po raz pierwszy. Siedzieliśmy przytuleni i podziwialiśmy panoramę miasta... Przepraszam, mam nadzieję, że nie sprawiam nikomu przykrości, mówiąc o naszych czułościach?

Rodzice Eliego kręcą głowami. Ja gapię się przed siebie. Nie przeszkadzają mi te ich czułości (bo niby dlaczego miałyby mi przeszkadzać?), lecz uświadomienie sobie, że kiedy ja poszedłem z Jesmyn do tego samego parku i też przyglądaliśmy się miejskim światłom mrugającym niczym sztuczne gwiazdozbiory, nie było to w żaden sposób wyjątkowe. Dokucza mi świadomość, że między bliskimi mi ludźmi działa się tyle magii, do której nie miałem dostępu.

– W pewnym momencie – ciągnie Jesmyn – zupełnie ni stąd, ni zowąd, Eli zadał mi pytanie: „Czy gdybyś mogła poznać nazwiska wszystkich ludzi, którzy cię kiedykolwiek kochali, byłabyś ich ciekawa?”.

Czekamy w milczeniu, lecz Jesmyn nie dodaje ani słowa.

– No i? – naciska Melissa.

– Odpowiedziałam, że nie wiem. – Jesmyn uśmiecha się ze smutkiem. – Do dzisiaj nie jestem pewna. Zdecydowanie nie chciałabym się dowiedzieć, że ktoś, o kim myślałam, że mnie kocha, wcale mnie nie kochał.

– A on?

– Nie chciał powiedzieć. Przyrzekłam sobie, że jeszcze kiedyś to z niego wyciągnę.

Nie wyobrażam sobie, że mógłbym się tu znaleźć bez Jesmyn. Niemniej, za każdym razem, gdy wspomina Eliego, czuję się tak, jakby ktoś przywiązywał prawą połowę mojego serca do tylnego zderzaka ciężarówki. A kiedy rozmawiają o nim rodzice, lewa połowa serca zostaje uwiązana do innej ciężarówki. Zaraz potem samochody ruszają z piskiem opon, rozdzierając mi serce na pół.

Naturalnie, gdy zapada milczenie, przychodzą mi na myśl dwa inne pojazdy. Pędzący wprost na mnie osiemnastokółowy tir prokuratury i ciężarówka, której widok wypełnił ostatnie sekundy życia Eliego.

Ukradkiem, stopniowo, Jesmyn przysuwa dłoń do mojej dłoni. Zerkam na nią. Kiedy Melissa i Pierce patrzą na szosę, unosi mały palec i stuka mnie dwukrotnie: „Hej, w porządku?”. Odpowiadam identycznymi dwoma stuknięciami. „Nie, nie do końca, ale będę udawać, dopóki moja zbroja nie skruszy się do reszty i nie stanę przed wami zupełnie nagi”.

\* \* \*

Teoretycznie nigdy się z Harą nie rozstaliśmy. Gdy wyprowadziła się z rodziną do Chicago, obiecaliśmy sobie, że nie zerwiemy kontaktu i tak dalej, ale wiecie, jak jest. Mieliśmy po szesnaście lat. Nie ma możliwości, żebyśmy widywali się chociażby w weekendy. Praktycznie rzecz biorąc, zerwanie nastąpiło dokładnie w chwili, gdy zniknął mi z oczu wiozący ich meble samochód firmy transportowej.

Obecnie jestem samotny. Do tego stopnia, że nawet nie chcę się kontaktować z chłopakami z Brygady Sos. Wolę nie prosić nikogo o spotkanie, ponieważ boję się odrzucenia. Georgia wybyła gdzieś ze swoim facetem. Rodzice bawią się na uczelnianym bankiecie. A ja siedzę w pokoju i próbuję pisać, tyle że – cóż za niespodzianka! – o żadnym pisaniu nie ma mowy.

Ktoś dzwoni do drzwi. Eli.

– O, stary! Wyglądasz jak dupa z za krzaka. – Wchodzi, nie czekając na zaproszenie.

– Chyba dupa twojej starej – mruczę.

– Dupa mojej starej jest idealnie opalona, gładka i wygląda zdecydowanie lepiej od ciebie. Gadaj. Jak się trzymasz?

– Niedawno wyjechała, więc wyjątkowo marnie.

– Domyślam się. – Eli z zawadiackim uśmieszkiem wyciąga z kieszeni bluzy trzy DVD z filmami i wymachuje nimi niczym zwycięskim kuponem lotto.

– Co to?

– Obrzydliwe francuskie horrory. Obdzieranie ze skóry i tak dalej. Przybywam, żeby cię rozweselić.

– Miło z twojej strony.

– Pewnie, że miło.

– U mnie nie możemy ich obejrzeć. Jeśli wróci Georgia albo rodzice, będziemy mieć przechlapane.

– Wcałe nie chciałem ich oglądać tutaj. Jestem samochodem. Stwierdziłem, że taki wrażliwy pan wierszokleta jak ty nie powinien prowadzić ze złamanym sercem. Zabieram cię.

Uśmiecham się po raz pierwszy od rana i pokazuję mu środkowy palec.

Szczerzy się do mnie, wciska pudełka z filmami do kieszeni i pokazuje mi dwa środkowe palce.

– Wezmę tylko kurtkę – rzucam.

– Weź też pięć dorców. Skoczmy do Romy, a ja się pizzą nie dzielę.

– Nie uważasz, że pięć dorców za taką pizzę jak u Romy to zdzierstwo?

– Jak widzisz, nie. Zresztą słyszałeś w ogóle o niedobrej pizzy?

– Moim zdaniem Roma to laboratorium, w którym aktualnie pracują nad tym wynalazkiem.

Eli rozkłada szeroko ramiona.

– Ej, kochany! – zaczyna z udawanym włoskim akcentem, co chwila cmokając z lubością trzy złączone palce. – Jak można mówić, że moja pizzeria daje złe jedzenie? Te przysmaki gotujemy w rodzinie od wielu pokoleń...

– Ale z ciebie kretino...

– Twój ulubiony kretino. Okej, dość gadania i szukania kurtki. Natomiast więcej pizzy i oglądania francuskich okropieństw.

Dość rzadko mamy okazję pokochać człowieka za to, że uratował nas przed utonięciem lub wyniósł z płonącego budynku. Najczęściej ludzie zasługują na naszą miłość dzięki temu, że ratują nas na milion banalnych, drobnych sposobów przed samotnością.

\* \* \*

W pewnym momencie niebo przybiera posępny siny odcień szarości. Zaprzątnięty myślami nie od razu zwracam na to uwagę. Kiedy wjeżdżamy na parking, skąd rozpoczyna się szlak wiodący nad wodospad Fall Creek, zaczyna mżyć – w powietrzu pojawia się wilgotna mgiełka. Mokną nam ubrania, lecz pada wciąż zbyt słabo, aby opłacało się rozkładać parasole. Z powodu pogody nasz samochód stoi na parkingu samotnie. To dobrze. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mieli rozsypywać piasek Eliego na oczach grupy roześmianych beztróskich turystów.

– Jesteśmy na miejscu – ogłasza wpatrzony w pustkę Pierce. Nasuwa na głowę kaptur. – Byliście tu kiedyś?

Oboje z Jesmyn kręcimy głowami.

– Pierwszy raz przywieźliśmy tu Eliego, kiedy miał dziewięć lat – podejmuje Melissa. – Bardzo mu się spodobało, że zaledwie dwie godziny samochodem od domu można zobaczyć coś równie majestatycznego jak ten wodospad.

Pierce zaczyna się śmiać głucho, żałośnie, choć miało to chyba zabrzmieć zupełnie inaczej.

– Odkąd skończył podstawówkę, zabierałem go na męskie wyprawy do zachodniej części Karoliny Północnej. Wynajmowaliśmy pokój w hotelu w Asheville i spędzaliśmy całe dni na pieszych wycieczkach nad wodospady. Rozmawialiśmy wtedy na tak wiele tematów... – Urywa na moment. – Najwyraźniej jednak nie o wszystkim – dodaje po chwili.

Odbiera od żony słoik i wszyscy ostrożnie ruszamy po śliskiej błotnistej ścieżce. Prowadzi Pierce. Melissa idzie o krok za nim, a my – nieco dalej z tyłu – zamykamy pochód.

– Nie miałem pojęcia, że są w stanie tak się zachowywać – szepczę do Jesmyn.

Kręci głową.

– Wiesz, wcześniej słyszałam ich kłótnie, ale tamte były trochę bardziej... czułe.

– Musi im być naprawdę bardzo ciężko.

– Nie ma się co dziwić.

– Nie.

Jesmyn potyka się o wystający korzeń, traci równowagę i podbiega raptownie kilka kroków. Dopadam do niej, łapię ją za łokieć.

– Dzięki.

Kilka metrów dalej ślizgam się na warstwie mokrych liści. Dłoń Jesmyn zaciska się na moim tricepsie. Zerkam na nią i mówię:

– Widzisz? Karma.

Wierzchołki drzew oblepia mgła, zawisa na nich niczym strzępy szarej koronki. Wiatr przemyka między gałęziami z odgłosem przypominającym szum morskich fal wkradających się na plażę. Listopadową plażę.

Ciekawe, czy więźniowie mają okazję poczuć deszcz na twarzy?

– Wszystko tu dzisiaj wygląda, wypisz, wymaluj, jak okładka death metalowej płyty – zauważam. – Doskonały prezent dla Eliego.

– Właśnie tak brzmiał jego głos – dopowiada po kilku chwilach Jesmyn. – Jak kapiące z gałęzi sosen krople październikowego deszczu. Był ciemnozielony i srebrzysty.

Z bolesnym ukłuciem przypominam sobie żart (mam nadzieję, że był to żart), jakim odpowiedziała na pytanie o barwę mojego głosu. Nie mam jednak czasu nurzać się w ponurych myślach, ponieważ zauważam, że Jesmyn zaczyna dygotać. Jej kurtka nie nadaje się do spacerów w deszczu. Zsuwam z siebie nieprzemakalną parkę i zarzucam jej na ramiona.

– Ej, coś ty! Nie trzeba. Przecież zmarzniesz.

– Nic mi nie będzie. Mam bluzę.

– Na pewno?

Sprawdzam, czy Pierce z Melissą są dostatecznie daleko przed nami.

– Nie chcę stracić kolejnego przyjaciela – mówię.

Owszem, dość mroczny żart, ale Eli ubóstwiał mroczne dowcipy, więc pewnie nie miałby mi za złe. Po minie Jesmyn widzę, że ona nie ma.

Ścieżka skręca nad wodospad. Wzmaga się wiatr, mgła gęstnieje.

Pierce i Melissa stoją kilka kroków od siebie na skraju jeziora i wpatrują się w szumiący wodospad. Dołączamy do nich bez słowa. Jest zarazem pięknie i strasznie. W

obliczu wodospadów zawsze czuję się mały, kruchy i śmiertelny.

– Nie wiem, od czego zacząć. – Melissa chrząka. – Myślę, że pójde po prostu za głosem serca. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Potakujemy, a ona podchodzi do męża, który otwiera słoik. Garść piasku ląduje na jej dłoni. Trzyma ją przez chwilę w górze. Ciągająca od wodospadu mgiełka i deszcz prędko moczą piasek i zmywają go na ziemię. Kolorowe strużki spływają niczym tęczowe łzy. Melissa zasłania wolną dłonią oczy i nos. Ściąga rozedrgane wargi. Podchodzi na skraj wody.

– Gdy Eli miał cztery latka, w niedzielne poranki przychodził do naszej sypialni i zakradał się nam do łóżka. Zaraz potem zwykle rozlegał mi się w uchu jego natarczywy szept: „Bananka!”. Doszło do tego, że stale musieliśmy mieć w domu pełną miskę bananów. Nazywaliśmy go naszą małpeczką. – Głos Melissy brzmi tak, jakby ktoś przygniótł jej pierś workiem kamieni. Staje jeszcze bliżej brzegu, kuca i zanurza dłoń, pozwalając falom porwać piasek. – Żegnaj – szepcze.

Teraz po piasek sięga Pierce. Trzyma ziarenka na dłoni i patrzy, jak deszcz powoli mu je odbiera. Zaczyna coś mówić, lecz urywa. Próbuje jeszcze raz.

– Całymi dniami badam historię. Uczę jej. Studiuję ludzkie życie od początku do końca. Obserwuję sztafetę pokoleń przekazujących sobie pochodnię. Śledzę przechodzące z ojców na synów tradycje. Nieprzerwane wątki, snujące się przez całe nasze dzieje. A teraz... – Zawiesza głos, dwukrotnie odchrząkuje, po czym dodaje: – A teraz stoję tutaj, kończąc pisanie ostatniego rozdziału historii własnego życia, w którym pojawił się Eli. Nigdy nawet nie podejrzewałem, że w mojej księdze zawrą się całe jego dzieje. Nie sądziłem, że moja historia zamknie w sobie pełną historię mojego dziecka, od początku do końca. A jednak... Ten rozdział właśnie się kończy.

Staje na samym brzegu i klęka. Podobnie jak Melissa zanurza dłoń w jeziorze. Po chwili podnosi się i wraca do nas.

– Woda krąży w obiegu zamkniętym – odzywa się, nie patrząc na nasze twarze. – Nigdy nie znika. Woda nie umiera, nie da się jej zniszczyć. Podobnie jak wszelka energia zmienia postać w wielkim nieustannym cyklu. Kiedy w upalny letni dzień gasimy pragnienie, możliwe, że pijemy tę samą wodę, którą piły dinozaury. Płacemy łzami, które mógł w przeszłości uronić Aleksander Wielki. Dzisiaj zwracam światu energię Eliego, jego duszę, wraz ze wszystkim, co w sobie niosła. Życiem, muzyką, wspomnieniami. Z jego miłością. Ze wszystkim, co było w nim piękne. Oddaję go wodzie, by od tej pory mógł trwać pod inną postacią. Z kształtu w kształt. Z jednej formy energii w inną. Może spotkam kiedyś swoje dziecko w deszczu lub oceanie. Może jeszcze dotknie mojej twarzy.

Melissa unosi słoik w naszą stronę.

– Jeśli chcecie...

Wymieniamy się przelotnymi spojrzeniami. Jesmyn z trudem przełyka ślinę, podchodzi i nabiera garść piasku. Ogląda go, jakby wypatrywała w barwnych ziarenkach czegoś dobrze sobie znanego, jakiejś cząstki Eliego.

– Kochałam jego dłonie. Były silne, łagodne i przepełnione muzyką. Uwielbiałam, kiedy trzymał mnie za rękę. Uwielbiałam z nim grać. – Jej głos niemal tonie w huku wodnych kaskad.

Wsuwa dłoń do jeziora.

Kolej na mnie, Melissa przekazuje mi słoik. Pierce wpatruje się w żwir. Roztrzęsioną dłonią sięgam po piasek i oglądam go, jak przed chwilą zrobiła to Jesmyn. Moje serce zaczyna łomotać, oddycham z coraz większym trudem. Nie. Nie teraz. Nie teraz. Głęboko wciągam powietrze. Wszyscy troje spoglądają na mnie z wyczekiwaniem.

– Hm... – Chrząkam. – Kiedyś, pamiętam, że byliśmy wtedy mocno niewyspani, zaczęliśmy się z Elim zastanawiać, czym pod względem fizycznym są uczucia i wspomnienia. Mówiliśmy o tym, że kryją się w naszych mózgach pod postacią substancji chemicznych. Miłość, gniew, żal – to wszystko po prostu chemia. A związki chemiczne, o ile nie przechowuje się ich w odpowiednich warunkach, mogą się rozpaść. Wspomnienia o Elim zachowam w najbezpieczniejszej, najlepiej chronionej części mózgu. Tam, gdzie nigdy nie ulegną rozkładowi. Ale jest to też miejsce, do którego będę mógł sięgać bez przeszkód codziennie. – Moja część Eliego trafia do wody. Lodowata fala kąsa mi dłoń.

Po chwili zaczynamy kolejno wrzucać do wody resztę piasku ze słoika, wspominając przy każdej garści coś, co w nim kochaliśmy.

Był zabawny w tak niewymuszony sposób.

Nawet jeśli się smucił, nigdy nie obarczał swoim smutkiem innych.

Pachniał zawsze czystością, mydłem.

Grając na gitarze, przymykał oczy.

Grał tak, jakby był powiernikiem świętego ognia.

Był niesłuchanie inteligentny.

Niestrudzenie poświęcał się pracy nad rozwijaniem ukochanego talentu.

Wreszcie w jeziorze znikają ostatnie ziarenka piasku Eliego.

Za każdym razem, gdy moje usta wypowiadały jakieś zdanie, moja dusza szeptała coś zupełnie innego: „Przepraszam”.

\* \* \*

Przemoknięci, wyziębieni, stoimy w milczeniu i bezruchu nad jeziorem. Wpatrujemy się w wodospad. Melissa przykłada opróżniony słoik do piersi, jakby po raz ostatni chciała nakarmić niemowlę.

Jesmyn wciska dłoń w kieszenie kurtki. Przyćmione światło zmiękcza jej rysy. Wydaje się równie zahipnotyzowana jak wtedy, gdy oglądała burzę. Dzisiaj jednak fascynację tłumi smutek.

W tym odartym z fałszu i udawania momencie odnoszę wrażenie, że deszcz spłukał mi z oczu łuski, które dotąd przeszkadzały mi jasno widzieć. Widzieć i rozumieć.

Wydawało mi się, że czuję do Jesmyn sympatię i przyjaźń wzmocnioną tym, że została moją jedyną przyjaciółką. Sądziłem, że ból, jaki czuję, gdy opowiada o Elim, wynika z żaloby i wyrzutów sumienia, z mojego poczucia winy. To jednak nie tak, zupełnie nie tak.

Zakochałem się w tej dziewczynie po cichu, skrycie, tak powoli, że tego nie dostrzegłem. Podobnie nie widzi się ruchu słońca przemierzającego niebo. Uczucie oplotło me serce jak pnącza wspinające się niepostrzeżenie na kamienny mur. Porwało

mnie jak fale wzbierającej leniwie rzeki.

Być może miłość, podobnie jak woda, również krąży w nieskończonym cyklu. Może zmienia jedynie swoją postać.

Pojawia się moment – krótki jak odstęp między dwoma uderzeniami serca – gdy przestaję się zastanawiać nad konsekwencjami; kiedy mimo szarości i popiołów wiem, że spotkało mnie coś zielonego i pełnego życia. Poczułem się znowu jak dawniej, jakbym kroczył w stronę zachodzącego słońca, nagle zrozumiał, że tak naprawdę oglądam właśnie nowy świt.

Tylko jeden moment. Tak krótki jak odstęp między dwoma uderzeniami serca.

\* \* \*

Z refleksyjnej zadumy wyrywa nas szczebiot głosów ze szlaku. Ruszamy z powrotem. Pierce pierwszy, za nim Melissa, potem Jesmyn. Idę na końcu. Pozdrawiamy skinieniami tryskających energią, roześmianych, ślizgających się na ścieżce turystów.

Wesoła wycieczka odwraca moją uwagę tylko na chwilę. Kiedy zostawiamy ich za sobą, ponownie wpatruję się w plecy Jesmyn i pochłania mnie coś znacznie bardziej istotnego. Nie możesz jej kochać. Nie możesz. Nie wolno ci. Dopiero co zwróciłeś wodzie twórczą energię Eliego. Nie masz prawa jej kochać.

Jesmyn odwraca się, jakby wyczuła dotyk mojego spojrzenia.

– Na pewno przypomnę sobie jeszcze mnóstwo rzeczy, o których powinnam opowiedzieć.

Przystaje i czeka, bym ją dogonił. Z Pierce'em i Melissą spotykamy się na parkingu.

– Zanim pojedziemy, muszę skorzystać z toalety – mówi Melissa.

Jesmyn odchodzi wraz z nią.

– Ja w sumie też – zwraca się do mnie Pierce.

Idziemy do ubikacji. Załatwiamy się i myjemy ręce przy sąsiednich umywalkach. Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze. Ojciec Eliego ma szare oczy, teraz przyćmione i podkrążone.

– Cieszę się, że zostaliśmy na chwilę sami – zagaja. – Chciałbym wyjaśnić z tobą pewną dręczącą mnie kwestię.

Co dość oczywiste, mam wrażenie, że zaraz narobię ze strachu w gacie. Dobrze, że jesteśmy w łazience. Powolnym ruchem zakręcam kran.

– Aha...

Pierce wciąż patrzy w lustro, nie spuszcza mnie z oka. Przeciera policzki.

– Będę z tobą szczery. Jak rozumiem, dzisiaj nikt nie powinien niczego udawać.

– Jasne.

– Przyznam, że niepokoi mnie rola, jaką odegrałeś w śmierci mojego syna.

No proszę, czyli jest nas dwóch. A skoro już mowa o śmierci, w tym momencie umieranie wydaje mi się całkiem niegłupim rozwiązaniem. Znów jednak przyjmuję postawę doktora Mendeza. Rozpaczliwie potrzebuję jego niewzruszonego spokoju.

– Zaznaczam przy tym – ciągnie Pierce – że żadną miarą nie podzielałam zdania Adair. Nie poczułbym się lepiej, gdybyś stanął przed sądem i został skazany. Jednak... Czy naprawdę musiałeś napisać ten SMS? Całymi dniami zastanawiam się nad rolą, jaką



odgrywają w dziejach ciągu przyczyn i skutków. Nie sądziłeś chyba, że w tej sytuacji o nich nie pomyśle?

Krew głucho pulsuje mi w uszach. Po raz kolejny jakiś przedmiot zaczyna zsuwać się z półki. Nie pojawia się natomiast emocja, jaką czułem, rozmawiając z babunią Betsy i doktorem Mendezem. Dzisiaj nie chcę się spowiadać. Korci mnie za to, żeby opowiedzieć mu o Billym Scruggsie. O Hiro Takasagawie. Pewnie, to niedorzeczne. Niemniej, chcę się bronić.

Otwieram usta.

Przepełnione cierpieniem oczy Pierce'a nadal trzymają mnie na uwięzi.

– Więc?

– Ja... Ja nie... Przepraszam. Przykro mi.

– Właśnie.

Wycofuję się powoli. Byle do drzwi.

Ojciec Eliego odwraca się i patrzy mi prosto w twarz. Podchodzi tak blisko, że spowija mnie metaliczna woń jego oddechu – zupełnie jakby naźarł się monet. Melancholia zniknęła, a jej miejsce zajmują bladobłękitne płomienie.

– Chcę ci powiedzieć coś jeszcze. Każdy chyba widzi, że zbliżyłeś się do Jesmyn, i to znacznie bardziej, niż miałbyś szansę, gdyby mój syn żył. Nie mam nad wami władzy, nie mogę wam niczego zabronić, ale wiedz, że bardzo bym nie chciał się dowiedzieć, że kręcisz z dziewczyną mojego zmarłego syna. Akurat ty nie masz prawa korzystać na jego śmierci. – Głos Pierce'a łamie się pod ciężarem emocji, której nie potrafię nazwać. Być może jest bezimienna.

Nie czeka na moją reakcję. Odwraca się na pięcie i wychodzi.

Ciężki przedmiot spada z półki. Znów czuję się jak człowiek pogrzebany żywcem, tonący w odmętach lodowatej rzeki. Znalazłem się między szczękami imadła. Chwieję się, chwytam krawędź umywalki.

Powietrza.

Powietrza.

Powietrza.

Oddychać.

Oddychać.

Oddychać.

Uginają się pode mną kolana. Kości i mięśnie mam jak z żelatyny. Osuwam się na zabłocone (mam szczerą nadzieję, że to tylko błoto) kafelki i opieram plecami o ściankę kabiny. Zaczynam się modlić, by nikt tu nie wszedł, żeby nikt nie zobaczył mnie w tym stanie.

Po kilku minutach skrzypią cicho drzwi. Nie otwierają się do końca.

– Carver? To ja, Jesmyn.

– Aha? – odpowiadam słabo.

– Jak... Dobrze się czujesz?

– Eee... – Tak, czuję się świetnie, rozkoszuję się atmosferą.

Za ten zapach w powietrzu powinni dostać jakąś nagrodę, naprawdę cudowny bukiet. Ziemia, mech, mocz i sosnowy odświeżacz. Dolatuje mnie głos Melissy, ale nie

rozumiem, co mówi.

– Z jakiegoś powodu – Jesmyn odpowiada jej rozmyślnie głośno – ta toaleta kojarzy mi się z pierwszym dniem szkoły.

Jestem otumaniony, lecz jakimś cudem rozumiem, co ona robi.

– Mnie też – mówi Melissa, po czym zwraca się do męża: – Zanim się zamknęliście, czuł się w miarę dobrze. Idź, zobacz, co z chłopakiem.

– Daj spokój – odpowiada Pierce. – Nic mu nie jest. Potrzebuje chwili samotności. Ma przecież... sporo do przemyślenia.

Próbuję wstać, lecz kolana znów odmawiają mi posłuszeństwa.

– Sam jesteś? – woła Jesmyn.

– Tak.

– A tego... ubrany?

– Tak.

Drzwi stają otworem i pojawia się w nich Jesmyn. Wystarcza jej jedno spojrzenie – coś w rodzaju: „Co ci się stało, biedaku?” – i przypada do mnie.

Udaje mi się zaśmiać, ale mało przekonująco.

– Godność, nie? Po prostu chciałem sprawdzić, czy uda mi się poniżyć bardziej niż pierwszego dnia szkoły.

– Wtedy walnąłeś głową o ścianę. Teraz po prostu siedzisz na podłodze obrzydliwej publicznej ubikacji.

Tyle dobrego, że nie każe mi głęboko oddychać. Z rosnącego doświadczenia z atakami lęku już wiem, że pacjent i tak stara się oddychać. Inaczej nie miałby szans.

Pomaga mi się podnieść, przytrzymuje mnie za rękę. Pochylam głowę nad umywalką. Udaje mi się zaczerpnąć dwa hausty powietrza. Nagle staje mi przed oczami wizja Hira szybującego wśród chmur w skrzydlatym samochodzie. Dziwnie kojący obraz. Puls wraca stopniowo do normy, czarne plamy w oczach bledną i znikają.

– Jezu... Strasznie się poczułem.

– Tak samo jak podczas pożegnania Blake'a?

– Nie.

– Co on ci nagadał? Chyba że nie chcesz mówić.

– Wolałbym nie.

– Spróbujemy wyjść?

– Daj mi jeszcze dwie minuty.

Jesmyn kiwa głową.

– Może powiesz coś zabawnego? – rzucam.

– Kiedyś powiedziałam mamie, że jej nowa świeczka ma zapach zadbanego staruszka. Chyba zabawne, nie?

– W miarę... – Uśmiecham się.

Po dwóch minutach rzeczywiście udaje mi się wyjść z ubikacji o własnych siłach. Powietrze na zewnątrz tchnie wilgocią, świeżością i życiem. Bez słowa idziemy do samochodu. Pierce nie poświęca mi nawet jednego spojrzenia. Zresztą wcale tego nie żałuję. Melissa ma taką minę, jakby się domyślała, co między nami zaszło.

\* \* \*

W drodze powrotnej w samochodzie panuje niemal całkowite milczenie. Niemal, ponieważ rodzice Eliego wyjawiają, że są w separacji i planują rozwód. W takiej sytuacji niełatwo cokolwiek powiedzieć, chociaż Melissa zapewnia, że decyzja nie ma żadnego związku ze śmiercią ich syna. Podobno zastanawiali się nad tym już od pewnego czasu. Trudno mi w to uwierzyć. Czytałem kiedyś, że strata dziecka doprowadza do rozpadu spory procent małżeństw.

Naturalnie, Adair i tak nigdy by mi nie wybaczyła, ale problemy wokół niej narastają. Już po mnie – najpierw brat, teraz rozstanie rodziców. Odgrywam w jej życiu rolę anioła zagłady. Jestem biblijną plagą. Przysłowiowym motylem, który jednym ruchem skrzydeł sprowadza trzęsienia ziemi, a w dodatku roznosi zarazki wąglika.

Prawdę mówiąc, cieszę się, że po ataku paniki jestem zbyt otępiały i zmęczony, by myśleć o kołach rozchodzących się na powierzchni jeziora, do którego cisnąłem kamień.

Jednak co jakiś czas udaje mi się zerknąć na Jesmyn. Może sobie to wyobrażam, ale wydaje mi się, że usiadła bliżej niż wtedy, gdy jechaliśmy nad wodospad. Wracam myślami do dzisiejszego objawienia i rozważam, jak bardzo wszystko się skomplikuje.

Związki chemiczne. Dlaczego nie wiem, jak wypłukać je z mózgu?

\* \* \*

Odwożę Jesmyn i wracam do domu. Prawie od razu wysyłam jej wiadomość. Dziękuję za pomoc przy kolejnym napadzie. Dziękuję, że włożyła moją kurtkę – nie chciałem, by zmarzła i zmokła. Piszę, jak bardzo tęsknię za Elim. Piszę również o tym, co usłyszałem w toalecie od Pierce'a – końcową część rozmowy zachowuję jednak dla siebie. Dodaję, że cieszę się, iż zobaczyłem wodospad Fall Creek, że zdążyłem, zanim trafię do więzienia.

Piszę jej o wszystkim z wyjątkiem tego, co najbardziej chciałbym jej przekazać.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Gdy tylko otwierają się drzwi i dyrektorka przerywa lekcję biologii (akurat omawialiśmy fotosyntezę), krew zaczyna mi huczeć w uszach. Dyrektorka odprowadza nauczyciela na stronę i rozmawiają stłumionym szeptem, co chwila rzucając na mnie przelotne spojrzenia. Po chwili dyrektorka znika na korytarzu.

– Hm, Carver? – wywołuje mnie nauczyciel.

Nie dziwię się ani trochę. Wstaję, czując, jak adrenalina pali mnie między żebrami.

– Czy mógłbyś się spakować?

Wszyscy odwracają się w moją stronę. Ich spojrzenia parzą. Dolatują mnie wymowne szepty. Policzki mi płoną. Zbieram z ławki książki i przybory. Wychodzę z klasy ze spuszczoną głową.

Dyrektorka czeka na korytarzu.

– Carver, przepraszam, że odrywam cię od zajęć, ale przyszło do ciebie dwóch policjantów i poprosili o rozmowę. Chodź ze mną.

Moje serce kurczy się i zmienia w lodowatą stalową kulkę. Kręci mi się w głowie, robi mi się słabo. Przyszli. Ostatecznie zdecydowali się mnie aresztować. Znaleźli jakiś dowód. Jestem skończony.

Kiwam głową i ruszam za dyrektorką. W jej gabinecie czekają na mnie porucznik Farmer i sierżant Metcalf. Nie odzywam się, nawet nie mówię „Dzień dobry”. Porucznik Farmer ma przy sobie dwie spore koperty, wręcza mi jedną z nich.

Sięgam po kopertę takim ruchem, jakby przyniósł w niej stado żywych tarantul.

– Carver, to sądowy nakaz zatrzymania i przeszukania plików znajdujących się w twoim telefonie i laptopie. Kopię dokumentu przesłaliśmy twojemu adwokatowi faksem, więc treść jest mu znana. Jeśli chcesz, możesz do niego zadzwonić lub sam zapoznać się z nakazem.

Nadal milcząc, otwieram kopertę i wyciągam papier, chociaż doskonale wiem, że nie umiem stwierdzić, czy jest w pełni legalny. Wydaje się w porządku.

– Co teraz? – pytam.

Sierżant Metcalf pokazuje mi jakiś woreczek i go otwiera.

– Umieść tu komórkę. To tak zwana torebka Faradaya. Materiał, z którego jest wykonana, zatrzymuje fale elektromagnetyczne i uniemożliwia zdalną łączność z urządzeniami. Możesz sobie darować próby usuwania plików przez sieć. Szkoda wysiłku.

Wyciągam narzędzie zbrodni z kieszeni i wrzucam do woreczka.

– Jak mam sobie poradzić bez telefonu? – Nie będę miał komórki, a przecież wybieram się niedługo na koncert Dearly’ego.

Porucznik Farmer uśmiecha się złośliwie i mówi:

– Po prostu będziesz musiał. Badanie zawartości zajmie technikom około tygodnia, może dwa. Całe pokolenia dzieciaków nie miały komórek i jakoś żyły, prawda?

– Poproszę też o komputer – włącza się sierżant Metcalf, podsuwając mi drugą większą torebkę.

Sięgam do plecaka, wydaję laptop i oddaję go policjantowi.

– A moje prace domowe? Opowiadania? Mam tam sporo ważnych tekstów.

– Carver – wtrąca dyrektorka – zapewniam, że jeśli nie oddasz z tego powodu jakiejś pracy, włos nie spadnie ci z głowy.

– Nie musisz się też bać, że cokolwiek stracisz. Zadanie naszych informatyków polega między innymi na zapewnieniu bezpieczeństwa zawartości dysków. Niczego nie usuną.

– Rozumiem. Cóż, skoro to już wszystko, chciałbym... – zaczynam.

– Jeszcze jedno – przerywa mi porucznik Farmer i podaje drugą kopertę. – To nakaz przeszukania pokoju. Stąd udamy się prosto do twojego domu. Przed chwilą skontaktowaliśmy się z twoją matką. Będzie na nas czekać. Tę sprawę również omówiliśmy z twoim prawnikiem, ale jeśli chcesz, możesz do niego zadzwonić.

– Jasne, z komórki, którą macie w tym worku.

Zdaję sobie sprawę, że balansuję na krawędzi bezczelności, ale zachowanie gliniarzy (oraz fakt, że pojawili się w szkole) wygląda mi na perfidną próbę zastraszenia. Wyrachowaną i skuteczną, co dodatkowo wzmacnia moją niechęć do policji.

– Mógłbyś skorzystać ze szkolnego telefonu – podpowiada dyrektorka.

Dzwonię do pana Krantza. Łapię go w drodze do sądu. Radzi, bym pojechał za funkcjonariuszami i dokładnie nagrał przebieg przeszukania.

Dyrektorka zwalnia mnie z reszty dzisiejszych lekcji. Wsiadam do samochodu i wracam do domu. Na miejsce docieram niemal równocześnie z mamą i kilkoma umundurowanymi funkcjonariuszami. Proszę mamę, by nagrała wszystko swoim telefonem.

Przetrząsają każdy centymetr mojego pokoju. Kartkują wszystkie książki. Zaglądają pod materac. Nie pomijają ani jednej szuflady. W gumowych rękawiczkach sprawdzają zawartość kosza na brudną bieliznę. Zdejmują ze ścian zdjęcia i plakaty. Odkręcają kontakty i zerkają między kable. Węszą w kanałach wentylacyjnych. Zapewne na wypadek, gdybym ukrył tam kartkę z własnoręcznie spisanim wyznaniem: „Z premedytacją zabiłem trzech przyjaciół”. Pytają, czy prowadzę pamiętnik. Nie prowadzę, ale odpowiadam jedynie tępym spojrzeniem. Jestem przekonany, że to właśnie doradziłby mi pan Krantz. Natykają się na mojego pendrive’a i iPod’a. Oba urządzenia trafiają do torebek. Zabierają też kilka notesów, w których zapisuję pomysły na opowiadania.

Obserwując policjantów, czuję się tak, jakby grzebali mi we wnętrzościach, odrywali mięśnie od kości. Sępy żerujące na padlinie. Są wygłodniali; pragną tylko jednego – doprowadzić moje życie do jeszcze większej ruiny.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Siadając naprzeciwko doktora Mendeza, zmieniam się w napiętą sprężynę. Obawiałem się tej sesji od dawna. Doskonale wiem, co usłyszę w pierwszej kolejności.

– Opowiedz mi historię – prosi.

– Nie.

Mina terapeuty pozostaje ta sama. Byłby świetnym pokerzystą. Lekko przechyla głowę na bok i patrzy na mnie wyczekująco. Czeka, bym się wytłumaczył, ale ja się nie odzywam.

– Dlaczego nie? – pyta po chwili.

– Ludzie wymyślają historie wtedy, gdy brakuje im własnych. Ja już swoją mam.

Wiemy, co się wydarzyło.

– Wiemy?

Doktor Mendez nawet nie drgnie. Nie jest to zwykły bierny bezruch. To coś głębszego i w jakiś pokrętny sposób dynamicznego. Natomiast ja nie jestem w stanie dłużej siedzieć. Wstaję z fotela i zaczynam się przechadzać.

– Owszem, napisałem ten SMS. Wiedziałem, że Mars mi odpisze, i właśnie próbował to zrobić. Dokładnie z tego powodu zginęli moi przyjaciele.

– A co z Billym? I z Hiro?

– Oni nie istnieją! – podnoszę głos. Sprawia mi satysfakcję to, że odpowiadam gniewem na spokój terapeuty, że podpalam trawy na łące jego niezachwianego spokoju.

– Obaj są jedynie wytworami mojej wyobraźni. Elementami kłamstwa, które opowiedziałem nam obu. Wiem o tym i policja także to wie. Tak przy okazji, zabrali mi komórkę i komputer, więc mam nadzieję, że nie próbował pan się do mnie dodzwonić. Przeszukali też mój pokój. Pójdę siedzieć.

– Tak ci powiedzieli?

– No, praktycznie... Tak.

– Przykro mi, że musisz przez to przechodzić.

– Mnie też jest przykro.

– Zapewniam, że gdybym mógł skinąć palcem i tym samym cofnąć czas, zrobiłbym to bez wahania.

– Palcem? Powinien się pan rozejrzeć za magiczną różdżką.

Doktor Mendez przygląda mi się spokojnie zza szkieł okularów w prostokątnych przezroczystych oprawkach.

– Wspominałeś ostatnio, że zamierzacie urządzać pożegnanie Eliego.

Zatrzymuję się przed fotelem i ciężko opadam na siedzenie. Mebel odsuwa się o dobrych kilka centymetrów do tyłu.

– Tak.

– I co? Odbyło się?

– Owszem.

– Jak poszło?

– Och, fantastycznie. – Słowo „fantastycznie” podkreślam, unosząc ironicznie oba kciuki.

Łagodny uśmiech terapeuty sprawia, że natychmiast zaczynam żałować sarkazmu i gniewu.

– Przepraszam – mruczę.

– Nie musisz.

– Cały ten dzień okazał się jedną wielką katastrofą.

Cisza. Wyczekiwanie.

– Jego rodzice... mają poważne problemy. Podobno już od pewnego czasu nie dogadują się ze sobą. Zdecydowali się na rozwód. Twierdzą, że nie z tego powodu, ale ja wiem, że z tego. Przebywanie w ich towarzystwie było... superniezręczne. W dodatku ojciec Eliego prosto w oczy powiedział mi, że uważa mnie za winnego. Zapewnił przy tym łaskawie, że nie chce, bym trafił do aresztu i że nie darzy mnie taką nienawiścią jak siostra Eliego, która najchętniej zobaczyłaby mnie na krześle elektrycznym, zamiast w więzieniu. Oczywiście, nie brała udziału w pożegnaniu, chociaż z jakiegoś powodu namawiała na nie rodziców. Sytuacja naprawdę była bardzo dziwaczna.

– Jeśli dobrze rozumiem, przeżyłeś coś diametralnie odmiennego niż podczas spotkania z babcią Blake'a?

– Właśnie. Poza tym dostałem kolejnego napadu. W obskurnej publicznej toalecie. Po raz drugi Jesmyn zobaczyła mnie w tym stanie.

– Przykro mi.

Nogi zaczynają mi dygotać.

– Dość już mam tych ataków. Biorę zoloft zgodnie z pańskimi zaleceniami.

Doktor Mendez kiwa głową i podnosi się z miejsca. Podchodzi do biurka, otwiera kluczykiem szufladę, wyjmuje bloczek recept, siada i zaczyna pisać.

– Zwiększyłem dawkę. – Odrywa gotową receptę i wyciąga w moją stronę.

Zerkam na karteczkę z fotela, ale nie wyciągam ręki.

– I to powstrzyma napady?

– Nawet jeśli nie, to i tak zrobimy krok w dobrym kierunku. W razie czego będziemy się zastanawiać.

– A tymczasem będę tak tu sobie przychodzić i opowiadać panu głodne kawałki – stwierdzam z goryczą, ale ostatecznie sięgam po receptę.

Terapeuta odkłada bloczek na biurko, wraca na miejsce i siada. Zakłada nogę na nogę. Dłonie spleta przed sobą, opiera łokieć na kolanie.

– Zapewniam cię, że w tym pozornym szaleństwie kryje się metoda. Potrafisz mi w tej sprawie zaufać?

– Chyba tak. – Ledwie słyszę własny głos.

– A czy możesz mi również uwierzyć, że celem terapii, tego, jak powiedziałaś, opowiadania głodnych kawałków, nie jest nakłanianie cię do okłamywania siebie ani kogokolwiek innego?

– Dokładnie takie odnoszę wrażenie, ale dobrze, mogę.

– Nie zamierzam też w ten sposób sugerować, że nie jesteśmy odpowiedzialni za własne uczynki.

– Okej.

– Czy uwierzysz zatem, że mam powody sądzić, że tego rodzaju terapia naprawdę

jest w stanie ci pomóc?

– Tak.

– Obiecuję ci, że jeśli takie podejście nie pomoże, spróbujemy innego.

To w tej chwili jedyny element w twoim życiu, który nie działa na ciebie destrukcyjnie, mówię sobie w duchu. Łzy stają mi w oczach. Spuszczam wzrok.

– Dobrze – szepczę wpatrzony w podłogę.

– Opowiedz mi o pożegnaniu z Elim. Jeśli dobrze zrozumiałem, doświadczyłeś konfrontacji. Starłeś się z emocjami swoimi, rodziców Eliego i Jesmyn.

– Tak.

– Czy miałeś przy tym okazję po raz pierwszy zmierzyć się z pewnymi uczuciami? Zabawne – potrafiłem przyznać mu się do zabójstwa, a do miłości nie umiem.

– No... Hm... Tak. – Gapię się w dywan. Ostatecznie podnoszę spojrzenie. Terapeuta przygląda mi się, czeka. – U... uświadomiłem sobie, że mogę coś czuć do Jesmyn.

– Domyślam się, że powoduje to niejaki komplikacje?

– Tak pan sądzi? – syczę, lecz doktor Mendez w żaden sposób nie podsycza mojego sarkazmu. – W pewnym momencie ojciec Eliego powiedział coś w tym stylu: „Tak przy okazji, widzę, jak na nią patrzysz, i powiem ci, że nie chcę, byś kiedykolwiek związał się z dziewczyną mojego zmarłego syna”.

– A komplikacje wewnętrzne? Twoje własne? Emocjonalne?

– Naturalnie też się pojawiły.

Terapeuta drapie się w podbródek, postukuje palcem w wargę.

– Myślę, że duża część twojego poczucia winy jest związana właśnie z rozwijającą się sympatią do Jesmyn.

– Możliwe. – To niedopowiedzenie, ale nie widzę powodu, by dawać facetowi znać, jak głęboko potrafi zajrzeć w moją duszę.

– Nie ze wszystkich doświadczeń musimy wyciągać dokładnie te same nauki. Myślę, że to dobrze, iż pożegnanie z Elim pozwoliło ci skonfrontować się z innym wymiarem własnej uczuciowości, niż miało to miejsce, kiedy żegnałeś Blake’a.

– Pewnie ma pan rację.

– To jak? Opowiesz mi jakąś historyjkę?

– Chcę, żeby poradził mi pan, jak powinienem postąpić w sprawie Jesmyn.

– Żałuję, ale nie znam prostej recepty.

– Nie musi być prosta. Niech będzie nawet złożona – szepczę. – Jakakolwiek...

– Jestem przekonany, że z czasem jakaś się pojawi. Niekiedy uzyskujemy odpowiedzi na pytanie w drodze eliminacji.

Parskam gorzkim śmiechem.

– Na razie udaje mi się tylko eliminować akurat te odpowiedzi, które pozwoliłyby mi wrócić do zwykłego szczęśliwego życia. Chce pan usłyszeć coś zabawnego?

Unosi brew i zachęca skinieniem głowy.

– Kiedy ojciec Eliego stwierdził, że jestem winny, poczułem, że nie chcę brać tej odpowiedzialności na siebie. A kiedy rozmawiałem o tym z babcią Blake’a, byłem gotów przyznać się do wszystkiego.



– Co dokładnie poczułeś?

– Kusilo mnie, by opowiedziec mu o Billym i Hiro. Choć wiem, że to głupie, a oni są wymyśleni. – Żal ściska mnie za gardło.

Doktor Mendez odczekuje moment, pozwala mi się uspokoić. Po chwili sadowi się wygodniej w fotelu.

– Może w końcu usłyszę nową historię?

Wzdycham i przez kilka sekund wpatruję się w zawartość otwartej lodówki swojej wyobraźni.

– Był sobie taki facet... Jiminy Kupczyński.

## Rozdział trzydziesty piąty

Teraz do wszystkiego, co nękało mnie wcześniej, doszły myśli o Jesmyn.  
Pożegnanie Eliego otworzyło jakieś drzwi, których nie potrafię zamknąć.  
Może dlatego, że właściwie nie próbuję.

## Rozdział trzydziesty szósty

– Nie. Przepraszam, ale nie pójdziesz na koncert Dearly’ego, w dodatku w towarzystwie seksownej laski, ubrany jak żaloszna podróba Ernesta Hemingwaya – burzy się Georgia.

– Cóż... – Wzruszam ramionami.

– Żadne „cóż”. Masz farta, że przyjechałyśmy z Maddie i Laną w porę, aby zainterweniować. Do koncertu zostało osiem godzin. Zabieramy cię do galerii Opry Mills. Z pokoju siostry dolatują mnie rozmowy i śmiechy jej przyjaciółek.

– Maddie i Lana bez przerwy mnie molestują seksualnie – obniżam głos do ochrypłego szeptu.

– Proszę cię... Przecież uwielbiasz, kiedy studentki zwracają na ciebie uwagę.

– Wcale nie. Mam wrażenie, że ze mnie kpią.

– Dlatego, że tak jest.

– Właśnie.

– Ale i tak to uwielbiasz.

\* \* \*

Przymierzam kolejne ubrania, wysłuchując pogwizdywań Maddie i Lany. Raz po raz starają się mnie zawstydzić. Po wszystkim mam na sobie ciemnoszare džinsy (tak obcisłe, że cierpią moje klejnoty), parę brązowych sztybletów z miękkimi bokami i czarną marynarkę. W sumie nie wyglądam najgorzej, co przyznaję z niechęcią. Poza tym cieszę się na koncert i spotkanie z Jesmyn.

Nastroju nie psują mi nawet Maddie i Lana, które w drodze na parking starają się klepnąć mnie w tyłek.

Zapominam o Wypadku.

Zapominam o prokuraturze i panu Krantzu.

Zapominam o telefonie i laptopie, z których policyjni spece próbują wyciągnąć obciążające mnie informacje.

Zapominam o pożegnaniach Blake’a i Eliego.

Zapominam o tym, że babunia Betsy mieszka teraz wśród dalekich wzgórz wschodniego Tennessee.

Zapominam, że Pierce i Melissa są w separacji.

Zapominam, że Adair i sędzia Edwards patrzą na mnie tak, jakby ktoś zardzewiałym gwoździem wyrył im moje nazwisko na skórze.

Zapominam o krążących po szkole plotkach na temat mnie i Jesmyn.

Zapominam o Billym i Hiro.

Zapominam o atakach paniki.

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czułem się tak dobrze. Nie potrafię.

\* \* \*

Rozmyślnie przyjechałem spóźniony o piętnaście minut. Jesmyn stoi u szczytu schodów. Ma na sobie przylegające czarne džinsy z dziurami na kolanach, czarną

koszulkę, spod której wygląda wąziutki pasek brzucha, czarne botki i popielatą kurtkę, tę samą, którą włożyła z okazji pożegnania Eliego. Grzywkę przystrzygła i zaczesła prosto na czoło, kosmyki zagładają jej do oczu. Zrobiła sobie wyrazisty, ostry makijaż.

Patrząc na nią, czuję się tak, jakbym za szybko przejechał samochodem przez wybrzuszenie na drodze – przez moment moje organy wewnętrzne szybują w powietrzu.

– Zmieniłaś fryzurę.

– Zauważyłeś!

– Oczywiście, że tak. Nie nosiłaś grzywki.

– I jak? Dobrze mi?

Tylko bez nerwów, mówię sobie w duchu i odpowiadam:

– Pewnie, świetnie.

– A ty? – Jesmyn taksuje mnie spojrzeniem od stóp do głów. – Proszę, proszę!

Dzień dobry, gwiazdo rocka.

– Georgia zmusiła mnie do kupna nowych ciuchów.

– Ma doskonały gust. Świetnie do siebie pasujemy. W sensie ja i ty.

Na moment zapalają się we mnie barwne neony, kręci mi się w głowie.

– Och, zapomniałam. – Jesmyn biegnie do pokoju i wraca z iPodem w dłoni.

Patrząc, jak biegnie po schodach, mam nieodparte wrażenie, że dzieje się coś wbrew przeznaczeniu. Że rozsypała się układanka losu. Idę na koncert, na który miał iść Eli, ze swoją dziewczyną. Ja jestem tu, na jego miejscu, a jego duch spływa tymczasem w dół rzeki lub unosi się w chmurach, czekając, by spaść pod postacią deszczu. A on sam tkwi w zamkniętej urnie.

Jesmyn staje przede mną i mnie obejmuje. Spowija mnie zapach cytrusów i miodu. Jesmyn wyciąga telefon i odsuwa go na długość ramienia.

– Zrób minę.

Przysuwam się bliżej i staram się przywołać na usta w miarę niewymuszony uśmiech. Jesmyn strzela nam fotkę, zapisuje ją, po czym chowa komórkę do kieszeni. Podskakuje i klaszcze w dłonie.

– Wow! – woła radośnie. – Tak się cieszę na to wyjście!

Mam nadzieję, że ten nastrój nie minie, jej wesołość mogłaby ponieść nas oboje.

Wsiadamy do mojego samochodu. Jesmyn zakłada nogę na nogę. Sięga po kabelek i spogląda na mnie.

– Dobra, przygotowałam niespodziankę – oświadcza z nerwowym chichotem.

Tego tonu jeszcze u niej nie słyszałem. Jedną końcówkę przewodu wciska do gniazda iPod, drugą do wejścia samochodowego radia. Znowu chichocze i zasłania twarz dłońmi.

– Sama nie wierzę, że to robię – szepcze.

Rozlega się muzyka – działające na zmysły, gęste elektroniczne dźwięki nakładają się na miarowy rytm automatu perkusyjnego. Po chwili wchodzi wokalista. Głos świeży, żywy i ciepły. Kojący się z pierwszymi dniami lata. To głos Jesmyn – rozpoznaję w jednej chwili. Po raz pierwszy słyszę jej śpiew. Przenika mnie pulsowanie aż do szpiku kości. Coś zapiera mi dech w piersiach, tym razem jednak nie jest to lęk.

– Czy to...

Jesmyn rozchyła nieco dwa palce i łypie na mnie. Rumieni się. Paznokcie pomalowała matowym czarnym lakierem.

– ...ty?

Potakuje.

Oczywiście. W tym też musiała się okazać wybitna. Nie ma dla mnie litości. Zupełnie jakby próbowała mnie zniszczyć od środka.

– Kurde, masz niesamowity głos.

– Daj spokój! Wiesz, jak długo nad tym pracowałam?

– Czyli jak? Chcesz zostać pianistką czy...? – Ruchem głowy wskazuję radio.

– Jednym i drugim. – Sięga po iPoda. – Dobra, wystarczy.

Przytrzymuję jej dłoń.

– Jeszcze chwilę.

– Nie!

– Właśnie, że tak! – oponuję. – W dodatku chciałbym sobie to przegrać. – A to dlatego, że te dźwięki pomagają mi o wszystkim zapomnieć. Naprawdę zapomnieć.

\* \* \*

Mimo że drapacze chmur nie mają kominów, jakimś cudem centrum Nashville w połowie października zawsze pachnie dymem i drewnem. O tej porze roku przydają się już kurtki. Wieczorne powietrze ma posmak jabłkowego cydru, a niebo tchnie oddechem gwiazd. Znajdujemy miejsce do parkowania i kilka ostatnich przecznic do Ryman pokonujemy na piechotę. Idziemy wśród stopniowo gęstniejącego tłumu. Zewsząd zbliżają się grupki podekscytowanych ludzi.

Mijamy kilku studentów, którzy obrzucają Jesmyn łakomymi spojrzeniami. Prostuję się, jak tylko potrafię. Zgadza się, panowie, to ja z nią idę! Szkoda tylko, że nie trzymamy się za ręce.

Nagle daje się słyszeć:

– Carver! Jesmyn! Hej!

Odwracam się i widzę Georgię, Maddie i Lanę. Machają do nas.

– O, cholera... – szepczę i macham w odpowiedzi.

– O co chodzi? – Jesmyn patrzy na dziewczyny.

– O nic. Tyle że Maddie i Lana bywają nieznośne.

Georgia przytula Jesmyn na powitanie.

– Tak samo się cieszycie na ten koncert? Ja praktycznie sikam w majtki – zagaja.

– Bardziej – odpowiada Jesmyn.

Usilnie unikam spojrzeń Maddie i Lany.

– Hej, Carver! – rzuca donośnie Lana.

– Cześć.

– Cześć, Carverku! – odzywa się równie głośno Maddie.

– Hej.

– Nie przedstawiś nam przyjaciółki? – dodaje Lana.

– Poznajcie Jesmyn. Jesmyn, poznaj Lanę i Maddie. Przyjaciółki mojej siostry.

– I? – dorzuca z naciskiem Maddie.

– Właśnie, Carver? Chyba jesteśmy też twoimi przyjaciółkami, co? – Lana świdruje mnie wzrokiem.

Nie wznoszę oczu do nieba – nie chcę pogarszać swojego i tak marnego położenia.

– I... i moje.

– Ooooooch – jęcząc chórem.

Uprzejmie przedstawiają się Jesmyn, która zerka na mnie z niemym pytaniem: „O co ci w ogóle chodzi?”.

Georgia patrzy na komórkę.

– Dobra, czas zająć miejsca. Gdzie wy siedzicie?

– Na balkonie – odpowiada Jesmyn.

– Spoko. – Georgia kiwa głową. – Może spikniemy się później.

– Cześć, Carver. – Maddie wciąż mówi zbyt głośno.

Wychwytuje spojrzenie Jesmyn i kręci głową.

Macham. Wchodzimy na górę.

– Wydają się w porządku.

– Wydają. Odkąd Georgia przyprowadziła je do domu, bez przerwy mi dokuczają. Strasznie je to bawi.

Jesmyn wydyma wargi i bierze mnie za podbródek.

– Oj, mój ty, ty. Jaki ładny bobasek!

Uśmiecham się szeroko i odsuwam głowę.

– Nie zaczynaj.

Miejsca znajdujemy bez większego trudu.

– Przesłuchałeś tę składankę Dearly’ego, którą ci nagrałam? – pyta Jesmyn.

– Jasne.

– No i co?

– Super.

– Podobno na żywo wypada jeszcze lepiej.

Naprawdę nigdy jej takiej nie widziałem. Promienieje. Żar bijący od Jesmyn ogrzewa mi twarz. Jesmyn wyciąga szyję, by przyjrzeć się ustawianym na scenie instrumentom.

– Przepraszam – mówi, nie patrząc na mnie. – Chcę sprawdzić, jakich klawiszy używają.

– Spoko – odpowiadam.

Jestem szczerzy, ponieważ dopóki nie zmieni pozycji, mam okazję bezkarnie podziwiać geografię jej kształtów, uwodzą mnie linie pomiędzy uchem a szczęką. Nagle ogarnia mnie potrzeba, by ją pocałować. Tak silna, że znów doznaję zawrotów głowy. *Wtem jednak na moim ramieniu pojawia się Pierce – przysiada na nim niczym diabełek z kreskówki. „Nie zasługujesz na to – szepcze. – Ta chwila nie należy do ciebie. Podobnie jak Jesmyn. Nie jest i nigdy nie będzie twoja, a ty nigdy nie będziesz jej. Te kilka godzin jedynie sobie pożyczyciście, ale oboje należycie do mojego nieżyjącego syna”.*

Jesmyn ogląda się przez ramię. Chce coś powiedzieć, lecz na widok mojej miny natychmiast poważnieje.

– Co jest?

– Nic.

– Serio, wszystko w porządku? Znów masz ten carverowski wyraz twarzy.

– W porządku... Po prostu coś mi przyszło do głowy... Pomysł na opowiadanie o muzyku.

– Kiedy już napiszesz, koniecznie daj przeczytać – mówi z roztańczonymi oczami.

– Jasne.

Jesmyn chce powiedzieć więcej, ale kiedy otwiera usta, gasną światła i na scenie pojawia się pierwszy zespół wieczoru.

W trakcie występu coś do mnie mówi. Odczytuję słowa z ruchu jej warg, lecz udaję, że nie zrozumiałem, przez co musi przyłożyć dłoń do mojego ucha i zbliżyć do niego usta.

– Świetni są! – woła na cały głos.

Mógłbym odpowiedzieć zwykłym skinieniem, ale wybieram inną opcję. Teraz to ja przysuwam dłoń i wargi do jej ucha.

– Święta racja! Zajebieści!

Po mniej więcej trzech kwadransach muzycy opuszczają scenę. Techniczni zmieniają instrumenty. Rozmawiamy z Jesmyn o wszystkim i o niczym.

Ogarnia mnie znajoma już, choć jednocześnie nowa potrzeba zwierzenia się z uczuć: chcę jej wyjawić, co czuję. Niemniej, gdy tylko zrodził się we mnie ten głód, ukazuje mi się twarz Pierce'a. Widzę też Adair i sędziego Edwardsa oraz twarze policjantów i wiceprokurator okręgowej. Pojawiają się przeszukujący mój pokój gliniarze. Ukazuje się twarz Eliego. *„I co, stary? Skorzystałeś z mojego biletu i zabrałeś na koncert moją dziewczynę, tak? A wcześniej zabiłeś mnie SMS-em. Może jej powiedz, że na nią lecisz. Może jednak zaczniecie się spotykać. Ostatecznie mój ojciec nie powiedział, że nie możesz. Stwierdził tylko, że sobie tego nie życzy”*.

– Dobrze się bawisz? – Jesmyn zagląda mi w oczy.

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że się jej przypatruję. Zbyt głęboko zatonałem w myślach.

– O tak... Pewnie, że tak.

– Widzisz? Jeszcze będzie z ciebie meloman.

– Zawsze chętnie i z przyjemnością słucham, jak grasz.

– Chodziło mi o to, że polubisz też innych muzyków. Już ja tego dopilnuję.

– Zgoda, ja z kolei zamierzam zainteresować cię książkami.

– Zatem jesteśmy umówieni.

Reflektory ponownie przygasają. Jesmyn podskakuje i cicho piszczy. Łapie mnie za przegub. Palce ma ciepłe i gładkie niczym leżący na plaży rozgrzany słonecznymi promieniami kawałek drewna. Metal pierścionków studzi mi skórę. Gdy wreszcie uwalnia moją rękę i wraz z całą salą oklaskuje wchodzącego Dearly'ego, zalewa mnie fala niemal fizycznego bólu.

Gwiazdor wkracza rażno na scenę – wysoki, smukły, ubrany w czarne dżinsy, czarne buty i czarną dżinsową kurtkę, spod której wygląda kowbojska koszula w kratę. Tuż za nim pojawiają się członkowie zespołu – zabójczo modni, wystylizowani. Zajmują swoje miejsca. Zaciemniona scena usiana jest drobnymi punkcikami świateł, co sprawia wrażenie, że muzycy unoszą się na tle rozgwieźdzonego nieba. Dearly podchodzi na

środek, bierze gitarę i staje przy mikrofonie. Pokrytą kilkudniowym zarostem twarz okalają kosmyki zmierzwionych czarnych włosów.

Pierwszy utwór uderza w widownię z siłą tsunami. Dearly zaczyna śpiewać. Wyczuwam, że stojącą obok Jesmyn przechodzi dreszcz. Słucha jak zahipnotyzowana. Nie dziwię się. Dźwięki piosenki również i mnie poruszają do głębi. Po mniej więcej dwóch minutach drugiego numeru Jesmyn kładzie mi dłoń na ramieniu i lekko przyciąga.

– Myślę, że tym koncertem przekonałby do siebie nawet Elięgo.

Naturalnie, nigdy nie układałem podobnego rankingu, ale to na pewno ostatnie, co chciałem usłyszeć od niej na ucho.

Trzeci utwór dobiega końca. Artysta sięga po ręcznik, osusza twarz, popija wodę.

– Hej, Nashville! Jak dobrze zagrać wreszcie w domu! W moim drugim domu!

Widownię ogarnia szal. Dearly przebiega wzrokiem po głowach tłumu.

– Dzięki, że zechcieliście się pojawić. Widzę wśród was sporo przyjaciół. Ludzi, którzy są dla mnie praktycznie jak rodzina. Występować na tej scenie to prawdziwy zaszczyt.

Jesmyn ponownie przyciąga mnie do siebie.

– On pochodzi z Tennessee. Urodził się niedaleko wodospadu Fall Creek.

Żołądek podchodzi mi do gardła, wywraca się, zaciska. Próbuję go opanować. Zazdrość to obrzydliwe uczucie. Szczególnie zazdrość o... Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, o kogo właściwie jestem zazdrosny. O Dearly'ego? O Elięgo? A może o wszystkich ludzi na sali? O ludzi normalnych, bawiących się bez najmniejszej obawy, że może to być ostatni koncert, zanim zatrzśnie się za nimi więzienna brama. Niewykluczone też, że zazdroścę Jesmyn, która potrafi tak w pełni i radośnie przeżywać występ.

Znów rozlega się muzyka – huczy, dudni, szybuje, krwawi. W spojrzeniach Jesmyn ponownie maluje się wszystko, co widziałem, gdy przyglądała się burzy i kiedy wpatrywała się w wodospad. Sprawia wrażenie, jakby kąpała się w symfonii tęczy barw. Skupia się to na wokaliście, to na stojącej za keyboardem, świetnie wyglądającej atrakcyjnej blondynce.

Proszę cię, po prostu się baw. Proszę, skorzystaj z jej emocji, ciesz się pięknem, które widzi ona, błagam sam siebie.

Pragnę Jesmyn, lecz jeszcze bardziej pragnę jej nie pragnąć.

Moje myśli wirują niczym krew spływająca do wąskiego odpływu. Gdzie twoja kreatywność? Może napiszesz coś działającego równie silnie? Może mógłbyś ją tym zachwycić? Nie. Twoje słowa potrafią jedynie zabijać, nie sprawiają, że Jesmyn ujrzy mrowie intensywnych barw.

Muzyka jest rzeczywiście wspaniała, wzniosła. Wściekam się na siebie. Nie powinienem pozwalać, by te dźwięki wywoływały we mnie tak negatywne emocje. Równie dobrze mógłbym się złościć na zachód słońca.

*„Czy przypadkiem sobie na to cierpienie nie zasłużyłeś?” – pyta Pierce, wpatrując się we mnie pustym spojrzeniem, oczami twardymi i posepnymi jak lufy pistoletów. „Tak, baw się, korzystając z biletu mojego martwego dziecka. Słuchaj koncertu, na którym powinien pojawić się Eli. Ciesz się, że siedzisz obok dziewczyny mojego nieżyjącego syna,*



na jego miejscu”.

Przyglądam się Jesmyn. Roziskrzonym oczom, które w spokojniejszych momentach zasnuwa szklista powłoka i wpatrują się gdzieś w dal; wargom bezgłośnie recytującym teksty piosenek; rytmicznemu falowaniu jej ciała. Równie dobrze mógłbym w tej chwili nie istnieć. Dzieli nas utkana z pajęczej przędzy zasłona.

Dearly wyśpiewuje końcowe słowa utworu, po czym muzycy z zespołu znikają ze sceny i zostaje sam. Sięga po gitarę akustyczną.

– Następną piosenkę dedykuję pamięci przyjaciela, którego straciłem w liceum.

– Och... – wrywa się Jesmyn.

Wyraźnie się spina, zbiera w sobie, przygotowuje.

Gdy rozlegają się początkowe wersy, łzy spływają po jej policzkach. Kładę dłoń na jej krzyżu i nieznacznie się przysuwam. Utwór wyszarpuje z mojego serca długie szkarłatne nici i rozwiesza je w niebieskim półmroku sali. Udaje mi się zatracić w muzyce do końca. Skołatany umysł zyskuje kilka minut wytchnienia.

Jeszcze dwa utwory – ponownie z zespołem. Jesmyn ociera oczy. Gdy muzycy żegnają się i schodzą ze sceny, na przemian osusza łzy i klaszcze. Widownia donośnie domaga się bisów. Dearly z kolegami pojawiają się po chwili i zaczynają grać. Tłum wariuje bez reszty. Jesmyn piszczy i przyciąga mnie ku sobie.

– To cover Joy Division. Piosenka *Love Will Tear Us Apart*.

Kiwam głową, jakby cokolwiek mi to mówiło.

Mimo że przez ostatnie dziewięćdziesiąt minut przelewał się we mnie wzburzony chaos myśli i uczuć, nie chcę, żeby koncert się skończył. Nie jestem na to gotowy. Wolę nadal patrzeć na Jesmyn, widzieć, jak pławi się w kolorach muzyki.

A kiedy świat ostatecznie milknie i musimy tę ciszę wypełnić własnymi słowami, nie jestem pewien, co powiedzieć.

\* \* \*

Kolejka rozciąga się chyba na kilometr, ale Jesmyn daje mi jasno do zrozumienia, że nie ma mowy, żebyśmy wyszli, zanim ona zdobędzie autograf.

Ostatecznie docieramy na czoło kolejki. Dearly siedzi za stolikiem, podpisuje koszulki, plakaty, płyty, od czasu do czasu nawet podsunięte ramiona fanów.

Jesmyn kupuje plakat i drżącymi rękoma podaje go artyście. Muzyk promienieje swobodą i pewnością siebie. Cóż, pewnie i ja bym promieniał, gdybym przed chwilą zszedł ze sceny po udanym występie, w asyście pełnych uwielbienia wrzasków tłumu fanów, wciąż zresztą skandujących moje imię.

– Hej! Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście? – zagaduje Dearly. Zaskakuje mnie wyraźna nuta skromności w jego tonie.

Patrzy nam prosto w oczy.

Jesmyn poprawia fryzurę. Chichocze.

– Jasne, że tak! „Dobrze” to mało powiedziane. Koncert był naprawdę wspaniały – odpowiada, lekko się jękając.

Jest cała w skowronkach, zaśmiewa się, co chwila zerka na artystę. Mój żołądek ponownie skręca się w ciasny supeł.

– W zeszłym tygodniu byliśmy w okolicy twojej rodzinnej miejscowości – dodaje, kiedy Dearly składa podpis na plakacie.

Muzyk podnosi wzrok.

– Tak? Ja nieczęsto tam zaglądam. – Uśmiecha się lekko, ze smutkiem.

Jesmyn zakłada kosmyk za ucho.

– Wiesz? Ja też gram.

– Super! – odpowiada Dearly. – Co konkretnie?

– Głównie muzykę klasyczną. Jestem pianistką, ale zdarza mi się też pisać i komponować piosenki.

– Kurczę, pamiętam, że kiedy byłem w twoim wieku, muzyka była dla mnie jedyną odskocznią, azylem.

– Chciałabym po studiach grać w twoim zespole, na klawiszach – rzuca Jesmyn.

Przymilny ton jej głosu sprawia, że krew wrze mi w żyłach.

Dearly ogląda się przez ramię na stojącego nieco z boku faceta, gawędzącego właśnie z dwiema pięknymi kobietami, najwyraźniej znanymi postaciami.

– Ej, Will?! Daj no wizytówkę.

Will spełnia prośbę, a Dearly przekazuje kartonik Jesmyn.

– Odezwij się do nas po studiach. Will jest moim menedżerem. Pogadamy, ale bez dyplomu nie masz po co przychodzić, jasne?

– Jasne – odpowiada z zapartym tchem Jesmyn. – Muszę ci powiedzieć jeszcze jedno. Piosenka, którą zadedykowałaś zmarłemu przyjacielowi, była dla nas bardzo ważna. Niedawno straciłam chłopaka. To był jego najlepszy przyjaciel. – Wskazuje mnie skinieniem głowy.

Skrepowany przestępuję z nogi na nogę. Jak mogę, staram się wyglądać na wyluzowanego.

– Przykro mi – mówi cicho Dearly. – Naprawdę dobrze wiem, co czujecie. – Teraz zamiast skromności w jego głosie pojawia się inna emocja. – Mam nadzieję, że kiedyś zdołacie się z tym pogodzić.

– Ty się pogodziłeś? – pyta Jesmyn.

– Jeszcze nie. – Muzyk się zamyśla, poważnieje.

– Jakieś rady? – dopytuje Jesmyn, puszczać mimo uszu coraz wyraźniejsze zniecierpliwienie czekających w kolejce fanów.

Dearly również ich ignoruje.

– Trzymaj się blisko ludzi, których kochasz i którzy kochają ciebie. Trzymaj się muzyki.

– To chyba dobry pomysł. – Jesmyn kiwa głową. – Raz jeszcze gratuluję występu. Dzięki.

Muzyk dziękuje nam, żegna się i odchodzimy, pozwalając dostąpić komunii pozostałym wiernym.

\* \* \*

– Ależ jestem nakręcona! Dzisiaj na pewno nie zasnę. Chyba spędzę całą noc na graniu. To było naprawdę niezwykłe! – trąkocze Jesmyn.

- Aha, superkoncert – potakuję bez przekonania, udając, że skupiam się na drodze.
- Ale co? Nie odleciałeś tak totalnie jak ja?
- Wziuuu! Totalnie!
- Jak to się dzieje, że niektórzy po prostu rodzą się z tak wielkim talentem?
- Uhm... W pewnym momencie już tylko czekałem, aż mu się oświadczysz.

Mam wielką nadzieję, że potraktuje zaczepkę jako żart i uniknę poważniejszych konsekwencji. Niemniej sam słyszę, że mój śmiech jest zdecydowanie za bardzo zjadliwy.

Gdyby Jesmyn była postacią z gry komputerowej, jej pasek energii zmalałby po tym ciosie do zera.

– Hm. Nie.

– Żartowałem – mruczę.

– Żartowałeś? Sugerując, że zachowuję się jak jakaś bezmózga grupie? Że myślę tylko o tym, żeby zaliczyć gwiazdę rocka?

– Nie. Przecież powiedziałaś, że chciałabyś grać u niego w zespole.

Powinienem się zamknąć, ale naprawdę nie potrafię. Małe dzieci czują się podobnie, kiedy sikają w spodnie. Wiedzą, że robią coś złego i obleśnego, ale nie są w stanie powstrzymać tego, co już się zaczęło.

Jesmyn głośno wciąga powietrze.

– Z tego, że chciałabym u niego grać, nie wynika, że miałabym za niego wyjść. Zresztą to dorosły facet i ma dziewczynę.

– Ach tak. Całe szczęście, że sprawdziłaś.

Jesmyn wywraca oczami.

– Coś się tak wziął? Przeżyłam dzisiaj najlepszy koncert życia, a ty na mnie wsiadasz.

– Ja? Po prostu staram się normalnie porozmawiać.

– Eli po superkoncercie rozmawiałby ze mną o czymś innym.

– Nie jestem Elim.

– Słuchaj, mam prośbę. Czy możemy dać sobie spokój z tymi tekstami? Zupełnie nie łąpię, o co ci chodzi i skąd się to wzięło, ale wolałabym, żebyś po prostu przestał, dobra?

– Niech będzie.

Do domu jedziemy w pełnym napięcia milczeniu. W pewnym momencie spotykamy się spojrzeniami i uśmiechamy do siebie. Oszczędnie, z mocno zaciśniętymi wargami.

Chciałbym jej opowiedzieć o wielu sprawach, ale w głowie słyszę wyłącznie coś w rodzaju radiowych zakłóceń. Moje myśli nie znajdują dla siebie wolnego od szumu kanału, nie są w stanie się przebić. Parkuję samochód przed jej domem. W mózgu wciąż mam jedynie wir i trzaski.

– No dobra. Więc... Dzięki – rzuca Jesmyn, sięgając do klamki. – Na ra...

– Jesmyn...

Zagląda mi w oczy. Czeka.

– Ja... – Nie mów, że coś do niej czujesz, przestrzegam się w duchu. Jeśli to zrobisz, polegniesz. Powiedz cokolwiek, byle nie to. – Ja coś do ciebie czuję. Lubię cię. Podobasz

mi się. Nie tak jak przyjaciółka. Znacznie bardziej.

Od razu wyczytuję z jej twarzy, że nie takie słowa miała nadzieję usłyszeć. Powietrze staje się gęste jak syrop.

Kręci głową, pochyla się, przymyka powieki.

– Carver... Carver... – Szept Jesmyn przypomina zboląły jęk.

Krew coraz szybciej krąży mi w żyłach.

– Ja naprawdę tego nie chciałem...

– Wierzę ci, ale nie mogę. Po prostu. Musisz o tym wiedzieć.

Nie jestem pewien, czy mogę. Tyle że nie mam innego wyjścia. Brnę dalej, bo muszę.

– Dlaczego nie?

– Dlaczego? Poważnie pytasz?

– Znaczący, oczywisty powód rozumiem.

– Właśnie. Chodzi o ten oczywisty powód. – Jesmyn kryje twarz w dłoniach, które tłumią jej słowa.

– Ty do mnie nic nie czujesz?

– Jesteś moim przyjacielem. Bardzo cię lubię.

– Przecież nie o to pytam.

Unosi ręce, jakby trzymała w nich jakieś niewidzialne pudełko.

– Carver, nie mogę. Nie poradzę sobie teraz z czymś takim. Czeka mnie przesłuchanie do Juilliarda. Muszę się przygotować. Dwa i pół miesiąca temu zginął mój chłopak, twój najlepszy przyjaciel. Nie jestem gotowa na kolejny związek.

– Kiedy poznałaś Eliego, byłaś gotowa już po trzech dniach.

– O Boże... Serio nie widzisz różnicy? Nie spotkałam go tuż po śmierci poprzedniego chłopaka.

Rozpadam się, rozszczepiam na drzazgi jak zbyt sucha deska.

– Dlaczego? Co jest ze mną nie tak?

– Nic nie jest z tobą nie tak.

Po co mi były te nowe ciuchy? I tak czuję się w nich jak błazen. Jesmyn świetnie widzi, co się pod tym sztucznym kostiumem dzieje.

– Chodzi o to, że nie jestem tak utalentowany jak Dearly? Albo jak Eli?

– Talent nie ma tu nic do rzeczy. Ani trochę. Przeczytałam twoje opowiadanie.

– I nie uznałaś nawet za stosowne o tym wspomnieć.

– Wiesz, nie mam zwyczaju opowiadać znajomym, jacy są genialni. Wolę im to okazywać. Tobie okazałam poprzez szacunek, jakim cię obdarzyłam. Za to ty, jak widać, nie potrafisz mnie uszanować.

– Dearly'emu powiedziałaś bez problemu. Rozpływałaś się w komplementach.

– Ale z nim nie jadłam codziennie szkolnych lanczy.

– Trochę pech, nie?

– Naprawdę jesteś zazdrosny o mojego ulubionego muzyka?

Siedzę z rozdziawioną gębą i staram się wykombinować, jak powiedzieć: „Nie”, podczas gdy prawdziwa odpowiedź brzmi: „Jak najbardziej”.

– Nie – odpowiadam. Wszystko się sypie. Nadal nie umiem się pohamować. Jakis

złośliwy głosik podszeptuje, bym podpalił całe swoje życie. – Eli nie był wcale aż tak fantastyczny. – Słowa parzą mnie w wargi jak ogień. Co ty wyprawiasz?

Jesmyn obrzuca mnie takim spojrzeniem, jakbym wymierzył jej siarczasty policzek.

– Powinieneś sam siebie posłuchać. Jeszcze tydzień temu... – unosi palec – jeden, jedyny tydzień wspólnie przeżywaliśmy jego pożeganie. Siedem dni temu – mówi coraz mniej pewnie, dławi ją szloch.

Patrzymy prosto przed siebie. Milczymy. Jesmyn kręci głową. Ociera wilgotne policzki.

– Gdyby Eli wiedział, że go zabraknie, chciałby, żebyśmy ze sobą byli – mówię bardzo cicho do siebie, z nadzieją że ona nie usłyszy i poprosi, żebym powtórzył.

Jesmyn odwraca się gwałtownie, przesywa mnie rozpalonym wzrokiem. Wymierza we mnie rozedrgany palec.

– Nie jestem cennym znaczkiem pocztowym, który można zapisać w testamencie, jarzysz, facet? Nie jestem niczyją własnością!

Niech się pali, niech się wali. Niech moje życie strawi pożar, myślę straceńczo.

– Nie chciałem...

Zdażyła już wysiąść. Ogląda się na mnie przez ramię.

– Chyba nie muszę tłumaczyć, że nie chcę, byś do mnie pisał, dzwonił ani ze mną rozmawiał? – Zatrzaszkuje drzwiczki z taką siłą, że nie wiem, jakim cudem szyba nie poszła w drobny mak.

Po kilku krokach zawraca. Otwiera samochód, a mnie przepelnia wyzbyta wszelkiej logiki, bezpodstawna nadzieja. „Słuchaj – powie – oboje daliśmy się ponieść emocjom. Zapomnijmy o tym wszystkim. Zostańmy przyjaciółmi”.

Tymczasem pochyla się i zagląda do środka.

– Jeszcze jedno. Być może miałeś szansę. Miałeś. Być może. Ale teraz? – Drzwiczki znów trzaskają koszmarnie głośno. Jesmyn znika.

Przez kilka sekund siedzę jak w śpiączce. Byłem dokładnie tak samo otępiały, gdy dowiedziałem się o wypadku Brygady Sos. Wtedy też zastanawiałem się, czy to się dzieje naprawdę. Tak straszne rzeczy nie powinny spotykać nikogo.

Drzwi domu Jesmyn wciąż się nie otwierają. Nie zapala się światło. Ból wlewa się we mnie w ten sposób, w jaki na filmach morską wodą wdziera się na pokład tonącego okrętu podwodnego. Najpierw pierwszy, nieśmiały strumień. Po chwili drugi, silniejszy, i kolejny. Stopniowo coraz bardziej intensywne. Przecieku nie da się zlikwidować. Aż wreszcie ocean obejmuje we władanie cały pokład. Nienasycone czarne fale, pochłaniające wszystkich i wszystko.

Nienawidzę Eliego. Nienawidzę swojego martwego przyjaciela.

A jeszcze bardziej nienawidzę siebie.

\* \* \*

Do domu docieram jedenaście minut po północy – wyznaczonej przez rodziców godzinie policyjnej. Niespecjalnie się tym przejmuję. Co mi niby zrobią? Zabronią wychodzić na miasto z kumplami? Zaglądam do ich sypialni, obejmuję ich po to, by mogli

się przekonać, że nie czuć ode mnie alkoholu ani gandzi, i idę do siebie. W korytarzu, zza drzwi pokoju Georgii, dolatują mnie wybuchy śmiechu, więc zmieniam zdanie. Przecież i tak nie usnę. Wychodzę na zewnątrz i siadam na schodkach. Opieram łokcie na kolanach. Nie mam pojęcia, jak długo tak trwam. Nigdy nie nosiłem zegarka, a niedawno straciłem też telefon. W końcu płoszy mnie skrzypnięcie frontowych drzwi. Odwracam się.

– Hej – mówi Georgia. – Tu się schowałeś. Kiedy wróciłeś?

– Jakiś czas temu. A gdzie Maddie i Lana?

– W środku. Wstawiły się i piszą głupie SMS-y do byłych. Przemyciłyśmy do domu butelkę wódki.

– Cieszę się. Naprawdę nie mam na nie nastroju.

– Poczekaj...

Siostra znika wewnątrz i wraca z kocem w rękach. Siada i okrywa nas oboje. Tuli się do mnie, dygocze.

– Okej. Wywal to z siebie.

– Nie chcę mi się gadać.

– Jesmyn?

– Aha.

– Za bardzo ci się spodobała?

– Tak.

– To dość oczywiste.

– Oczywiście? No to świetnie.

– I co? Bez wzajemności? Zły moment?

– Właśnie.

– To wszystko?

– A co, mało ci?

– Nie, ale pytam, czy to już wszystko?

Wzdycham i mocno zaciskam powieki.

– Spieprzyłem sprawę. Powiedziałem, co do niej czuję. I jeszcze kilka innych idiotyzmów. Naprawdę potężnie się wkurzyła.

Georgia tuli się do mnie, układa głowę na moim ramieniu.

– Oj, Carver...

Pocieram skroń, jakbym chciał zetrzeć jakąś plamę.

– Poza nią nie miałem na świecie nikogo. Była moją jedyną przyjaciółką.

– Wiem.

– Czuję się samotny.

– Nic dziwnego.

– Chciałbym jeszcze przed śmiercią poczuć kiedyś szczęście. Nic więcej.

Siedzimy bez słowa bardzo długo, w tęsknej, wołającej o miłość kałuży światła na ganku. Trzęsiemy się z zimna i słuchamy gasnącej w ciemności piosenki świerszczy. Daremne czuwanie kończymy dopiero wówczas, gdy powietrze nasiąka rosą.

## Rozdział trzydziesty siódmy

Dawniej sądziłem, że złamane serce przypomina przeziębienie albo ciążę i że nie można cierpieć podwójnie. Przecież nie można mieć dwóch katarów naraz. Najpierw trzeba się wyleczyć z pierwszego.

Prawda wygląda inaczej. Bardziej przypomina sytuację, kiedy po rodzinnym obiedzie czujesz się syty, a ktoś nagle ogłasza: „Jeszcze ciasto!”. I nagle w żołądku pojawia się dodatkowe miejsce, taka specjalna przegródka na deser. Z sercem jest podobnie – zawiera w sobie wiele przegródek. Jest w nim przestrzeń na miłość, na żalobę, na poczucie winy, na strach. A pęknąć, rozpaść się może każda z nich, niezależnie od innych.

Okazuje się, że na nowy ból miałem wystarczająco dużo miejsca.

Dowiaduję się tego w następną niedzielę po koncercie Dearly’ego, w dzień, który w całości mogę poświęcić na roztrząsanie swojej samotności. Dla bezpieczeństwa, dopóki Maddie i Lana nie wyjechały, siedzę zamknięty w swoim pokoju, co bardzo mi się nie podoba, ponieważ chciałbym spędzić trochę czasu z siostrą.

Ponownie odkrywam to w poniedziałkowy poranek, kiedy wchodzę do szkoły sam jak palec. Jasne, nie codziennie podwoziła mnie Jesmyn. Zawsze jednak spotykaliśmy się i gadaliśmy przed lekcjami. Inaczej niż teraz. A w porze lanczu? Jeszcze gorzej. Zawsze jadaliśmy razem. Siedzę w gwarnej stołówce. Mam nadzieję, że mnie zauważy, że ją przekonam, zdobędę swoim nieszczęściem i bólem. Bez sensu. Nie pojawia się w ogóle. Pewnie zjadła coś w pracowni muzycznej wraz ze swoją przyjaciółką Kerry i całą resztą utalentowanych szkolnych muzyków. Siedzę więc sam i zanurzam się w marzeniach. Wyobrażam sobie, że przychodzi równie zagubiona co ja. Wyobrażam sobie otaczającą ją bańkę melancholii. Ktoś pyta: „Co jest?”. „Nic” – odpowiada Jesmyn. Z tym że nią ktoś się zainteresował. Mnie natomiast wszyscy unikają jak ognia. Podejrzewam, że przekroczyłem krytyczny próg samotności. Bariera oddzieliła mnie od świata na dobre i teraz inni ludzie, nawet jeśli mi współczują, boją się, że gdyby zagadali, i tak nie zdołają mi pomóc, nie wypełnią ziejącej we mnie otchłani.

Jedyną osobą, która poświęca mi spojrzenie, jest Adair. Mija mnie w towarzystwie czterech koleżanek. Jej wzrok tryska jadem: dobrze ci tak. Upaja się moją izolacją niczym boskim nektarem. Nie martw się, Adair, duch twojego brata już się na mnie zemścił za to, że próbowałem poderwać jego dziewczynę.

Właśnie tak toczy się moje życie. Docieram do punktu, w którym więzienie zaczyna mi się wydawać całkiem akceptowalnym rozwiązaniem. Wtorek, środa, czwartek, piątek. Sobota i niedziela wyróżniają się wyłącznie dlatego, że nikt nie ogląda mojej samotności. I od początku. Poniedziałek. Wtorek. Środa. Jesmyn widuję z rzadka, a jeśli już, nawet na mnie nie spogląda. Rodzice wyczuwają, że żyję jak w izolatce. Pewnie promieniuję osamotnieniem, jestem radioaktywny. Tata zabiera mnie do księgarni i zapowiada, że mogę sobie wybrać, co zechcę. Nie jestem w nastroju. W czwartek policja zwraca mi komórkę i laptopa. Przywożą sprzęt do kancelarii pana Krantza. Włączam telefon, jakby gonił mnie sam diabeł. Może do mnie napisała, może pomyślała, że oddali mi telefon wcześniej? – łudzę się. Nie. Nic. Rozważam w duchu, czy nie powinienem się odezwać.

Zadzwoń. Zostaw wiadomość. Cokolwiek. Przypomina mi się jednak mina, z jaką mi tego zabroniła. Odliczam godziny pozostające do spotkania z doktorem Mendezem. To już w piątek. Poza nim naprawdę nikt mi nie pozostał. A gdybyśmy mu nie płacili, on też by zniknął.



## Rozdział trzydziesty ósmy

O tej porze zazwyczaj słuchałem ćwiczącej Jesmyn. W lepszych czasach. To dość zabawne („zabawne” oznacza w tym wypadku „koszmarnie smutne”), że lepszymi czasami nazywam okres, kiedy cierpiałem „wyłącznie” z powodu śmierci trzech najlepszych przyjaciół, nienawiści ich bliskich i perspektywy rychłego trafienia za kraty.

Siedzę w pokoju i czytam zadaną na angielski *Rzeźnię numer pięć*. Słyszę, jak mama odbiera telefon. Jej oficjalny ton od razu zwraca moją uwagę. Nadstawiam ucha.

– Dobrze... Zatem o piątej? W którym programie...? Dobrze... Tak, oczywiście. Czy mam potem oddzwonić...? Oczywiście, przekażę... Bardzo dziękuję.

Matka pędzi do gabinetu ojca, który brzdąkał akurat na gitarze. Instrument milknie.

Błagam, nie przychodźcie tu razem. Bardzo proszę.

Dolatują mnie ich kroki. Myślę sobie, że odpowiedzialne za wydzielanie adrenaliny gruczoły wkrótce mi eksplodują.

– Carver? – Tata puka w futrynę, mama staje obok. Nie uśmiechają się.

Patrzę na nich. Milczę.

– Przed momentem zadzwonił twój adwokat. Prokuratura zwołała w twojej sprawie konferencję prasową. Transmisja za godzinę. Krantz jest zdania, że podjęli już decyzję.

– Okej. – Krew dosłownie wyje mi w żyłach, mięśnie zmieniają się w papkę.

– Przyjdiesz do nas? Obejrzymy razem? – pyta mama.

– Dobrze. – Odnoszę wrażenie, że walec drogowy rozjeżdża mi jelita.

Odchodzą. Zbieram się w sobie, szykuję na najdłuższą godzinę życia. Tak bardzo chciałbym napisać do Jesmyn. Chociaż nie mam pojęcia co. Pewnie powinienem zacząć od przeprosin. A potem, gdyby zechciała mnie wysłuchać, stwierdziłbym jedynie: „Ktoś, gdzieś zna już odpowiedź na bardzo ważne pytanie: Czy życie Carvera Briggsa legnie w gruzach? (poprawka: Czy zostanie zniszczone jeszcze bardziej?). A ja poznam ją dopiero za godzinę.

Mija sześćdziesiąt minut. Siedzę w salonie pomiędzy rodzicami.

– Kimberly – odzywa się prezydent – rozumiem, że przenosimy się w tej chwili do gmachu sądu hrabstwa Davidson, skąd przemówi do nas prokurator okręgowa Karen Walker?

– Rzeczywiście, Peter. Już za moment poznamy oficjalną decyzję prokuratury w odniesieniu do wypadku drogowego, w którym pierwszego sierpnia poniosło śmierć troje nastolatków. Widzowie pamiętają zapewne, że w sprawie pojawia się problem posługiwania się komórkami w trakcie jazdy.

Mama zaczyna się trząść. Biorę niepewny oddech, lecz płuca mam zatkane, wypełnione wilgotnym cementem. Krew pulsuje mi w skroniach, w głębi karku rodzi się ból głowy. Kamera ukazuje zjeżoną mikrofonami pustą mównicę. Po chwili staje za nią pani prokurator.

– Dziękuję państwu za tak liczne przybycie. Wypadek, który kosztował życie Thurgooda Edwardsa, Blake’a Lloyd’a i Eliasa Bauera, do którego doszło pierwszego sierpnia, był niewątpliwie straszliwą tragedią. Otwartym pozostaje pytanie, czy w grę wchodzi przestępstwo. Od bez mała trzech miesięcy nasze biuro we współpracy z

odpowiednimi organami policji i FBI badało tę sprawę z najwyższą drobiazgowością. W wyniku tych działań doszliśmy do wniosku, iż...

Ciemnie mi w oczach.

– ...wspomniana tragedia...

Nie wiem, co się stanie, gdy to usłyszę. Kiedy dowiem się, że jestem skończony. Czy się rozpłaczę? Zacznę wrzeszczeć? Dostanę napadu? A może po prostu zemdleję?

– ...nie była wynikiem zachowania o charakterze przestępczym, w związku z czym prokuratura nie wniesie oskarżenia przeciwko czwartemu związanemu z wypadkiem nieletniemu...

Mama wybucha płaczem, wprost zalewa się łzami. Tata głośno wypuszcza wstrzymywane powietrze, chowa twarz w dłoniach i zaczyna cicho szlochać. Ja siedzę zupełnie nieruchomo, cicho. Wciąż nie jestem pewien, czy naprawdę usłyszałem to, co chyba jednak usłyszałem. Czuję się jak wtedy, gdy drzemiał przy włączonym telewizorze, zaczynam się zastanawiać, czy zasłyszane słowa padły z ekranu, czy może mi się przysniły.

– ...raz jeszcze spieszymy z kondolencjami i wyrazami współczucia dla państwa Edwardsów, Bauerów i Lloydów. Pragniemy również wykorzystać tę smutną okazję do stanowczego przypomnienia młodym ludziom, że korzystanie z telefonów komórkowych w trakcie prowadzenia pojazdów mechanicznych zawsze wiąże się z poważnym ryzykiem. Nawet w pozornie niewinnych sytuacjach zachowanie takie może pociągnąć za sobą straszliwe konsekwencje. Kierowana przeze mnie prokuratura nie zaprzestanie...

Mama otacza mnie ramieniem.

– Dzięki Bogu – powtarza co chwila, z tym swoim akcentem z Missisipi, który zawsze wraca w chwilach wzmożonego napięcia.

Ojciec przytula mnie z drugiej strony. A ja, skołowaciały, wciąż gapię się tępym wzrokiem w ekran.

Odzywa się komórka mamy.

– Halo? Och, tak... Mój Boże... Tak, nie ma pan pojęcia... Tak. Tak, jest. Już proszę... I serdecznie panu dziękuję. Naprawdę najmocniej... Dobrze, dobrze, naturalnie, do usłyszenia – żegna się i przekazuje mi telefon. – Pan Krantz – uprzedza półgłosem.

– Słucham?

– Carver? No i co, synu? Wygląda na to, że uciekłeś katowi spod topora!

– No... Hm, tak. Super – próbuję dorównać entuzjazmem adwokatowi.

– Od początku byłem przekonany, że nie będą mieli z czym iść do sądu. Podjęli jedyną słuszną decyzję.

– Jasne.

– A teraz słuchaj. Spod topora uciekłeś, ale kat wciąż czuwa. Prokurator może zmienić zdanie, więc lepiej byle komu nie opowiadaj o wypadku. Edwards nadal ma prawo wnieść pozew cywilny i domagać się odszkodowania. A ponieważ nie zostałeś uniewinniony w procesie karnym, miałby ułatwione zadanie. Muszę kończyć. Mam spotkanie z klientem. Gratulacje i trzymaj się ciepło.

– Okej. – Rozłączam się i ciężko wzdycham. Jestem wyczerpany. Chcę zostać sam.

– Muszę się położyć – mówię.

– Bardzo dobrze, kochanie. – Mama jeszcze raz przyciąga mnie do siebie. – Skoczę do Hattie B i przywiozę na kolację tego ich pikantnego kurczaka. Taką okazję trzeba uczcić.

W jakimś innym życiu ta jedna wiadomość wystarczyłaby, żeby uprzyjemnić mi cały wieczór.

Idę do siebie, rzucam się na łóżko i wpatruję w sufit. Strużki gorących łez wpływają mi do uszu, zniekształcają dźwięki. Zupełnie jakbym nurkował.

Nie wiem, dlaczego płaczę. Zupełnie możliwe, że ze szczęścia, choć pewności nie mam. Szczęściem byłoby, gdyby ta historia w ogóle się nie wydarzyła. Zapewne płaczę też z ulgi, lecz ukojenie naznaczone jest osobliwą domieszką rozczarowania. Podobnie mógłbym się czuć, gdybym całymi dniami stał przywiązany do stosu: liny boleśnie wpijają się w kostki i nadgarstki, ocierają skórę do krwi; język mi puchnie i pęka z pragnienia. Aż tu nagle facet w czarnym kapturze, z pochodnią w rękę, zamiast wreszcie podejść i podpalić stos, odrzuca żagiew na ziemię i zawraca. A ja wciąż tkwię unieruchomiony.

W kieszeni wibruje mi komórka.

Jesmyn! Na pewno też oglądała wiadomości. Dzwoni, aby mi pogratulować. Powie, że skoro prokurator uznał, że nie warto mnie karać, ona również mnie nie ukarze.

To nie Jesmyn – nieznanany numer. Może ten dziennikarz? Czyżby policjanci dali mu na mnie namiary? W końcu mieli mój telefon...

– Tak, słucham?

– Carver Briggs? – rozlega się kobiecy głos, oficjalny i oschły.

Ostatnio nie cierpię telefonicznych rozmów, których pierwszym akcentem jest moje imię i nazwisko. Wstaję z łóżka i zaczynam się niespokojnie przechadzać.

– Tak, to ja. Przy telefonie.

– Proszę zaczekać, łączę z sędzią Frederickiem Edwardsem.

Rozlega się muzyka, sekretarka nie dała mi szansy powiedzieć: „Nie, proszę, nie. Porozmawiam z każdym, tylko nie z nim”.

Siadam z powrotem. Nogi mam miękkie jak macki ośmiornicy.

Melodyjka się urywa i słyszę długi, powolny oddech.

– Czy wiesz, w jaki sposób zdobyłem twój numer? – W słuchawce brzmi granitowy ton sędziego Edwardsa.

– Nie, proszę pana. Nie wiem – odpowiadam ściśniętym głosem. Brzmie jak zbyt mocno napięta struna gitary. Ton winnego.

– Spróbuj się domyślić – rozkazuje. Nie zachęca.

Mam wrażenie, że w gardle stanęła mi kość.

– Od policjantów?

– Po śmierci Thurgooda policja zwróciła mi jego osobiste drobiazgi. Wśród nich znajdował się telefon. Wystarczyło sprawdzić ostatnią pozycję w rejestrze połączeń, żeby znaleźć twój numer. Ostatnią, bo zaraz potem mój syn zginął.

Sędzia nie dodaje ani słowa więcej i pozwala przemawiać ciszy identycznie jak doktor Mendez. Ta cisza jest jednak inna: podobnie milczałby ktoś zbierający siły, by przebić mnie mieczem.

– Ach... – Co można odpowiedzieć na coś takiego? „Świetnie, super pomysł”?

– Zakładam, że oglądałeś wiadomości?

– Tak, proszę pana. Oglądałem.

– Zapewne myślisz, że ci się po prostu upiekło? Że miałeś szczęście?

– No ja... ja...

– Otóż... – przerywa mi Edwards, co przyjmuję z niejaką ulgą, ponieważ na ostatnie pytanie również nie znalazłem właściwej odpowiedzi – ...wcale ci się nie upiekło. Zaraz coś ode mnie usłyszysz, ale jeśli powtórzysz to komukolwiek, będę bardzo niezadowolony. Naprawdę bardzo. Czy wysławiam się jasno?

– Tak, panie sędzio. – Pierzchną mi wargi.

– Osobiście poprosiłem prokuratora, żeby odstąpił od wysunięcia zarzutów. Przystaję cokolwiek rozumieć.

– Dziękuję panu – mówię po dłuższej chwili. – Obiecuję...

– Dziękuję panu? – powtarza z gorzkim śmiechem. – Nie. Nie zrobiłem tego, by wyświadczyć ci przysługę. Tym niemniej uważam, że masz wobec mnie dług, i zamierzam dopilnować, abyś go spłacił.

– Rozumiem... – Szykuję się na cios, na uderzenie młota.

– Doszły mnie słuchy, że zaangażowałeś się w coś, co nazywasz „pożegnaniami”. Jeśli się nie mylę, polegają one na tym, że spędzasz cały dzień z rodziną ofiary i wspomnianie w tym czasie osobę zmarłego?

– Zgadza się. – „Ofiary”, powtarzam w duchu.

– Zgadza się... – Edwards znacząco zawiesza głos.

– Tak, panie sędzio.

– Dotąd odbyły się dwa tego rodzaju pożegnania. Z rodzinami Lloydów i Bauerów.

– Tak, panie sędzio. Skąd pan...

– W jaki sposób się dowiedziałem? Adair Bauer skontaktowała się z moim biurem oraz z policją i prokuraturą. Uznała, że powinniśmy sprawdzić, czy nie powiedziałeś w trakcie tych spotkań czegoś, co mogłoby cię obciążyć. Chciała, żebyśmy porozmawiali z jej rodzicami. W zasadzie niezły pomysł.

To dlatego tak naciskała na rodziców, żeby się zdecydowali na spotkanie!

– Chciałbym pożegnać Thurgooda – ciągnie sędzia. – Życzę sobie spędzić z tobą taki właśnie dzień.

– Panie sędzio, ja naprawdę...

– W najbliższą niedzielę stawisz się w moim domu o godzinie piątej trzydzięci rano. Włóżysz strój stosowny do intensywnego wysiłku fizycznego. Przywiesz też również ze sobą ubranie na zmianę, odpowiednie do wizyty w kościele. Ma to być garnitur, który miałeś na sobie na pogrzebie mojego syna. Zrozumiano?

– Tak, panie sędzio.

W słuchawce zapada głucha cisza. Koniec połączenia.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

Mam nieodparte wrażenie, że nie jestem odpowiednio wdzięczny bóstwom losu za to, że odsunęły wiszące nad moim karkiem ostrze sądowego procesu. W końcu ostatnio nie marzyłem o niczym innym. Fantazjowałem o tym. Tyle że wcześniej byłem przekonany, że Jesmyn zostanie w moim życiu na dobre, i nie miałem pojęcia, że już niebawem spędzę cały dzień w towarzystwie jednej z dwóch osób, które nienawidzą mnie najbardziej na świecie.

Kilka mijanych na szkolnym korytarzu osób pozdrawia mnie zdawkowymi skinieniami. Ich miny wyrażają emocje w rodzaju: „Nie jestem pewien, czy powinienem pogratulować ci uniknięcia procesu, a jednocześnie czuję, że teraz, kiedy wiem, że nie jesteś w oczach prawa mordercą, łatwiej mi dostrzec twoją obecność”.

Nauczycielka angielskiego prowadzi mnie po lekcji na stronę i zapewnia, że bardzo się cieszy, iż sprawa znalazła taki właśnie koniec. Wszyscy nauczyciele i dyrekcja szkoły od początku zachowywali uczciwą bezstronność – ich udział ograniczył się w zasadzie do poinformowania o wizycie policjantów, którzy zabrali mi komórkę i komputer. Podejrzewam, że nie zachęcali mnie do wizyty u szkolnego psychologa, ponieważ bali się, że zamieszam go w sprawę o zabójstwo.

Z jakiegoś powodu to wszystko dodatkowo pogłębia moją depresję. Kiedy wchodzę samotnie do stołówki, mam naprawdę podły nastrój. Gdy godzinna przerwa dobiega końca, zaczynam rozumieć, że pozwoliłem zapłonąć w sobie nikłemu promykowi nadziei. Podświadomie spodziewałem się, że być może Jesmyn ulegnie i odszuka mnie choćby tylko po to, by powiedzieć, że cieszy się, iż nie trafię do więzienia.

Niewykluczone jednak, że wcale nie jest zadowolona. Może znienawidziła tak, że chciałaby się mnie pozbyć na dobre.

Staję przed swoją szafką, w której czekają podręczniki na następne zajęcia. Kiedy otwieram drzwiczki, ze środka bucha mi w twarz kłęb drobniutkiego ciemnoszarego popiołu. Kicham i gwałtownie mrugam. Łzawią mi oczy.

Jestem pewien, że to nie Eli. Zapach jest korzenny, leśny. Kojarzy mi się z wonią drogiego gatunku drewna, takiego, jakim w bogatych domach pali się w kominku.

Bauerowie mają kominek.

Siwy proch pokrywa dokładnie całe wnętrze szafki. Ktoś wykazał się niemałą inwencją – proszek trzeba było w jakiś sposób wdmuchnąć do środka przez wąskie otwory wentylacyjne.

Na dnie zauważam niewielką kremowej barwy karteczkę. Wyciągam ją i otrzepuję z popiołu. Nie jest to zwykła kartka z typowego bloku na notatki. Tekturka sprawia wrażenie kosztownej, ekskluzywnej. Widnieje na niej napis wydrukowany czytelną elegancką czcionką: MORDERCA.

Czuję na plecach palące spojrzenia Adair i innych. Wpatruję się w usmoloną szafkę, jakbym mógł w niej odnaleźć odpowiedź na pytanie. Stoję z kartonikiem w dłoniach i fantazjuję o tym, że mógłbym wpełznąć do środka i zatrzasnąć za sobą drzwiczki. Zaczekać i wyjść później, kiedy nie będę już musiał stawiać czoła tej dziewczynie.

– Stary, co się stało? – dolatuje mnie czyjś głos.

Ignoruję go i powoli, starannie wsuwam kartkę do kieszeni koszuli. Chowam ją na sercu. Mam nadzieję, że ona to widzi.

Ze wzrokiem wbitym w podłogę wychodzę na zewnątrz, przemierzam parking, wskakuję do samochodu i odjeżdżam. Po raz pierwszy w życiu zerwałem się z lekcji. Do takiej szkoły jak NAA jest zbyt ciężko się dostać, by marnować czas na wagary.

Czasem trzeba zrozumieć, że już nie uda się sprawić, by ktoś nas polubił lub choćby przestał nienawidzić. Do dyspozycji pozostaje nam wówczas tylko jedna ostateczna forma obrony – trzeba się przestać przejmować. Tyle że to wymaga prawdziwego nieprzejmowania się, a na to wciąż mnie jeszcze nie stać. W związku z tym nie mam się jak bronić.

W domu wchodzę do łazienki i przeglądam się w lustrze.

Wciąż mam popiół we włosach.

Wciąż mam popiół na twarzy.

## Rozdział czterdziesty

– Cóż, od naszego ostatniego spotkania często przyłapywałem się na myślach o nieszczęsnym Jiminy Kupczyńskim i restauracji dla kotów, którą otworzył, korzystając z zysków z systemu bezpieczeństwa, skradzionego z przyczepy ciężarówki Billy’ego Scruggsa. – Oczy doktora Mendeza zawadiacko pobłyskują między stalowymi oprawkami okularów.

– Przepraszam za to nazwisko, byłem wściekły – mamroczę pod nosem. Nagle dopada mnie wstyd, niepotrzebnie zakończyłem ostatnią sesję wybuchem.

– Dopatrzyłem się w nim swego rodzaju... nazwijmy to... skatologicznego humoru. – Terapeuta macha ręką. – Nie sądzisz chyba, że skoro jestem dorosłym mężczyzną z tytułem naukowym, przestały mnie śmieszyć żarty o kupie?

– Nie.

– Co u ciebie słyhać?

– Kiepsko. Bardzo kiepsko.

Czeka.

– No cóż... – Wzdycham. – Spieprzyłem sprawę z Jesmyn. Być może na dobre.

– Chciałbyś mi o tym opowiedzieć?

– Niekoniecznie.

Znów to jego spokojne, opanowane spojrzenie.

– Domyślam się, że jeśli nie opowiem, będzie pan tak po prostu siedzieć i milczeć? Wzruszenie ramion. Prawdopodobnie trafiłem.

– Okej. Wybraliśmy się na koncert. Taki, na który miała pójść z Elim. Po drodze w samochodzie puściła mi własny utwór. Niesamowity. A ona wyglądała tak pięknie... Wbiłem się w nowe ciuchy, siostra pomogła mi wybrać. A potem... pojawiła się zazdrość. Chyba. O jej uwielbienie dla muzyków. O Elię... O... Cholera wie, o co jeszcze. A na koniec wieczoru...

Odchylam się w fotelu, przeciągam dłonią po twarzy i spoglądam ponad ramieniem doktora Mendeza. Jego bezruch wydobywa ze mnie kolejne słowa.

– To naprawdę totalnie żenujące. Tuż zanim wysiadła, wyznałem, że coś do niej czuję. W odpowiedzi usłyszałem, że ona moich uczuć nie odwzajemnia, i wszystko się posypało. Dodałem, że Eli wcale nie był taki wspaniały i tak dalej, i tak dalej. Od prawie dwóch tygodni nie zamieniliśmy ze sobą jednego słowa.

Doktor Mendez kiwa głową. W zamyśleniu postukuje palcem o wargę. Wygląda, jakby pogrążył się w medytacji.

– Czy we własnym mniemaniu jesteś godzien związku z Jesmyn?

Już mam odpowiedzieć „oczywiście”, lecz gryzę się w język.

– Może i nie... – odpowiadam po kilkusekundowym zastanowieniu.

Terapeuta pochyla się w moim kierunku.

– Czy istnieje możliwość, że wprowadziłeś w naszą znajomość chaos, że dokonałeś swoistego sabotażu tej relacji właśnie dlatego, że na jakimś poziomie czujesz, że na tę dziewczynę nie zasługujesz?

W mojej głowie otwierają się nowe drzwi. Przekraczam ich próg.

– Tak. Istnieje.

W niejasny sposób ten wniosek przynosi mi ukojenie. Jednocześnie jednak niczego nie naprawia. Jeżeli w ogóle zmienia cokolwiek, to dodatkowo unaocznia, że jestem tu jedynym winnym. Niemniej...

– Z tego, co opowiadałeś, wynikało, że bardzo się do siebie zbliżyliście. Gdybym był hazardzistą, postawiłbym na to, że w końcu się pogodzicie.

– A jak mógłbym do tego doprowadzić? Jakież sugestie?

– Szczerość. Pokora. Słuchaj, zamiast mówić.

– Okej.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy.

– Poza tym... – podejmuję. – Dowiedziałem się wczoraj, że prokurator zrezygnował. Nie wniesie oskarżenia.

Twarz doktora Mendeza się rozpromienia. Terapeuta klaszcze ze śmiechem.

– Fantastycznie! Wygląda na to, że powinienem uważniej słuchać lokalnych wiadomości. Naprawdę cudowna informacja.

Szkoda, że mnie tak bardzo nie ulżyło.

– Tak, właśnie, ale...

– Ale...?

– Zgodziłem się odbyć ostatnie pożegnanie z ojcem Marsa.

– Czyli z sędzią?

– Tak, z sędzią, który mnie z całego serca nienawidzi.

– Hm.

– Mamy się spotkać już w niedzielę. Jestem przerażony.

– Nie dziwię się.

– Może mi pan coś podpowiedzieć? Nie wiem, jak mam sobie z tą sytuacją poradzić. Jeżeli tym razem podsunie mi pan coś konkretnego, już nigdy o to nie poproszę. Obiecuję.

Doktor Mendez bierze głęboki wdech i splata dłonie na kolanie.

– Bądź szczery. Bądź pokorny. Częściej słuchaj, mniej mów.



## Rozdział czterdziesty pierwszy

– Wiecie, co mnie dziwi? Wszyscy pogodzili się z istniejącymi nazwiskami i nikt nie czuje potrzeby wymyślania nowych – mówi Blake.

– Aha. W dawnych czasach ludzie otrzymywali nazwiska związane z zawodami. John, który zajmował się kowalstwem, nazywał się Smith<sup>3</sup>. A teraz nie pojawiają się żadni Johnowie Programiści czy Johnowie Dostawcypizy – dopowiadam.

Wybuchamy śmiechem, który niesie się po całym korytarzu.

– Bill... Akwizytor – rzuca Eli.

– Amber Gwiazdaporno – sugeruje Blake.

– Jim i Linda Śmieciarzowie – parskam.

– Doktor Manhattan – mówi Eli.

– To nie do końca... – zaczynam.

Eli przystanął i patrzy z góry na niskiego, chudego chłopaka z bujnym afro na głowie, okularami w czarnych oprawkach na nosie i pomazanych czarnym markerem tenisówkach na nogach. Siedzi oparty plecami o szafkę i rysuje w wielkim szkicowniku komiksową postać.

Zaskoczony chłopak podnosi wzrok.

– Co? Lubisz *Strażników*? – pyta.

– Pewnie – odpowiada Eli. – Mogę zerknąć?

– Spoko. – Chłopak wzrusza ramionami. – Ale jeszcze nie skończyłem. – Podaje szkicownik Eliemu, który przygląda się rysunkom z zachwyconą miną.

– Brachu, niesamowite grafiki! Gdybyś mi powiedział, że to ty rysowałeś *Strażników*, uwierzyłbym od razu.

Chłopak chucha sobie na paznokcie i poleruje je o koszulkę.

– Wiesz, chyba jasne, że to ja rysowałem *Strażników*, nie?

Eli parska śmiechem i wyciąga rękę.

– Eli Bauer. To zaszczyt, że mogę pana poznać.

– Mars Edwards. – Chłopak ściska podaną dłoń.

Następnie przedstawiam się ja i Blake.

– Słuchaj, wybieramy się właśnie do mnie pograć w *Spec Ops: Ukrainian Gambit* – mówi Eli. – We czterech grałoby się znacznie fajniej. Może się przyłączysz?

Oczy Marsa natychmiast się rozpromieniają. Widać, że cieszy się z zaproszenia.

– Super, dzięki – rzuca i nagle z powrotem markotnieje. – Szkoda, że nie mogę. Za jakąś godzinę muszę jechać z ojcem do kościoła. A mój stary potrafi być nieprzejednany. Powiedziałby coś w stylu: „Thurgood, mężczyzna nie unika raz podjętych zobowiązań nigdy, pod żadnym pozorem”. Thurgood to moje prawdziwe imię.

Śmiejemy się, słysząc, jak parodiuje ton taty. Rozbawił nas, mimo że przecież nie widzieliśmy jego ojca na oczy.

– Jesteś z kimś umówiony na lancz? – pytam.

– Nie. Jak na razie siadam sam. Dopiero poznaję ludzi – odpowiada Mars.

– To może zjesz z nami? – proponuję.

– Byłoby świetnie. Najczęściej wykorzystywałem długą przerwę na rysowanie.

– Znakomicie się składa. My zazwyczaj wykorzystujemy ją na pozowanie – rzuca Blake.

Następnego dnia Mars siada w stołówce przy naszym stoliku. W ten właśnie sposób skład Brygady Sos ustalił się na dobre. Pewnego razu Mars naszkicował mój portret. Oprawiłem go i zawiesiłem w swoim pokoju.

Właśnie teraz wpatruję się w ten rysunek. Leżę na łóżku i spoglądam sobie w oczy. Słucham skrzygnięć i postukiwań domu, wsłuchuję się w szum własnej krwi.

Szkoda, że nie mogę pogadać z Jesmyn. Ciekawe, czy jej zdarza się położyć na łóżku i pomyśleć o mnie. Zastanawia mnie, czy kiedykolwiek tęskni za chwilami, gdy układałem się pod jej fortepianem. Kolejny w moim życiu ból fantomowy.

Rozmyślałam o nadchodzącym dniu, który rozciąga się przede mną niczym spowita mgłą, nieznana rozległa kraina. Nie mam pojęcia, co się dzisiaj wydarzy ani jak się ten dzień potoczy.

Nie, wróć, pewne pojęcie jednak mam.

Razem z Marssem powinniśmy właśnie korzystać z nieskończonych możliwości, jakie oferuje ostatni wspólny rok szkoły. Zamiast tego, przeżywam coś zupełnie innego:

Pokutę.

Opowiadanie historii.

Pożegnania.

\* \* \*

Kiedy w ciemności przedświt podjeżdżam do pieczołowicie odrestaurowanego domu Edwardsów w starej części Nashville, mam wrażenie, że zaraz narobię ze strachu w gacie, a poza tym uważam, że wyglądam absurdalnie. Włożyłem naprędce sklecony zestaw treningowy, składający się ze starych szortów na WF, traperek, bawełnianej koszulki i bluzy z kapturem. Ze względu na ubiór musiałem ukradkiem wymknąć się z domu. Rodzicom wmówiłem, że wybieram się obejrzeć jeden z uniwersytetów, który biorę pod uwagę. Przecież nie mogłem powiedzieć, że spotykam się towarzysko z facetem, który chciał mnie wsadzić za kraty.

Punktualnie o piątej trzydzieści podchodzę do frontowych drzwi. Chłód szczypie mnie w odsłonięte łydki, lecz wcale nie mam pewności, czy winne jest poranne powietrze, czy jednak nerwy. Pukam delikatnie. Za drzwiami rozlegają się głośne, zdecydowane kroki.

Sędzia Edwards otwiera ubrany w czarne spodenki biegowe z wyszytym białym napisem „U.S.M.C.”<sup>4</sup> i połyskliwą czarną kurtkę biegową. Na tym mężczyźnie sportowy strój leży niczym elegancki trzyczęściowy garnitur. Zerka na zegarek, po czym podnosi na mnie spojrzenie pełne nagany.

– Spóźniłeś się.

Zamiast jelić mam w tej chwili jakąś galaretę.

– Przepraszam, panie sędzio – dukam. – U mnie była punktualnie piąta trzydzieści. Wyciąga przedramię, żebym mógł zobaczyć na własne oczy.

– Jest piąta trzydzieści dwie.

Cóż, dzień zapowiada się wprost fantastycznie.

- Przepraszam, panie sędzio. Bardzo przepraszam.
- Thurgooda wychowywałem na osobę punktualną. Postępując odmiennie, naruszamy cześć jego pamięci.
- Tak jest, proszę pana. Mars był zawsze...
- Słucham? Kto taki?
- Mars, proszę pana. On nigdy nie...
- Jedynym znanym mi Marsem jest rzymski bóg wojny.
- Mam na myśli pańskiego syna.
- Mojego syna, który nazywał się Thurgood Marshall Edwards?
- Tak, panie sędzio. Przepraszam.
- Uhonorujmy go zatem, posługując się w rozmowach prawdziwym imieniem.
- Tak jest.
- Jedziemy. Ja poprowadzę.

Zastanawiałem się, czy będzie nam towarzyszyć któryś ze starszych braci Marsa lub może siostra. Najstarszy służy w piechocie morskiej, w wojskowym biurze śledczym. Siostra kończy pisać doktorat na Uniwersytecie Princeton, a drugi brat studiuje medycynę na Uniwersytecie Howarda. W sumie nic dziwnego, że żadne z nich się nie pojawiło. Nieobecność matki zaskakuje mnie jeszcze mniej. Mars opowiadał, że jego rodzice bardzo często się kłócili.

Wsiadamy do opływowego mercedesa sędziego. Karoseria lśni niczym odlana z czarnego szkła. Pod udami czuję chłodną twardą tapicerkę z wytwornej skóry. Edwards bez słowa włącza ogrzewanie siedzeń i wyjeżdża na ulicę. Rozmowa praktycznie nie istnieje. „Raczej słuchaj, niż mów” – podszeptuje mi w głowie głos doktora Mendeza. „Nie ma sprawy, doktorku” – odpowiadam. Po około dziesięciu minutach dojeżdżamy do Shelby Bottoms Greenway, długiej na wiele kilometrów asfaltowej ścieżki poprowadzonej wzdłuż brzegu rzeki Cumberland. Miejsce świetne na jogging, jazdę rowerem, spacer z psami. Byłem tu kilka razy w życiu. Edwards parkuje i wsiadamy. Sędzia podchodzi do bagażnika, wyciąga butelkę wody i rzuca ją w moją stronę.

– Pij.

Zmagam się z zakrętką, butelka wypada mi z rąk, więc ją podnoszę. Wykonuję polecenie, chociaż wcale nie czuję pragnienia. Coś w tonie, jakim padło, sugeruje, że nie byłoby rozsądnie odmówić.

Ojciec Marsa wykonuje kilka energicznych ćwiczeń. Rozciąga mięśnie. Nigdy dotąd nie zwróciłem na to uwagi (zawsze widywałem go w garniturze), ale wygląda, jakby wyrzeźbiono go z samych mięśni, ścięgien i chrząstek. Od jego postaci bije swoista surowość, jakby cała radość i poczucie humoru zostały kiedyś wypalone żywym ogniem albo wyschły wskutek suszy.

W ramach rozgrzewki naśladowuję jego ruchy. Nie mam pojęcia, co robię.

– Ruszamy – pogania lakonicznym warknięciem niczym dyrygujący musztrą sierżant.

Zanim zdążyłem wyprostować grzbiet, jest już daleko.

Biegnę na najwyższych obrotach, żeby go dogonić i dotrzymać mu kroku. Nie jestem typem sportowca. Śladową formę utrzymuję dzięki spacerom, ale biegaczem za

nic nie można mnie nazwać. Moje traperki stworzone z myślą o marszach po trudnym terenie głośno uderzają o chodnik, kolana boleśnie odczuwają każdy wstrząs. Pierś faluje gwałtownie, płuca błagają o tlen. W ustach i oddechu wyczuwam słonawy, metaliczny posmak krwi. Puls łomocze w uszach. Zaczynam odpadać, zostaję w tyle.

Biegący przodem sędzia Edwards odwraca się przez ramię. Mimo że wciąż jest ciemno, wyławiam w jego oczach zaciekły błysk.

– Szybciej! Thurgood nade wszystko cenił sobie doskonałość. Uwielbiał pokonywać własne ograniczenia. Kochał osiągać sukcesy. Nigdy się nie poddawał. Ruszaj się!

Ruszam się. Mam wrażenie, że mordęga ciągnie się godzinami. Pędzę, jakby ścigała mnie sfora wściekłych psów. Słyszę płacz każdej komórki ciała, wszystkie dopraszają się powietrza. Cały zlałem się potem, od wilgoci robi mi się zimno. Kolana pulsują bólem. Pieką mnie stopy. Zanoszę się kaszlem, nie potrafię się powstrzymać. Ponownie zostaję z tyłu.

Edwards zatrzymuje się i odwraca. Czeka, truchtając w miejscu. Prawie nie znać po nim wysiłku. Zrównuję się z nim i zginam wpool. Opieram dłonie na kolanach i spluwam gęstą flegmą.

– Panie sędzio, jak daleko planuje pan biec? – świszczę. – Nie jestem pewien, czy...

– Mniej więcej dwanaście kilometrów.

Dwanaście kilometrów?! Na lekcjach WF umierałem po dystansie trochę dłuższym niż półtora kilometra. W dodatku wtedy zawsze biegałem własnym tempem, a nie sędziego Edwardsa.

– A ile już przebiegliśmy, proszę pana?

– Około trzech kilometrów z małym hakiem.

– Proszę wybaczyć – łapię powietrze. – Nie sądzę, żebym dał radę przebiec całą trasę.

Pochyla się, by spojrzeć mi prosto w oczy. Przysuwa twarz bardzo blisko, przez co czuję się podwójnie niezręcznie.

– Masz wrażenie, że nie możesz złapać tchu? – pyta ociekającym nieskrywaną niechęcią tonem. – Jakby kamienna lawina przygniotła ci pierś?

Kiwam głową.

– A serce boli tak, jakby miało zaraz pęknąć?

Potakuję.

– Pali cię każdy centymetr ciała? Tak bardzo, że chciałbyś wyzionąć ducha?

Potwierdzam skinieniem.

– Chciałbyś zwymiotować? Tu i teraz, prosto na ziemię? Tak mocno, jakbyś miał wyrzucić się na nice?

Kiwam głową.

Przysuwa się jeszcze bliżej. W jego oddechu wyczuwam woń głodu i płynu do płukania ust. Zaczynam się zastanawiać, czy on w ogóle coś jada. Może tylko myje zęby?

– Zatem rozumiesz, co czułem, kiedy odebrałem telefon z wiadomością o śmierci syna. – Głos Edwardsa zaczyna lekko drżeć.

„Ale rozumiałem to już wcześniej! – wykrzykuje mój umysł. – Czułem dokładnie

to samo!”

Sędzia wraca do swojej zwykłej pozycji, staje prosto i sztywno niczym żelazny słup. Wciąż czekam, by przeminął atak kaszlu. Postanawiam ugrać kilka cennych sekund za pomocą historii o tym, jak Mars kupił kiedyś bezdomnemu obiad, a potem narysował mu obrazek, by mógł go sprzedać.

– Pamiętam, jak pewnego razu Thurgood...

– Nie – ucina Edwards, dając wyraźnie do zrozumienia, że ma lepszy pomysł. Unosi palec. – O nie! Ten dzień nie będzie polegał na tym, że zaczniesz mi tłumaczyć, jaki był mój syn. Ten dzień posłuży temu, byś ty zrozumiał, co mi odebrałeś przez własną lekkomyślność, niecierpliwość i głupotę. Złap wreszcie oddech i ruszaj.

Każde słowo sprawia mi dodatkowe cierpienie. Rana na ranie. Jakbym uderzył w kamień odmrożonym palcem. Jak zdzieranie strupa z gojącego się skaleczenia.

Udaje mi się odzyskać kontrolę nad oddechem. Ojciec Marsa biegnie dalej, a ja wlokę się za nim. Powietrze parzy mnie w płuca. Wszystkie tarcze, jakimi zdołałem się osłonić, każda bariera, jaką postawiłem, właśnie eroduje i się roztopia. Jestem nagi, odsłonięty. Wylewają się ze mnie fale emocji, które starałem się tłumić. On wiedział, że tak będzie.

Zaczynam mieć kłopot z odrywaniem nóg od ziemi. Zaczepiam czubkiem buta o niemal niewidoczną szczelinę w asfalcie i padam jak długi. Zdzieram sobie skórę z kolan i dłoni. Leżę oszołomiony energią zderzenia, które wycisnęło mi z płuc nędzne resztki tlenu. Łzy mącą wzrok, próbuję się dźwignąć.

Słyszę zbliżające się kroki sędziego Edwardsa.

– Zrobiłeś coś sobie? – pyta tonem sugerującym, że wolałby, żebym był cały i zdrow. Chce mnie torturować znacznie dłużej.

Kręcę głową, lecz milczę. Tuż za strunami głosowymi czai się łkanie, a nie chcę go uwolnić. Podnoszę się niepewnie. Nogi mi dygoczą. Zimne, ostre powietrze owiewa świeżo odsłonięte nerwy. Nagle robi mi się niedobrze. Podchodzę na skraj ścieżki i wymiotuję w trawę wczorajszą kolację. Część wylatuje przez nos. Świat zaczyna cuchnąć wymiocinami.

Cóż, doktorze Mendez, peroruję w duchu, jeśli chodzi o pokorę, idzie mi znakomicie. Co do szczerości i otwartości, nie sądzę, by można było posunąć się dalej. W końcu publicznie zwymiotowałem. Jestem też pewien, że znacznie częściej słucham, niż mówię.

Odwracam się do sędziego Edwardsa. Wręcza mi wodę.

– Pij – mówi i tym razem w jego głosie pojawia się niemal nieuchwytna nuta współczucia. Piję, przepłukuję usta.

Oddaję butelkę.

– Dobra – rzucam, słysząc we własnym głosie potępieńczą rezygnację. – Możemy biec.

Ciekawe, czy dam radę zabiegać się na śmierć? Prawdę mówiąc, wcale nie jest wykluczone, że sędzia sprowadził mnie tu właśnie po to, by mnie wykończyć, ponieważ ścieżkę otacza gęsty, bujny las. Podejrzewam, że gdybym dołączył do chłopaków, poczułbym się znacznie lepiej.

– Myślę, że już wystarczy – orzeka sędzia i rusza z powrotem.

Byłem pewien, że pobiegnie, ale on po prostu idzie.

Kuśtykam jego śladem, tłumiąc ból i nudności.

Zaczyna świtać. Ponad czarną ścianą drzew wykwita jasna, różowopomarańczowa smuga. Na dróżce wciąż jednak jest ciemno i zimno. Obaj milczymy. Tak samo jak mój przyjaciel, którego przyszedłem uczcić i pożegnać.

\* \* \*

– Chodźmy do środka – rzuca sędzia Edwards. – Zabierz ręcznik i strój do kościoła.

Zgarniam ręcznik, którym kazał mi wyłożyć siedzenie, idę do swojego samochodu po garnitur i półbuty, po czym powłócząc nogami, wchodzę za nim do domu. Wciąż ciężko sapię.

Dom Marsa odwiedzaliśmy najrzadziej. Mars i Eli uwielbiali wpadać do mnie, ponieważ mieli szansę napawać się wdziękami Georgii. Do Blake'a wszyscy chodziliśmy chętnie z powodu babuni Betsy. Eli natomiast mógł się pochwalić najlepszą konsolą i komputerem do gier, a ponadto zawsze istniała szansa, że pojawi się Adair z kilkoma swoimi przyjaciółkami – wiadomo, wszystkie tancerki są niesamowicie zgrabne. W domu Marsa natomiast nie potrafiliśmy się wyluzować. Zawsze panowała w nim sterylność i zimna atmosfera. Aura bezlitosnej dyscypliny i organizacji. Blake ani razu nie puścił tam bąka. Naprawdę nigdy, nawet wtedy, gdy byliśmy sami. Zawsze się powstrzymywał, czekał, aż wsiądziemy do samochodu i ruszymy z powrotem.

– W takich miejscach się nie pierdzi – stwierdził pewnego razu (mimo że nie miał podobnego problemu w sklepach i na szkolnym korytarzu).

Jeśli w ogóle do Marsa przychodziliśmy, to nie wysuwaliśmy nosa z oazy chaosu, jaką stanowił jego pokój.

Staję w przedpokoju. Sędzia Edwards wchodzi na piętro. Boję się zrobić cokolwiek bez polecenia. Z góry dolatują mnie odgłosy krzątania.

– Na górę! – woła. – Łazienka jest w korytarzu!

Człapię po schodach. Po naszym biegu nawet tak niewielki wysiłek przychodzi mi z trudem. Wchodzę do łazienki.

Sędzia Edwards wskazuje ustawione w karnym szyku przybory.

– Woda utleniona. Bandaże. Ręczniki. Weź prysznic, opatrz rany i zadbaj o wygląd. Czeka nas wizyta w świątyni.

Kiwam potulnie głową. Wychodzi. Odwieszam garnitur na haczyk na drzwiach i się rozbieram. Stojąc nago w domu Marsa, czuję się bezbronny. Tym bardziej, że nigdy dotąd, nawet w najśmielszych snach, nie przyszłoby mi do głowy, że mógłbym się tu kąpać. W głębi ducha zaczynam się zastanawiać, czy Edwards nie planuje przypadkiem wparować, kiedy będę w kabinie, wyciągnąć mnie i wyrzucić na ulicę, rozebranego i mokrego. „Właśnie tak się czułem, kiedy zabiłeś mi syna” – powiedziałaby przy tym.

Kiedy spływają po mnie strugi gorącej wody – niosące ukojenie zboliałym kończynom, wypłukujące z nozdrzy paskudną woń wymiocin, usuwające plamy krwi z kolan i dłoni – przychodzi mi do głowy, że zamiast mnie wyrzucać, po prostu wyłączy nagle ciepłą wodę i będę musiał podskakiwać i dygotać w lodowatych strumieniach.

„Teraz już rozumiesz, jak się poczułem, kiedy zabrałeś mi dziecko” – rzuciłby triumfalnie.

Kończę jednak bez przeszkód i wycieram się ręcznikiem. Dezynfekuję otarcia wodą utlenioną, owijam bandażem dłonie i kolana. Zakładam garnitur, wiążę krawat, wbijam się w półbuty, po czym schodzę cicho na parter. Czuję się nieco mniej bezbronny. Sędzia już na mnie czeka. On także zdążył się umyć i przebrać w nieskazitelny, trzyczęściowy szaro-czarny garnitur. Na białej niczym letni obłok koszuli czerwienieje szkarłatny jak krew krawat. Wskazuje mi palcem stół w jadalni. Zauważam miskę, łyżkę, karton mleka i pudełko z płatkami.

– Jedz.

W żołądku czuję bezdenną pustkę, lecz jakimś cudem nie jestem głodny. Mimo to siadam, zalewam płatki mlekiem i zabieram się do posiłku.

Obok jadalni znajduje się gabinet sędziego. Słyszę, jak wchodzi do środka i siada. Po chwili dolatuje mnie skrobanie pióra na papierze. Robi mi się duszno. Powietrze tężeje.

– *Powiedz mu, kim jestem. – Szept Marsa rozlega się w martwej ciszy. – Sam nigdy tego nie zrobiłem.*

– *Nie potrafię – odpowiadam równie cicho. – Boję się.*

– *Czego?*

– *Jego. Ty się nie bałeś?*

– *Bałem, ale gdyby role się odwróciły, uczyniłbym to dla ciebie. Zastanów się, co więcej może ci zrobić?*

– *Nie wiem.*

– *Powie, że mnie zabiłeś?*

– *Niewykluczone.*

– *A co z Billym? Z Hirem? Z Jiminym?*

– *Mówisz jak doktor Mendez.*

– *To chyba niegłupi facet.*

– Już pora. – Sędzia Edwards wychodzi z gabinetu.

W dłoni trzyma plik papierów.

Podnoszę miskę i ruszam w kierunku kuchni.

– Thurgood zawsze zostawiał naczynia na stole.

Zamieram, zawracam i odstawiam miskę na blat.

– Doprowadzał mnie tym do szału.

Z powrotem sięgam po naczynie.

– Zostaw! – Poirytowany macha ręką. – Idziemy!

Kiedy wychodzimy z domu, zauważam, że sędzia Edwards obejrzał się przelotnie

na stojącą na stole miskę – pustą i nieruchomą.

\* \* \*

Podjeżdżamy do kościoła New Bethel, okazałego, nowocześnie zaprojektowanego budynku. Czuję w brzuchu narastające bulgotanie. To miejsce przypomina mi o pogrzebie Marsa, a takie skojarzenie poruszyłoby mi żołądek nawet wówczas, gdybym wcześniej nie puścił pawia.

– Kościół odgrywał w życiu Thurgooda doniosłą rolę. – Głos sędziego mąci głębokie milczenie, jakie panowało w samochodzie przez całą drogę. – Należał do religijnej organizacji młodzieżowej. Śpiewał też w chórze.

– Tak jest.

Kątem oka zauważam w bocznym lusterku odbicie własnej twarzy. Barwa mojej cery przywodzi na myśl jogurt grecki. Może tylko z wyjątkiem bladzielonej obwódki wokół oczu. Niewykluczone, że to jogurt o smaku limonki.

Edwards parkuje i wysiadamy. Prowadzi mnie w stronę czekającego przed kościołem gwarneho zbiorowiska. Jacyś ludzie witają go serdecznymi pozdrowieniami. Nie odwraca się, by sprawdzić, czy za nim idę. Nikomu mnie nie przedstawia. Parę osób wita również mnie, ale ich sympatia wypływa z faktu, że jestem jednym z wiernych, a nie znajomym sędziego. Przyglądają mi się ciepło i jednocześnie ciekawie.

Kiedy docieramy do nawy, sędzia patrzy na mnie z cieniem uśmiechu, który nie zdążył zniknąć mu z warg po rozmowie ze znajomym. Uśmiech gaśnie, gdy tylko spotykamy się spojrzeniami – pilnuje, bym nie pomyślał przypadkiem, że czuje do mnie sympatię. Wyciągniętym palcem wskazuje kolejno mnie i ławkę w środkowym rzędzie.

Potakuję i siadam na samym skraju.

– Na środek! – rozkazuje sędzia Edwards.

Przesuwam się na środek. Ławki szybko się zapełniają. Dociera do mnie, że znalazłem się w samym centrum kościoła. Po prawej stronie zasiada starsza kobieta w fioletowym stroju. Na głowie ma wielki, majestatyczny kapelusz. Również fioletowy. Z lewej strony pojawia się mężczyzna w połyskliwym garniturze koloru kości słoniowej. Przybył w towarzystwie żony i dzieci.

Edwards natomiast siada w ustawionym za mównicą czerwonym skórzanym fotelu. Zakłada nogę na nogę, splecione dłonie układa na kolanie. Na jego twarzy pojawia się nietypowa, niezrozumiała dla mnie mina.

Msza rozpoczyna się modlitwą i pieśnią do akompaniamentu żywej orkiestry. Słaniając się na nogach, wstaję i próbuję śpiewać. Nie mam talentu Jesmyn czy choćby Marsa, ale uznaję, że powinienem się postarać. Zresztą zdecydowanie wolę to niż mordercze biegi przed wschodem słońca. Nadal nie jestem pewien, dlaczego właściwie sędzia zajął miejsce w fotelu, ale gdzieś przecież musiał, a obok mnie nie usiadłby za nic. Niewykluczone również, że zazwyczaj tam się sadowi. W końcu jest VIP-em i w ogóle.

Pojawia się odziany w czarną sutannę pastor i wygłasza kilkuminutowe kazanie, przerywane co parę zdań rzucanymi z ławek donośnymi „amen” i „alleluja”. Wyłączam się. Mój umysł domaga się chwili wytchnienia. W pewnym momencie słowa duchownego zwracają moją uwagę.



– Bracia i siostry, słuchacie mnie co tydzień. Dzisiaj jednak spotkał nas zaszczyt wyjątkowy. Jeden z naszych najszacowniejszych braci, sędzia Edwards, zwrócił się do mnie z prośbą o zabranie głosu. Jeżeli więc pozwolicie, skrócę kazanie, a resztę czasu przekażę właśnie jemu.

Z ust zebranych wyrywają się okrzyki: „Tak, tak!”.

Gwałtowny przypływ adrenaliny zmusza mnie do wyprostowania pleców. Z tego może wyniknąć coś koszmarnego. Ale może chce mi publicznie wybaczyć? Tak jak na filmach. Zdejmie ze mnie ciężar winy i podejdzie ze łzami w oczach. Wyściska mnie, a wszyscy zaczną bić brawo. I będzie już dobrze. Przecież to zupełnie realne, prawda?

Sędzia Edwards podchodzi do mównicy powolnym, dostojnym krokiem. Tak poruszają się jedynie osoby przyzwyczajone do tego, że po ich wejściu pozostali zrywają się z miejsc. Wyciąga z wewnętrznej kieszeni marynarki kartkę i układa ją przed sobą.

Sunie spojrzeniem po twarzach wiernych. Na koniec jego oczy zatrzymują się na mnie i tu zostają. Nie dostrzegam w nich przebaczenia.

Kiedy się odzywa, ledwie go poznaję. Intonacja, barwa głosu – w ten sposób przemawiają księża i pastory. Ci najbardziej utalentowani.

– Bracia i siostry, na wszystkich nas ciąży obowiązek traktowania bliźnich tak, jak traktowałby ich nasz Pan, Jezus.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”.

– Jego przykład każe nam kierować się wobec nich miłosierdziem.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”.

– Gotowością do przebaczenia.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”.

– Podarowaną nam przez Niego miłością. Nieskalaną. Miłością.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”.

– Podobnie jak On, musimy w swoim życiu znieść wiele długich cierpień. Co jednak ze...?

Tłum czeka w gorączkowym napięciu.

– Powiedz nam, sędzio! – woła ktoś z sali. – Nauczaj! – dodaje inny głos.

– Co ze sprawiedliwością?

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”.

– Gdzie. Miejsce. Na. Sprawiedliwość? – skanduje Edwards, podnosząc głos.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”.

– W księdze Hioba natykamy się na następujące pytanie: Czy Bóg bywa niesprawiedliwy? Czy Wszchemocny postępuje niekiedy wbrew naszemu poczuciu sprawiedliwości...? – Zawiesza głos. Czekają, by wierni zaczęli domagać się odpowiedzi. – Otóż nierzadko tak właśnie czujemy.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”.

– Każdy z nas odnosi w określonych sytuacjach wrażenie, że Bóg wymaga więcej, niż jesteśmy w stanie z siebie dać. Że składa na nasze barki zbyt ciężkie brzemiona. Każe nam krwawić dłużej, niż to po ludzku możliwe. Płakać bardziej żałośnie, niż potrafimy wytrzymać.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”.

Edwards bez przerwy świdruje mnie palącym spojrzeniem. Rozpaczliwie próbuję odwrócić wzrok, lecz po prostu nie jestem w stanie. Ciężki przedmiot znów balansuje na krawędzi półki. Osuwam się pod lód. Z wysiłkiem staram się pamiętać o oddechu.

– Lecz Bóg jest wielki!

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Kilka nieśmiałych oklasków.

– Bóg jest dobry!

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa narastają.

– Bóg nas kocha, a zatem...

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Coraz głośniejsze oklaski.

– Bóg nie jest niesprawiedliwy!

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

Czoło pokrywa mi śliska warstewka potu. Czuję, jak mój żołądek szaleje, zaczyna mnie mdlić. Zjedzenie niewielkiej miski płatków okazało się poważnym błędem. Mam wrażenie, że wszyscy obecni w kościele, śledząc spojrzenie sędziego Edwardsa, wbijają we mnie wzrok.

– W psalmie trzydziestym siódmym czytamy: „Pan miłuje sprawiedliwość i nie opuszcza swych świętych; nikczemni wyginą, a potomstwo występnych będzie wytępione<sup>5</sup>”.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

– „Sprawiedliwi posiadą ziemię i będą mieszkać na niej na zawsze<sup>6</sup>”. – Sędzia przemawia coraz bardziej żarliwie, porywczo. Na jego czole nie widać najmniejszej nawet kropelki potu.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

– Bracia i siostry, być może nie dożyjemy wymierzenia ludzkiej sprawiedliwości za każde zło, jakie spotka nas na tym padole.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

– Być może nie skosztujemy za swoich dni słodczy mleka i miodu tej ziemi.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

– Lecz Bóg czuwa i widzi wszystko. Nie umyka mu nic.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

– A kiedy on wymierzy sprawiedliwość wedle własnej miary, spotka was zadośćuczynienie.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

– Moi drodzy, ja też pracuję w biznesie, któremu na imię sprawiedliwość. Kilka śmiechów, okrzyki poparcia.

– Aczkolwiek jestem w stanie wymierzać jedynie sprawiedliwość ludzką.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

– Sprawiedliwość słabą i wątłą.

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

– Bądźcie cierpliwi, bracia i siostry! Albowiem ci, którzy czynią nam zło, staną pewnego dnia przed sądem Boga Wszechmogącego! – W tym momencie niemal krzyczy. – I On wymierzy im swoją sprawiedliwość!

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu!”.

– A wówczas i wasze krzywdy zostaną pomszczone. Chwała Panu Najwyższemu!!!

Liczne „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Brawa. Okrzyki: „Chwała Panu Najwyższemu!”.

– Chwała Panu Najwyższemu, który spoglądał na własne ukrzyżowane dziecko, lecz pohamował karzącą dłoń! – To już zdecydowanie krzyk.

Spojrzenie Edwardsa stało się ognistym, rozgrzanym do czerwoności mieczem, powoli wbijającym się w mój brzuch.

Rozpaczliwie szukam sposobu na powstrzymanie napadu paniki. Moje myśli uciekają ku Billy’emu Scruggsowi. Ku Hirowi szybującemu przez niebo w swoim samochodzie. Ku Jiminy’emu. Ku wyrozumiałe milczącemu doktorowi Mendezowi. A jednak sprawiedliwy, nieustępliwy gniew sędziego Edwardsa rozcina to wszystko jak stal. Świat przeobraża się w rozkołysany pokład miotanego falami statku. Krople potu spływają mi po twarzy niczym łzy. Pierś faluje coraz mocniej. Czuję się tak, jakby powietrze zmieniło się w olej i płuca nie były w stanie wypełnić się tlenem. Kątem oka zauważam pełne troski spojrzenie siedzącej obok kobiety. Ignoruję ją, mam nadzieję, że o nic nie zapyta.

Sędzia Edwards kończy przemowę do wtóru burzliwych „amen”, „alleluja”, „tak, tak”, „uhm”. Do wtóru braw i okrzyków: „Chwała Panu!”. Wraca na miejsce. Zwieszam głowę i zaciskam zęby na kciuku.

Sąsiad z drugiej strony odwraca się do mnie i mówi:

– Nasz sędzia Edwards to wspaniały mówca, prawda?

Kiwam głową. O tak, jest prawdziwą gwiazdą, przyznaję w duchu. Wszystko, co mówił, było skierowane do mnie. Chyba i ja zostałem dzisiaj celebrytą. Bo w każdej dobrej historii powinien się znaleźć czarny charakter. To właśnie ja.

Kościół ponownie wypełnia muzyka, wierni wstają – klaszczą do rytmu, śpiewają. Nie, ja nie mogę. Osuwam się w wyczerpanie, ośpienie po napadzie i trwam tak aż do końca mszy. Edwards nawet na mgnienie nie odrywa ode mnie wzroku. Jeśli chce, niech mnie potem zwymyśla za to, że siedzę. Ja po prostu nie mogę stać.

To silne przeżycie – być wśród setek rozśpiewanych ludzi, którzy wyrażają swoją pieśnią żarliwą chęć posłania mnie prosto w otchłań piekła. Nawet jeśli sami o tym nie wiedzą.

\* \* \*

Z kościoła wracamy w identycznym milczeniu, w jakim przyjechaliśmy. Mam wrażenie, że powinienem coś powiedzieć, ale „fajne kazanie” nie wydaje się w tej chwili

zbyt stosowne.

– Panie sędzio, tęsknię za nim. Codziennie – odzywam się półgłosem. – Kochałem go.

Edwards parska śmiechem, kwaśnym i ostrym. Hamuje na środku ulicy. Za nami rozlega się klakson. Ojciec Marsa spogląda na mnie tak, jakby patrzył na oślizłą psią kupę podaną na talerzyku z chińskiej porcelany. Niedowierzenie i zdumienie miesza się z obrzydzeniem i pogardą.

– Twoje przekłete uczucia nie obchodzą mnie ani trochę. To nie jest dzień dla ciebie.

Potem, aż do domu, nie pada między nami ani jedno słowo.

\* \* \*

Sędzia Edwards wychodzi do kuchni. Wraca chwilę później z dwiema paczkami worków na śmieci. W jednej są czarne, w drugiej białe.

– Rozumiem, że drogę do pokoju Thurgooda znasz?

Kiwam głową.

– W czarnych umieścisz wszystko, co można rozdać organizacjom charytatywnym. Wszystko, co może się komuś przydać. Ubrania tak, buty nie. Przez całe życie niszczył je jak małe dziecko.

Mars opowiedział nam kiedyś, że ojciec pozwolił mu nosić tenisówki wyłącznie dlatego, że jego dziadek używał podobnych w charakterze kapci. Mars wytłumaczył tacie, że to rodzaj hołdu, i sędzia, o dziwo, dał się podejść.

Stoję osowiały, z paczkami worków w rękach.

– Do białych trafiają śmieci. Grafiki to również śmieci – dodaje Edwards.

Te słowa kaleczą mnie jak wciskane pod paznokcie srebrne drzazgi.

– W razie wątpliwości wrzucaj do śmieci. Kiedy skończysz, zastaniesz mnie w gabinecie.

– Czy chciałby pan coś zachować?

– Białe na śmieci. Czarne do rozdania. Widzisz gdzieś worki w innym kolorze? – przemawia jak do tępego krnąbrnego bachora.

– Nie, proszę pana.

– Jeszcze jakieś pytania?

Kręcę tylko głową i wdrapuję się ociężale po schodach. Szkoda, że nie mam możliwości pokazać mu, że wygrał, że zniszczył mnie niemal do cna. Fizycznie. Duchowo. Teraz zabrał się za uczucia. Już wiem, że zniszczył mnie i pod tym względem.

Przez chwilę stoję przed drzwiami pokoju. Szukam w sobie odwagi. Wreszcie naciskam klamkę. W nozdrza bije mnie odór niewypranych ubrań i zepsutego jedzenia. Zupełnie jakby od miesiący nikt tu nie zaglądał. Być może tak właśnie było. Wygląd wnętrza ostro, wyraziście kontrastuje z wyzutym z życia, sterylnym porządkiem panującym w pozostałych pomieszczeniach. Nagle uświadamiam sobie, że pokój Marsa zawsze pachniał dosyć podobnie. To po prostu jego zapach. A ten pokój był jego wyspą – teraz już bezludną. Czuję tęsknotę.

Sędzia Edwards zorganizował wszystko tak, bym cierpiał nawet wówczas, gdy go

przy mnie nie będzie.

Rozluźniam węzeł krawata, zdejmuję go wraz z marynarką i układam na wymiętoszonej pościeli. Podwijam rękawy i zaczynam od porzuconych na podłodze ubrań.

Którąś z tych koszulek mógł mieć na sobie w dniu, gdy Brygada Sos otrzymała swoją nazwę.

Inną mógł zakładać na wiewiórcze rodeo.

Na jeszcze kolejną mogły spaść wypłute ze śmiechu okruchy kanapki, którą jadł, gdy Blake pokazywał nam swój najnowszy filmik.

Przed wrzuceniem do czarnego worka biorę każdą do ręki, przykładam do twarzy i wącham. Pot zmieszany z dezodorantem Old Spice. Błagam odpowiedzialny za węch ośrodek mózgu, by tę woń zapamiętał, aby pozwolił mi ją przywoływać z pamięci, bo w rzeczywistości nigdy jej już nie poczuję.

Leżące na podłodze ubrania kojarzą mi się z czarodziejskimi marionetkami, z których wyciekło życie. Wkrótce wszystkie lądują w workach. Zabieram się za te z łóżka.

Kiedy wygarniam rzeczy spod łóżka, natykam się na miseczkę z zapleśniałym masłem orzechowym. Ulubiony przysmak Marsa. Mieszał masło z syropem klonowym i maczał w tym chleb. Kiedy się wydało, prawie pospadaliśmy ze śmiechu z krzesel.

– Stary, nigdy nie słyszałem, by ktoś jadł coś równie żalospnego – wydyszał trzęsący się spazmatycznie Eli.

– W sumie mógłbyś równie dobrze jeść lukier z puszki – dodałem.

– Wiecie co? Ja przynajmniej nie opycham się spaghetti z musztardą i keczupem. Jak niektórzy – odparował Mars.

Blake spojrział na mnie i wzruszył ramionami.

– Sam mu opowiedziałem. Przecież dobre było.

– Dobra, ale odtąd zachowaj ten przepis dla siebie.

Wrzucam miseczkę do białego worka.

Ściągam z półek komiksy i wkładam do czarnych worków. Mogą się komuś przydać.

Pełne worki ustawiam w szeregu na korytarzu.

Tylko tyle po nas zostaje.

Zaglądam do szuflad. Znowu ubrania. Kolejne czarne worki. Przedostatnia szuflada jest dosłownie zapchana przyborami plastycznymi. Biały worek.

Kiedy wysuwam ostatnią, ukazuje mi się gruby plik rysunków. Od początku wiedziałem, że je znajdę. Aż dziwne, że nie natknąłem się na nie wcześniej. Mimo to nadal nie jestem gotów ich oglądać. Jeśli ubrania Marsa były jego ciałem, to teraz trzymam w dłoniach jego duszę.

Siadam na podłodze, opieram się plecami o łóżko, chowam twarz w dłoniach i płaczę. Ponownie mówię Marsowi, jak bardzo mi przykro. Przeglądam rysunki – kartka za kartką, zeszyt za zeszytem. Szkice postaci. Mars ćwiczył bez przerwy. Sędzia Edwards miał rację – jego syn kochał doskonałość i nigdy się nie poddawał.

Znajduję rysunki przedstawiające jego braci i siostrę.

Portrety dwóch koleżanek ze szkoły.

Grupowa scena – wszyscy członkowie Brygady Sos.

I nagle pojawia się coś, co widzę pierwszy raz w życiu. Nie pojedynczy obrazek, tylko gruba, choć niedokończona obrazkowa opowieść. Komiks. Zatytułowany *Sędzia*. Wertuję. Bohaterem jest ciemnoskóry sędzia, który walczy z przestępczym podziemiem w nękanym zepsuciem i korupcją futurystycznej metropolii.

Nagle przed oczami staje mi Hiro. Tym razem jednak nie sunie pod niebem na mechanicznych skrzydłach. Widzę go podczas konfrontacji z szefem, kiedy przedstawia pomysł mogący uratować wiele ludzkich istnień. Widzę, jak błaga, jak przekonuje, demonstrując coraz to nowe projekty i schematy.

Koniec z tym.

Dość porażek i depresji.

Dzisiaj nie umrze już żadna opowieść.

Strach wypływa niczym krew z otwartej rany. Opuszcza mnie. Podnoszę się zbyt szybko i stoję, czekając, aż ustąpią zawroty głowy. Zabieram *Sędzię* i kilka innych grafik. Zbieram swoje historie o Marsie Edwardsie. Schodzę na drżących nogach na parter. Grawitacja odczuwalnie szarpie moje jelita.

Sędzia Edwards siedzi w otoczeniu oprawionych w skórę ksiąg i z furią tłucze w klawiaturę laptopa. Od powrotu z kościoła nawet nie rozluźnił krawata.

– Skończyłeś? – pyta, gdy stoję w drzwiach.

Nawet nie podnosi wzroku.

– Panie sędzio, znalazłem coś, co moim zdaniem, powinien pan zobaczyć.

Odwraca się wraz z fotelem.

– Pytałem, czy już skończyłeś?

Wyciągam ku niemu papiery. *Sędzia* leży na samej górze.

– Proszę pana, to wszystko prace Marsa i myślę, że zanim je wyrzucę, powinien je pan obejrzeć. Jeśli pan tego nie zrobi, będzie pan żałował.

Podnosi się, podchodzi. Staje tuż przede mną. Jest znacznie wyższy. Jego twarz przeobraża się w maskę czystej gorącej wściekłości.

– Thurgood. On miał na imię Thurgood. To imię wyryto na jego nagrobku. Jak śmiesz mówić mi o żalu? – Kolejne słowa wypływa z siebie niczym wyssane z rany krople jadu żmii.

Tracę dech w piersiach. Ogarnia mnie strach. Chcę się odwrócić i uciec. A jednak stoję. Nie masz nic do stracenia, mówię sobie w duchu. Opowiedz mi jakąś historię.

– Nie cierpiał imienia Thurgood. Prosił wszystkich, by zwracali się do niego Mars. Tak właśnie robiliśmy. Sam mówił o sobie w ten sposób. Stworzył ten komiks. Mam wrażenie, że bohater jest wzorowany na panu. Proszę, niech mi pan pozwoli opowiedzieć...

– Zamknij się. Zamknij się, morderco! – Zimna ślina tryska mi na twarz.

Edwards oddycha przez nos, szybko i płytko.

– Proszę pana, muszę powiedzieć...

Wskazuje mi palcem frontowe drzwi. Poderwał ramię tak gwałtownie, że rozpruł sobie rękaw.

– Wynoś się! W tej chwili, zanim cię pozwę i pozbawię całą twoją rodzinę

ostatniego centa.

– Nie. – Buńczucznie patrzę mu w oczy. – Jeszcze nie mogę, panie sędzio.

– Od tego momentu bezprawnie naruszasz granice mojej prywatnej posesji. Wyjź lub usunę cię stąd siłą.

– Najpierw wysłucha pan, co mam do powiedzenia.

Edwards pokonuje ostatni dzielący nas krok i chwyta mnie za rękę, w której trzymam rysunki. Papiery rozsypują się dokoła. Okręca mnie tak brutalnie, że niemal potykam się o własne nogi. W pionie utrzymuje mnie jedynie zabójczy uścisk sędziego. Na poły mnie popycha, na poły wynosi do holu.

– Panie sędzio... Proszę... Pożegnajmy go jak należy. Proszę mi pozwolić opowiedzieć o Marsie, którego pan nie znał.

– Won!

– Naprawdę mogę panu o nim opowiedzieć. Mogę go pokazać takim, jakiego pan nigdy nie widział. Mars... – Słowa toną w bolesnym okrzyku. Miażdży mi ramię na proch.

Wolną ręką otwiera frontowe drzwi i popycha mnie na szklane drzwi werandy. Robi to z taką precyzją, że uderzam bokiem o klamkę, nie tłukąc przy tym szyby. Zaraz potem pcha ponownie, z siłą parowego tłoka.

Spadam z wysokości dwóch stopni, zahaczam butem o najniższy i padam bezwładnie na cement. Uderzając o podłoże, zdzieram sobie skórę z ucha. Jakimś cudem nie uraziłem żadnej rany z poranka. Leżę, a tymczasem sędzia Edwards zatrzaskuje z hukiem drzwi werandy i domu. Te ostatnie wałą w futrynę tak mocno, że przeszkłone drzwi werandy uchylają się na powrót. Ociężale dźwigam się do pionu. Krwawię z kilku świeżych otarć i zadrapań. Krew wsiąka mi w spodnie. Miałem ten garnitur na sobie podczas trzech pogrzebów i jednego z najgorszych dni w życiu. Powinienem go spalić. Tyle że nie wiem, czy kiedykolwiek odzyskam marynarkę.

Utykając, nie oglądając się za siebie, dopadam samochodu. Pod butami szeleszczą mi martwe piękne liście – niektóre równie złote jak przeświecające między gałęziami drzew promienie południowego listopadowego słońca.

\* \* \*

W domu nie zastaję rodziców – okazuje się, że poszli do kina. Spora ulga. Nie byłoby najlepiej, gdyby zobaczyli mnie w podartych zaplamionych krwią spodniach od garnituru i eleganckiej koszuli z podwiniętymi rękawami. Nie udałoby mi się wymyślić dostatecznie przekonującej historii, która mogłaby uzasadnić taki wygląd. W końcu miałem przecież odwiedzić uniwersytet. Ściągam z siebie brudne spodnie, wtłaczam je na samo dno kosza na śmieci i przykrywam warstwą odpadków. Myję się i opatruję otarcia.

Wreszcie padam na łóżko i śpię bez snów niemal trzy godziny. Kiedy się budzę, rodzice są już w domu. Gdy wchodzę do kuchni, żeby coś przekąsić, pytają, jak podobała mi się uczelnia.

– Bardzo – odpowiadam. – Całkiem fajne miejsce.

Nie chodzi o to, że nie chcę im opowiedzieć, przez co przeszedłem. Po prostu nie mam pojęcia, od czego zacząć.

Następne dwie godziny spędzam praktycznie beczynn timer. Odczuwam specyficzną

odmianę typowej depresji niedzielного wieczoru. Tyle że tysiąc razy silniejszą. Jakby każdy kolejny dzień mojego życia miał być poniedziałkiem. Co chwila odtwarzam w głowie dzisiejsze wydarzenia. Gdybym miał wybór, milion rzeczy powiedziałbym i zrobił inaczej.

A może wszystkie moje próby odzyskania szczęścia skazane są na porażkę?

Siedzę przy biurku i próbuję się zagłębić w jedną z książek z mojej olbrzymiej listy zaległych lektur. W pewnym momencie przednią ścianę domu omiatają snopy światła reflektorów błyszczącego czarnego samochodu. Rodzice nie wspominali, że spodziewają się gości.

Przyglądam się limuzynie uważnie. Nagle ją poznaję i niczym elektryczny wstrząs przesywa mnie groza. Ze środka wysiada sędzia Edwards. Pod pachą trzyma jakiś pakunek.

O nie. Nie. Nie. To nie może się dzieć naprawdę. Dlaczego on to robi? Przyjechał mnie zabić. Właśnie po to przyjechał. Zniszczył mnie fizycznie, duchowo i emocjonalnie, lecz wciąż mu mało. Teraz zamorduje mnie dosłownie i włos mu z głowy nie spadnie, bo jest sędzią.

Wybiegam po cichu do holu i wyglądam przez dziurkę od klucza. Nogi dygoczą mi tak bardzo, że ledwo stoję. Na stoickiej, kamiennej twarzy Edwardsa nie widać śladu emocji. Gdy unosi dłoń do dzwonka, otwieram drzwi. W jego spojrzeniu na mgnienie pojawia się wyraz zaskoczenia. Tego się nie spodziewałem.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie uważnie, jakbyśmy mieli nadzieję, że słowa, których szukamy, magicznie zmaterializują się na naszych czołach.

Otwieram usta, lecz uprzedza mnie Edwards:

– Opowiedz mi o Marsie – prosi cicho, łagodnie. Wolną ręką wyciąga z kieszeni płaszcza komiks. *Sędziego*. – Opowiedz mi o moim synu.



## Rozdział czterdziesty drugi

Ubrany jest w beżowy płaszcz z wielbłądziej wełny. Pod spodem ma na sobie granatową kamizelkę i koszulę w drobną fioletową kratkę. Nie zapiął jej pod samą szyję. Włożył wygodne wiśniowe buty. Płowy kaszkiet. Uświadamiam sobie, że to musi być jego wersja swobodnego domowego stroju.

– Proszę. – Podaje mi starannie złożoną marynarkę i krawat.

Odbieram swoje rzeczy, lecz wciąż sterczę na progu jak słup soli.

– Kochanie, kto... – Za moimi plecami pojawia się mama. Na widok sędziego Edwardsa zamiera. – Słucham pana, o co chodzi?

– Dobry wieczór pani, przyjechałem zapytać, czy...

Dołącza do nas ojciec. On z kolei błędnie.

– Panie sędzio, czy możemy w czymś pomóc?

Za każdym razem, gdy ojciec ulega silnym emocjom, do jego głosu zakrada się wyraźny irlandzki akcent. W tej chwili mówi tak, jakby dopiero wysiadł z samolotu z Dublina. Edwards patrzy mu spokojnie w oczy.

– Miałem właśnie zapytać pańską małżonkę, czy mógłbym na kilka godzin porwać Carvera. Oczywiście, jeśli się zgodzi. Chciałbym lepiej poznać swojego syna.

– Próbował pan odebrać nam dziecko. – Ze słów mamy bije piekielna furia.

Dzięki Bogu panuje nad sobą bardziej niż Georgia. Mimo wszystko, tak dla pewności, ojciec delikatnie przytrzymuje jej rękę.

Mina sędziego sugeruje, że z jego perspektywy sprawa wygląda nieco inaczej. Odpowiada jednak bez uniesienia:

– Staralem się dojść do sprawiedliwości. Aczkolwiek rozumiem, że w kwestii znaczenia tego pojęcia możemy się różnić.

– Mamo, to właśnie pan sędzia Edwards poprosił prokuratora o wycofanie zarzutów – wtrącam. Zaraz, co ja? Bronię go?

– Wolałbym, żeby ta informacja nie dotarła do powszechnej wiadomości. – W tonie ojca Marsa pobrzmiwa dawny sędzia Edwards. – Przepraszam. – Kiwa głową i na powrót staje się nowym łagodniejszym sobą.

– Jeżeli rzeczywiście to prawda, to pozostaje mi panu podziękować – odzywa się mama półgłosem.

– Wiem, że jest pan sędzią – mówi tata z szacunkiem, poważnie, lecz z zadziorną nutą – ale jeśli to spotkanie ma być swego rodzaju... – Urywa.

– ...podstępem, pułapką – dopowiada swoim zwykłym tonem Edwards i zapewnia: – Nie, nic z tych rzeczy. Bardzo zależy mi na tym spotkaniu, a jak zapewne potrafią się państwo domyślić, mam za sobą kilka niełatwych miesięcy.

W spojrzeniu mamy zapala się ogień współczucia. Patrzę na nią i staram się przekazać miną coś w rodzaju: to dla mnie szansa. Chciałbym z niej skorzystać.

– Jeśli tylko chcesz, kochanie – mówi mama.

– Wybór należy do ciebie, Carver – dodaje tata. – Nie musisz z nim iść.

– Chcę opowiedzieć sędziemu o Marsie – tłumaczę. – Wiem o nim to, o czym sędzia nie ma pojęcia.

Rodzice wymieniają się niespokojnymi spojrzeniami, lecz nie komentują.

– To naprawdę ważne – ciągnę. – Zastanówcie się, jakbyście się czuli w odwrotnej sytuacji? Gdyby ktoś mógł opowiedzieć wam o mnie?

Ustępują. Edwards żegna się z nimi uściskami dłoni.

Wychodzimy i przez chwilę siedzimy w jego samochodzie. Adrenalina, która wypełniła mi żyły, gdy tylko zobaczyłem go przed drzwiami, powoli odpływa.

– Być może poczujesz się lepiej, jeśli usłyszysz, że nie zaplanowałem na dzisiaj nic więcej – odzywa się Edwards. – Jestem otwarty na twoje propozycje.

Sprawia wrażenie człowieka, któremu przydałoby się coś słodkiego i bardzo tuczającego. Mnie na pewno.

– Panie sędzio, lubi pan szejki? – pytam.

– Wiesz, dajmy sobie spokój z tym „panem sędzią” na ten jeden wieczór. I owszem, lubię.

\* \* \*

– Masło orzechowe z bananem? Dlaczego nie waniliowa czekolada?

– Ewentualnie mogliśmy wziąć dyniowe z korzennymi przyprawami – odpowiadam.

– Brzmi jeszcze gorzej – stwierdza sędzia Edwards.

– Masło orzechowe z bananem to ulubiony smak Marsa. Być może panu też przypasuje.

– Ech, wszystko teraz muszą komplikować – marudzi Edwards, po czym niepewnie nurza wargi w szejku. – Nieźle. – Popija raz jeszcze i unosi kubek jak do toastu. – No dobrze, przyznaję. Lepsze niż nieźle. Rozumiem, dlaczego przypadło do gustu Marsowi. – Za każdym razem, gdy nazywa zmarłego syna Marsem, na moment się zacina.

Siedzimy w parku przy piknikowym stole. Rozglądam się dokoła, lecz nie widzę ani jednej wiewiórki. Opowiadam sędziemu o zasadach rodeo.

Śmieje się cicho i kręci głową.

– Dobry Boże, dziadek Marsa demonstrował ramię w ramię z Martinem Lutherem Kingiem po to, by jego wnuk mógł swobodnie i bezkarnie uganiać się za wiewiórkami. Jeśli to nie jest postęp...

Uśmiecham się. Po raz pierwszy od rana.

– On wiedział, że pan coś takiego powie. Przewidział prawie co do słowa...

Iskra, jaka chwilę temu zagościła na twarzy Edwardsa, bardzo szybko gaśnie. Pociąga kolejny łyk szejka i rozkoszuje się smakiem, wpatrzony w ciemność.

– Mars na pewno uważał, że traktuję go zbyt ostro.

– To prawda.

– Rzeczywiście byłem surowy. Zgadza się. Nie wolno ci jednak zapominać, że w tym kraju młody czarnoskóry chłopak nie może sobie pozwolić na najmniejsze nawet potknięcie. Musiałem mu to wpoić. Musiałem go nauczyć, że jeżeli będzie się zachowywał tak, jak zachowują się biali chłopcy, jego przyjaciele, spotka się z ostrzejszymi ocenami niż oni. Nawet mając ojca sędziego. Ludzie, policja... Nikt nie zobaczyłby w nim dziecka z sędziowskiej rodziny. Nie widzieliby dzieciaka, który ciężko

pracuje i stara się żyć zgodnie z zasadami. Ujrzeliby kolejnego „czarnego gangstera”, jak w pewnych kręgach wciąż określa się wszystkich ciemnoskórych młodzieńców. Gdyby zrobił cokolwiek złego bądź choćby niestosownego, natychmiast znalazłyby się wszystkie jego zdjęcia w zbyt szerokich spodniach, fotografie przedstawiające go w chwilach zabawy typowej dla normalnych młodych ludzi. Stałyby się dowodem na to, że sam jest sobie winien. – Urywa na moment, po czym dodaje: – Chcesz wiedzieć, dlaczego poprosiłem prokuratora, by nie wysuwał zarzutów? Ułatwię ci. Nie z sympatii do ciebie. A już z pewnością nie dlatego, że uważam cię za winnego.

Chcę się tego dowiedzieć, i to bardzo, ale zarazem bardzo nie chcę.

– Powiem ci – podejmuje sędzia, zanim zdążyłem otworzyć usta. – Nie chciałem, by mój syn stał się oskarżonym w procesie o własną śmierć. A właśnie tak by się ta sprawa skończyła.

– Przecież ja bym w życiu nie... – mówię słabym głosem.

– Czego byś nie zrobił? Nie próbowałbyś obarczyć go winą? Nie starałbyś się uniknąć konsekwencji?

– Nie.

– Teraz tak mówisz. Niestety szlachetność postaw ma to do siebie, że znika, gdy tylko na horyzoncie pojawia się realna perspektywa kary. Poza tym decyzja nie należałaby do ciebie. Nie w pełni. Podjąłby ją za ciebie Jimmy Krantz. Znam go jak własną kieszeń. Zrobiłem to, by uchronić swoje dziecko. Z myślą o nim, nie dla ciebie.

Uchodzi ze mnie powietrze. Może jednak niepotrzebnie przystałem na tę rozmowę.

Sędzia Edwards w roztargnieniu miesza napój słomką. Z jakiegoś powodu miarowy ruch mnie uspokaja.

– Cóż, to akurat najmniej ważne. Nie po to się spotkaliśmy. Liczy się fakt, że po prostu nie mogłem traktować Marsa łagodnie. Musiałem być ostry, gdyż wiedziałem, że świat może z nim postąpić jeszcze bardziej surowo. Jako urzędnik wymiaru sprawiedliwości widuję takie sytuacje praktycznie codziennie.

Fala adrenaliny ostatecznie załamuje się i opada. Znajduję w sobie dość odwagi, by skierować rozmowę na potencjalnie niebezpieczny tor. Wchodzę w rolę doktora Mendeza.

– Dlaczego chciał pan, żebym wyrzucił jego prace? Żeby zapomnieć?

Skonsternowany sędzia spuszcza głowę i wbija wzrok w czubki własnych butów.

– Nigdy tej pasji nie rozumiałem. Nie ja posłałem go do artystycznego liceum. Kiedy rozwiodłem się z jego matką, częścią ugody był warunek, że Mars zamieszka ze mną, a ona wybierze dla niego szkołę. Byłem przekonany, że zdecydowała się na NAA wyłącznie na przekór mnie.

– Na pewno nie. On po prostu kochał rysować.

– Teraz zaczynam to rozumieć.

– Właśnie po to ze sobą rozmawiamy.

– Zgadza się.

– Czy kiedykolwiek pokazywał panu swoje grafiki?

– Nigdy.

Łyk szejka.

– Jestem pewien, że nie zareagowałbym tak, jak powinienem – przyznaje Edwards.

– A on, jak sędzę, chciałby, żebym był z niego dumny.

\* \* \*

– No weź, stary – namawiam. – We dwóch zawsze gra się fajniej.

– Przecież już ci mówiłem – odpowiada Mars. – Dzisiaj muszę rysować. Mam sporo pracy.

– Oj, daj spokój.

– Nie.

– Stary...

– Żadne tam „stary”. Naprawdę sędzisz, że odniosę sukces, jeśli nie będę się bez przerwy rozwijać? Myślisz, że jestem jedyną osobą na świecie, która chce rysować komiksy? Poza tym ciemnoskórzy muszą na wszystko pracować dwa razy ciężej.

– Jeśli chodzi o wrywanie lasek, to w twoim przypadku święta prawda.

– Dowcipniś się znalazł. Wiem, co mówię.

– Mars, przecież to tylko jeden wieczór...

– Opuścę sobie raz, to opuszczę i drugi. A potem trzeci i wreszcie...

– Czwarty?

– Setny.

– Wiesz, brzmisz teraz zupełnie jak ten twój sztywny ojczulek.

– On nie ma z tym nic wspólnego. To moja decyzja.

– Z pewnością byłby pod wrażeniem.

– Stary, mogę ci coś szczerze powiedzieć?

– Jasne.

– Guzik mnie obchodzi, czy jest ze mnie zadowolony, czy nie.

– Serio?

– Serio. Nigdy nie zrozumie mojej pasji. Po jaką cholere miałbym się starać mu zaimponować?

– No tak. Znaczący, w sumie... logiczne.

– Powiem ci, co sobie wykombinowałem. Wykorzystam całą tę etykę pracy, o której bez przerwy prawi mi kazania, i osiągnę dzięki niej sukces w dziedzinie, którą kocham. Dzięki temu pewnego dnia ojciec nie będzie miał wyjścia. Będzie mnie musiał pochwalić, lecz nie dlatego, że o to zabiegałem.

– To dlatego nie chcesz przyjść i pograć?

– Dokładnie.

– Tyle że we dwóch gra się fajniej...

– Znowu zaczynasz?

\* \* \*

– Tak naprawdę dla Marsa to wcale nie było ważne – mówię.

– Co? Moja reakcja na jego prace?

– Nie, to czy jest pan z niego dumny, czy nie.

Na twarzy sędziego Edwardsa gromadzą się burzowe chmury.

– Czyżby?

Przełykam głośno ślinę. Przypominam sobie wszystko, przez co musiałem dzisiaj przejść, i uznaję, że nie mam ochoty na powtórkę. Nie chcę go rozzłościć. Brnę jednak dalej:

– Zamierzał wykorzystać zasady, jakich go pan nauczył, ale tylko po to, by żyć po swojemu. Nie chciał żyć po to... Nie chciał wiecznie zabiegać o pańską aprobatę. Wolał iść w życiu własną drogą.

– Sam doszedłeś do tego wniosku?

– Nie. On mi powiedział.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Edwards marszczy brwi. Odstawia kubek na stół, opiera łokcie na kolanach, splata dłonie i wbija w nie wzrok. Mięśnie jego szczęk na przemian spinają się i rozluźniają. Kilka razy mruga, przeciera oczy. Kaszle i odchrząkuje. Kiedy się odzywa, w jego szorstkim głosie słychać tłumione łzy.

– Dobrze, że to usłyszałem. Każdy ojciec pragnie, by syn liczył się z jego opinią, ale cieszę się, wiedząc, że był odważnym człowiekiem.

– Szczerze pana podziwiał. To dość oczywiste. Zresztą, czytał pan *Sędziego*.

Edwards prostuje plecy.

– To dobry komiks, prawda? Musiał się nad nim solidnie napracować. Dla mnie to powód do dumy. Tak, jestem bardzo dumny, że Mars był moim synem. Starłem się być dla niego dobrym ojcem.

– Wiedział o tym. To było widać.

Wzmaga się wiatr, opatulamy się płaszczami. Ciągące z północy powiewy niosą ze sobą leśną woń deszczu i wilgotnych liści.

– Właśnie o takich sprawach ze sobą, chłopcy, rozmawialiście? – pyta Edwards.

– Tak, bardzo często.

– Spotykaliście się i tak po prostu rozmawialiście o życiu i jego zakrętach?

– Tak.

– Chyba postradaliśmy zmysły. Jest północ, listopad, a my siedzimy w parku i popijamy szejki – rzuca pod nosem sędzia.

– Jeśli pan chce, możemy już wracać.

Edwards bierze głęboki oddech i przymyka oczy.

– Nie. Jest przyjemnie. Świeże, czyste powietrze. Orzeźwiający jak poranne mycie twarzy... – Milknie. Po chwili otwiera usta, by coś dodać, lecz zmienia zdanie. Znow zaczyna i ponownie cichnie. Wreszcie: – Powiem ci, o czym niekiedy myślę.

Słucham.

– Sam nie wierzę, że to powiem.

Słucham.

– Kiedy Mars był mały, sadzałem go sobie na kolanach i w zachwycie dotykałem jego dłoni... Wodziłem po nich palcami. Porównywałem je ze swoimi. Podziwiałem doskonałość, perfekcję tych drobniutkich dziecińczych rączek. Chciałbym... – Urywa i odwraca spojrzenie. Znow pospiesznie mruga; próbuje powstrzymać płacz oddechem. – Chciałbym móc to znow przeżyć. Jeszcze raz wziąć syna na kolana i dotknąć jego

palców. Moje dziecko... Miał takie utalentowane dłonie.

– To prawda.

Zatapiamy się w przeciągłym milczeniu, akcentowanym tylko jego dyskretnymi chrząknięciami i próbami otarcia łez.

– Ludzie zwykle myślą, że w takich sytuacjach lepiej jest być tym, kto zostaje przy życiu. Ale ci, którzy odchodzą, nie muszą tęsknić. Czasem sam już nie wiem, co jest tak naprawdę lepsze – odzywa się w końcu sędzia.

– Ja też nie wiem.

Patrzy mi w oczy, wskazuje palcem siebie i mnie.

– Nasze spotkanie... Rozmawiałeś może w podobny sposób ze swoimi rodzicami? Opowiedziałeś im, kim jesteś?

– Nie.

– Powinieneś.

Zaczynamy się wymieniać opowieściami z życia Marsa. Niektóre są zabawne. Niektóre nie. Część poprawia nam nastrój. Pojawiają się historie ważne. Pojawiają się też zupełnie przyziemne.

Budujemy mu pomnik ze słów zapisanych w naszych sercach. Sprawiamy, że nawet samo powietrze wibruje jego życiem.

Rozmawiamy, dopóki nie kończą się szejki.

Dopóki Edwards nie zaczyna ziewać, nie stwierdza, że musi wcześniej rano stawić się w sądzie, a nie jest już tak młody jak kiedyś.

Dopóki nie zbliża się moja domowa godzina policyjna.

Dopóki silny wiatr nie sprowadza zimnego jesiennego deszczu, którego krople spadają z nieba niczym srebrne strzały.

## Rozdział czterdziesty trzeci

Nie przeprasza mnie, ja też go nie przepraszam. Nie udziela mi rozgrzeszenia, a ja o to nie proszę. Kiedy kilka minut przed północą odwozi mnie pod dom, podaje mi rękę i wyciąga z kieszeni płaszcz rysunek. Grupowy portret Brygady Sos. Prezent.

Wchodzę do sypialni rodziców, by uścisnąć ich na dobranoc. Coś we mnie wyczuli. Kładę się między nimi na łóżku i tulą mnie – jest ciepło i sennie. Płacę w ciemnym pokoju jak mały chłopiec. Łzy wydają się ciężkie od tego wszystkiego, co ze mnie wypłukują. A gdy przestają wreszcie płynąć, w mojej duszy zapada cisza tak głęboka, jakiej nie czułem od wielu miesięcy. Nie, nie jestem szczęśliwy, nie jestem też wolny. Fala powodzi jeszcze się nie cofnęła, lecz przestała w końcu wzbierać i toń stała się gładka. Wszystko, co straciłem i co zepsułem, dryfuje teraz tuż pod powierzchnią, ale na niebie nie widać chmur.

\* \* \*

Siedzę na łóżku. Nie jestem gotowy na sen mimo wyczerpania tym trudnym dniem, który dłużył mi się bardziej niż niejeden rok. Wypełniająca mnie cisza jest w jakiś sposób zbyt głucha. Jak zimową nocą, kiedy ptaki nie zanoszą swoich piosenek, a mroźne powietrze dławi wszelkie dźwięki.

Muszę naprawić jeszcze jedno.

Wpatruję się we własne odbicie na czarnym martwym ekranie komórki. Skoro przetrwałeś ten dzień, przetrwasz wszystko. Co masz do stracenia?

Piszę SMS do Jesmyn, choć pewnie śpi.

*Przepraszam. Listopadowa plaża.*

Mija minuta, odpowiedź nie przychodzi. Dlaczego miałyby odpisać? Idę do łazienki, myję zęby i przebieram się w piżamowe szorty. Gaszę światło.

Przez zamknięte powieki zauważam, że mój pokój zalewa blade światło. Siadam i widzę, że telefon wibruje. Tańczy na biurku.

Serce rozpaczliwie pompuje do żył ostatnie rezerwy adrenaliny. Wyświetlacz gaśnie. Chyba nawet nie sprawdzę. Jeśli to wyczekiwana odpowiedź, nie zasnę do rana – zboliała dusza pozwoli mi tylko na krótkie niespokojne drzemki, tak jak podczas pierwszego miesiąca po Wypadku.

A jednak to robię. Sięgam po telefon.

Powiedz mi to w oczy.

Teraz? – Gdyby poziom ludzkiej godności można było mierzyć prędkością odpisywania na SMS-y, miałbym w tej chwili mniej więcej zero godności.

*Teraz.*

Ubieram się tak szybko, jakby dom stanął w płomieniach.

\* \* \*

Siedzę w samochodzie zaparkowanym za zakrętem, przecnicę od domu Jesmyn.

Przyglądam się kroplom deszczu. Rozbijają się o szybę i spływają cienkimi strumyczkami. Pomarańczowe światła ulicznych latarni rozmazują się, jakbym patrzył przez łyżę.

Jest! Biegnie w klapkach, głowę osłania kurtką. Otwieram drzwiczki. Wskakuje i zatrzaskuje je za sobą. Samochód wypełnia zapach kapryfolium, a mnie przepelnia gorączka tęsknoty. Jesmyn ma na sobie strój do spania – koszulka na ramiączkach i legginsy. Włosy spięła niedbale w koński ogon.

Oboje milczymy. Włączam silnik, by owiało ją ciepłe powietrze. Nie zapalam jednak świateł, nie ruszam. Jesmyn patrzy prosto przed siebie. Rozciera ramiona.

– No więc... – zaczynam.

Wybieg musi się jej wydawać oczywisty. Na pewno wie, że potrzebuję czasu, by znaleźć w sobie odpowiednie słowa.

– No więc... – Jesmyn wstrząsają dreszcze.

– Nie mam pojęcia, od czego zacząć... – mówię i na długą (takie mam przynajmniej wrażenie) chwilę zapada milczenie.

– Cieszę się, że nie pójdziesz do więzienia.

– Ja też. – Mocno zaciskam dłonie na kierownicy. – Słuchaj. Przepraszam cię. Źle postąpiłem. Nie powinienem był tego wszystkiego mówić. Nie powinienem był tak się zachować.

Jesmyn nabiera powietrza w płuca i zaraz je wypuszcza.

– Carver, chcę coś od ciebie usłyszeć. Czy jeśli znowu zaczniemy się przyjaźnić, będzie między nami dziwnie?

– To znaczy?

– Czy nadal będziesz bez przerwy porównywać się z Elim i innymi? Czy będziesz porównywać naszą znajomość z tym, co łączyło mnie z nim?

– Nie – kłamię.

Wiem, że akurat na to się nie zdobędę. Czuję się jednak na tyle silny, by nigdy nie dać tego po sobie poznać. Z jej perspektywy to przecież żadna różnica. Wolę cierpieć, ukrywając przed nią pewne uczucia, niż cierpieć z powodu braku Jesmyn.

Wyciąga rękę i kieruje środkową dmuchawę na siebie.

– Wciąż próbuję uporządkować swoje emocje.

– Wiem.

– I nie jestem pewna, czy kiedykolwiek poczuję do ciebie to, co ty czujesz do mnie. Jeżeli nie będziesz mógł z tym żyć, to lepiej powiedz mi od razu.

Mam wrażenie, że moje serce trafiło między zaciskające się z wolna szczęki imadła. Mimo to kiwam głową.

– W porządku – mówię. Dlatego, że to naprawdę w porządku. Lepiej, niż gdyby miało nie być Jesmyn.

– Nie będzie dziwnie?

Kolejne skinienie.

– Nie będzie dramatów?

Potakuję. Mija kilka sekund.

– Eli był zajebisty – rzucam półgłosem.



– Fakt. Był – odpowiada cicho. Nachyla się i obejmujemy się w niewygodnej pozycji. Krępujący samochodowy uścisk. – Nie, to do dupy – rzuca Jesmyn. – Wsiadaj! Spotykamy się przed maską. Tulimy się w deszczu i trwamy tak nierozsądnie długo. Strugi wody oczyszczają. Jesmyn pachnie jak kapryfolium o poranku. Aromat zroszonych kwiatów. Zieleń odzyskuje świeżość, odrasta.

Rozdzielamy się i wracamy do samochodu. Podkreślam ogrzewanie na maksimum, rozcieramy zziębnięte dłonie. Jesmyn unosi stopy do dmuchawy. Kręci się nam w głowach, śmiejemy się jak dzieci. Wreszcie robi się ciepło, powoli się uspokajamy.

– Kiedy się nie widywaliśmy, czułem się jak na plaży w listopadzie.

– A ja się czułam jak podarta piosenka.

Spoglądam pytająco, przechylam głowę na bok.

– Przez ten czas biegałam często po Harpeth River Greenway. Kiedy coś mnie dręczy, wysiłek zawsze pomaga. Pewnego wieczoru po wybitnie nieudanej próbie zauważyłam rozrzucone na ścieżce skrawki papieru. Podniosłam jeden z nich i okazało się, że to fragment tekstu piosenki. Zebrałam resztę i złożyłam w całość jak układankę. Ktoś podarł piosenkę.

– Kurde, w Nashville nawet śmieci opowiadają o muzyce.

– Prawda? Zrobiło mi się przykro. Ktoś ten tekst napisał, włożył w to całe swoje serce, a ktoś inny piosenkę podarł i tak po prostu wyrzucił.

– Podarta piosenka. Obawiam się, że ukradnę ci ten motyw.

– Nie krępuj się.

– A była chociaż dobra? Ta piosenka?

Jesmyn wybucha śmiechem. Nie może mówić, łzy płyną jej po twarzy.

– Nie. – Bezgłośnie porusza ustami.

Śmieję się wraz z nią.

Po chwili milkniemy. Jesmyn poważnieje.

– Pamiętasz, że dawniej wszystko miało kolor zielonych smarków? Po naszym rozstaniu widziałam tylko czern i błękit. Tak samo do bani.

– W końcu ujrzysz inne kolory. Oboje zobaczymy.

– Myślisz, że nadal możemy być Brygadą Pot? Bo wiesz, zrobiło się zimno.

– Myślę, że tak.

– Ja też.

Zapadamy w jedwabiste miękkie milczenie, słuchamy bębniącego o dach deszczu. Milczenie otula moje serce tak delikatnie jak powietrze w idealnie ciepły dzień. Nie upalny i nie chłodny.

Wreszcie Jesmyn siada przodem do mnie, widzę, że chce coś powiedzieć. Jej twarz oblewa wilgotny pomarańczowy blask latarni. Mam wrażenie, że światło dobywa się z jej wnętrza.

Wiem, że o cokolwiek zapyta, odpowiem „tak”. Nie ma na świecie nic, co byłoby dla mnie bardziej cenne niż to jedno „tak”.

– Podwieźć cię jutro do szkoły?

– Tak.

## Rozdział czterdziesty czwarty

Na łonie przyrody wyobrażam sobie czasami, jak spokojnie i idyllicznie musiał wyglądać świat, zanim pojawili się pierwsi ludzie. Musiała wówczas panować cisza tak doniosła, że aż domagała się słuchacza. Dokładnie tak samo czuję się teraz, siedząc przed doktorem Mendezem. Moje uczucia są bliskie szczęścia na tyle, że muszę uzewnętrznić je uśmiechem.

Terapeuta również się uśmiecha.

– Chyba jesteś dzisiaj w dobrym nastroju?

Pochylam się w fotelu, na moment zwieszam głowę, po czym patrzę mu w oczy.

– Mogę opowiedzieć historię?

– Proszę. – Opiera łokcie na kolanach i składa dłonie jak do modlitwy.

Odezwałem się, nie wiedząc, co dokładnie chcę opowiedzieć. Czuję jednak, że muszę. Rozcieram dłonie. Przeciagam nimi po ustach i nosie. Wbijam spojrzenie w podłogę, przygryzam wnętrze policzka.

– Przepraszam... – szepczę.

– Nie spiesz się – uspokaja mnie doktor Mendez.

– Uhm... Pierwszego sierpnia Carver Briggs pracował jak zwykle w księgarni. Ustawiał książki na półkach. Trzech jego przyjaciół: Mars Edwards, Blake Lloyd i Eli Bauer byli w tym czasie w kinie, a po seansie mieli się z Carverem spotkać. Planowali skoczyć na szejki, a potem zgodnie z tradycją włączyć się po parku. – Głośno przetykam ślinę, lekko roztrzęsiony nabieram powietrza. – Przyjaźnili się od ósmej klasy.

Coś ściska mnie w gardle. Odkasłuję i czekam, by móc kontynuować:

– Wiedziałem... Carver wiedział, że niedługo po niego przyjadą. Zaczął się jednak niecierpliwić. Napisał więc do nich SMS. Gdzie jesteście, chłopaki? Odpiszcie.

W tej chwili trzęsę się już na całym ciele, łyż mącą mi wzrok. Terapeuta siedzi nieruchomo niczym skała. Znowu czekam, tym razem, by wzbierająca w mojej piersi fala szloch opadła, ustąpiła. Biorę głęboki wdech i mówię dalej drżącym, lecz w pewien sposób mocnym głosem.

– Niebawem dowiedział się, że jego kumple... Hm... zginęli w wypadku, do którego doszło mniej więcej wtedy, gdy wysłał im tę wiadomość. Konkretnie wysłał ją do Marsa, który siedział za kierownicą, ponieważ wiedział, że Mars na pewno odpisze. Do Marsa, mimo że to on prowadził. Carver wiedział, że Mars będzie kierował wozem.

Tłumię w sobie kolejny przyływ płaczu. Okropnie trzęsą mi się dłonie. Zaciskam je w pięści i opowiadam dalej:

– Carver jest głęboko przekonany, że spowodował wypadek, ale stuprocentowej pewności nie ma. Natomiast dobrze wie, że nie zamierzał wyrządzić im krzywdy. Nigdy, przenigdy. Gdyby przewidział, do czego dojdzie, za nic w świecie by tego nie zrobił. I jest mu bardzo przykro – mówię na koniec. – Mnie jest bardzo przykro.

Nie jestem w stanie dłużej panować nad sobą, zaczynam płakać. Pochylam się naprzód tak nisko, że doktor Mendez widzi zapewne tylko czubek mojej głowy. Przesłaniam oczy dłonią i szlocham minutę lub dwie. To dobre uczucie. Trochę jakbym wrzeszczał we śnie. Terapeuta sięga po pudełko chusteczek i mi je podsuwa. Wyciągam

jedną, osuszam oczy. Gniotę ją w rękę.

Ostatecznie prostuję się i ciężko opieram w fotelu. Jestem wyczerpany. Wybucham śmiechem. Śmieję się przez łzy.

– Przepraszam. Straszny ze mnie mazgaj.

– Nie. – Doktor Mendez kręci głową z poważną miną.

On również opiera się wygodniej i postukuje palcem po wargach. Patrzy gdzieś poza mnie. Zaczyna coś mówić, lecz nie kończy. Po chwili spogląda mi prosto w oczy. Jeszcze nigdy nie widziałem na jego twarzy tak znękaną, posępną minę.

– Teraz ja chciałbym opowiedzieć ci historię – odzywa się bardzo cicho niemal proszącym tonem. – Zazwyczaj tego nie robię, ale w tej sytuacji czuję, że muszę.

Odpowiadam jego własnym gestem, którym zwykle zachęca, bym nie przerywał. Zauważa to. Uśmiecha się, choć i jemu zaczynają drżeć wargi.

– W liceum miałem bardzo bliskiego przyjaciela. Nazywał się Ruben Arteaga. Pewnego wieczoru mieliśmy się spotkać, ale o coś się pokłóciliśmy. Nawet nie wiem, o co poszło. Jakaś głupota, bzdura. Ostatecznie rozdzieliliśmy się, zamiast spędzić czas razem. Ja zostałem w domu, on pojechał do Juarez na jakąś imprezę.

Doktor Mendez kręci głową. Przyciska dłoń do warg. Po chwili chrząka i podejmuje, głosem ciężkim jak burzowa chmura.

– Następnego dnia Ruben nie pojawił się w szkole. Czekałem, myślałem, że jeszcze przyjdzie, ale nie było go aż do końca lekcji. Zadzwoiłem, lecz nie odebrał. Ostatecznie dowiedziałem się, że znaleziono go straszliwe pobitego w ciemnej alejce, na tyłach jakiegoś baru. Żył, ale był w stanie krytycznym. Przez jakiś czas utrzymywały go przy życiu maszyny. W końcu jednak... – Po policzku doktora Mendeza ześlizguje się samotna łza. – Przepraszam cię. To dla mnie niełatwe wspomnienie. – Głos się mu łamie. Zdejmuje okulary w granatowych oprawkach i uciska palcami grzbiet nosa.

Popycham pudełko z chusteczkami w jego stronę. Śmiejemy się.

– Dziękuję, panie doktorze – rzuca. Wzdycha i zakłada z powrotem okulary. – W głębi serca byłem pewien, że to ja zabiłem Rubena. Gdybym tylko nie uniósł się dumą, nie pokłócił z nim. Gdybym nie pozwolił mu pojechać na tę imprezę. Gdybym, gdybym... Kiedy patrzyłem na księżyc, widziałem w srebrnej tarczy twarz Rubena. Gdy podnosiłem oczy ku chmurom, ukazywał mi się w nich wymierzony we mnie oskarżycielski palec.

– Pareidolia.

– Pareidolia.

– Tyłu jest na świecie psychoterapeutów, a ja trafiłem na takiego, który rozumie mnie lepiej niż wszyscy pozostali – zauważam pod nosem.

– Wiesz, nawet ślepej kurze...

– I wtedy powstał pomysł z opowieściami?

– Właśnie dzięki takim opowieściom, które, by tak rzec, usuwały mnie z równania, zdołałem wyzdrowieć. Tylko one pozwoliły zagoić się mojej ranie. Wszechświat, los, są okrutne i ślepe. Wszystko, co się wydarza, ma bardzo wiele przyczyn. Do niektórych zdarzeń dochodzi w ogóle bez przyczyny. Nikt z nas nie jest dość silny, by udźwignąć ciężar odpowiedzialności za kaprysy świata. Zresztą byłoby to nieuczciwe.

– Czyli jest jeszcze dla mnie nadzieja, tak?

– To nie koniec podróży, lecz dopiero początek. Znalazłeś się w punkcie, w którym większość ludzi przeżywających stratę bliskiej osoby zaczyna. Dzięki własnemu wysiłkowi udało ci się zrozumieć i ujrzeć we właściwym kontekście swoją rolę w tej tragedii. Niemniej, wciąż masz przed sobą wiele pracy. Nie jesteś jeszcze w pełni zdrow. Pokonałeś infekcję, ale rana musi się jeszcze zabiżnić.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia znów poczuję się normalnie.

W załzawionych, zaczerwienionych oczach doktora Mendeza pojawia się iskra.

– Nie poczujesz się. A jednocześnie... Tak, poczujesz. Do końca życia nie zapomnę uśmiechu Rubena. Wspominam go zawsze, kiedy czuję zapach jego dezodorantu – jak wielu nastolatków spryskiwał się zbyt obficie. I będę go wspominać. W tego rodzaju sytuacjach zawsze czuję ból. Z tobą będzie podobnie, ale twoje życie stanie się w końcu na tyle pełne, byś mógł ten ból wchłonąć i iść dalej przed siebie.

Kilka kolejnych chwil upływa bez słowa.

– Mogę coś panu powiedzieć? – pytam.

– Naturalnie.

Wyjawiam, że niedługo zamierzam urządzić pożegnanie z rodzicami. Właściwie nie pożegnanie, tylko powitanie. Chcę, by poznali moją historię, aby dowiedzieli się o wszystkim, co dotąd – bez żadnego konkretnego powodu – skrywałem za wysokim murem.

Mówię, że wierzę, że ludzie są historiami złożonymi z oddechów, krwi i pamięci. Dodaję, że według mnie pewne rzeczy nigdy nie odchodzą w zapomnienie.

Mówię też, że żywię nadzieję, że kiedy już umrzemy, nadejdzie dzień, w którym potężny wiatr napełni nasze historie życiem i pozwoli im się wyrwać ze snu.

Mówię również, że napiszę najlepszą historię, na jaką mnie stać – opowieść, która przynajmniej przez pewien czas będzie się rozlegać echem w pustce wieczności.

Mówię, że mam nadzieję spotkać się kiedyś z przyjaciółmi.

Mówię, że mam nadzieję.

## Rozdział czterdziesty piąty

Idąc po usłanym schnącymi liśćmi parkingu, natykam się na Adair. Mimo że towarzyszą jej dwie przyjaciółki z baletu, zatrzymuję się na chwilę i w pewnym sensie składam jej siebie w ofierze. Nie mam nic do powiedzenia; chcę po prostu dać jej szansę, by wyartykułowała to, co musi i potrzebuje. „Nie wystarczyło ci, że zabrałeś mi brata. Zniszczyłeś też małżeństwo moich rodziców. Nie dość, że on zginął, muszę teraz na dodatek patrzeć, jak prowadzasz się z jego dziewczyną. Nie dość, że nie poszedłeś siedzieć, to muszę cię codziennie oglądać”.

Wydaje mi się, że jestem gotów przyjąć te słowa. Nie wiem, czy to zasługa terapii, leków, czy może wszystkiego naraz. Napady lęku nie wracają od dłuższego czasu. Jestem w stanie wchłonąć w siebie wszystko, co Adair może mi zarzucić; wiem, że to zniosę. Chcę, by i ona mogła zaznać choć trochę ukojenia i spokoju. Próbuję przekazać jej to wszystko niemyim spojrzeniem.

Adair jednak odwraca wzrok i wpatruje się w przestrzeń, gdzieś daleko, nawet na mnie nie patrzy. Jej szare oczy są rozpalone niczym w gorączce, po której nie można w pełni wyzdrowieć. Gorączce, która raz na zawsze odbiera człowiekowi część duszy. Gorączce, jakiej nie można przeżyć.

Rozumiem ją. Przynajmniej tyle.

## Rozdział czterdziesty szósty

Jesmyn odrywa nagle palce od klawiatury, odwraca się do mnie i radośnie woła. Aż podskoczyłem.

– Co jest?

Odkładam na podłogę laptopa, na ekranie którego widnieje niemal ukończony esej. Nadal próbuję dostać się na studia. Wysuwam się spod fortepianu. Jesmyn kręci się w kółko i co chwila pokrzykuje. Lśni, promienieje. Bije od niej jasność. Chwyta mnie za dłoń.

– Wreszcie zobaczyłam błękit! Właściwy odcień błękitu!

Oboje podskakujemy.

– Okej, dość już tego grania – oświadczam, kiedy się uspokajamy i odzyskujemy oddech. – Czas na szejki. Dynia z przyprawami.

Jedziemy z napojami do parku Centennial i popijamy, siedząc na pace jej pikapa. Z samochodowego radia dolatują nas słowa piosenki Dearly'ego. Rozmawiamy i śmiejemy się. Owijamy się kocem do oglądania gwiazd, który powstrzymuje chłód jesiennego wieczoru – fioletowego niczym siniec. Przyglądamy się ostatnim liściom, które jeden po drugim spływają spiralnie ku ziemi.

## Rozdział czterdziesty siódmy

Stoję w kolejce w Targecie, kupuję colę i przypominam sobie, że kiedyś razem z chłopakami z Brygady Sos wymyśliliśmy, że fajnie by było, gdyby ludzie gratulowali sobie nie przyjścia na świat dziecka, ale każdego udanego seksu. „Urodziło się wam dziecko? Super! To znaczy, że chodziliście ze sobą do łóżka! Gratulacje, seks jest fajny!”. Ludzie mówiliby to sobie w kościele, w pracy i tak dalej.

Zaczynam się śmiać. Stoję w kolejce i rechoczę tak samo głośno jak wtedy.

Jak wtedy, jak przy niezliczonych innych okazjach.

Zdarzają się dni – dobre dni – kiedy przyjaciele odwiedzają mnie właśnie w ten sposób.

## Rozdział czterdziesty ósmy

Georgia otwiera drzwi, wita się z kimś.

– Hej! – W jej głosie słychać słońce. Zamienia z gościem kilka słów. – Carver?! – woła.

Jest już dość późno, w dodatku zapowiadali opady śniegu, więc nie spodziewałem się wizyty. Odkładam książkę i idę do przedpokoju.

– Długie masz ferie świąteczne? – Jesmyn pyta Georgię, kiedy wychodzę zza rogu.

– Zajęcia zaczynają się w pierwszym tygodniu stycznia – odpowiada moja siostra.

– Hej! – Jesmyn wyraźnie rozpromienia się na mój widok.

– Hej! Co tu robisz?

– A, niespodzianka. Zakładaj buty i kurtkę. Idziemy do parku Percy’ego Warnera.

– Co?

– Żadnych pytań. Zbieraj się. – Pogania mnie machnięciem ręki.

Posłusznie wykonuję polecenie.

Zanim wychodzimy, Georgia tuli Jesmyn do siebie.

– Bawcie się dobrze, dzieciaki. I nie zróbcie niczego, czego sama bym nie zrobiła.

– Okej – odpowiadam. – Postaramy się nie wstawać przed jedenastą.

– Oj, Carver – prycha Georgia. – Naprawdę? Tak przy Jesmyn, co? – Oblizuje sobie mały palec. – Naprawdę chcesz się doigrać?

– Ej, weź! Nie chcę!

Rzucam się do ucieczki, lecz zanim udaje mi się dotrzeć do wyjścia, rozchichotana Jesmyn zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku i przyciska mi ramiona do boków, żebym nie mógł zasłonić uszu. Szczerze mówiąc, tak bliski kontakt okazuje się na tyle przyjemny, że opieram się raczej symbolicznie.

Dopada mnie Georgia i wciska mi wilgotny palec do lewego ucha. Nie pomaga, że rozpaczliwie rzucam głową na boki. Po chwili przypuszcza atak na drugie ucho.

– Masz dosyć?

– Tak! Obleśna kreaturo!

Palec siostry ponownie trafia do lewego ucha.

– Okej, jesteście kwita.

Jesmyn mnie wypuszcza. Wycieram uszy rękawem.

– Nieładnie, Georgia – mówię.

Dziewczyny przybijają piątkę. Wychodzimy.

Powietrze skrzy się niczym płynne srebro. Ostry wiatr niesie ze sobą czystą, nieskałaną woń dalekiego śniegu i palonego drewna. Chmurki oddechów mieniają się pomarańczowo w blasku ulicznych latarni.

– Dowiem się wreszcie, co ta nasza wyprawa ma na celu?

– Niedługo – odpowiada z enigmatyczną miną Jesmyn.

– Szkoda, że nie będzie cię przez całe święta.

– Też żałuję, ale uwielbiam jeździć do babci. Na spotkania będziemy mieli masę czasu po moim powrocie.

Docieramy do parku i Jesmyn sprowadza mnie z oświetlonej ścieżki na ciemną



odświetlonej łące. Uspione źdźbła trawy trzaskają sucho pod naszymi podeszwami. Zatrzymujemy się na środku polany.

– Oto moja niespodzianka. – Jesmyn unosi spojrzenie ku niebu.

Patrzę tam, gdzie ona. Chmury suną nisko i szybko, zabarwione tą specyficzną, pomarańczowo-srebrno-różową mieszaniną kolorów, która zawsze zwiastuje śnieg. Dalej widzę już tylko czerni. Gdzieś tam, w wąskich szczelinach między obłokami, mrugają ziarenka gwiazd.

– Gdzie? – pytam niepewnie.

– Taki kolor ma twój głos – szepcze Jesmyn. – Kolor zimowych chmur nocą.

– Mówiłaś przecież...

– Żartowałam. Kiedy mówisz, słyszę właśnie tę barwę. Łatwiej mi było ci ją pokazać, niż opisać.

Wypełnia mnie barwa nieba.

Stoimy z zadartymi głowami i przyglądamy się mknącej nad nami zimowej pokrywie chmur. Wśród nagich gałęzi otaczających nas drzew głucho pomrukują porywy wiatru. Zerkam na Jesmyn. Na jej twarzy znów maluje się pełen zachwytu wyraz uczestnictwa w świętym rytuale. Zauważa moje spojrzenie. Natychmiast wbijam wzrok w obłoki.

Nagle czuję na dłoni delikatny dotyk. Opuszczam głowę. Jesmyn zahaczyła małym palcem o mój. Wciąż wpatruje się w niebo, lecz na jej ustach pełga uśmiech. Powoli trąca palcami moje palce, zupełnie jakby muskała klawisze fortepianu, jakby tworzyła błękitną muzykę – muzykę o właściwym odcieniu błękitu. Wreszcie nasze dłonie splatają się ciasno ze sobą.

Moje serce pędzi równie szybko i gładko jak niesione wiatrem chmury. Chwila przypomina piękny podarek. Moje ciało wyśpiewuje hymn nowymi barwami, jakich nie potrafię nawet nazwać.

Trzymamy się za ręce. Stoimy tak długo, zapatrzeni w zalewające się rumieńcem niebo. Czytamy z niego jak z otwartej księgi, pozwalamy, by świat szeptał nam do uszu.

## Rozdział czterdziesty dziewiąty

To ten piątek pod koniec września, kiedy w ciepły, parny poranek nadciąga burza i deszcz pada niemal przez cały dzień. Chmury rozstępują się dopiero orzeźwiającym popołudniem i już wiadomo, że lato dało ostatecznie za wygraną. To ten piątek.

Był to jeden z tych niesamowicie idealnych dni, gdy wszystkie elementy układanki wszechświata trafiają na właściwe miejsca. Każdy dowcip wywołuje salwy śmiechu. Wszyscy mają nieco lepsze nastroje niż zazwyczaj, wydają się bardziej bystrzy i sprytni. To jeden z tych dni, gdy człowiek odnosi wrażenie, że już zawsze będzie młody i nigdy nie umrze. Jeden z dni, kiedy człowiek czuje, że bez przerwy szybuje coraz wyżej i wyżej.

Za kierownicą siedzi Mars. Całe popołudnie spędziliśmy u Eliego na oglądaniu filmów i opychaniu się pizzą.

– Wiecie, co jest zabawne? – odzywa się ni stąd, ni zowąd Blake.

– Twój fajfus? – rzuca Eli.

Parskamy śmiechem.

– Nie, mój fajfus jest zupełnie normalny i zdecydowanie nie jest zabawny – odpowiada śmiertelnie poważnie Blake. – Można wręcz powiedzieć, że mój fajfus tryska zdrowiem.

– Ach, no to okej. Mów dalej – rzuca Eli.

– Zabawne jest następujące zjawisko. Wystarczy do czegokolwiek dodać trochę majonezu i od razu powstaje sałatka.

– Nie, wcale nie. – Głos Marsa przebija się przez nasz dudniący rechot. – Znowu coś wymyślasz jak wtedy, gdy próbowałeś nam wmówić, że nikt nigdy nie widział, jak kot robi kupę.

– Zastanów się. Dodajesz majonezu do kurczaka i co? Sałatka z kurczakiem. Do tuńczyka i masz sałatkę z tuńczykiem. – Blake nadal przemawia poważnie. Widać, że dokładnie tę kwestię przemyślał.

– A jeśli dodam majonez do cheerios, to co? – wtrącam. – Sałatka z cheeriosami?

– Na to wychodzi – odpowiada Blake.

– A majonez z m&mesami? – rzuca Eli.

– Sałatka z m&msami. – Blake kiwa głową. – Przecież nie ja wymyśliłem tę zasadę.

– Słuchajcie, panowie, ale ja zupełnie serio jadłem kiedyś na kościelnym pikniku sałatkę ze snickersami – wtrąca Mars. – Nie ściemniam. Nazywała się właśnie sałatka ze snickersami i składała się głównie z bitej śmietany, orzeszków ziemnych i posiekanych snickersów.

– Widzisz? Sam się ze mną zgadzasz – zauważa Blake.

– O nie, bracie. Ja tylko stwierdziłem, że coś takiego istnieje. Wcale nie powiedziałem, że to danie spełnia kryteria pozwalające je uznać za pełnoprawną sałatkę.

– To niesamowite – odzywa się Eli. – Chodzi o zdrowie. Wystarczy coś nazwać sałatką i od razu staje się zdrowe.

– Wiecie, co jeszcze jest dziwne? – podejmuję. – W sałatce może się pojawić galaretka, a przecież gdzie galaretkom do sałaty?

– Sałatki rządzą się pokrętnymi prawami – kwituje Mars.

Trzymając się za bolące ze śmiechu brzuchy, podjeżdżamy pod mój dom. Słońce zanurza się za horyzont, dzień zmienia się w noc i spowija nas półmrok. Naraz niespodziewanie ogarnia mnie bezimienna ekstaza. Nie ma określonego źródła, przenika mnie, przepelnia w jednej chwili. Wszystko jest piękne i dobre, mam wrażenie, że nie muszę nawet oddychać.

– Kocham was, chłopaki – odzywam się, nie wiedząc dlaczego.

Próbuję ukryć nagłe wzruszenie, obracając je w kolejny żarcik. Czasami najłatwiej skryć prawdę w pełnym świetle.

Na moment zapada milczenie. Zastanawiają się, jak mi dopieć.

– Och, my ciebie też kochamy, Kosa – rzuca Eli.

Odwraca się i chwyta mnie ramieniem za kark.

– Grupowe uściski! – woła Blake i zarzuca ramiona na Eliego i na mnie.

Zaczynam się szamotać. W tej samej chwili Mars wykręca się w fotelu i też mnie obejmuje, przypadkowo naciskając tyłkiem na klakson. Przez kilka chwil szamoczemy się w samochodzie jak rozdokazywane szczeniaki w kartonowym pudełku. Tulimy się, ściskamy i śmiejemy. Słyszymy bicie swoich serc. Wąchamy własne oddechy i pot.

Otwieram drzwiczki i uciekam. Wygładzam potargane włosy i uspokajam oddech. Blake wychyla się ze środka z gumką recepturką w dłoniach. Naciąga ją i mierzy prosto w moje jądra.

Tworzę z dłoni tarczę i w ten sposób unikam kolejnego poniżenia.

– No dobra, panowie. Nara.

Blake i Eli puszczają mi buziaki.

– Kochamy cię, Kosa! – wołają.

Odpowiadam tym samym, drugą ręką wciąż chroniąc rodowe klejnoty.

Szczerzą się do mnie, machają. Ja też macham.

Mars włącza silnik.

Ruszam w kierunku domu, lecz z jakiegoś powodu przystaję, odwracam się i patrzę za odjeżdżającym samochodem.

Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Nie wiem, dlaczego się odwróciłem.

Może nie byłem gotów się z nimi rozstać.

Stoję i spoglądam za nimi, dopóki nie znikają. Podobnie jak dzień rozpływają się w ciemności.

## Podziękowania

Ta książka nie mogłaby powstać, gdyby nie pomoc moich niesamowitych agentów: Charliego Olsena, Lyndsey Blessing i Philippy Milnes-Smith oraz dwóch wspaniałych redaktorek: Emily Easton i Tary Walker. Przesyłam wam wyrazy niegasnącej wdzięczności.

Dziękuję też Phoebe Yeh, Samancie Gentry i wszystkim pracownikom Crown Books for Young Readers. Dziękuję Barbarze Marcus, Judith Haut, Johnowi Adamowi, Dominique Ciminie, Alison Impey i Casey Ward z Random House Children's Books.

Na zawsze pozostanę również dłużnikiem Kerry Kletter. Tworząc swoją powieść, miałem twoją książkę cały czas w zasięgu ręki, by bezustannie mi przypominała, jak należy pisać. Nie wiem, czy kiedykolwiek skreśliłbym choć słowo bez twojej przyjaźni, mądrości, przenikliwości i krytycznego oka.

Skoro mowa o krytycznym spojrzeniu. Adriano Mather, bez ciebie byłbym po prostu zgubiony. Ty wiesz, jak powinna wyglądać porządnie opowiedziana historia i jest to jedyna rzecz, jaka wychodzi ci w życiu lepiej od lepienia glinianych kubków i hodowania świń. Zastanawiając się nad postacią Georgii, ciągle zadawałem sobie pytanie: „Jak by to zrobiła Adriana?”.

Nic Stone, moja partnerko w dążeniu do doskonałości i siostrzo pisarko. Nie mogę się doczekać chwili, gdy świat pozna twój geniusz. A to już przecież niedługo. Czuję się dumny, że było mi dane cię poznać.

Natalie Lloyd, inspirujesz mnie magią swoich słów i światów. Codziennie wywołujesz mój uśmiech.

Becky Albertalli, Davidzie Arnoldzie i Adamie Silvera: wciąż nie wierzę, że zaprzyjaźniłem się z trojgiem tak wspaniałych autorów tworzących dla młodzieży. Każde z was było dla mnie olbrzymim wsparciem. Nie wiem, jak wam dziękować.

Amando Nelson, twój dowcip i inteligencja byłyby źródłem natchnienia dla każdego.

Doktorze Danielu Crosby, Amy Saville – jeżeli w nakreśleniu postaci doktora Mendeza cokolwiek mi wyszło, to jedynie wasza zasługa. A jeśli jest w niej coś nieudanego, to wyłącznie moja wina. Czuję się waszym dłużnikiem.

Brooks i Jackie Benjaminowie, dziękuję za waszą wszechogarniającą radość i za to, że należycie do grona moich ulubionych ludzi.

Elizabeth Clifford, dzięki, jesteś po prostu przezabawna.

Emily Henry – ze świecą szukać przyjaciółki bardziej utalentowanej, wesołej, fajnej i gotowej nieść pomoc.

Niesamowitymi przyjaciółmi okazali się również: Matt Bauer, Matt Page, Rykarda Parasol, Corinne Hannan, Katie Clifford, Wesley Warren, Jonathan Payne, Dylan Haney, Sean Maloney, Ashlee Elfman, Olivia Scibelli, Chris i Elizabeth Fox, Maura Lee Albert-Adams, Shane Adams, Melissa Stringer i Becky Durham,

Chloe Sackur, dziękuję, że zaryzykowałam wydanie książki o synu kaznodziei. Nie podziękowałam ci wtedy, więc dziękuję ci teraz.

Stephanie Appell i wszyscy z Parnassusa. Tacy ludzie jak wy i takie miejsca jak

wasze stanowią dowód na to, że niezależne księgarnie są nieodzownym elementem literackiego świata. Temu, co robicie, nie sprostą nigdy żaden algorytm ani żaden komputer. Dziękuję.

Dziękuję moim kumplom i kumpelom z Nashville: Jasonowi Millerowi, Danielowi Carillovi, Edowi Tarkingtonowi, Ashley Blake, Kristin Tubb, Rae Ann Parker, Alishy Klapheke, Courtney Stevens i Corabel Shofner.

Dziękuję swoim starszym (pod względem doświadczenia wydawniczego) siostrom i braciom, którzy okazali się dla mnie niemałym wsparciem. Oto oni: Nicola Yoon, Kelly Loy Gilbert, Sabaa Tahir, Kiersten White, Benjamin Alire Sáenz i Rainbow Rowell.

Dziękuję swojej szkolnej nauczycielce angielskiego, Clenece Hills, za to, że wpołała mi strach przed stroną bierną.

Amy Tarkington, Rachel Willis – dzięki wam jeszcze raz.

Dziękuję całej obsłudze i uczestnikom Rockowych Obozów dla Nastolatków.

Kolejna grupa przyjaciół, którym należą się moje podziękowania: Nicole Castroman, Marisa Reichardt, Laura Shovan, Amy Allgeyer, Jeff Garvin, Kurt Dinan, Bridget Hodder, Julie Buxbaum, Kathleen MacMillan, Victoria Coe, Laurie Flynn, Kathleen Glasgow, Melissa Gorzelanczyk, Shannon Parker, Sonya Mukherjee, Darcy Woods, Jenn Bishop, Jessica Cluess, Sarah Glenn Marsh, Catherine Lo, Kali Wallace, Lygia Day Peñaflor, Lois Sepahban, Karen Fortunati, Randi Pink, Natalie Blitt, Kim Savage, Sarah Ahiers, Roshani Chok-shi, Kathleen Burkinshaw, Meg Leder, Janet McNally, Brittany Cavallaro, Andrew Brumbach, Lee Gjertsen Malone, Julie Esh-baugh, Parker Peevyhouse, Natalie Blitt, Heidi Heilig i Ki-Wing Merlin.

Jestem również wdzięczny niesamowitym blogerom, księgarzom i bibliotekarzom, w szczególności są to: Hikari Loftus, Owlcrate, Dahlia Adler, Mimi Albert, Caitlin Luce Baker, Sarah Sawyers-Lovett, Eric Smith, Randy Ribay, Will Walton, Kari Meutsch, Shoshana Smith, Ryan Labay, Sara Grochowski, Danielle Borsch, Demi Marshall, Joshua Flores i Stefani Sloma.

Mamo, tato, babciu Z, Brooke, Adamie, Steve, kocham was wszystkich.

Saro, moja ukochana, moja najlepsza przyjaciółko. Gdy piszę, słysząc, jak grasz, czuję się jak w niebie. Nie przesadzę, gdy stwierdzę, że nie mógłbym napisać ani jednej książki, gdyby nie twoja miłość, wsparcie i szczęście, jakie dzięki tobie czuję.

Tennessee, mój cudowny synu. Jesteś największym skarbem mojego życia. Nic nie sprawia mi radości większej niż obserwowanie, jak dorastasz, i fakt, że mogę się nazywać twoim ojcem. Dzięki, że jesteś moim synem.

<sup>1</sup> Biblia Tysiąclecia, 1 Tes, 4:14–17 (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Carver (ang.) – ktoś, kto kroi, tnie (przyp. tłum.).

<sup>3</sup> Blacksmith (ang.) – kowal (przyp. red.).

<sup>4</sup> U.S.M.C. (United States Marine Corps) – Piechota Morska Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

<sup>5</sup> Biblia Tysiąclecia Ps. 37:28–29 (przyp. tłum.).

<sup>6</sup> Biblia Tysiąclecia Ps. 37:28–29 (przyp. tłum.).